

CIZIA ZYKĚ ZŁOTO



CIZIA ZYKĚ

WYDAWNICTWO
MINISTERSTWA
OBRONY
NARODOWEJ



ZŁOTO

PRZEŁOŻYŁ
STANISŁAW
WOJNICKI

Tytuł oryginalny: Oro

© International Book Promotion, Paris 1985

Okładkę i stronę tytułową projektował
MICHAŁ MARYNIAK

Redaktor
HALINA ZYSKOWSKA

Redaktor techniczny
RENATA WOJCIECHOWSKA

© Copyright for Polish edition by
Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej,
Warszawa 1989 r.

Wydanie I

ISBN 83-11-07706-1

Printed in Poland

Część pierwsza

Nareszcie w Golfito... Kiedy wysiadamy z autobusu, jesteśmy połamani i mamy wszystkiego dość. Przez ponad dziesięć godzin byliśmy skazani na tę ich salsę. Ogłuszająca muzyka, przytłaczający upał i ścisk, po trzy osoby na siedzeniu – taka podróż to istne piekło.

Diane, która siedziała przy oknie, nie miała problemów. Na mnie pakowała się galaretowata, śmierdząca Indianka, która usadowiła się koło mnie, ale która na szczęście w połowie drogi opuści autobus, za to na jej miejsce siądzie mały bezzębny staruszek, przejawiający wobec mnie nadmiar czułości, wkrótce zaśnie z głową na moim ramieniu zamiast poduszki. Wymierzam mu przyjacielski cios łokciem w żebra, chyba go zabolalo, bo ciche pojękiwanie towarzyszyło mi aż do Golfito...

Na moją prośbę kierowca wysadził nas przed hotelem Delfina, podobnym do wszystkich innych budynków w tym kraju. Jest to stary, drewniany dom z dachem pokrytym cynkowaną blachą. Po kilku stopniach wchodzimy do recepcji. Pusto. Tylko wyjący telewizor świadczy o ludzkiej obecności. Na dźwięk mego pięknego, silnego głosu pojawia się mała starowinka.

Dzień dobry, moja śliczna! Daj nam pokój dwuosobowy.

– Pięćdziesiąt colonów, płatne z góry.

– Zgoda, moja piękna...

Pokazuje nam pokoje. Jak zwykle, wygląda to ponuro. Diane wybiera pokój z balkonem, bo wydaje się najmniej brudny i jest tam chłodniej. Łóżko pamięta lepsze dni, a pościel budzi obrzydzenie. Każę ją zmienić. Przy okazji Diane prosi o ręczniki i mydło. Stara trochę marudzi. Mamrocze kilka zdań, w których przewija się słowo „gringos”.

Nie są to zapewne uprzejmości, ale w końcu przynosi to, czego żądamy.

Podczas gdy Diane się rozbiera, zdejmuję moją trzydziestkę ósemkę wraz z kaburą, której nowe skórzane rzemienie obtarły mi ramię. Następnie wyjmuję z torby Diane Biblię, wrywam z niej kartkę i robię skręta z mango-rosa, doskonałej miejscowej marihuany; wypalimy go razem pod prysznicem.

Jest to prysznic wyłącznie z nazwy, raczej ponura klita o mokrych i lepkich ścianach, w której na wysokości twarzy wycieka strumyczek wody. Nie ma wieszaka ani nawet gwoźdźcia. Obrzydzenie miesza się z błogością, jakiej doznajemy gdy woda spływa po naszych umęczonych ciałach.

Spokojni i rozluźnieni wychodzimy na ulice Golfito poszukać czegoś do jedzenia.

Przebiegająca pomiędzy szeregiem burdelików z jednej strony, a z drugiej domów na palach, pod które wdziera się morze, linia kolejowa i pokryta dziurami droga zajmują cały środek tego małego portu, wciśniętego między zatokę a wzgórze. Golfito pełni rolę punktu załadunkowego, zbudowanego przez amerykańskie towarzystwa bananowe, i mieszkają tu wyłącznie pracownicy tych ostatnich, a także paru sklepikarzy i zwyczajna w takich małych tropikalnych przystaniach fauna ludzka. Wybór restauracji nie jest trudny, gdyż wszystkie mają do zaoferowania wyłącznie casado, narodową potrawę składającą się z ryżu, frijoles, gotowanego banana i również gotowanego małego kawałka mięsa.

Kiedy już zaspokoiliśmy głód, korzystamy z wieczornego chłodu i oglądamy życie ulicy. Łazi tam paru typów bez zajęcia, jacyś pijacy i mnóstwo kurew.

Jedna właśnie sunie przed nami. Jest ogromna.

– Podoba ci się? – pyta mnie z uśmiechem Diane.

– Uważam, że jest bardzo sexy. Wyobrażasz sobie bladą główkę kogoś z tych małych Ticos ściśniętą tymi udami?

Wybuchy naszego śmiechu sprawiają, że kurwa odwraca się:

– Que pasa?

– Nic, nic, ślicznotko.

Odchodzi. Śledzimy ją wzrokiem. Parę metrów dalej zatrzymuje ją jakiś facet, który chyba za dużo wypił. Sposób, w jaki dotyka jej i stara się ją chwycić, nie pozostawia wątpliwości co do jego zamiarów. Chce ją przelecieć, tu na środku ulicy. Gruba wymierza mu wspaniałe policzki i facet ląduje na stolikach pobliskiej kawiarni. Ulica ożywia się. Rozlegają się śmiechy i krzyki:

– Dalej, zabij go!

Kurwa wykonuje w kierunku swoich kibiców obsceniczny gest i znika w jakimś barze.

– Niezły temperament – mówi Diane.

Wygląda dziś olśniewająco. Jej jasnozielone oczy, długie blond włosy, opalona zdrowa skóra, jaką może mieć tylko dziewczyna urodzona i wychowana pod zwrotnikiem, wszystko to tworzy przyjemny kontrast z naszym odrażającym otoczeniem.

Mam na nią ochotę i ona to czuje.

– Wracajmy do hotelu – mówi i całuje mnie.

*

Zapadła już noc. Diane śpi. Ja nie mogę zasnąć i wychodzę na bal-

kon. Rozmyślałam tu, oparty o balustradę, pociągając wielkiego skręta z mango-rosa.

Dwa lata temu, kiedy wraz z Diane, którą tam poznałem, opuściliśmy Karaiby, nie mieliśmy żadnych trosk. Przyszłość wydawała się kryształowa. W rok później zmarł nasz syn i zły los brutalnie wdarł się w nasze szczęście. Od tego czasu przemierzaliśmy świat w poszukiwaniu przygody, zanurzając się całkowicie w narkotykach i hazardzie. Od azjatyckich palarni opium po kasyno w Monte Carlo, poprzez Makao, Bangkok i Las Vegas, szukałem przygody wszędzie, aż bez grosza wyładowałem na tym kontynencie.

W sąsiednim kraju okazja szybkiego interesu przyniosła forszę na jakiś czas. Pośredniczenie między miłym handlarzem bronią i równie miłym dealerem kokainy to praca szybka i popłatna. Ale mój zwykły brak rozsądku sprawił, że przepuściłem dwadzieścia tysięcy dolarów w kasynie równie szybko, jak je zarobiłem, i granicę Kostaryki przekroczyłem z dwunastoma dolcami w kieszeni.

W przeciwieństwie do większości ludzi nie przejmuję się brakiem pieniędzy. Odkąd ukończyłem osiemnaście lat i włóczę się po świecie, bieda nigdy nie chwyciła mnie za gardło. Niczego nie posiadam. Pieniądze są nie w moich kieszeniach, ale leżą bezpiecznie w kieszeniach innych. Nie mam już ani centa: nie szkodzi, zawsze znajdzie się sposób, żeby zarobić, tak czy inaczej.

Byłem parę razy milionerem, ale za każdym razem pieniądze znikwały równie łatwo, jak się pojawiały. Dla mnie są one ważne tylko wtedy, kiedy je wydaję. Gdybym miał oszczędzać, przestałbym być sobą i nigdy nie przeżyłbym tych wszystkich przygód, jakie stały się moim udziałem. Ograniczona mentalność nie pozwala przeżyć czegoś wielkiego. Przez całe moje życie ostatni grosz przeznaczony będzie na błysk,

na komfort, i nie zamierzam robić ustępstw na rzecz średniactwa.

Jedyną rzeczą, jaka mnie rzeczywiście zajmuje, która jest motorem mojego działania, tym, co ciska mnie dookoła świata, jest poszukiwanie coraz to ciekawszych pomysłów. Po wielkiej przygodzie potrzebuję jeszcze większej. A nie zawsze jest to łatwe.

W tym nadmiernie uregulowanym świecie ciężko jest być człowiekiem przygody i postępować według własnych praw. Dla mnie nie ma rzeczy zakazanych: chcę coś zrobić, a więc mogę to. Niestety! dzisiejszy świat stał się zbyt mały. Nie można już wykroić sobie królestwa, przeżyć przygody poza zasięgiem prawa, bo walka jest nierówna. Wszystko jest urządzone pod słabych, zjednoczonych pod sztandarem praw, których należy przestrzegać. W ten sposób łatwo im walczyć z tymi, którzy chcieliby iść własną drogą. To już nie jest walka mężczyzny z mężczyzną. Wszystkie moje przygody przeciwstawiły mnie różnym rządóm: w Afryce, w Azji, na Karaibach, a to z góry oznacza przegraną. Jestem sto razy uczciwszy od tych wszystkich przywódców Trzeciego Świata, na których się natykam, ale oni mają posłuch i zaufanie międzynarodowe. Czy Kostaryka da mi wreszcie tę przygodę, której od tak dawna szukam? Zbadałem już całą Amerykę Środkową, byłem w Salwadorze z jego lewicową partyzantką i w Nikaragui, gdzie partyzantka jest prawicowa. Ale jestem zbyt niezależny i stałem się zbyt nieczuły, by znaleźć w sobie święty płomień rewolucjonisty. Utopią jest poszukiwanie lepszego świata, bo zawsze będą wyzyskiwacze i wyzyskiwani. I choć nie jest dobrze być wyzyskiwaczem, to jeszcze gorzej gdy się jest wyzyskiwanym. Tak czy owak, walczę tylko dla siebie.

Na pierwszy rzut oka Kostaryka nie jawi się jako kraina przygody. Ten mały kraj, wciśnięty między Panamę na południu i Nikaraguę na północy, to jakby Szwajcaria, w której w ciągu paru miesięcy przeprowadzono by dewaluację o siedemset procent... Zaczyna pojawiać się nędza, na razie bardzo dyskretnie, bo choć przeciętny Tico nie ma pieniędzy, ciągle jeszcze stać go na podstawowe produkty jak ryż, fasola, banany i kawa. W Kostaryce nie ma jeszcze głodu, ale nie ma już luksusu. Pierwszy kontakt z nią nawiązałem przeszukując prekolumbijski cmentarz w centrum kraju. Zajmowałem się podobną działalnością piętnaście lat wcześniej w Peru, ale warunki były tam inne. Tutaj dżungla, choć rośnie bujnie, nie jest przyjemna, i choć dokuczał nam brak pożywienia, to przede wszystkim we znaki dawały się colloradillas, mikroskopijne owady, które dziesiątkami wślizgują się pod skórę, zbierają się w okolicy podbrzusza i powodują swędzenie nie do wytrzymania. Najtrudniejsza okazała się jednak sprzedaż przedmiotów prekolumbijskich: w Kostaryce sztuka nie ma żadnej wartości, i antykwariusze interesują się wyłącznie złotem i nefrytem. Czasami proponowali mi trzy czy cztery dolary za precjoza mające ponad tysiąc lat! W związku z tym piękna gliniana waza, która skutecznie stawiała czoło upływowi czasu, zakończyła swój żywot na mordzie jednego z tych kretynów, właściciela galerii sztuki prekolumbijskiej.

Na szczęście Diane przejęła pałeczkę. Udało jej się sprzedać sporo przedmiotów członkom ambasady francuskiej. No i poznała Szlomo.

Żeby tylko nie okazało się, że ten sympatyczny Żydek z półświatka mnie okłamał. Powiedział mi, że tracę czas i że w tym kraju są bardziej opłacalne zajęcia. Twierdził, że na południu jest miejsce pełne złota, półwysep Osa. Jeśli mu wierzyć, wystarczy się schylić, żeby je zgarnąć. Dał mi również do zrozumienia, że jest to zakątek niebezpieczny, zamieszany przez zbiorowisko awanturników i przestępców ucie-

kających przed sprawiedliwością.

Zainteresowała mnie ta jego opowieść. Nie chodzi mi o złoto, bo wiem, że w tych sprawach ludzie zawsze przesadzają, ale o to życie, które mi opisał. Zrozumiałem z tego, że półwysep Osa to zapomniane miejsce, prawie bez łączności z resztą kraju, miejsce niebezpieczne i do pewnego stopnia wyjęte spod prawa: właśnie takie okolice lubię.

Toteż w dwa dni później dałem kopniaka ostatnim garnkom, jakie mi zostały – tysiąc pięćset lat rozwalilo się o ścianę – i wsiedliśmy do autobusu jadącego do Golfito, skąd trzeba przeprawić się statkiem na półwysep Osa.

Kilka dobrych restauracji, kupno od tegoż Szlomo rewolweru Smith and Wesson kaliber 38, z długą lufą, oraz dwustu gramów mango-rosa i suszonych hongos; wszystko to poważnie naruszyło zyski ze sprzedaży. Jutro rano wsiadamy na statek do Puerto Jimenez, jedynej wioski na półwyspie. Liczę pieniądze. Zostało mi osiemnaście dolarów.

*

Na przystani statek zakotwiczony jest o dziesięć metrów od brzegu i pasażerowie grzecznie siedzą na nabrzeżu, w pełnym słońcu, które zaczyna zdrowo przypiekać. Ktoś mi mówi, że zaraz odpływamy, ale znam miejscowe zwyczaje i idziemy zaczekać w chłodzie, w tej samej knajpie co poprzedniego dnia. Z tranzystora dobiega „Capri, c'est fini”, melodia dość nieoczekiwana w tym zapadłym kącie. Po upływie godziny sytuacja nie ulega zmianie, tyle że słońce coraz mocniej grzeje tłumek na nabrzeżu. Mija jeszcze godzina i marynarze zaczynają przewozić pasażerów łodziami. Najpierw zabierają ludzi, potem bagaże. Czekamy, aż załadują ostatnią skrzynię, i wsiadamy. Statek to mały barkas długości dwudziestu metrów, do połowy zakryty plandeką i wy-

ładowany do maksimum.

Rozsiadłszy się wygodnie na dziobie, podczas gdy wszyscy tłoczą się na ławkach rufowych, palimy skręta przyglądając się delfinom, które bawią się w fali dziobowej. Nieco później przechodzę na rufę, żeby się trochę rozejrzeć w tłumie. Jest wiele kobiet, krowiastych, o mocnej budowie, i paru mężczyzn, całkiem wysuszonych, z narzędziami w ręku, którzy prawdopodobnie jadą spróbować szczęścia na półwyspie.

Całkiem z tyłu mały facetik o twarzy łasicy opowiada coś, otoczony gromadą słuchaczy. Pokazuje im bryłkę złota, pierwszą, jaką widzę w tych stronach. Podchodzę i chwilę rozmawiamy. Nazywa się Jeremy. Był dawniej pilotem w kompanii bananowej, potem otworzył bar w Puerto Jimenez i handluje złotem, jak wszyscy mieszkańcy. Zaprasza nas do swojego baru, gdybyśmy potrzebowali informacji. Po dwu godzinach żeglugi dopływamy.

Przybicie do Puerto Jimenez jest dosyć zabawne, nie ma portu, nie ma mola. Statek zatrzymuje się, gdy braknie wody pod kilem, i każdy na własną rękę przedostaje się na ląd. Muszę zdjąć swoje wysokie buty i podwinąć nogawki spodni, żeby przenieść Diane na plażę. Wśród krzyków i śmiechów każdy urządza się, jak potrafi, żeby wyładować swoje rzeczy na brzeg. Trzej marynarze, nasza załoga, przenoszą kobiety, jeden drugiemu podstępnie wciska co starsze, by samemu wziąć młode, co pozwala nieco wynagrodzić sobie fatygę. Udajemy się do baru Jeremy'ego, Rancho de Oro, znajdującego się nieco dalej w głąb lądu, żeby przemyśleć dalsze działania i napić się czegoś, bo upał staje się nie do wytrzymania.

*

Bar jest niezły. Cały z bambusa, dobrze przewietrzony, nie śmierdzi

tak jak inne. Jest mało ludzi, bo to pora sjeisty. W kącie zauważam faceta, który różni się od innych. Siedzi sam przy stole, mając przed sobą wagę i imponującą ilość puszek z piwem, które regularnie opróżnia. Ma około czterdziestki, niebieskie oczy, a spod baseballowej czapki wciśniętej na łysiejącą czaszkę wymyka się kilka blond kosmyków, co zdradza w nim gringo, jednego z tych Amerykanów szukających szczęścia w Kostaryce. Podchodzę:

- Jestem Juan Carlos.
- Dzień dobry, ja nazywam się Wayne.
- Mogę się dosiąść?
- Jasne.

Wayne to były marine, mieszkający w Kostaryce od kilku lat. Włóczył się po całym świecie, zanim przyjechał tutaj. Bywaliśmy w tych samych miejscach: Azja, Afryka, różne parszywe zakątki, i czujemy do siebie sympatię.

Mieszka w Golfito, ożenił się z Ticą i prowadzi kilkuetapowy handel. Na półwyspie skupuje po niskich cenach złoto i raz na miesiąc jeździ sprzedawać je do Miami, skąd przywozi dolary. Potem wymienia je na czarnym rynku, co znowu przynosi zysk. Na takim handlu zarabia się dwukrotnie i jest to proste, bo krajowy bank nie skupuje złota po kursie światowym. Wayne opowiada mi, że dawniej jeździł ze swoją wagą w góry, kupować złoto jeszcze taniej, bezpośrednio od poszukiwaczy rozproszonych po dżungli. Ostudziła go trochę zasadzka, z której wyszedł cało jedynie dzięki kamizelce przeciwkulanowej, którą stale nosi.

Teraz skupuję w Puerto Jimenez. Przyjeżdżam w niedzielę, kiedy ci faceci schodzą z gór. Zysk jest mniejszy, ale ryzyko też. Muszę myśleć

o rodzinie – mówi z uśmiechem.

W jego słowach wyczuwam żal człowieka, schwytanego w pułapkę takiego życia, z żoną i dziećmi, w tym kraju, gdzie się wszystko wali. Kiedy mówię mu o swoich planach, niepokoi się:

– Masz broń?

– Tak, nie ma sprawy.

– A narzędzia, wyposażenie, konia? – pyta, spoglądając na moje sfa-tygowane buty.

– Nie, ale dam sobie radę, nie ma sprawy.

– Jeśli chcesz, żebym ci pomógł, gdybyś potrzebował forsy...

– Nie, naprawdę wszystko w porządku. Ale gdybyś mógł mi wskazać kogoś, kto jedzie w jakieś interesujące miejsce, to byłoby fajnie.

– Zajmę się tym, wpadnij tu wieczorem.

– Do zobaczenia.

Wybór hotelu jest o tyle łatwy, że jest tylko jeden, pośrodku wsi. Puerto Jimenez rozciąga się na kilometr, wzdłuż szerokiej, zakurzonej drogi przygniecionej słońcem. Na ulicach nie ma żywej duszy, wszyscy przestrzegają sjesty za zamkniętymi okiennicami. Naprzeciwko banku, budynku przypominającego rozmiarami szalet, siedzi rozwalony na krześle gliniarz z karabinem na kolanach. Na ziemi przed barem leży pijak, żałosna pozostałość wczorajszej zabawy. Trzech innych facetów drzemie na krzesłach w cieniu pod daszkiem. Są to jedyne widoczne oznaki życia w Puerto Jimenez.

Idę samotnie środkiem tej nie kończącej się ulicy, przytłoczony upa-łem, wdychając nieruchome powietrze przesycone kurzem, i mam wrażenie, jakbym przyjechał do miasta duchów. Na końcu ulicy widzę posterunek policji, którego wnętrze będzie mi niestety wkrótce dane po-

znać.

Wieczorem wracam do baru, gdzie bez trudności zasięgam języka, bo poszukiwacze złota, biedni pijani oreros, są bardzo rozmowni. Stawiają wszystkim i są szczęśliwi mogąc kupić drinka dla gringos. Jak przekonać się, ile jest prawdy w ich pijackich opowieściach?

Puerto Jimenez żyje tylko w nocy. Kurwy wyruszają na poszukiwanie oreros, żeby odebrać im ich złoto. Bary wypełniają się tymi biedakami goniącymi za przyjemnościami i wydatkami, a kurwy i szakale starają się im w tym pomóc. Rankiem oreros kończą w rynsztoku, z kieszeniami wywróconymi przez dzieciaki szukające ostatnich colónów. Przez całą noc Puerto Jimenez wypełnione jest hałasem ich pijatyk, śmiechów i bólek.

Nieco później pojawia się Wayne w towarzystwie innego Europejczyka, Hansa, oraz Tico imieniem Memo. Hans to Niemiec zamieszkały w Puerto Jimenez, i także poszukuje złota. Memo wyjeżdża jutro rano do Karate. Umawiamy się, i odchodzi do swoich towarzyszy.

– Jak będziesz w Karate, zajdź do Bretta, to równy gość – mówi Wayne.

Po kilku szklaneczkach wracamy do hotelu.

Memo przychodzi po nas o czwartej rano, w towarzystwie jakiegoś siłacza o twarzy debila. Wypijamy szybko kawę i ruszamy. Diane niesie swój neseser, ja nasz wspólny plecak. Po przejściu dwustu metrów czuję, że zaczyna mi ciążyć, i przywołuję kolegę Memo. Po krótkiej dyskusji zgadza się, by w zamian za moje ostatnie pięć dolarów nieść mój plecak aż do Karate. Zostaje mi tylko kilka monet, ale będę przynajmniej szedł bez obciążenia.

Po pół godzinie Memo postanawia iść skrótem przez góry. Zaczyna-

ją się przyjemności. Dżungla to prawdziwy piec, wilgotny i duszny, jesteśmy cali złani potem. Ziemia jest przesycona wodą po deszczach, a roślinność zatrzymuje wilgoć. Nie ma przetartej ścieżki i wielokrotnie trzeba przebijać się za pomocą maczet. Moja budowa nie pozwala mi biec przez błoto nie zanurzając się, jak to robią mali Ticos. A kiedy się wywracam, padam całym ciężarem ciała. Diane, zadziwiająco lekka i zwinna, porusza się jakby spacerowała po łące. O ile Ticas są grube, o tyle Ticos mali i szczupli. Są przystosowani do biegania po dżungli.

Idę boso, z butami zawieszonymi na szyi; w błocie tak jest wygodniej. Kiedy teren jest płaski człowiek pogrąża się po kolana, a na przełęczach i zejściach ślizga się. Nam jeszcze jakoś to idzie, bo mamy wolne ręce, gorzej temu idiotcie z niewygodnym plecakiem. Jest niesamowicie silny, ale dostaje potężnie w kość. Coraz to potyka się i wywraca, w krótkim czasie jest całkowicie pokryty błotem. Jest to nieprzyjemne, bo w ten sposób brudzi mi plecak. W pewnej chwili ześlizguje mu się noga i dostaje strasznego szwungu; zjeżdża ponad trzydzieści metrów i leży nieruchomo, bo spadający za nim plecak walnął go w głowę. Wszyscy się zaśmiewają, tylko on jakby mniej, bo go zabolalo. Ale w końcu jego pocziwa wielka morda krzywi się w głupawym uśmiechu, i pomagając sobie myślami o zarobku podnosi plecak i idzie dalej. W takich warunkach maszerujemy cały dzień. Z rzadka tylko zatrzymujemy się, by orzeźwić się gorzkimi pomarańczami, zebrnymi po drodze, albo żeby zapalić skręta. Memo od dawna znikł w przedzie, powiedziałem mu, żeby na nas nie czekał.

Jest dziesiąta wieczór kiedy docieramy do plaży, jesteśmy w Rio Oro, o dwie godziny drogi od Karate. Za ostatnie monety kupuję kilka podplomyków i jakieś napoje gazowane, którymi dzielimy się we trójkę. Diane i ja decydujemy się tutaj przenocować. Żeby pozbyć się naszego tragarza, którego rosnąca sympatia staje się trochę uciążliwa,

wskazuję mu drogę przyjacielskim klepinięciem w ramię i mówię, że spotkamy się następnego dnia w Karate. Odchodzi w noc, trochę zdezorientowany, ale szczęśliwy, że zyskał trochę pieniędzy i nowych przyjaciół.

Próbujemy spać na plaży, ale pomimo zmęczenia nie potrafimy zasnąć. Przeszkadza nam upał, komary i wilgoć piasku. Z przyjemnością witamy świt. Mam chęć na kawę i papierosa, ale nie został mi już ani jeden centavo.

*

O świcie wyruszamy do Karate. Po drodze dostrzegam na piasku ślady żółwia. Jaja złożone są jakieś trzydzieści centymetrów pod powierzchnią. Biorę dziesięć i zasypuję pozostałe. Zjadamy je na surowo – to nasze śniadanie. Siedzimy tak na plaży, kiedy pojawia się tubylec na koniu.

– Cześć!

– Cześć! Dokąd idziecie?

– Idziemy do Karate.

– Ja też.

– Wspaniale, dobrze się składa, bo moja żona jest zmęczona.

I nie dając mu czasu na stawianie zbyt wielu pytań, każę mu zejść z konia, sadzam w siodle Diane i daję jej plecak.

Ochłonawszy z wrażenia facet bez sprzeciwu towarzyszy mi na piechotę. Zawiesza sobie ostrogi na szyi i zaczyna przemowę, która trwa aż do Karate. Jest jedenasta, kiedy stary mówi, pokazując nam drewniany dom w stylu europejskim:

– Karate. Tu jest dom Kanadyjczyków, którzy kierują kopalnią. Mój

zić mieszka z drugiej strony, pięćdziesiąt metrów stąd. Chodźcie ze mną, napijemy się kawy.

Podchodzimy do chaty z drewna i liści palmowych, z dachem z ocynkowanej blachy. Dwoje gołych dzieci bawi się na progu z prosiakiem. Z pocerowanego hamaka podnosi się facet i pozdrawia starego.

– Dzień dobry dziadku, jak zdrowie?

– Dobrze, Saltarana, Bogu dzięki. Spójrz, przyprowadziłem ci dwoje Francuzów, którzy przyszli z Jimenez.

– Francuzi? Bardzo dobrze, wejdźcie, usiądźcie. Przysuwa dwa kula-we krzesła i woła żonę.

– Ej, Negra, przygotuj kawy, mamy gości. Jesteście głodni, chcecie coś zjeść?

Podczas gdy pomagam Diane zejść z konia i biorę plecak, Saltarana krząta się, przeganiając dzieci, które patrzą na nas z rozdziawionymi ustami. Zmęczeni siadamy w cieniu.

Saltarana to niski gość o szybkich ruchach, wygląda sympatycznie. Jego przenikliwe oczy patrzą na nas badawczo, kiedy pijemy kawę.

– Co chcecie tutaj robić, szukać złota?

Podczas gdy z nim rozmawiam, senora proponuje Diane prysznic. Saltarana mieszka tu od dwóch lat, trochę współpracuje z Kanadyjczykami, oddając im drobne usługi.

– Gringos mało stykają się z oreros, ja służę im jako łącznik, a Negra u nich sprząta. Jest ich dwóch, zarządzają kopalnią: mister Bili to manager obozu, a Fucking to główny mechanik.

– Fucking?

– Tak, nazywają go tak, bo używa tego słowa w każdym zdaniu. To

dureń – konkluduje Saltarana.

Wkrótce wyciąga wagę i małą flaszeczkę. Wysypuje z niej złoto i waży je, podczas gdy stary liczy pieniądze. Saltarana wyjaśnia mi, że razem handlują. Stary kupuje od niego złoto, które on sam skupuje od oreros. W tych stronach wszelka działalność koncentruje się na takich sprawach.

Saltarana proponuje, żebyśmy z Diane zostali u niego.

– Jest dość miejsca – mówi.

Odsłania brudną zasłonę i wskazuje na piętrowe łóżko. Zwracam się do Diane. Nasze spojrzenia spotykają się. Nie jest to Ritz, a nawet jest to prawdopodobnie jedno z najbrudniejszych miejsc, jakie widzimy, odkąd jesteśmy razem. Ale nie mamy wyboru, przygoda wymaga wyrzeczeń. Przyjmujemy zaproszenie.

– No, to świetnie – mówi Saltarana – będę mógł wyjechać.

Patrzę na niego zaskoczony.

– Rozumiesz, chciałbym się zabawić, ale nie mogę wyjechać na zbyt długo, bo mi wszystko rozkradną. Raz po powrocie zastałem wyważone drzwi, ukradziono mi cały sprzęt kuchenny. Ale jeśli wy będziecie tutaj, mogę bez problemów pojechać do Jimenez. Możecie się tutaj wygodnie urządzić, jest pełno zapasów.

W kilka minut później wyjeżdżają na starym motocyklu, on, żona i oba dzieciaki. Znają mnie wszystkiego kilka godzin.

Resztę popołudnia spędzam na luzie, razem z Diane leżymy na plaży i jemy. Wieczorem, podczas gdy ona przygotowuje kolację, idę do pulperii, sklepu spożywczego tuż obok. Alkohol oznacza nocne życie. Pulperia to spory, oświetlony budynek, z którego dochodzą krzyki i odgłosy pijatyki. Kiedy wchodzę, jakiś ledwo trzymający się na no-

gach Tico potrąca mnie, wybiegając, by na zewnątrz wyrzygać wszystkie wnętrzości. Bar jest pełny i wielu facetów leży już na ziemi bez przytomności. Pulperia jest przestronna: składa się z części magazynowej, gdzie trzyma się stosy worków z ryżem, frijoles i innymi towarami pierwszej potrzeby, oraz z sali barowej, od której oddziela ją lada z dziesiątkami butelek guarro. Śmierdzi rzygowinami i rozlanym alkoholem. Przedzieram się jakoś do baru; za ladą stoi gringo, wspomagany przez milutką kelnerkę, który nalewa klientom i wrzeszczy na pijaków. Jest to wysoki blondyn około czterdziestki, nadużywanie alkoholu wyryło na jego twarzy głębokie bruzdy. Spozstrzega mnie i podchodzi:

– Ty jesteś ten Francuz, co dzisiaj przyjechał? Miło poznać, ja jestem Brett – mówi wyciągając rękę.

– Miło mi, nazywam się Juan Carlos.

– Jesteś sam? Mówiono mi, że przyjechałeś z bardzo piękną kobietą. Wiesz, tutaj wiadomości rozchodzą się szybko i wszystkie docierają do pulperii.

Przerywa, by opieprzyć jakiegoś Tico, który robi obsceniczne gesty do jego żony.

– Już nie mogę wytrzymać z tymi kretynami, jedni debilniejsi od drugich. Jedyne, co potrafią, to chlać i drzeć się. Jestem tu już od trzech lat i mam ich dość. Całe szczęście, że całe swoje złoto wydają u mnie. A ty, co cię tu sprowadza? Chcesz spróbować szczęścia szukając złota?

– Tak, o Karate powiedział mi Wayne. Mówił, że jest tu ciekawie. Kazał cię pozdrowić.

– Wayne, ten stary wariat! Ciągłe handluje złotem? Któregoś dnia

go wykończą. Napijesz się czegoś?

– Chętnie.

Brett jest szczęśliwy, mogąc się wyzalić przed Europejczykiem.

– Popatrz na te wraki – mówi, wskazując na dwu chudziutkich starców, którzy właśnie weszli, z rozlatującym się radiomagnetofonem w rękę. – Co wieczór tu przyłazą z tą swoją cholemną muzyką. Mają tylko dwie kasety i słucham tego przez całą noc. Mieszkają tuż nad nami. Mają co najmniej po dziewięćdziesiąt lat, i są razem od dziesięciu lat. Krzyczą na siebie jak stare małżeństwo.

Dwaj starcy są wysuszeni i cali pomarszczeni, ich skóra jest spalona przez słońce. Mają kończyny powykrzywiane wskutek pracy przy poszukiwaniu złota, a ich ręce wyglądają jak dzioby nart.

– Mówiono mi o dwóch Kanadyjczykach, jacy oni są?

– Ci dwaj idioci? Od nich wynajmuję pulperię. Nie chcą tu żadnych obcych, bo boją się konkurencji. Na początku opowiadali mi, że chcą zamknąć kopalnię, że tu wcale nie ma dużo złota. Dlatego zgodziłem się wziąć w agencję tę rudę. Zawracanie głowy! Pracują jak dzicy i wydobywają kilo dziennie. Tutaj ich nigdy nie spotkasz, żyją na uboczu i nie mieszają się z pospólstwem. Swoim pracownikom też zabronili tu przychodzić.

Hałas w pulperii wzrasta się i zaczynam odczuwać skutki braku snu. Już mam odejść, gdy zatrzymuje mnie Brett.

– Domyślam się, że skoro przyjechałeś do tej zapadłej dziury, to jesteś goły. Tutaj o to się nie martw, daję wszystkim na kredyt, bo to jedyne miejsce, gdzie można coś kupić. Więc gdybyś czegoś potrzebował, nie krępuj się. My, biali, musimy sobie pomagać...

– Do jutra.

Wracam do Diane. Ponura chata uległa przemianie! Małe sprzątanie i dwie dobrze ustawione świece wystarczyły, żeby ją upiększyć. Diane przygotowała prosty i smaczny posiłek: żółwie jaja gotowane z przyprawami, ryż i smażone frijoles, trochę kokosu i pieczone banany. Opo-
wiadam jej o tym, czego się dowiedziałem: jest tu złoto, dużo złota. Pozostaje jeszcze dowiedzieć się, jak najlepiej się do niego dostać. Wychodzimy na plażę, ale komary, małeńkie, lecz żarłoczne, szybko zmuszają nas do odwrotu.

*

Następnego dnia wcześniej rano budzi mnie głośnie walenie do drzwi. Ktoś woła Saltarana. Otwieram i widzę małego grubasa, który patrzy na mnie zaskoczony.

– Gdzie jest ten kretyn Saltarana i co pan tu robi?! – wrzeszczy.

Czego ode mnie chce ten dureń? Już mam mu dać po mordzie, kiedy odzywa się drugi facet.

– Ej, spokojnie, szukamy tylko Saltarany. Nazywam się Bili, a ten to Fucking.

Wyjaśniam mu, że Saltarana wyjechał i że mieszkam tu tymczasowo.

– Zarządzamy kopalnią. Niech pan do nas zajrzy któregoś dnia – mówi mi na odchodnym.

Bili robi wrażenie sympatyczne, ale Fucking to mały sukinsyn. Diane i ja postanawiamy zrobić trochę porządku w domu. Skoro mamy tu jakiś czas pozostać, niech się chociaż trochę nadaje do życia.

Rozwalam piętrowe łóżko i buduję jedno większe, po czym, kiedy Diane zatyka szpary w deskach za pomocą liści palmowych, zdejmuję

zasłone i stawiam zamiast niej ściankę z bambusa i plecionych liści.

Kiedy kończymy robotę, Diane wybucha śmiechem. Fakt, że naruszyliśmy trochę przestrzeń życiową Saltarany, ale lubię czuć się swobodnie tam, gdzie mieszkam. Zresztą Ticos przyzwyczajeni są do życia w tłoku.

Cała wioska składa się z domu Kanadyjczyków, domu Saltarany, pulperii i lepianki obu starców tuż nad nią oraz czterech chałupek nad rzeką Karate. Wyżej, na brzegu rio, znajduje się obozowisko Karate Mining Company, z warsztatami maszynowymi i hangarem, gdzie śpią pracownicy; jeszcze wyżej – obóz oreros. Jest to składanka z kartonowych i plastikowych opakowań, sklecona przez poszukiwaczy złota, którzy trzymają się razem i wzajemnie sobie pomagają.

Jest ich około setki, żyją wraz z kobietami i dziećmi w błocie, tłoku i niewygodzie, bez perspektyw na przyszłość. Znam takie miejsca. Złoto to dla mnie nic nowego. Widziałem już obozy poszukiwaczy złota w Gabonie i Brazylii, przy granicy z Wenezuelą. Wszędzie te same wszy i ta sama nędza. Ci faceci pracują cały dzień, żeby przepić zarobek w parę godzin. Jeśli zdecydowałem się na tę przygodę, to na pewno nie po to, żeby robić jak oni. Najpierw muszę zasięgnąć jak najwięcej informacji, żeby jak najlepiej je wykorzystać.

Wracamy do domu. Wiem, że Saltarana wraca za parę dni, i chcę wykorzystać ten czas, żeby trochę odpocząć z Diane.

*

Wieczorem wracam sam do pulperii. Jest to strategiczne miejsce w Karate, bo wszystkie wiadomości przechodzą tędy: ktoś znalazł taką a taką bryłkę złota, kogoś zabiło osuwisko, w takim a takim miejscu znaleziono super złóż. Im później w noc, tym fantastyczniejsze stają

się opowieści: rozmiary bryłek rosną wraz z ilością wypitych butelek.

Brett stał się rasistą i nienawidzi ich. Trzeba przyznać, że ze względu na panujące tu warunki życia tutejsi Ticos to ani mięczaki, ani luminarze. Otepiali od zwierzęcej pracy, z mózgiem zniszczonym przez alkohol z przemytu, wielu z nich to zwykłe wraki ludzkie.

Czasami Brett ma kłopoty z opanowaniem sytuacji. Jest żonaty i nie zawsze budzi wystarczająco dużo respektu, żeby zostawiono jego żonę w spokoju. Poza tym popełnia ten błąd, że od czasu do czasu upija się z nimi, co przełamuje pewne bariery. Ticos nie potrafią rozróżnić grzeczności i poufałości i często robią się nachalni. Zwłaszcza w tej pulperii, gdzie po zapadnięciu zmroku nikt już nie trzyma się na nogach. Bijatyki są na porządku dziennym i Brett często musi używać siły. Wynosi, ciągnąc za nogi, na wpół nieprzytomnych facetów rozłożonych na brudnej podłodze, wyrzuca ich na dwór i tam czekają końca z nosem we własnych rzygowinach.

Atmosfera jest ciężka, ale tu właśnie mogę najwięcej dowiedzieć się i spotkać poszukiwaczy złota.

– Widzisz, takie jest całe ich życie – mówi mi Brett. – Pracują kilka dni, po czym wszystko przepuszczają w jedną noc. Zauważ, nie mówię tego, żeby się skarżyć, wszystko ląduje w mojej kieszeni – dodaje z uśmiechem. – A ty co zamierzasz, pójdziesz z nimi?

– Nie, nie mam mentalności niewolnika. Chcę jak najwięcej dowiedzieć się o złocie i znaleźć sposób, żeby z tego skorzystać, ale nie mam zamiaru harować jak idiota. Musi mnie tylko ktoś nauczyć szlamowania, przynajmniej podstaw. Potem dam sobie radę, nie ma sprawy.

– To nic trudnego. Każdy z tych kretynów powie ci wszystko, co chcesz, jeśli mu postawisz. Przedstawić ci któregoś?

– Nie, w porządku, mam inny pomysł. Dziękuję.

Następnego dnia z dwiema butelkami guarro pod pachą odwiedzam obu starców. Są w trakcie poważnej kłótni. Zaskoczeni moją wizytą przerywają tę scenę rodzinną. Na widok butelek rozchmurzają się.

– Słuchajcie, przyjaciele. Mam dla was propozycję. Muszę się nauczyć szlamowania. Stawiam picie tak długo, aż będę ekspertem.

Interes im się podoba i traktują moją propozycję bardzo poważnie. W poczuciu własnej ważności majestatycznie schodzą do rzeki. Moja metoda jest prosta: parę ruchów miską i łyk guarro. Do szlamowania służy rodzaj wielkiej miski z lekkim wgłębieniem pośrodku. Po wypełnieniu jej kilkoma łopatami złotonośnego żwiru trzeba przykucnąć z pięcioma kilogramami w rękach i pochylić się lekko do przodu. Nie dość, że mało elegancka, pozycja ta powoduje przede wszystkim ból w krzyżu.

Przykucnięci w wodzie, z miską na wpół zanurzoną, starcy wprawiają ją w ruch okrężny. Powstaje w ten sposób prąd wodny, który wraz z siłą odśrodkową stopniowo wyrzuca kamienie i piasek. Dość często trzeba przerywać ruch i rozdzielać je, żeby nie tworzyły zlepionych kawałów, a potem potrząsaniem od prawej do lewej zsuwać złoto, które jest cięższe, na dno miski, zwanej tutaj catiadora. Wszystko to jest niaby proste, ale wymaga wprawy. Wystarczy trochę za dużo wody, trochę zbyt gwałtowne poruszenie i drobne ziarnka złota wylatują z miski.

Ćwiczę przez część dnia, ale plecy mnie pieką. Kiedy uznaję, że mam dość, obie butelki są puste, a staruszkowie pełni. Zostawiam ich leżących na brzegu rzeki i wracam do Diane, żeby spędzić z nią popołudnie na plaży. Nieco później nadchodzą moi nauczyciele, wyczuwający dobrą okazję. Sporo wysiłku kosztuje mnie pozbycie się ich. Znam już podstawowe ruchy i zamierzam poćwiczyć. Zresztą... i tak nie mam

ambicji zostania mistrzem. Jeżeli catiadora będzie stanowić część mojego przyszłego wyposażenia, zawsze znajdę jakiegoś krety, który będzie sobie za mnie niszczył krzyż.

Wrócił Saltarana ze swoją rodziną. Jest trochę zaskoczony zmianami, ale godzi się z nimi. Przeszedłem na dietę z owoców avocado i żółtych jaj. Poczciwe żółtce przychodzą składać jaja pod sam dom, wystarczy wyjść wcześniej rano na plażę i iść po śladach, by wkrótce powrócić ze sporym zapasem. Próbowaliśmy robić sadzone, ale białko nie chce się ścinać. Najlepiej gotować jaja z przyprawami, bo skorupka jest miękka i porowata i przepuszcza cały aromat. Menu uzupełniamy orzechami kokosowymi, których pełno na plaży. Zeskrobujemy wiórki i dodajemy je do wody, w której gotuje się ryż i frijoles, co nadaje tym potrawom specyficzny smak; dzięki temu jakoś wytrzymujemy codzienne gotowane jarzyny. Żona Saltarany stara się, jak może, by stosując się do moich rad urozmaicić jadłospis, choć nie rozumie po co. Karmieni od dzieciństwa gotowanymi mącznymi potrawami Ticos nie mają wymagającego podniebienia.

*

Teraz już co rano chodzę wzdłuż rzeki i obserwuję oreros. Na Osa wydobywa się złoto z rzeki. Praca odbywa się pod gołym niebem, w małych rios. Niesione z prądem złoto zmieszane jest ze szlamem, załagającym na dnie. Trzeba to wszystko przesiać, aż dojdzie się do litej skały. Istnieje na to tylko jedna metoda: trzeba zdjąć wszystko! Po wybraniu miejsca, którego bogactwo ocenia się na podstawie zawartości paru początkowych catiadoras, trzeba je oczyścić z dużych kamieni. Jest to praca niesłychana.

Kamienie o wadze kilku ton trzeba rozbijać zwykłym łomem, waląc

w nie cały dzień w pełnym słońcu. W tej dziedzinie Ticos są zadziwiający. Mali i wysuszeni skaczą na te kamienie i walą w nie bez przerwy całymi godzinami. Następnie przesuwają bieg rio, a w każdym razie jego części, zostawiając tylko tyle przepływu wody, ile wymaga canoa, bardzo proste urządzenie, typowe na Osa.

Jest to rodzaj skrzyni o trzech ściankach: ma pięćdziesiąt centymetrów szerokości na metr pięćdziesiąt długości, z dwiema deseczkami wysokimi na piętnaście centymetrów, które wyznaczają przepływ wody i złotonośnego żwiru. Wejście jest całkowicie otwarte, a przy wyjściu zrobiony jest mały pięciocentymetrowy próg łamiący prąd wody. Wystarczy teraz jedna lub dwie osoby, by łopata ładować do skrzyni żwir, który prąd przepłukuje. Przykucnięty przy canoa facet wyjmuje większe kamienie i bez przerwy miesza, żeby żwir nie osiadał. Ruch ten jest bardzo ważny, bo prąd wody pokrywa kamyczki, a złoto, o większym ciężarze właściwym, pozostaje na miejscu; ale jeśli pozwolić, żeby ziemia i żwir osadzały się, złoto ślizga się po kamieniach i odpływa. Cała tajemnica to regularność tego ruchu, w połączeniu z umiejętnym ustawieniem prądu wody i odpowiednim kątem nachylenia canoa. Jeśli te warunki są spełnione, wystarczy bez przerwy ładować skrzynię tak, by przepływ wody był regularny.

Siedząc wygodnie na skale, pociągając skręta z mango-rosa, patrzę jak się męczą. Po pewnym czasie robi się dziura tak głęboka, że schylając się nad łopata zaczynają połykać wodę. Wtedy zamykają canoa i przedłużają sztuczne koryto o paręset metrów, żeby obniżyć poziom wody. To prawdziwe prace ziemne, robota dla wariatów. Przechodzę od grupy do grupy. Wszyscy stosują tę samą metodę, mniej lub bardziej się przykładając.

Kiedy wczesnym popołudniem podnoszą canoa, podchodzę blisko,

ciekawy wyników. Wysypują zawartość skrzyni do miski i pojawia się złoto. Nie wierzę własnym oczom: od dwu do dziesięciu gramów! Cały dzień zwariowanej pracy, a tu prawie nic. Niedługo później dzielę się swoimi spostrzeżeniami z Brettem.

– Ci wszyscy to amatorzy – mówi ze śmiechem. – Nie ma tu jednego zawodowca. To czy uprawa bananów, to dla nich to samo. Niektórzy wiedzą o tym tyle, co ty i ja, a rzeka została już parę razy wyczyszczona. Prawdziwi oreros, ci, którzy rzeczywiście znajdują złoto, żyją w górach, wiele dni drogi stąd. Schodzą tu tylko od czasu do czasu, i zawsze mają pełną kieszeń. Łatwo ich rozpoznać: urządzają największe zabawy.

– Daleko stąd?

– Niektórzy o kilka dni drogi, inni o kilka godzin. Ale żeby się tam dostać, musisz mieć gumowe buty – mówi, patrząc na moje bose stopy. – Na pewno nie będę miał twojego rozmiaru, ale poproś pilota samolotu Kompanii, żeby ci przywiózł z San José.

Zmuszam się do codziennego chodzenia do pulperii, żeby zdobywać informacje. Staję się w końcu znany jako ten Francuz, który chce szukać złota, i różni faceci zaczynają sami do mnie przychodzić pogadać. Zawałem znajomość z miejscowym dealerem. Bywa tu regularnie z jucznym koniem. Trawka jest tania. Mimo to handel daje zyski nie mniejsze, niż alkohol. Ale ponieważ nie udziela kredytu i nie jest lubiany, dealer nie ma bezpiecznego życia: jego poprzednika znaleziono w dżungli z głową rozłupaną maczetą. Kieszenie miał opróżnione.

*

Choć mają spokojny charakter, Ticos stają się czasem gwałtowni po wypiciu. Szybko sięgają po maczetę i w pulperii robi się gorąco od ich

ekscesów. Któżgoś wieczoru rozmawiam z Brettem, kiedy dwóch facetów dobiera się do jego żony. Daje jednemu w zęby, ale drugi wyciąga maczetę. Podchodzę i walę go butelką prosto w twarz, po czym dla równowagi dokładam jeszcze w tył głowy. Piwo mu nie służy, i facet rozkłada się jak długi z zakrwawioną mordą. Obaj mają dość. Brett robi porządek i wyciąga ich na zewnątrz wśród śmiechów gawiedzi. Obaj zostają tam do rana. Nie niepokoję się o nich, wiem, że mają mocne kości.

Następnego dnia spotykam swoją ofiarę w pulperii. Uśmiecha się szeroko, co pozwala mi zobaczyć, że w starciu z butelką stracił wszystkie zęby. Nadal ma przy sobie maczetę, więc oczekuję ostrej reakcji, ale jego uśmiech jest szczery.

– Cześć, Francuz, jak leci?

– Dobrze, a u ciebie?

– Bardzo dobrze. Dobra zabawa wczoraj była, schlaliśmy się strasznie, ale było wesoło. Wracam w góry, bo jestem splukany. Do zobaczenia następnym razem.

I odchodzi w dżunglę. Zabawa kosztowała go wszystkie zęby, ale dobrze się bawił. Tacy właśnie są Ticos – nie są pamiętliwi.

*

Prawie wszystkie popołudnia spędzam z Diane na plaży. Często towarzyszy nam mała córeczka Saltarany, która poczuła do mnie sympatię. Chodzi za nami wszędzie i często zasypia w naszym łóżku. Na skraju plaży przywiązane są konie Brettta – jest to jedyne miejsce, gdzie jest trochę trawy. Czasami dosiadamy ich i urządzamy sobie długie przejażdżki wzdłuż pasa startowego. Jest to ubity kawałek plaży, na

którym regularnie ląduje samolot Kompanii.

Któregoś dnia słyszymy, jak się zbliża, gdy nagle któryś ze żrebaków Bretta, przestraszony hałasem, wybiega na pas. Samolot, który właśnie kończy kołowanie, robi ostry skręt i wywraca się: załoga nie odnosi obrażeń, ale maszyna nie nadaje się do użytku. Kanadyjczycy muszą ją rozebrać i wysyłać kawałek po kawałku samolotem wynajętym na tę okoliczność; nie poprawi to ich stosunków z Brettem, które już i tak były napięte.

Jesteśmy oboje dobrymi pływakami i często się kąpiemy, choć morze jest wzburzone. Fala jest bardzo silna i trzeba zanurkować pod pierwszymi grzywaczami i przedostać się nieco dalej, żeby móc spokojnie popływać. Nigdy jednak nie wychodzimy za daleko, bo dużo tu rekinów, zwłaszcza pod wieczór.

Któregoś wieczoru, gdy wraz z Diane wracamy z długiej przechadzki wzdłuż plaży, zauważam jakieś zbiegowisko. Około dwudziestu ludzi oświetla brzegi rzeki i morze przy ujściu. Kiedy przychodzę do Saltarany, wyjaśnia mi:

– Łódź się wywróciła. Było siedmiu rybaków. Mieli kłopoty z silnikiem, więc chcieli tu dobić do brzegu, wpływając do ujścia rzeki. Ale w ciemności nie zauważyli przyboju. Fala uderzyła ich z boku i wywróciła łódź. Jednego odnaleziono. Leży u Billa, ma zwichnięte ramię. Ale nie wiem, czy pozostali się uratowali.

Rano żaden z pozostałej szóstki nie pojawił się. Pogrzebem zajęły się rekiny.

*

Dwa dni później przychodzi do mnie Juanito, brat Saltarany.

– Jeśli interesuje cię złoto, może przyjdiesz pracować do nas? Mam bardzo dobre miejsce.

Pokazuje mi trzydzieści dwa gramy złota, wynik wczorajszej pracy we trzech. Idę z nim z ciekawości. Właściwie nie lubię pracy grupowej, ale jeśli miejsce jest tego warte, może uda mi się go przekonać, żeby pracował dla mnie. Jego miejsce znajduje się u podnóża bardzo stromego zbocza, które wznosi się nad nami jak ściana. Prąd wody i wyrobiska wdarły się w głęb, a ziemia i tak jest rozmiękczona deszczami, bardzo gwałtownymi o tej porze roku.

– Ej, Juanito – mówię, wskazując na zbocze – nie boisz się, że ci to spadnie na głowę?

– No, zdarza się – odpowiada, uśmiechając się swoimi pieńkami zębów. – Ale najpierw spada piasek i małe kamyczki. Trzeba tylko szybko uciekać. Jest trochę niebezpiecznie, ale opłaca się.

Rzeczywiście, jeśli nie liczyć kilku fałszywych alarmów, które zmuszają nas do panicznych uciezek, ranek przebiega bez problemów. Około południa, kiedy deszcz przestaje padać, następuje niczym nie zapowiedziany zawał. Ledwo zdążamy znaleźć schronienie. Osuwa się całe zbocze, nasza praca zostaje pogrzebana pod setkami metrów sześciennych ziemi. Wielka skała, która leciała wprost na nas, zatrzymuje się na pniu drzewa...

Patrzę na zaprzepaszczonego owoc naszego wysiłku. Juanito jeszcze się śmieje z własnego strachu, mówi coś o wynajęciu traktora Kompanii, żeby odgarnąć ziemię, jak to się zwykle robi. Uzmysławiam sobie, że za każdym razem cały jego zarobek przepada, pochłonięty przez koszty wynajmu; biorąc pod uwagę usytuowanie jego miejsca poszukiwań, ziemia będzie się znów osuwać. Poczciwy kretyn! Mam ochotę dać mu po ryju: narażać moje życie w tak głupi sposób, dla zarobku, który

z góry jest stracony! Zostawiam idiotę marzącego o miliardach i wracam do domu.

*

Zaczynam mieć tego dość. Co ja tu robię? Przyjechałem gotów na wszystko, żeby piąć się pod górę, ale to co tu zastałem to nędza. Nie jestem tu po to, żeby ryc ziemię jak kret i wydobyć parę gramów gówna! Nawet gdybym wszystkich w okolicy wziął za mordę i zmusił do pracy dla mnie, nie jest pewne, czy by mi starczyło na papierosy.

Ponieważ ciągle węszę dookoła, stałem się postacią znaną i wielu oreros robi mi różne propozycje. Nic ciekawego. Co do Kompanii, moja obecność jest wyraźnie niewygodna. Mr Bili przyjął mnie grzecznie, ale Fucking boczy się na mnie. Pomimo to czuję, że ten półwysep może być punktem wyjścia do ciekawej przygody.

Zauważyłem, że spośród poszukiwaczy złota, którzy przychodzą do pulperii, niektórzy przynoszą wyłącznie bryłki. Saltarana, z którym często spędzam wieczory, wyjaśnia mi to.

– Ci oreros nie mają nic wspólnego z tymi tutaj. Jeżdżą do dżungli, gdzie mają swoje obozowiska. Pracują w parku narodowym Corcovado, tam jest rezerwat: to nielegalne i całe kilometry nie ma praktycznie nikogo. Tutaj wszystko zostało zryte i przeszukane przez czterdzieści lat, nie zostało już nic; tam są ziemie dziewicze, bryłki złota leżą na powierzchni. Życie jest tam ciężkie, ale się bardziej opłaca.

Oto prawdziwi poszukiwacze złota! Wychodzą w góry samotnie, albo po dwóch czy trzech, obładowani jak muły, zabierając tylko najpotrzebniejsze rzeczy: ryż, mąkę, cukier i kawę. Idą do dżungli na kilka tygodni, zwykle do stałego miejsca, które maskują przed odejściem. Żyją tam bez żadnych wygod, śpią na pniach ściętych drzew, osłonięci

dachem z liści albo z plastyku. Czasami nie wracają, jeśli padną ofiarą jaguara, jadowitego węża, osuwiska albo nieuczciwego współnika: w dżungli wszystko załatwia się bez świadków. Nikt nie wie, ilu jest takich ludzi, i nikt się nimi nie interesuje. Czuję, że właśnie tam powinienem wyruszyć.

*

Już od szeregu dni oczekuję na buty. Ciągłe chodzę boso, i w ten sposób daleko nie zajdę. Ten kretyn pilot przywiózł mi za małe, i do prawdy nie widzę, co mógłbym z nimi zrobić, chyba żeby kazać mu je zjeść. Ten gruby Amerykanin jest głupszy niż dziesięciu Ticos razem wziętych. Któregoś dnia, chcąc zrobić wrażenie na Diane, proponuje, że złowi dla niej langusty. Włazi do wody w płetwach, masce z rurką do oddychania. Połów odbywa się szybko. Pierwsza fala wyrzuca go jak meduzę, wielką galaretowatą masę rozwaloną na piasku. Nadciąga druga fala, porywa go i ciągnie w kierunku pełnego morza. Trzeba za nim biec, wyciągać go na wpół utopionego, z przekrzywioną maską. Ironiczny uśmiech Diane ostudza na razie jego zapal do podwodnych łowów.

Postanawiam wyruszyć. Nie mogę ani zostawić Diane tutaj, ani zabrać jej ze sobą. Muszę być sam i mieć wolne ręce, gotów na każdą ewentualność. Spędzam z Diane dużo czasu, wiedząc, że wkrótce trzeba będzie się na jakiś czas rozstać. Chodzimy razem pracować na catiadorze. Diane jest zręczniejsza ode mnie. Kiedy szlamujemy w miejscu, które Juanito wskazał nam jako dziewicze i z którego zrezygnował, moja towarzyszka znajduje swoją pierwszą bryłkę: osiem gramów, siedem gramów czystego złota. Na przestrzeni kwadratu o boku pięćdziesięciu centymetrów znajdujemy dwadzieścia pięć gramów złota w ciągu

godziny. Wskazując nam to miejsce, Juanito na pewno nie podejrzewał, że będzie ono tak szczęśliwe...

Wieczorem na plaży Diane pyta mnie o moje plany.

– Myślisz, że uda nam się coś zrobić? Saltarana jest bardzo miły, ale nie możemy spędzić u niego reszty życia.

*

– Sądzę, że jedyna opłacalna rzecz na początek, jeśli chodzi o złoto, to skupywać je w górach i sprzedawać w Panamie. Ale do tego trzeba forsy. Złoto z Karate mi jej nie zapewni. Muszę iść w góry, do parku narodowego Corcovado, mówią, że tam jest najwięcej złota. Niemożliwe, żebym nie znalazł przynajmniej stu gramów.

– Dobra, nareszcie się trochę poruszamy. Kiedy idziemy?

– Nie, moja śliczna, nie mogę cię zabrać ze sobą na górę. To nie są warunki życia dla ciebie, dosyć już przeszłaś. Pójdę sam, a ty poczekasz na mnie w San José.

Mina jej rzędzie, w oczach maluje się rozczarowanie. Biorę jej twarz w dłonie.

– To tylko dwa albo trzy tygodnie. Będziesz mieszkać u tego pedała Jean-Paula. Jest sympatyczny i będziesz miała z nim spokój. Punktem kontaktowym będzie hotel America. Ale mamy jeszcze czas. Jeszcze pobędziemy trochę razem.

*

Często spędzam wieczory z Saltaraną. Jest szczęśliwy goszcząc nas u siebie. Dużo rozmawiamy, zadaje mi wiele pytań na temat krajów, które poznałem, na temat zwyczajów ich mieszkańców. W wielkim

atlasie szkolnym, który zna na pamięć, pokazuję mu trasy moich podróży. Czasem trudno jest coś wytłumaczyć takiemu Tico, który nigdy nie wyjeżdżał ze swojego kraju.

Diane zaraziła Negrę, żonę Saltarany, swoim zamięłowaniem do morskich kąpielni, i zabawne jest obserwować je razem na plaży: Diane, wysoką blondynkę w tahitańskim sarongu, i Negrę, przypominającą suszoną, pomarszczoną śliwkę, w kostiumie kąpielowym, którego majtki podchodzą jej do pępka.

Ale tego wieczoru wyczuwam jakieś skrępowanie. Saltaraną wierci się niespokojnie i nie ośmiela się odezwać. Pomagam mu.

– No, gadaj, co cię tak trapi.

– Chodzi o Kanadyjczyków.

– Co z Kanadyjczykami?

– No, nie chcą, żebyś tu został. To znaczy zwłaszcza Fucking nalega, żebyś wyjechał. Zdaje się, że nie pasuje im, że jeszcze jeden cudzoziemiec interesuje się tu złotem. Dotąd byli sami, boją się konkurencji. Powiedzieli, żeby ci przekazać, żebyś wyjechał.

Nie dziwi mnie to ze strony Fuckinga. Odkąd o mało co nie dostał po ryju, nie mówi mi dzień dobry, a nawet unika spotkań ze mną. Mr Bili zawsze zachowywał się poprawnie, ale nic ponadto... Z drugiej strony rozumiem ich. Jako jedyni cudzoziemcy mają mniej kłopotów z utrzymaniem autorytetu. Nie mają łatwych stosunków z Ticos. W ciągu kilku tygodni stałem się o wiele bardziej znany od nich i nieustannie pojawiają się oreros proponując mi różne spółki. Kanadyjczycy muszą czuć się wyeliminowani z gry.

– Zrozum mnie – ciągnie Saltaraną – ja chciałbym, żebyś został, ale to moi szefowie i...

Jest mu głupio. Lubi mnie, ale musi przede wszystkim myśleć o swojej rodzinie, o pracy. Te sukinsyny o tym wiedzą i wykorzystują to, żeby wywrzeć nacisk na niego, zamiast porozmawiać bezpośrednio ze mną.

– Nie martw się, Saltaraną. Nie chcę, żebyś miał przeze mnie kłopoty. Zresztą, i tak mam zamiar wyjechać.

Ale on zniża głos i kiwa, żebym się przysunął.

– Mam pomysł. Wiem, że masz rewolwer – mówi z uśmiechem, a oczy mu błyszczą. – Co tydzień wożą złoto do San José. Jest tam czasami i dziesięć kilo. Trzeba zabić tylko trzech ludzi: pilota i dwóch konwojentów. Podzielimy się w Guacanaste. Co ty na to?

Prosty plan. Widać, że jest z niego dumny, i bardzo dziwi się, kiedy z uśmiechem odmawiam.

Ta wiadomość ułatwia mi decyzję. Pójdę w góry, a Diane poleci do San José samolotem Kompanii. Zostawię jej złoto, jakie mam, trzydzieści pięć gramów, czyli około czterystu pięćdziesięciu dolarów, bo liczę, że znajdę więcej na górze.

Ciągle chodzę boso. Ale nie ma sprawy, jestem zadowolony, że będzie trochę ruchu. Kiedy będę sam, bez odpowiedzialności za kogoś, będzie mi łatwiej coś osiągnąć, jak zawsze. Przede wszystkim chcę odesłać Diane w bezpieczne miejsce. To jedyna dziewczyna, jaką dotąd kochałem, i mamy za sobą pięć lat pięknego życia. Urodzona na wyspach, córka jednego z ostatnich poszukiwaczy przygód na Karaibach, Diane ma wrodzoną klasę i siłę charakteru, które tak bardzo cenię u kobiet. Była bogata, lecz rzuciła wszystko, żeby mi towarzyszyć. Ale nasze ostatnie przygody odbiły się na jej zdrowiu. Stworzona do życia w luksusie nie czuje się na swoim miejscu w tej ponurej dżungli. Historia naszej miłości jest zbyt piękna, by dać jej zwiędnąć w takich wa-

runkach. Brak prywatności, tłok, jaki panuje w tej chacie, to zaprzeczenie życia, jakie chciałbym jej zapewnić. Wolę, żeby pojechała odpocząć i wykurować się w stolicy, podczas gdy ja pójdę harować w góry: potem przyjadę po nią, myślę, że za parę tygodni, i mam nadzieję, że nie z pustymi rękami.

Odprowadzam ją do samolotu.

– Szczęśliwej podróży, i baw się dobrze w San José.

– Ciężko mi będzie bez ciebie...

– Nie martw się, kochanie, będziemy razem za kilka tygodni.

*

Wyruszam bardzo wcześnie rano, w szortach i koszuli, z dwudziestoma pięcioma nabojami w jednej kieszeni, a hongos i paczuszką mangorosa w drugiej. Nie zapomniałem też o mojej cennej Biblii, wetkniętej za kaburę. To całe moje wyposażenie.

Mój pierwszy etap prowadzi do chaty Juana. Wskazówki, jakich mi udzielił, są raczej ogólne. Mam iść wzdłuż plaży aż do rzeki Madrigal, potem iść w górę jej biegu i zaliczyć cztery dopływy. Następnie powinienem teoretycznie napotkać małą rzeczkę, przy której stoi trafione piorunem drzewo. Gdzieś tam znajduje się chata Juana.

Droga wzdłuż rzeki Madrigal jest ciężka. Nie ma wytyczonej ścieżki, bo jest to już park narodowy Corcovado i wstęp poszukiwaczom złota jest tu wzbroniony. Zmusza mnie to do stąpania po kamieniach i skałach, żeby nie zostawić zbyt widocznych śladów. Rzeka wezbrała i wkrótce jestem przemoczony od stóp do głów. Niepokoję się o swój rewolwer, bo nie mam smaru, żeby chronić go przed rdzą, a w tych stronach moja trzydziestka ósemka jest raczej nieodzowna. Czwarty do-

plyw wydaje się strasznie odległy i zaczynam mieć wątpliwości, bo mamy środek pory deszczowej i ciągle ulewne deszcze tworzą liczne małe strumienie. Skręcam za którymś z nich i przedzieram się przez kilka godzin, nie widząc żadnego drzewa trafiającego przez piorun. Brzeży stają się coraz bardziej strome, a strumień coraz bardziej się zwęża, aż w końcu znika zupełnie. Musiałem się pomylić, a idę już od sześciu godzin.

Wiem teraz, że zmyliłem drogę, i nie mam zielonego pojęcia, którędy dalej. Bolą mnie stopy, całe zakrwawione, pocierane o ostre kamienie. Wielkie skały zmuszają do ciągłych obejść. Bez maczety przedzieranie się jest bardzo trudne. Zaczyna zapadać zmrok, kiedy wreszcie znajduję poszukiwane drzewo. Najwyższy czas. Idę wzdłuż rzeki aż do jej źródła, niczego nie widzę, dopiero wracając słyszę regularne uderzenia siekiery. Nie ma wątpliwości, jestem na miejscu!

Siadam na skale, w dobrze widocznym miejscu na środku rzeki, i wykrzykuję zawołanie poszukiwaczy złota z Osa, podobne do wycia kojota. Czekam parę chwil i krzyczę jeszcze raz. Stuk siekiery ustał i czuję, że ktoś mnie obserwuje. Muszę dać im czas na rozpoznanie mnie. Słyszę za sobą cichy trzask, to Juan.

– Cześć, Francuz, jak leci?

– Cześć, Juan! Co u ciebie? Przyszedłem cię odwiedzić i wierz mi, że miałem cholerne kłopoty, żeby się tu dostać i cię odnaleźć.

Na twarzy Juana rozkwita uśmiech. Jest małym, muskularnym facetem około trzydziestki i jego bezzębny uśmiech wzbudza sympatię.

– Bo jesteśmy dobrze schowani, musimy uważać, strażnicy parku to prawdziwe skurwysyny. Od czasu do czasu przechodzą tędy. Chodź!

Idę za nim, ale o parę metrów z boku, żeby nie wydeptać ścieżki,

która mogłaby zaprowadzić strażników do jego chaty.

– Fakt, że ci kretyni nie są zbyt sprytni – mówi Juan – ani zbyt skuteczni, ale zdarza się, że nakryją jakichś oreros. Wtedy wszystko konfiskują, złoto i narzędzia. Jak się ktoś stawia, to go wsadzają. A większość poszukiwaczy to recydywa i nie chcą wracać do pudła.

*

Chata to wielkie słowo, plastikowa płachta rozpięta na czterech słupkach, kąt na palenisko, wspólne łóżko trzydzieści centymetrów nad ziemią, zbudowane z powiązanych pni pokrytych liśćmi. Z Juanem mieszka dwóch facetów. Jeden młody, mały chytry i podstępny pedzio, do którego z miejsca czuję antypatię, i małomówny staruch, który zajmuje się gotowaniem.

Nie wydają się zachwyceni moim przybyciem.

– Możesz tu spać – mówi Juan wskazując mi łóżko – pomieścimy się.

– Dziękuję ci, ale moja religia zabrania mi spać z innymi mężczyznami, zbuduję sobie łóżko. Możesz mi pożyczyć maczetę?

– Pomogę ci.

Nie mogłem mu powiedzieć, że ten ścisk i brud budzi we mnie wstręt. Nie zrozumiałby tego. Dla nich higiena to rzecz nieznaną. Zresztą spędzają całe dnie w wodzie i czują się czysti.

Szybko budujemy łóżko koło ogniska. Cztery rozwidlone gałęzie wbite w ziemię i położone na nich kije podtrzymują pnie balsy przecięte wzdłuż na pół. W przeciwieństwie do Ticos okorowuję je, żeby pozbyć się owadów. Następnie pokrywam całość palmowymi liśćmi.

Kiedy kończymy, noc już zapadła. Czuję się zmęczony i brudny,

więc schodzę do rzeki, żeby się umyć. Znajduję naturalne zagłębienie. Woda choć zimna jest przyjemna i działa na mnie kojąco. Korzystam z tego i piorę szorty, majtki i koszulę. Wracam do obozu nago. Mały pedzio siedzi przed chatą i obserwuje mnie. Zawieszam ubranie nad ogniem i siadam na łóżku. Zajęty smarowaniem broni nie od razu zauważam tego małego dumia przed sobą. Patrzy na mnie bezwstydnie.

– Ty skurwysynu, przestaniesz się gapić, zjeżdżaj stąd! – mówię, zakrywając przyrodzenie liśćmi.

– Och, Francuz... jaki delikatny! – odpowiada, kręcąc tyłkiem.

Nie omyliłem się co do tego małego degenerata, jeszcze ze sobą nie skończyliśmy. Nie mam nic przeciwko pedałom, pod warunkiem, że zostawiają mnie w spokoju.

Po skromnym posiłku – ryż, frijoles i kawa – rozmawiamy. Kartki Biblii są suche i robię skręta z mango-rosa, którego palimy wspólnie. Po kilku minutach robi się wesoło i języki rozwiązują się. Staruch i młody, którzy, jak się teraz dowiaduję, żyją razem, nigdy nie opuszczają dżungli. Juan przynosi im z Karate wszystko, czego potrzebują. Jakieś ciemne sprawy przygnały ich tutaj i zmuszają do ukrywania się. Juan zasnął i głośno chrapie. Mały pedzio zasypuje mnie pytaniami:

– Francja to gdzie?

– Daleko stąd.

– Konno ile dni?

Stary, trochę mniej ciemny od przyjaciela, tłumaczy mu, że trzeba podróżować samolotem albo statkiem. Zaczynają dyskutować. Korzystam z tego i zamykam oczy. W środku nocy, kiedy drzemię, jakieś dotknięcie budzi mnie gwałtownie. Mały pedzio jest obok, z ręką na moim brzuchu. Zalewa mnie odraza i z całej siły walę go pięścią

w morde. Przewraca się i wrzeszczy. Zaraz przybiega stary, podnosi go, całuje, głaszcze i ogląda przy blasku ognia. Jego mała żonka ma zakrwawione, rozchylone wargi i patrzy na mnie z nienawiścią. Będę musiał się pilnować.

Kiedy budzę się o świcie, cały zziębnięty, deszcz ciągle pada. Na Osa leje bez przerwy. Tego dnia ulewa jest tak silna, że uniemożliwia pracę. Założyłem mokre jeszcze rzeczy, dzień mija monotony i smutny.

Drugiego dnia, korzystając z przejaśnienia, o brzasku wychodzimy nad rio. Ciągłe to samo ściervo: przenosić kamienie, rozwalać skały, łopatą ładować ziemię do canoa. Wczesnym popołudniem przerywamy, oczyściwszy kilka metrów sześciennych żwiru. Juan podnosi canoa.

– Popatrz, Francuz, popatrz jak się świeci!

Patrzę: kilka rozproszonych ziarenek, parę gramów, nie więcej... Mam ochotę wszystko rozwalić...

Juan wyczuwa moje rozczarowanie:

– Dzisiaj jest mało. Jeszcze nie doszliśmy do ciekawej żyły, ale zobaczysz jutro...

I następnego dnia widzę rzeczywiście. Nieustanny deszcz spowodował osunięcie się ziemi, która całkowicie zasypała nasze wykopki: powrót do punktu wyjścia...

Jeszcze jeden stracony ranek. Marnuję czas i atmosfera się pogarsza. Znowu starliśmy się z gówniarzem, który chciał mnie posłać po wodę, za co dostał po pysku.

*

Po południu, mając dość wysłuchiwania ich głupot, poszedłem do

lasu. Wkrótce spotykam stado małp, które siedzą wysoko na drzewach. To congos, wyjce, których głos słyszeć na kilka kilometrów. Mają sympatyczne mordy, i nieruchomieją, żeby mi się przyjrzeć. Sympatyczne czy nie, mam ochotę na mięso. Postrzelałbym trochę, ale boję się, że hałas przyciągnie strażników parku. Szkoda.

Trochę dalej widzę iguanę na jakiejś gałęzi. Niestety! Kamień chybiam celu, i idę dalej. Tego samego popołudnia oglądam całkiem malutkie żabki o niesamowitych kolorach: czerwono-zielono-żółto-platynowe. Czegoś tak dziwnego nigdy jeszcze nie widziałem ani w Amazonii, ani w innych lasach tropikalnych. Później dowiem się, że zwykłe dotknięcie jednej z nich może zwalić człowieka z nóg. W drodze powrotnej mam szczęście i natykam się na węża boa. Nareszcie mięso! Tym razem nie daję zwierzęciu żadnych szans. Cios maczetą i wracam szczęśliwy do obozu: mój organizm jest mięsożerny i nie wystarczają mu mączne potrawy.

W przeciwieństwie do innych węży, których pełno na półwyspie, boa nie jest niebezpieczny. Ukąszenie większości tych węży jest śmiertelne, zwłaszcza tu, w parku narodowym, i jest to stały przedmiot obaw wszystkich poszukiwaczy złota na Osa. Jest tych gadów tysiące, od całkiem małego węża koralowego aż do cascabella muda, grzechotnika osiągającego trzy metry długości, nie zapominając o tercio pello, spotykanym najczęściej, wężu bocaraca i innych świństwach, których nazw nawet nie znam. Gady te kąsają najczęściej w ręce i palce u nóg. Facet ugryziony w palec ucina go sobie maczetą. Czasami to wystarczy, ale wielu kituje. Nabrałem zwyczaju, za przykładem oreros, dokładnie przeszukiwać łóżko przed położeniem się spać. Bardzo też uważam, kiedy chodzę, bo ciągle jestem boso. W ciągu dnia spotyka się wiele węży, a w nocy, żeby uniknąć ryzyka nadeptnięcia na jakiegoś po ciemku, moi towarzysze siusiają do łóżka pomimo smrodu, jaki panu-

je dookoła chaty. Wczoraj rano, kiedy przenosiłem kamienie, żeby zbudować sztuczne koryto wody, pod jednym z nich zauważyłem tercio pello. Ledwo zdążyłem odskoczyć w tył. Tercio pello to jadowity wąż z ogromnymi kłami, zdolnymi przebić każdą parę butów.

Kiedy przychodzę do chaty, szybko oprawiam i czyszczę boa, po czym tnę go na porcje. Uczta. Tego wieczoru muszę wysłuchać codziennej porcji głodnych kawałków, historyjek w stylu: „Pewnego dnia byłem na polowaniu i natknąłem się na miejsce pełne bryłek złota. – I co zrobiłeś? – Nic, przecież tropiłem dziką świnię...” Szukam ucieczki w dużych ilościach mango-rosa, to świetny środek nasenny.

*

Czwarty dzień to powtórzenie poprzednich, i mam już zupełnie dość. Po południu Juan poszedł do Karate i ma wrócić jutro. Dałem mu swoją część złota, żeby mi kupił suszonego mięsa. Noc to prawdziwe piekło. Budzi mnie gwałtowne uklucie w palec. Myśl o węzach stała się już obsesją i chcę sobie uciąć palec. Zatrzymuje mnie stary: To skorpion, ukąszenie nie jest śmiertelne.

Może nie jest śmiertelne, ale boli jak diabli, tak że przez całą noc nie mogę zmrużyć oka. Siedzę przy ognisku. Wstaje dzień. Oba pedały najwyraźniej nie mają zamiaru brać się do roboty, więc próbuję trochę pospać.

Parę godzi później, po wypiciu kawy, postanawiam przesiać parę ca-tiadoras nad rzeką. Robię kilka bezowocnych prób, znajduję parę ziarenek, których nawet nie chce mi się wybierać, i daję spokój. Kiedy wracam, zastaję odrażającą scenę. Z kolanami w błocie, ze spodniami spuszczoneymi do kostek, stary rżnie szczeniaka, na którego twarzy ma-luje się zadowolenie. Rany boskie! Co ja tu robię z tymi zboczeńcami?

Robi mi się niedobrze i wchodzę do chaty. Podjąłem decyzję: czekam na mięso, które ma przynieść Juan, i odchodzę z tego gówna. Wiem, że o dwie godziny drogi stąd, w górę rzeki, znajduje się chata Miguela, który mieszka z dwiema kurwami sprowadzonymi z Jimenez. Widziałem je podczas pobytu w Karate, muły ledwie były w stanie unieść ich wielkie cielska. Miguel to równy gość, dobry orero. Podgrzewam frijoles, kiedy pojawia się Juan. Nie ma żadnych zapasów, trzyma tylko napoczętą butelkę guarro.

– Gdzie moje mięso?

– Słuchaj, Francuz, w Karate była zabawa, trochę wypilem, poza tym zdaje się, że nie było już mięsa.

Kręci i sam się gubi w swoich pijackich kłamstwach.

– Ty świnió, upiłeś się za moje złoto.

W przypływie pijackiej czułości kładzie mi rękę na ramieniu i pakuje mi swoją śmierdzącą głowę pod sam nos.

– Nie gniewaj się, Francuz! Popatrz, przyniosłem guarro, to lepsze niż mięso.

Ogarnia mnie wściekłość. Chwytam menażkę z gotującymi się frijoles i ciskam mu ją prosto w ryj. Juan pada na kolana i wyje z bólu. Robi mi się żal tego dumia, żałuję swojego odruchu. Jego wrzaski sprowadzają tamtych dwóch: są zaskoczeni, ale nic nie mówią. To, że nie ufam szczeniakowi, ratuje mi życie. Rzuca się na mnie z maczetą. Ledwo zdążam wyciągnąć rewolwer.

– Rzuć to, świnió! Rzuć maczetę, bo rozwalę ci łeb!

Niechętnie zatrzymuje się i puszcza broń. Boi się.

Kładź się, rozłóż ręce i nogi. Jest posłuszny. Stary stoi bez ruchu, też się boi.

– Ty, stary pedale, zajmij się Juanem.

Biorę maczetę i systematycznie rozwalam cały obóz, tnę plandekę z plastyku, rąbię łóżka, rozgrzebuję palenisko. Przechodząc daję kopniaka w głowę główniarza, który ciągle leży...

– Nie ruszaj się, skurwysynu!

Juan jęczy i trzyma się za głowę. Biedak nie jest zły, tyle że to szmata.

Cały czas trzymam ich na muszce i powoli oddalam się. Czuję się bardziej spokojny, ulżyło mi.

*

Droga do Miguela jest łatwa. Nie ma obawy, bym się zgubił, bo trzeba tylko iść wzdłuż tego samego rio przez dwie godziny. Bolą mnie stopy, bo nie zagoiły się jeszcze całkowicie. Muszę się często zatrzymywać i wyjmować małe kamyczki, które dostają się w pęknięcia skóry. Czuję się wolny i dżungla wydaje się sympatyczniejsza. Przez pewien czas towarzyszy mi horda congos, ich wrzask jest ogłuszający. Przestało padać i mango-rosa sprawia, że droga wydaje się niemal przyjemna. Straciłem już poczucie czasu, kiedy spostrzegam chatę Miguela. Ku mojemu zaskoczeniu wybudował ją właśnie tu, nad brzegiem rio, w ogóle bez maskowania. Być może, ze względu na odległość, większą niż do Juana, nie ma tu niebezpieczeństwa najścia strażników.

W miarę, jak się zbliżam, słyszę wybuchy śmiechu, po czym rozbrzmiewa serenada śpiewana falsetem. Jeszcze kilka kroków i odkrywam niespodziewany widok. Siedząc na pniu drzewa przed chałupą obie grube, które widziałem w Karate, okrzykami dopingują Miguela, klęczącego przed nimi. Jedna z nich dostrzega mnie i przerywa mu ru-

chem ręki. Miguel wraca na ziemię i obserwuje mnie.

– Ej, ktoś ty?

– Jestem Juan Carlos, przychodzę z Karate.

– A, to ty jesteś Francuz? Mieszkałeś u Saltarany, prawda? Słyszałem o tobie. Chodź, wejdź, witamy. To ten Francuz, co szuka złota – dodaje, zwracając się do grubasek.

*

Miguel jest mały, krępy i robi wrażenie bardzo sympatycznego. W jego obozie panuje dobry nastrój. Lepianka jest prostej konstrukcji, podobna do innych. Przewidując pracowite noce, zbudował sobie ogromne małżeńskie łóże. Pod sufitem, zawieszone na czterech sznurkach i dobrze widoczne z daleka, znajduje się pudło kartonowe, z którego wystają liście mango-rosa. Cały wieczór spędzamy paląc i żartując. Choć sam palę dużo, jestem pod wrażeniem ilości trawki, jaką zdołamy wypalić tej nocy. To już nie skręty, ale ogromne rulony z papieru gazetowego, które podajemy sobie dookoła. Szybko nawiązujemy z Miguelem nić sympatii, i proponuje mi nawet jedną ze swoich narzeczonych. Grzecznie odmawiam, wymawiając się zmęczeniem, i układamy się do snu. W tym wielkim łóżu znajduje się miejsce i dla mnie, i oceniając jego rozmiary zastanawiam się, czy Miguel nie zamierzał sprowadzić tu więcej dziewczynek. Teraz śpi pomiędzy obiema przyjaciółkami. Jest bardzo drobny i całkowicie zniknął w tych zwalach sadła, które zdają się go okrywać, żeby nie zmarzł. Dostrzegam jego twarz na wpół zatopioną w galaretowatej piersi, jest rozradowany, szczęśliwy. Zasypiam utrzymując odpowiednią odległość. Nie mam ochoty zostać przygnieciony podczas nocnych miłosnych czułości.

Rano Miguel pokazuje mi swoją pracę. Jest to imponujące. Są tu ca-

łe tony kamieni poukładanych jedno na drugim, tworzących mur o długości kilkuset metrów. Widać tu bardzo systematyczną robotę i Miguel jest z niej dumny. Jego metoda jest prosta: wybiera z potoku wszystkie kamienie, po czym, kiedy woda staje się przejrzysta, nurkuje używając starej maski i zbiera bryłki złota.

Zauważyłem, że moje pytania krępują go. To już nie ten wesoły i niefrasobliwy Miguel, którego widziałem wczoraj w nocy. Szybko domyślałem się dlaczego.

– Ile gramów wybierasz dziennie?

– To zależy od przejrzystości wody i... Słuchaj, Francuz, będę z tobą bardzo szczerzy. Jesteś tu miłym gościem. Lubisz się bawić i ja też. Ale lubię samotność i mam zwyczaj pracować sam. To wszystko jest moje, pracuję tu już długo i...

Przerywam mu:

– Nie ma sprawy, Miguel, rozumiem cię. Ja też lubię być sam, i nie mam zamiaru tu zostawać. Chcę tylko podleczyć stopy.

Rozluźnia się.

– Dziękuję, że mnie rozumiesz. Znów się uśmiecha.

– Jeśli chodzi o stopy, to możesz tu zostać ile chcesz. Jesteś tu mile widziany. Zostań z nami, pal, jedz, kochaj się, zrobisz mi przyjemność.

Po czym woła młodszą dziewczynę:

– Rosa! Zajmij się nogami Francuza, wylecz go porządnie. Wkrótce Rosa wraca z naręczem liści, które gotuje i przekształca w jednolitą papkę. Nakłada mi tę maść na skórę, a całość owija czystymi szmatami, które zawiązuje mi wokół stóp. Czuję się, jakbym chodził w onucach, ale od razu odczuwam ulgę. Rosa jest zadowolona za swego dzie-

ła. W podzięcie klepię ją czule w ogromne pośladki.

*

Szybko zaprzyjaźniam się z obiema dziewczynami. Grubszej nadaję imię Poufiasse – gruby kurwiszon – i wyjaśniam jej, że tak we Francji nazywa się pewien piękny kwiat. Dziewczyna ta to tępą krowa, wyrachowana, zawodowa kurwa. Lepsze są moje stosunki z Rosą. Jest prawie tak samo gruba, ale ma ładniutką buzię. Szybko opowiada mi swoje życie. Nie zawsze była dziwką, nieporozumienia z ojczymem zmusiły ją do opuszczenia domu, rodziny i do porzucenia studiów w Panamie. Od tego czasu trwała jej degrengolada i w końcu znalazła się w burdelu w Jimenez, przyjmując sześćdziesięciu klientów dziennie. Potem zjawił się Miguel i na jego propozycję postanowiła przyjść do dżungli:

– Chcę zostać tu rok i odłożyć wystarczająco dużo forsy, żeby wrócić do kraju.

Prawie mi jej żal, szkoda że jest taka gruba...

Miguel, który jest samotnikiem, doznał nagłego przypływu żądz po znalezieniu większej ilości bryłek. Ponieważ nie czuje się swobodnie w mieście, postanowił przenieść przyjemności tam, gdzie mieszka. Pewnego ranka wyruszył więc i po paru dniach powrócił z tymi dwoma potworami. Biorąc pod uwagę ich masę, wyobrażam sobie, jak się musiała czuć biedna szkapa. Od tej pory prowadzą słodkie życie, prześiadując całymi dniami na skałach i patrząc, jak Miguel pracuje. Z cykami na wierzchu, z ogromnymi majtkami podciągniętymi po sam pępek, wtórując sobie do śmiechu głośnym popierdywaniem, spędzając czas na żarciu, paleniu i sraniu. Wodzą go za nos, wyjadają mu wszystkie zapasy, zabierają mu całe złoto. Każą mu nawet śpiewać. Przekonały go, że ma piękny głos. Więc śpiewa co wieczór, i bardzo bawi mnie

widok tego małego faccika klękającego na jedno kolano, z zamkniętymi oczami, i śpiewającego romanse tym wielkim masom tłuszczu, które w nagrodę klepią go czule po głowie.

Zbudowałem sobie własne łóżko, bo choć Miguel ciężko pracuje cały dzień, nie przeszkadza mu to kopulować jak królik przez większą część nocy.

Któregoś popołudnia Poufiasse, zainteresowana moim portfelem gringo, proponuje mi swoje usługi.

– Dziękuję, grubasku, ale jesteś naprawdę zbyt brzydka.

– A Francuzki są ładne?

Wy tłumaczenie tej krowie różnicy między szczupłym ciałem Europejki i jej galaretowatą owłosioną masą przekracza moje siły. Przyjmuje natomiast ustne pieszczoty Rosy, która obciąża mi druta z zadziwiającą delikatnością.

*

Moje stopy już się zagoiły. Maści Rosy, zmieniane kilkakrotnie w ciągu dnia, okazały się skuteczne. Smaruję właśnie rewolwer, kiedy zbliża się do mnie:

– Odjeżdżasz?

– Tak, jutro rano.

Bez słowa odwraca się do pudła, zawieszonego pod sufitem, i wyjmuje z niego dwie duże garście mango-rosa, zawija je w plastik i podaje mi.

– Masz, to dla ciebie.

– Nie sądzisz, że to za dużo? Zostaje was tu troje.

Uśmiecha się i kiwa, żebym z nią poszedł. Przechodzimy pięćset metrów, do wykarczowanego miejsca, gdzie czeka na mnie niespodzianka. To plantacja trawki, dziesięć metrów na dwadzieścia, niektóre krzewy osiągają cztery metry wysokości. W drodze powrotnej pytam:

– Miguel nie boi się kłopotów ze strażnikami?

– Miguel ma wśród nich wielu przyjaciół i dość złota, żeby mu nie przeszkadzali.

Wieczorem, kiedy kończą się serenady, zadaję mu parę pytań na temat miejscowych oreros, żeby zorientować się, dokąd pójść:

– Na tej quebrada nie ma już nikogo, jestem ostatni. Z drugiej strony, w dolinie, jest ich sporo, ale nie są dobrzy. Właściwie tylko El Gato: on jest dobry i jego miejsce jest dosyć bogate.

– El Gato, ten stary, który pracuje z Chato? Są w tych stronach?

– Tak, znasz ich?

– Widywałem ich parę razy w Karate. To dobra wiadomość. Odwiedzę ich.

O świcie żegnam się z Rosą, która przywiązała się do mnie i prosi, żebym ją zabrał ze sobą:

– Zgoda, ale pod warunkiem, że zanieziesz mnie aż do El Gato.

Wszyscy się śmieją, oprócz niej. Nie chcę jej sprawiać przykrości, ale nie wyobrażam sobie siebie w górach z taką masą tłuszczu.

Klepię ją po policzku.

– Przecież wiesz, że to niemożliwe, a poza tym nie jest ci tutaj źle, masz szansę się stąd wydostać.

– Tak, masz pewnie rację. Życzę ci szczęścia, Francuz.

Wczoraj wieczorem Miguel rozpoczął obszerno i mętne wyjaśnienia, żeby wskazać mi drogę. Żyje od lat w dżungli i czuje się w niej równie swobodnie jak na ulicach miasta, więc nie potrafi zrozumieć, że dla mnie wszystkie drzewa są podobne. Z jego wskazówek wynika, że powinienem iść w górę w linii prostej, potem wzdłuż grzbietu aż do następnej doliny i zejść do niej. Tam gdzieś mieszka El Gato. Wydaje się to proste, kiedy się słucha, ale kiedy już się jest w dżungli, otoczony taką samą roślinnością z tyłu, z przodu i po bokach, rzeczy mają się trochę inaczej. „Idź wzdłuż grzbietu”. Najpierw trzeba wiedzieć, że już się dotarło do tego grzbietu!...

Wchodzę więc na pierwszą górę, schodzę z niej, wspinam się na drugą, idę wzdłuż jakiegoś grzbietu, potem wzdłuż innego, w końcu – gównno, zgubiłem się zupełnie. Nie ma tu nawet rzeki, która wskazywałaby jakiś kierunek. Żadnych punktów orientacyjnych. Wchodzę, schodzę, łażę w kółko. Jest ślisko i parę razy wykładam się elegancko. Mijają godziny. Do cholery, mam tego dość, drę się aż uszy puchną na całą tę kurewską zieleń bez sensu, na tę cholerną ulewę i na gówniane błoto. Nigdy nie lubiłem dżungli, ale teraz jej nienawidzę. Co ja tu robię? Dlaczego nie zostałem dróżnikiem albo urzędnikiem?

Zaczyna zapadać zmierzch, gdy postanawiam się zatrzymać. Na dzisiaj starczy. Wspinam się na drzewo i usadawiam na grubej rozwidłonej gałęzi, kilka metrów nad ziemią. Węże to nocne stworzenia i wolalbym ich unikać. Zapalki mi zamokły i nie mogę zapalić skręta. Na szczęście zostało mi kilka hongos. Tak czy inaczej, wiem że nie zasnę, bo pada deszcz i kąsają komary.

Hongos zrobiły się niesmaczne, całe zawilgły, i zjadam je wszystkie. W nocy halucynacje i wrzeszczę „Idź wzdłuż grzbietu”. Zwierzęta za-

miłkły i moje wybuchy śmiechu brzmią dziwacznie w tej dżungli. O świcie straciłem głos, ciągle mam przywidzenia i jestem cały potłuczony, bo spadłem na mordę. Ponownie ruszam w drogę, w fatalnym stanie, ze smakiem żółci w ustach. Na szczęście nieco później udaje mi się znaleźć mały strumyczek. Piję i zimna woda dobrze mi robi. Idę wzdłuż brzegu dwa kilometry, ale potem strumień znika między skałami.

Od wczoraj zjadłem tylko cztery słodkowodne krewetki, na surowo. Wprawdzie dookoła są palmitos, ale nie mam maczety. Siadam na dłuższą chwilę, suszę zapalki na kamieniu i zapalam sobie skręta. Pierwszy sztach jest cudowny, nie chce mi się już ruszać. Zapada noc i oczyszczam sobie akurat tyle miejsca, ile trzeba, żeby się położyć. Mam gdzieś owady i węże!

Ranek znów zastaje mnie przy życiu, jestem jeszcze bardziej głodny i jeszcze brudniejszy. Idę dalej, ciągle w dół. Słyszę plusk wody. Jestem uratowany. Ta rzeka jest zbyt duża, by gdzieś zniknąć. Wiem, że wystarczy iść z jej biegiem, by natrafić na ludzi albo dojść do morza. Myję się, kładę na skale i zasypiam na słońcu.

Drzemię, kiedy budzi mnie wrażenie czyjejś obecności. Patrzy na mnie przybyły nie wiadomo skąd mały staruszek, w łachmanach, rozczochrany, z dużym workiem przywiązanym sznurkami do pleców i z wysłużoną maczetą w dłoni. Wydaje się być równie zaskoczony, jak ja.

– Cześć, jak się masz?

Siada naprzeciwko mnie nie zdejmując worka i zapala papierosa.

– Co tu robisz?

– Szukam chaty El Gato. Wiesz, gdzie to jest?

– Bardzo blisko – mówi, wskazując bliżej nie określony kierunek. –

Idziesz godzinę wzdłuż grzbietu, i trafiasz, to proste.

Jeszcze jeden kretyń każe mi iść wzdłuż grzbietu. Rozzłoszczony kładę rękę na rewolwerze i mówię:

– Słuchaj, stary debilu, skoro to tak bardzo blisko, to pójdziesz ze mną.

Wstaje, trochę spięty. Biorę maczetę, którą położył na skale. Biedny staruszek nie okłamał mnie, po niecałej godzinie podchodzenia jesteśmy w obozie El Gato.

*

– Cześć, Gato, jak leci?

– Cześć, Francuz, cieszę się że cię widzę. Wejdź i siadaj.

– Myślałem już, że się zesram, gdyby nie ten miły pan, nie byłoby mnie tutaj.

– Napij się kawy w nagrodę – mówi Gato do starego.

Staruszek wypija kawę i odchodzi. Powiedzieć, że rozstajemy się wylewnie, byłoby przesadą.

– Przychodzisz pracować z nami?

– Tak. Czemu nie. Gdzie Chato?

– O Boże! Biedny Chato! Dwa dni temu ugryzła go bocaraca. Nie był to ładny widok. Spuchła mu cała szyja i twarz. Wczoraj go pochowaliśmy. Skurwysyn odkitował w złym momencie, bo mamy dużo pracy. Całe szczęście, że przyszedłeś go zastąpić.

Śmierć w górach to takie proste. Nie ma formalności, żadnych sekcji zwłok. Urząd stanu cywilnego czasami zostanie zawiadomiony, przypadkiem, po paru miesiącach albo po paru latach, kiedy ciała tych nie-

szczęśników dawno już mieszały się z błotem półwyspu. Zapomniani przez rodziny nie zostawiają za sobą nikogo, niektórzy nigdy nie mieli dokumentów, nigdy nie mieli metryki, prawnie rzecz biorąc nigdy nie istnieli.

*

Obóz Gato jest doskonale zorganizowany. Trzy niezależne łóżka oddzielone liśćmi. Będę spał na pryczy Gato, ale nie chcę jego koców. Pomocnikiem, a raczej służącym El Gato jest czystej krwi Indianin, potężny i prymitywny osiłek, który zajmuje się chatą. Nie jest to kucharz-gastronom, ale gotuje przyzwoicie. Obóz zaopatrzony jest w urozmaicone jedzenie, które Gato każe sobie regularnie donosić. Są zapasy suszonego mięsa, kilka rodzajów warzyw, a nawet przyprawy, jak olej kokosowy i różne rodzaje pieprzu. Indianin często udaje się do dżungli na polowanie i wraca ze świeżymi palmitos, gorzkimi pomarańczami i korzeniami yuca.

Zostanę z nimi przez kilka tygodni. Ze wszystkich poszukiwaczy złota, jakich znam, El Gato jest najlepszy. Dokonuje systematycznego przesiewu żwiru i postępując wzdłuż litej skały dennej powoli przesuwają się z biegiem rzeki. Niezależnie od pogody pracujemy każdego ranka. Uzbrojony w łom Indianin rozwala grudy i odłupuje złotonośne kawałki od dużych skał. Wali bez przerwy, nie zdradzając zmęczenia. Nie odzywa się, nie odpoczywa, i mam czasami wrażenie, że jego mózg pracuje w zwolnionym tempie, jak naoliwiona maszyna.

Gato nie wychodzi z canoa, wyciąga kamyki i ułatwia przepływ wody, który wymywa ziemię i pozwala, by złoto osiadało na dnie. Po regularności jego ruchów widać, że zna się na tej robocie.

Około pierwszej podnosimy skrzynię: nigdy nie schodzimy poniżej

dziesięciu gramów dziennie na osobę, co odpowiada około stu pięćdziesięciu dolarom; co wieczór pobieram swoją działkę. Nie jest to dużo, ale można wytrzymać. Obliczyłem, że po paru tygodniach będę miał mały kapitalik, nie licząc możliwości pojawienia się dużej bryłki. Czemu nie?

*

Popołudnia są spokojne. Często wychodzę z Indianinem do lasu na polowanie. Ma karabin kaliber 22, którego suchy odgłos wystrzału nie niesie daleko. To rodzaj starego garłacza, cały pordzewiały, złożony z części różnych broni. Kolba zrobiona jest z kawałka drewna z grubsza rzeźbionego. Pomimo to jestem zdumiony celnością Indianina. Nigdy nie widziałem, żeby chybił. Zabiera ze sobą zawsze tylko trzy naboje, ale pierwszy wystarczy, by zapewnić nam mięso. Dwa pozostałe są tylko na wszelki wypadek. Indianie, którzy mają karabiny, są wszyscy doskonałymi strzelcami, bo nędza zmusza ich, żeby trafiali, poza tym są trudności w zdobywaniu naboji. Gato opowiada mi, że widział jak Indianin polował na jaguara i położył go jednym strzałem kalibru 22 na komorę. Najczęściej spotykamy pavos, rodzaj indyka, a także tukany i małpy. Raz przynosimy pizote, małe zwierzę o smacznym mięsie. Jest nie większe od lisa, ale widziałem raz jak walczyło z trzema psami i zwyciężyło. Indianin tłumaczy mi, że żyje tu dużo „chanchos del monte”, mięsożernych pekari, które zjadają wszystko na swej drodze, w tym i poszukiwaczy złota.

Któregoś popołudnia, kiedy wracamy z polowania, słyszę głośny hałas łamanych gałęzi. Indianin pokazuje na migi, żeby szybko wchodzić na drzewo, i zaraz potem pojawia się stado „chanchos del monte”. Indianin na swoim drzewie błyskawicznie składa się do strzału i jedno

po drugim zabija dwa ostatnie. Później pytam go, po co ta ostrożność.

– Chanco jest niebezpieczny – mówi, ładując sobie jednego na plecy – i nie boi się niczego. Jeśli cię zobaczy, będzie próbował podkopać drzewo, żeby cię zjeść. – Chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej, ale ten wysiłek intelektualny zmęczył go. Gato udzieli mi dalszych wyjaśnień:

– Jeśli siedzisz wyżej niż metr nad ziemią, możesz się niczego nie obawiać, bo nie zobaczą cię. Nigdy nie podnoszą głowy. Gdybyś kiedy na nie polował, nigdy nie strzelaj do prowadzących stado, to przewodnicy i jeśli padną, pozostałe nie ruszą się z miejsca. Będziesz skazany na siedzenie na drzewie przez kilka dni. Byłem w takiej sytuacji. To bardzo niebezpieczne zwierzęta, nawet jaguar ich unika.

– Miejmy nadzieję, że nas nie odwiedzą.

Gato fatalistycznie wzrusza ramionami.

– Gdyby tak się stało, nie mamy szans.

Miłe zwierzątko.

*

Wieczory są spokojne. El Gato, który wiele przeżył w dżungli, ma pełno prawdziwych i zmyślonych historii do opowiedzenia. Pochodzi z Nikaragui, od wielu lat żyje w Kostaryce i często opowiada mi o swoim kraju, nie wyjaśniając dokładnie powodów wyjazdu. Sądzę, że był zamieszany w jakąś nieczystą sprawę, jak wszyscy faceci na tym półwyspie. Jest inteligentny i bardziej wykształcony niż przeciętny ore-ro. Sprytny, może trochę za bardzo, przywiązał do siebie tego Indianina, który podziwia go jak boga i towarzyszy mu od lat; powierza mu nawet swoją część złota i słucha z otwartymi ustami, kiedy Gato snuje

swoje opowieści. Gato jest urodzonym gawędziarzem i może mówić całymi godzinami nie męcząc się.

– Wiesz, nie zawsze byłem poszukiwaczem złota. Przedtem obrabiałem groby, byłem huaguero. Teraz już przestałem, bo duchy Indian tego nie lubią.

– Zajmowałem się tym w Linea Vieja, ale znalazłem tylko jakieś skorupy bez wartości.

– Wybrałeś złe miejsce. W Talamanca, z drugiej strony półwyspu, żyło wielu Indian, więc są i groby, prawie we wszystkich jest złoto, a w górach są prawdziwe skarby.

Opowiada mi historię pewnego Hiszpana, znanego wśród huaqueros.

– Facet szedł do Talamanca, gdzie żyją jeszcze plemiona dzikich Indian, i za każdym razem wracał z niesamowitymi rzeczami: maski, duże posążki. Mówiono, że odkrył legendarne miasto, w którym Indianie schronili się przed Hiszpanami. Kiedyś nie wrócił. Zbyt ostro traktował Indian. Pewnie zabili go tam na górze, nikt nigdy nie odnalazł tego miejsca.

W jego opowieściach jest sporo legend i przesady, ale jest też czasem trochę prawdy. Opowiada mi także o lagunie Chocohuaco, zagubionej w środku półwyspu:

– Jest tam super żyła, ale przywłaszczył ją sobie siłą jeden Tico zwany Barbaroja, prawdziwy skurwysyn, twardy i niebezpieczny.

*

Kolejne dni upływają w tym samym rytmie. Produkcja złota idzie regularnie, ale jedna rzecz wydaje mi się dziwna: wydobywamy tylko ziarenka, z rzadka niewielkie bryłki. Dziwi mnie to, bo kiedy się pra-

cuje w górze rzeki, powinno się ich znajdować więcej, i to sporych, takich, jakie mi pokazywał w Karate. Zaczynam mieć wątpliwości co do Gato. Obserwuję go ukradkiem od czasu do czasu, ale ponieważ pracuje boso i w szortach, nie bardzo wiem, jak mógłby kraść. Nurtuje mnie to, ale nie chcę mu nic mówić wprost, żeby go nie spłoszyć.

Któregoś ranka, kiedy ostrożnie kieruję rozmowę na te tory, pojawia się jakiś facet z mułem.

Na jego widok Gato ryczy z uciechy, rzuca wszystko, podbiega do niego i całuje, niesamowicie podniecony. Indianin patrzy na nich, zbity z tropu. Podchodzę, właśnie ubijają interes.

– Ile ci zostało?

– Dwa galony. Ostatnie, ale to dobre guarro.

– Sprzedaj mi oba.

– Nie, mogę ci sprzedać tylko litr, bo mam się spotkać z innymi ludźmi, a oni dobrze płacą.

– Zapłacę, ile zechcesz, ale na miłość boską sprzedaj mi wszystko.

Biegiem pędzi do dżungli, gdzie schował butelkę, w której trzyma całe swoje złoto. Obserwuję tymczasem przybysza. Zdejmuje z muła dwie pichingas, trzy- i półlitrowe butelki z plastyku. Poznałem już po zapachu. To sprzedawca guarro z przemytu, podłego i bardzo mocnego bimbrowego nielegalnie przez chłopów na półwyspie. Wrzucają do garnka wszystkiego po trochu i dodają jeszcze 90-procentowego spirytusu. Na mózg działa to jak trucizna.

Gato wraca jeszcze bardziej podniecony, z butelką pełną złota w ręku:

– Wymień cenę, płacę.

Po dyskusji mistrzowsko poprowadzonej przez sprzedawcę, Gato od-

waża mu czterdzieści gramów złota w zamian za cenne butelki. To Cenna zupełnie wariacka, pięćdziesięciokrotnie przekraczająca rzeczywistą wartość tego gówna. Ale Gato ma to gdzieś, gotów jest sprzedać ojca, matkę, żonę i dzieci, a nawet siebie samego, jeśli będzie trzeba, byle tylko mieć guarro. Sprzedawca jeszcze nie zdążył odjechać, a już Gato siada na skale i zaczyna pić długimi pociągnięciami.

Wychyla tych siedem litrów w dwa dni, w pojedynkę. Ja nie piję, Indianin także nie. Dwa dni, w ciągu których będzie wrzeszczał, rzygał, wywracał się na morderę, robił pod siebie, krótko mówiąc niesamowity chlew. Pierwsza butelka nie wystarczy mu do końca dnia: łązi po obozie, rozwała różne rzeczy. Muszę odpierać jego pijackie przypiływy czułości; wreszcie leży, ale wkrótce budzi się, znowu pociąga potężny łyk, potyka się i ponownie przewraca. Sporą część następnych dwóch dni spędza leżąc w kącie, z cenną butelką przyciśniętą do piersi, gadając od rzeczy i śpiewając. Od czasu do czasu w przypływie energii wstaje z poważnymi postanowieniami, ale na szczęście nie jest w stanie długo utrzymać się na nogach.

Nie pracuję przez te dwa dni, przesiewam tylko kilka catiadoras. Czekam, aż mu przejdzie, wiem, że starzy pijacy mają rzadko spotykaną wytrzymałość, ale ten naprawdę mi imponuje.

Indianin nie spuszcza z niego oczu, podnosi go z ziemi, nie pozwala mu oddalać się od obozu, wszystko w sposób zdradzający długoletnie doświadczenie. Drugi galon zostaje opróżniony w połowie trzeciego dnia i wydawszy ostatnie czknięcie Gato osuwa się nieprzytomny. Indianin podnosi go jak szmacianą lalkę i kładzie do łóżka. Jestem ciekaw, w jakim stanie Gato się obudzi.

Następnego dnia, cały blady, w zarzyganym ubraniu, woła Indianina ochryłym głosem:

– Kręci mi się w głowie, przynieś mi butelkę.

Znów zaczyna chrapać, a Indianin wyjaśnia mi, że po takim przepiciu jedyny sposób, żeby powrócić do normy, to dalej pić, tylko bardzo mało, żeby wybić klin klinem. Idzie do Karate kupić butelkę.

*

Postanawiam iść z nim, żeby poznać drogę. Żeby dojść do Karate, trzeba przejść koło chaty Miguela, a poza tym przynajmniej raz będę szedł przez dżunglę bez obawy, że pobłądzą.

Indianin rusza kłusem. Moje stopy są teraz w dobrym stanie, pokryły się zrogowaciałym naskórkiem i mogę bez problemu dotrzymywać mu kroku. Pożyczam od niego maczetę, żeby znakować drzewa na powrót. Trzy godziny później jesteśmy u Miguela: o ile to szybciej w linii prostej! Ale jestem wykończony i zaczekam tu z Miguelem i jego towarzyszkami na powrót Indianina.

Ten nie zatrzymuje się i pędzi dalej z tą samą szybkością. Robię sobie zapas trawki, moja prawie się skończyła. Cieszą się ze spotkania ze mną, a Rosa mówi, że schudłem. Opowieść o Gato pijanym w trupa rozbawia ich, ze smutkiem przyjmują wiadomość o śmierci Chato. Indianin wraca tuż przed zapadnięciem zmroku. Jak to możliwe, że obrócił tak szybko? Nie jest nawet zdyszany. Proponuję zostać tu na noc.

– Muszę iść, mój pan jest chory, potrzebuje mnie.

– Ale za dziesięć minut będzie noc, bałwanie! Dokąd chcesz iść?

Prosi Miguela o świeczkę i sporządza sobie latarnię z puszki od konserw, w której wycina otwór z jednej strony. Bierze ten swój halogen, kiwa mi ręką na pożegnanie i znika w mroku. Skoro on może, to ja też. Idę za nim.

Gato potrzebował całego dnia, żeby dojść do siebie. Siedzi na łóżku ze szklanką w ręku, popija małymi łyčzkami i nie odzywa się.

Nazajutrz jest już w formie i możemy wrócić do pracy.

Pracuję już z Gato ponad trzy tygodnie i mam prawie sto dziesięć gramów złota. Wszystko idzie dobrze, ale jestem niespokojny, bo chociaż odżywiam się przyzwoicie, siły mnie opuszczają i czuję, że poważnie schudłem. Poza tym źle sypiam z powodu wilgoci, a łóżko z pni drzew, nawet starannie ułożonych, jest niewygodne.

Wielokrotnie słyszałem, jak Gato wraca znad brzegu rzeki z catiadorą i cicho kładzie się z powrotem do łóżka. Któregoś ranka, kiedy jest jeszcze szaro, widzę, jak wychodzi z obozu niosąc catiadorę. Pozwalam mu się trochę oddalić, po czym wstaję i idę za nim. Słońce jeszcze nie wstało. Staram się stapać cicho, idę po omacku. Już się wydaje, że go zgubiłem, kiedy nagle go dostrzegam. Przykucnięty o dziesięć metrów ode mnie, sra do catiatory. Rozumiem od razu. W czasie pracy ten skurwieli ukradkiem połyka bryłki złota, a potem odzyskuje je z drugiej strony. Zalewa mnie wściekłość. Jedno doprowadza mnie do pasji, to kiedy ktoś stara się mnie nabrać. I do tego ten sukinsyn używa catiatory, w której gotujemy ryż! Mam ochotę go rozwalić. Powoli wyciągam rewolwer. Ale jego instynkt oszusta każe mu Podnieść głowę. Zauważa mnie z rewolwerem w dłoni i rzuca się w bok. Kula trafia w ziemię dokładnie między jego nogami i Gato z opuszczonymi spodniami rzuca się do ucieczki. To ratuje mu życie, bo nigdy nie strzelam ludziom w plecy. Podchodzę, nie tyle, żeby zobaczyć, co jest w misce – można się domyślić – ale dlatego, że w panice Gato zapomniał o swoim cennym słoiku. Podnoszę go. Jest tam co najmniej dwieście pięćdziesiąt gramów złota, wszystko w bryłkach. Podczas gdy dzieliliśmy się ziarenkami, ten sukinsyn zgarniał grubsze kawałki. Ża-

luję, że chybiłem. Kiedy wracam do obozu, zastaję stojącego przerażonego Indianina, który patrzy, jak podchodzę, trzymając słoik i rewolwer. Słyszał strzał. Jest przekonany, że zabiłem Gato i myśli, że teraz kolej na niego.

– Nie bój się. Nie zabiłem Gato. Ale powiedz mu, że miał szczęście. Powiedz mu też, że nie chcę go więcej widzieć i żeby postarał się nigdy nie znaleźć na mojej drodze, bo następnym razem zatłukę go.

– Si, senor.

– I nie zostawaj z nim, bo nigdy od niego nic nie dostaniesz.

– Si, senor.

Biedak nie jest w stanie powiedzieć czegokolwiek innego, najwyraźniej to wszystko przekracza zdolności jego pojmowania i moje słowa są zbyt skomplikowane dla jego mózgu idioty. Patrzy na mnie, kompletnie zbity z tropu, pewien, że zabiłem jego boga.

Nie chcę dłużej tu zostawać i przed odejściem biorę jego strzelbę, łamię kolbę o słup chaty i rzucam mu bryłkę około dziesięciu gramów. Pada u jego stóp, ale bałwan jej nie podnosi. Będzie musiał zapewne natężyć się przez kilka dni, żeby zrozumieć, o ile wcześniej nie pęknie mu głowa. Zostawiam go pogrążonego w bezmyślności i odchodzę do Karate.

*

Wściekłość mi minęła. Śmieję się sam do siebie na wspomnienie Gato uciekającego z obranym tyłkiem. Nie zrobiłem w końcu najgorszego interesu. Dzięki jego nieuczciwości mam teraz trzysta pięćdziesiąt gramów złota. Przesypuję swój udział do słoika. Jestem w drodze od mniej więcej godziny, kiedy robi mi się ciemno przed oczami.

W kilka minut jestem zły i nogi odmawiają mi posłuszeństwa. Muszę usiąść na ziemi. Kręci mi się w głowie i źle widzę. Tracę przytomność. Przez cały dzień i całą noc będę tak leżał na ziemi, wstrząsany dreszczami. Nie jestem w stanie się podnieść, najmniejszy ruch to udręka. Jest mi gorąco, pocę się i szczękam zębami. Nad ranem kryzys nieco ustępuje i powoli ruszam w dalszą drogę. Każdy krok wymaga wysiłku, muszę się trzymać drzew, bo mam zawroty głowy. W takim stanie docieram do obozu Miguela, idąc za znakami, które ponacinałem na drzewach.

– Co ci się stało, Francuz? – pyta Miguel.

Nie jestem w stanie mówić i chcę tylko jednego, położyć się. Padam na łóżko, ukrywając przednio złoto pod materacem z liści: mam zaufanie do Miguela i Rosy, ale Poufasse nie dowierzam.

Rosa, zadowolona, że mnie widzi, ale zaniepokojona moim stanem, zdejmuje mi przemoczoną koszulę i okrywa mnie kilkoma kocami, po czym masuje mi ręce i nogi. Przez dwa dni najgłębszego kryzysu mając nieprzytomny. Rosa, która dużo się mną zajmuje, pyta mnie któregoś ranka:

– Kto to jest Diane? Twoja ukochana?

Potwierdzam.

– Kiedy majaczysz, ciągle wymawiasz jej imię.

To prawda, że dużo myślałem o Diane i chciałbym ją znów zobaczyć.

Miguel nie niepokoi się. Dla niego wszystkie choroby to mai de ventre, z niestrawności, i wystarczy poczekać, aż przejdzie. Tymczasem zaczynam mieć trudności w poruszaniu rękami i wszystko robię w zwolnionym tempie. Nie jestem w stanie połykać, a kiedy już połknę, natychmiast rzygam, wszystkim, nawet płynami, a pocę się przy

tym jak potępieniec; mój mocz jest mętny, śmierzdzący. Rozpoznaję symptomy malarii, choroby, która wlecze się za mną od ponad dziesięciu lat. Ale ten nawrót wydaje mi się poważniejszy.

Nad ranem trzeciego dnia nie ma żadnej poprawy. Rozumiem, że jeśli tu zostanę, to umrę. Muszę spróbować wrócić do Karate. Wysilek, jaki robię wstając z łóżka, powoduje zawrót głowy i rzyganie żółcią. Wyobrażam sobie, jakie męczarnie czekają mnie w drodze. Poczciwa Rosa proponuje, że będzie mi towarzyszyć, ale biorąc pod uwagę trudności, jakie ma z poruszaniem się, nie byłaby mi na nic przydatna.

*

To prawdziwe piekło. Będzie trwało kilka dni. Każdy krok jest ciężki, idę powoli, ledwo powłóczę nogami. Najmniejsze wzniesienia pokonuję na czworakach, ciągle się zatrzymując. Przy pierwszym zejściu, niezdolny do utrzymania własnego ciężaru, staczam się aż do rzeki. Na wpół przytomny długo leżę w błocie, z nogami w wodzie, nie mogąc się podnieść. Boli mnie całe ciało, tracę przytomność. Pierwsze promienie słońca rozgrzewają mnie i dają mi siły, potrzebne do dalszej drogi. Od dłuższego już czasu z mojej podartej koszuli nie zostały nawet strzępy i przywiązałem resztki szortów przy pomocy pasków do kabury. Pomimo wszystkich upadków udało mi się zachować mój cenny słoik. Kiedy koło południa wśród rzednących liści dostrzegam wreszcie plażę, mam ochotę krzyczeć z radości. Ale to jeszcze nie koniec mojej mordegi.

Na plaży posuwam się krótkimi odcinkami. Wyznaczam sobie jakiś punkt: palmę kokosową, dużą skałę, krzak, w odległości jakichś stu metrów, po czym staram się do niego dotrzeć. Pokonuję te krótkie odległości, nie spuszczając wzroku z wybranego celu. Kładę się następ-

nie, żeby nabrać sił, i znów ruszam: palma, skała, palma. Każdy etap to zwycięstwo, które dodaje sił do następnego, ale postoje są coraz dłuższe. Zmuszam się do dalszego ruchu, bo jeśli zatrzymam się na dłużej, pozostanę już na miejscu. Często odczuwam silną pokusę, żeby się poddać, ale pragnienie wydostania się stąd i chęć zobaczenia Diane pchają mnie naprzód. Docieram wreszcie do Karate.

*

Saltarana nie poznaje mnie. Jestem brudny, nie goliłem się od pięciu tygodni, wychudłem, oczy błyszczą mi od gorączki. Idzie sprowadzić Mr Billa.

Kanadyjczyk zabiera mnie do siebie. Zaniepokojony moim stanem proponuje odwiedzić mnie nazajutrz do San José samolotem Kompanii.

Rano odbieram swoje czyste rzeczy, pozostawione u Saltarany. Moje dzinsy zwisają jak worek i z dużą trudnością wkładam swoje wysokie buty. Mozolnie golę się i odkrywam w lustrze swoją twarz: rozumiem teraz zaskoczenie Saltarany, naprawdę wyglądam jak trup. Oddaję Saltaranie rewolwer.

Wsiadam do samolotu pod ironicznym spojrzeniem Fuckinga, ten sukinsyn ma uciechę widząc mnie w takim stanie.

*

W San José furgonetka Kompanii odbiera nas z lotniska i podwozi na centralny plac, gdzie Kanadyjczycy mają swoje biura, pięćdziesiąt metrów od hotelu America. Te ostatnie metry wydają mi się bardzo długie i zajmują dużo czasu. Zaskoczony, widząc mnie w takim stanie właściciel pomaga mi wejść po schodach prowadzących do recepcji.

Czeka tu na mnie list od Diane, z którego dowiaduję się, jak się z nią skontaktować.

Proszę recepcjonistkę o wykręcenie numeru.

– Halo?

– Cześć, ślicznotko.

– Gdzie jesteś?

– W San José, malutka. Słuchaj, nie zadawaj mi pytań, jestem chory. Weź taksówkę i przyjedź po mnie do hotelu America. Pośpiesz się, mała.

Odkładani słuchawkę. Tych kilka słów wyczerpało mnie, ale jestem szczęśliwy. Zaraz zobaczę Diane.

W kilka minut później przyjeżdża. Jej uśmiech znika, kiedy mnie widzi.

– Kochanie, co się z tobą stało?

– Mam malarię. To nic poważnego, ale muszę odpocząć.

Jej piękne zielone oczy szukają mężczyzny, z którym rozstała się przed pięcioma tygodniami. Chce rzucić mi się w objęcia, ale odpycham ją łagodnie, bo wiem, że jestem brudny i śmierdzący.

W taksówce, która wiezie nas do Jean-Paula, przytulona do mnie Diane przygląda mi się i widzę, że z trudem powstrzymuje łzy. Kiedy dojeżdżamy, pomaga mi wyjść z samochodu. Sadza mnie w fotelu, całuje w czoło i idzie przygotować kąpiel. Później wraca i rozbiera mnie delikatnie, ostrożnie zdejmując mi buty, bo moje stopy są opuchnięte i bolą.

Pół godziny później jestem czysty i zaczynam wyglądać jak człowiek. Owinięty w szlafrok wypijam herbatę. Diane siedzi naprzeciwko

i przygląda mi się. Oboje czujemy się jakby skrepowani, bo żadne nie ośmiela się zacząć mówić o mojej chorobie. Diane zauważyła oczywiście podczas kąpieli, jak bardzo schudłem, ale czy może domyślać się, jak niedobrze się czuję? Daję jej słoik ze złotem, mam właśnie opowiedzieć jej o Gato, kiedy czuję nadchodzący nowy kryzys i pod wpływem gwałtownych dreszczy upuszczam filiżankę.

– Chodź, połóżysz się – mówi Diane.

– Nie bój się, to tylko atak malarii. Nie ma sprawy.

Potem przyjeżdża Jean-Paul. On również jest wstrząśnięty. Przykryty stosem kocy muszę wyglądać jeszcze chudziej. Odciąga Diane na bok, nie ośmiela się zadawać pytań przy mnie, a poza tym, jak wielu homoseksualistów, panicznie boi się chorób.

Sprowadza lekarza, swojego przyjaciela, który mieszka po drugiej stronie ulicy. Jest to poczciwy facet, mierzy mi gorączkę i szybko osłuchuje. Rozpoznanie: gorączka zakaźna. Chce natychmiast przewieźć mnie do szpitala. Poznałem już szpitale w krajach Trzeciego Świata, w Afryce, w Azji i Ameryce Południowej i nie mam najmniejszej ochoty poznać ich ponownie. Wiem, co mi jest, doskonale mogę leczyć się sam, tamci byliby zdolni mnie wykończyć.

– To nierozsądne – mówi – pan potrzebuje stałej opieki. Trzeba przeprowadzić analizy, żeby zidentyfikować wirusa. To może być zaraźliwe, nie ma pan prawa odmawiać hospitalizacji.

Przekonują mnie nie rozsądne słowa dobrego doktora, ale oczy Diane, która spojrzeniem błaga, abym się zgodził.

W szpitalu Calderon Guardia doktor załatwia formalności, podczas gdy ja żegnam się z Diane. Leżę na noszach, trzymając jej dłonie w moich, i staram się ją pocieszyć. Jej piękna twarz zalana jest łzami.

Zdaję sobie sprawę, jak bardzo ją kocham. Załedwie ją odnalazłem, znów muszę opuścić. Żal ściska mi serce.

– Nie bój się, wyjdę z tego.

Doktor rozmawia z kolegą po fachu i widzę w spojrzeniu pielęgniarek, które przychodzą po mnie, że już postawiły na mnie krzyżyk. Dla nich jestem żywym trupem. Zabierają mnie na łóżku na kółkach. Diane zostaje na korytarzu i patrzy, jak odjeżdżam. Wstrząsa nią niepokohamowany płacz. Kiwam jej ostatni raz ręką i tracę ją z oczu.

Żeby mnie trochę rozluźnić, pielęgniarz robi mi zastrzyk przeciwkurczowy, jedyny zabieg, jakiego doświadczę przez dziesięć dni spędzonych w tym szpitalu. Podczas gdy młody lekarz sporządza moją kartę, jestem ważony: sześćdziesiąt dwa kilo. W pięć tygodni schudłem o dwadzieścia osiem kilo!

Dają mi pokój jednoosobowy, akurat naprzeciwko dużej sali, gdzie jest ciemno i panuje cisza. Wieczorem mała, okrągła pielęgniarka przynosi mi kolację: połykam kilka kęsów i zaraz wszystko zwracam.

Daje mi środki uspokajające i nasenne. Proszę ją o więcej, bo wiem, że mój organizm, przyzwyczajony do nadmiaru narkotyków, stał się odporny na takie środki. Nafaszerowany proszkami zasypiam, słuchając jej szczebiotania.

Ona też budzi mnie nazajutrz w porze obiadowej. Jest miła, ale gadatliwa. Szczęśliwa, że może porozmawiać z cudzoziemcem, zasypuje mnie pytaniami na temat Osa i Paryża. Przestaję jej słuchać, bo od paru chwil słyszę dziwne dźwięki dochodzące z sali naprzeciwko. Jest to rodzaj wzmożonego rżenia. Przerywam potok słów mojej pielęgniarki i pytam ją:

– Kto robi ten hałas?

Z szerokim uśmiechem otwiera drzwi. Jest tam dwanaście łóżek, a na nich dwunastu konających, którzy czekają, skazani, pod krzyżem zawieszonym na ścianie. Z jednego z łóżek rozlega się rżenie, które mnie zaintrygowało, coś w rodzaju urywanego oddechu. Jest to przed-sionek śmierci, wstawia się tam chorych, którzy nie mają już żadnych szans wyzdrowienia.

Rozumiem teraz, dlaczego położono mnie na wspólnej sali, w drugim skrzydle szpitala. Te sukinsyny umieściły mnie tutaj, żeby zaoszczędzić sobie zbędnej fatygi. Całe szczęście, że nie razem z tymi biedakami. Jeszcze nie wiem, czy przeżyję. Ale jedno jest pewne: nie zamierzam zdychać tutaj. Najlepszym rozwiązaniem będzie kula w łeb. Następnej nocy prawie nie śpię. Tak jak przewidywałem, środki nasenne nie są wystarczająco silne. Rozmyślałam o Diane, o naszym zmarłym synku, o tym cholemym pechu, który pastwi się nad nami już ponad dwa lata. Diane, która urodziła się do życia w szczęściu, dostaje cios za ciosem.

Zagłębiając się w rozmyślaniach słyszę nagle jakiś hałas na korytarzu. Zauważam też, że ustało rżenie starego. Zaciekawiony wstaję.

Stary odwalił kitę i stoją nad nim dwie pielęgniarki, które, nie przestając rozmawiać, ściągają mu spodnie od piżamy. Następnie, ciągle gadając, rutynowym ruchem, naciskają mu mocno brzuch, żeby się wypróżnił, po czym, nie zdradzając najmniejszych emocji, pomimo smrodu, zawijają go w prześcieradło i rzucają na wózek. I hop! – jeszcze jeden prezencik dla robaków. W ich ruchach nie ma nic ludzkiego, żadnego uczucia, są zapewne zblazowane setkami trupów, które tak zapakowały.

Ale najbardziej wstrząsają mną krzyże nad łóżkami. Biedacy! Od chwili, kiedy mają ten kurewski krzyż nad głową, wiadomo, że już po

nich. Cud im nie przysługuje. „Dobra, stary, masz tu swój krzyż, a teraz szybko zdychaj”. A potem hipokryta w sutannie uroni krokodyły nad ich wzorowym życiem. Wracam do pokoju, bardziej zdecydowany niż kiedykolwiek, by wyjść stąd żywy.

*

Następnego dnia, po śniadaniu, którego wreszcie nie zwymiotowałem, otrzymuję przywilej odwiedzin przez księdza. Ten sęp nie traci czasu.

– Mój synu, czy mówisz po hiszpańsku?

– Nie – odpowiadam.

– Czy jesteś gotów stanąć przed obliczem twego Stwórcy?

Ten też już mnie pogrębał. Przerywam mu:

– Słuchaj, skurwysynu, przerzynałem sześć zakonnic i jedną matkę przełożoną, kopulowałem, szczałem i srałem po kościołach, ale nigdy nie zdarzyło mi się wypierdolić księdza. Twoja morda mi się nie podobą, więc wystarczy, że mi obciągniesz druta, może to otworzy mi bramy raju.

Padlinożerca wstaje, urażony.

– Mój synu, ty majaczysz!

– Won stąd, ścierwo, śmierdzisz.

Łapię za but, żeby mu przyłożyć po ryju. Ale mój ruch jest zbyt słaby i zbyt powolny. Trafiam go w ramię. Ogarnęła mnie nienawiść i wstaję, żeby z nim skończyć. Padlinożerca cofa się do drzwi, robi w moim kierunku znak krzyża, ale w ostatniej chwili uchyla się. Znika, kiedy szukam drugiego buta. Jestem zadowolony, że przepędziłem to ścierwo. Szatan został pokonany.

Mam gdzieś religię, nie przeszkadza mi ona. Wiem, że słabi potrzebują czegoś, czego mogliby się uczepić, jakiejs marchewki, żeby zapomnieć o kiju. Cierp, bracie mój, zamknij pysk i pracuj, miejsce w raju masz zapewnione... To nie dla mnie.

Ale nienawidzę tych szakali w sutannach. Z wyjątkiem paru misjonarzy, których spotkałem podczas moich przygód, są to hipokryci, sybaryci i wyzyskiwacze. Zwłaszcza w krajach słabo rozwiniętych, gdzie łatwowierność mas jest największa. W Sahelu, dotkniętym straszliwą suszą, podczas gdy dzieci zdychały z głodu i padały jak muchy, widziałem jak handlują żywnością, jak wymuszają względy zgłodniałych dzieci za miskę ryżu. Bezpieczni w swoich misjach ci nowocześni księża żarli, pili i kopulowali jak świnie, podczas gdy dookoła umierali ludzie. A jednocześnie odprawiają msze i w kazaniach propagują abnegację i skrucę.

Pewnego razu dorwałem jednego i przyłożyłem mu. Miałem potem przez to sporo kłopotów z lokalnymi władzami, które handlowały z księżmi.

Ten incydent przysporzył mi popularności w tej części szpitala. Chorzy i lekarze przychodzą oglądać „el Frances”, poszukiwacza złota, który zwariował. Lekarz przyniósł mi pudełko szachów. Pracuje na innym oddziale, ale wymyka się kiedy tylko może, by dowiedzieć się o moje zdrowie i zagrać ze mną partyjkę. Jest wierzący i praktykujący, nie rozumie mojego postępuku wobec padlinożercy, i prowadzimy długie teologiczne rozmowy. To poczciwy facet i wiele mu zawdzięczam.

Cały czas nie jestem leczony, ale codziennie te wampiry pobierają mi krew, żeby robić analizy. Nie zwracam już pożywienia i zaczynam jeść regularnie, wiem, że się z tego wyliżę.

Co wieczór gram w szachy z małym staruszkim, byłym profesorem. Leży na oddziale kardiologii od dwóch miesięcy, i wie, że jest już skazany. Jest miły, ale to klasyczny przypadek: wcześniej się ożenił, ma dwoje dzieci i całe życie pracował. Choć jest żarliwym katolikiem, cholernie się boi śmierci, a jego żona zawsze go zdradzała i już o nim zapomniała. Zdycha teraz samotnie w szpitalu, dzieci nie odwiedzają go nigdy. Któregoś dnia zaczyna płakać i roztkliwiać się nad sobą. Przerywam mu natychmiast:

– Słuchaj, profesorku, miałeś takie życie, jakie sobie wybrałeś, nie licz, że będę cię żałował.

Nie lubię, jak ktoś rozczula się nad sobą.

Dziś wieczór nie przyszedł na szachy. Odnajduję go później: przenieśli go na salę umarłaków. Leży nieprzytomny, wiem, że już z nim koniec. Śmierć dała mu mata przede mną.

Rano widzę, jak padlinożerca, w jeszcze większym transie niż zwykle, udziela mu ostatniego namaszczenia. Wygląda jak kruk pilnujący zdobyczy. Tego już za wiele, podnoszę wiadro z wodą i rzucam w niego, wykrzykując przekleństwa. Niestety, nie wróciłem jeszcze do dawnej zręczności i całą przesyłkę dostaje mój profesor. Ksiądz ucieka co sił w nogach. Spojrzenia pielęgniarzy mówią mi, że chyba posunąłem się trochę za daleko. Żeby tylko nie uznali mnie za wariata! Z niepokojem widzę, jak nadchodzi dyrektor i mówi:

– Nie wiem, jakie są zwyczaje we francuskich szpitalach, ale w Klostaryce umierającym należy się szacunek. Wypisujemy pana dziś po południu.

Przełożona pielęgniarek, wydając mi ubranie, każe mi obiecać, że

zgłoszę się na badania. Obiecuję, ale wiem, że nigdy tu nie wrócę. Pozostał mi tylko uporczywy ból głowy. Dzwonię do Diane, żeby przyjechała mnie zabrać.

Pół godziny później opuszczam szpital. Znow mi się udało. Na jak długo?

Część druga

Małe przyjemności docenia się naprawdę dopiero wtedy, kiedy się było ich pozbawionym. Te cztery tygodnie w San José poświęciłem przede wszystkim na poszukiwanie miłych wrażeń, szczęśliwych chwil, radości, jakie daje miasto.

Kiedy opuściłem szpital zamieszkaliśmy w luksusowym Grand Hotel de Costa Rica, w samym centrum San José. Po tylu ciężkich przeżyciach czułem przemożną potrzebę czystości i normalnego życia.

Bardzo szybko sprzedaliśmy złoto, nie dotykając go, nawet go nie ważąc. Wziął to na siebie jubiler przy Drugiej Alei, któremu je sprzedaliśmy. Nie rozumiał, dlaczego tak wzdragaliśmy się przed wzięciem tego złota do ręki. Nie mógł wiedzieć, jakie ponure były jego losy. W każdym razie miałem w kieszeni trzy tysiące osiemset dolarów, kiedy wyszedłem wreszcie na gorące stołeczne słońce.

San José, choć daleko mu do czystości i ożywienia stolic zachodnich, oferuje więcej przyjemności niż jakiekolwiek inne miasto w Ameryce Środkowej. Zbudowane jest na modłę amerykańską, z ponumerowanymi ulicami, ale zachowuje mimo to swój latynoski charakter. W dzień jest hałaśliwe i pełne ruchu, ale w nocy puste. Nie należy się w nim spodziewać mocnych wrażeń. Nie jest to stolica występku i gwałtu. W porównaniu do swych sąsiadów, Managui czy Panama-City, dobrze zasługuje na swoje miano „Szwajcarii Ameryki Łacińskiej”. W San José znaleźć można wszystko, ale w małych dawkach.

Kurwy idą spać o trzeciej rano, bary otwarte dwadzieścia cztery godziny na dobę policzyć można na palcach jednej ręki, a w Zona Roja,

niebezpiecznej dzielnicy miasta, najgorsza rzecz, jaka może spotkać człowieka, to potrącenie przez pijaka wychodzącego z jakiejś spelunki. Jest to chłopska stolica. Emanują z niej bezpieczeństwo, spokój, co stanowi miłe zaskoczenie dla przyjeżdżającego tu z krajów sąsiednich. Bardzo mi to odpowiada, dostałem swój przydział wrażeń, potrzebuję spokoju.

Diane i ja jesteśmy szczęśliwi, mogąc znów być razem w łóżku, i żadna przyjemność nie może równać się z tą, jaką dają nam te od dawna oczekiwane zbliżenia. Spędzamy całe dnie w pokoju, odizolowani od świata.

Powinienem przestać palić, ale nie udaje mi się to.

*

Diane czuje się dobrze. Rozkoszuje się tym okresem spokoju, kiedy jestem z nią, daleko od niebezpieczeństw Osa. Choć nie mówi mi tego wprost, wiem, że wolałaby tam nie wracać i że pragnie miejskiego życia. Jean-Paul mówił nam o nocnym lokalu, który chce sprzedać jego sąsiadka, Amerykanka mieszkająca tu od lat. Cena jest przystępna, lokal jest świetnie usytuowany, akurat naprzeciwko hotelu. Gdyby go dobrze urządzić, byłby to dobry interes: Diane jest zainteresowana, ja nie.

Miałem już kilka nocnych lokali. Pierwszy, kiedy miałem osiemnaście lat, w Argentynie, potem dwa inne w Toronto, w wieku dwudziestu jeden lat. Miasta już mi nie odpowiadają, a możliwości przygód w lokalach są ograniczone. Ale przede wszystkim wiem, że moja droga wiedzie przez Osa. Nie po to tyle wycierpiałem, nie po to spędziłem całe tygodnie na poznawaniu złota i musiałem znosić głupotę oreros, żeby teraz to wszystko rzucić. Na razie kończę okres rekonwalescencji.

Ale bezczynność już mi ciąży i chciałbym znaleźć jakieś zajęcie.

Zaczynam więc kręcić się po San José w poszukiwaniu przygody. Szybko znajduję cztery miejsca, które mogą być ciekawe: Manolo, rodzaj kawiarni w centrum, do której przychodzą prawie wszyscy turyści i gdzie można zawrzeć jakąś znajomość. Soda Palace, najstarszy bar w mieście, zawsze pełny. Spotyka się tu większość Europejczyków, mieszkających w Kostaryce. Są na ogół w starszym wieku, znają wszystkie możliwości tego kraju, prowadząc tu mniej lub bardziej legalne rodzaje handlu i przemytu. Wegetują tu, korzystając ze słońca i małych dziewczynek.

Bar hotelu Costa Rica, jedyny w całym San José posiadający taras, to również dobre miejsce. Zatrzymują się tu na ogół inwestorzy gringos, i między jednym daniem a drugim omawia się wiele ważnych kontraktów: od real estate business po zakup ładunków broni lub narkotyków. I wreszcie Esmeralda, miejsce spotkań handlarzy sztuką prekolumbijską, które poznałem próbując sprzedawać moje skorupy podczas pierwszego pobytu.

*

Okazję, której szukam, załatwia mi Diane, odwiedzając ambasadę francuską, by odebrać listy. Zna ją tam dobrze ze względu na nasze wykopaliska i dawny handel: jeden z pracowników prosi ją o skontaktowanie się z jego przyjacielem, również dyplomatą, ale w ambasadzie... (przemilczę tu nazwiska tych skorumpowanych urzędników). Następnego dnia udaję się tam i zostaję przyjęty przez sympatyczną parę.

– Czego chcieli? – pyta mnie Diane po powrocie.

– Myślę, że mamy coś ciekawego. Ci mali spryciarze chcieliby ku-

pić pół kilo prekolumbijskiego złota. Szukają niewielkich przedmiotów, które można nosić jako biżuterię. Podobno są kolekcjonerami, ale ja w to nie wierzę. Chcą dać nie więcej niż czterdzieści dolarów za gram.

I czego chcą za taką cenę?

– Po prostu imitacji! Są na tyle chytry, żeby nie mówić tego wprost, ale wiedzą, że za taką cenę nie dostaną nic autentycznego.

Moja głowa, żeby znaleźć dobre imitacje.

– Myślisz, że tu takie są?

– Tam, gdzie autentyki są w cenie, muszą też być i imitacje. Widziałem fałszerzy sztuki prekolumbijskiej w Peru, w Ekwadorze i w Kolumbii, więc tu na pewno też są. Poszukam, będę przynajmniej miał coś do roboty.

*

Esmeralda jest jednym z kilku barów czynnych całą dobę. Wieczorem spotykają się tu mariachis, pieśniarze sprowadzeni z Meksyku, których można poznać po wielkich sombreroach, obcisłych spodniach z trzema rzędami miedzianych guzików po bokach i po tępotcie wypisanej na twarzy. W ciągu dnia zbiera się tu sztab handlarzy sztuką prekolumbijską.

Można by ich sobie wyobrazić z mordami przestępców, ale w rzeczywistości wyglądają zupełnie inaczej. Są to wszystko mali spokojni starszankowie o pocziwym wyglądzie ojców rodzin. Po kieszeniach mają poupychane przedmioty ze złota i nefrytu; czekają na klienta. Tylko jeden facet postarał się o własny styl, zawsze w ciemnych okularach i z wypomadowanymi włosami. Wygląda jak sutener z Marsylii lat pięć-

dziesiątych.

Wchodzę do tej speluny i spotykam starego znajomego, Carlosa Fince. To niski grubas około pięćdziesiątki, jowialny. Zawsze próbuje wepchnąć mi jakieś bezwartościowe góvienka po niesamowitych cenach.

– Słuchaj, Carlos, mam kupca na małe złote huacas...

Nie zdążyłem jeszcze skończyć zdania, a ten już wypakował zawartość kieszeni na stół: kawałki ceramiki, nefryt i bezwartościowe kawałki złota. Już widzę, jak za chwilę dołoży swój zegarek i buty i proponuje cenę za wszystko.

– Nie, Carlos, to mnie nie interesuje. Chcę kupić pół kilo złota w posążkach. Możliwie jak najmniejszych, nie droższych niż dwadzieścia pięć dolarów za gram. Dostaniesz dobrą prowizję, jeśli mi to załatwisz. Wystarczą dobre imitacje.

Na dźwięk słowa „imitacje” udaje zgorszonego. Waha się i rozumiem go. Jest tylko pośrednikiem i jeśli ujawni mi swoje źródła, ryzykuje, że wypadnie z obiegu. W końcu jednak obietnica dobrego procentu skłania go, żeby mi pomóc.

Muszę mu teraz zostawić trochę czasu. Jeśli, jak podejrzewam, działa tu ekipa fałszerzy, moje zamówienie powinno postawić ich na nogi.

*

Często rozmawiam z małymi czyścicielami butów, mają świetne informacje. Pracują jako naganiacze prostytutek i sprzedawcy trawki, i są doskonałymi przewodnikami. Któregoś wieczoru jeden z nich prowadzi mnie do zadziwiającego miejsca, zwanego Bunkrem. Jest to dom położony w czerwonej dzielnicy. Wejścia broni wielka krata, i żeby zostać

wpuszczonym, trzeba się przedstawić. Kilka schodków, korytarz i oto prawdziwa melina. W tej piwnicy, zamienionej na bar, spotykają się młodzi przedstawiciele półświatka z całego San José: chuligani, czyściciele, sprzedawcy, złodzieje i kurwy, nie brakuje nikogo. Trawka i alkohol są tu w wolnej sprzedaży, i cała ta zdrowa młodzież rozkłada się tutaj, naćpana i schlana do granic możliwości.

Carlos dostał w końcu jakieś informacje. Kiedy zjawiamy się w Esmeraldzie, jeszcze go nie ma. Zgłaszają się natomiast inni handlarze. Rozeszło się już, że działam w tym interesie, i przychodzą spróbować szczęścia. Oglądamy rozpakowywanie mnóstwa różnych podlutkich przedmiotów o wygórowanych cenach. Zbyt wielu pośredników pobiera po drodze swoją działkę.

Zabawiam się chwilę z jednym z handlarzy.

– Popatrz, Francuz, ładne to jest, nie?

– Ładne, bardzo ładne.

– Oddam ci to za pięć tysięcy colonów. Cena specjalnie dla ciebie.

– Fakt, to zupełnie niedrogo.

– To jak, kupujesz? – pyta z nadzieją w głosie.

– Nie.

Taki dialog głuchych zawsze mnie rozwesela. Kiedy ci kretyni stają się zbyt nachalni z tymi swoimi świecidełkami, Diane oświadcza im, że wszystko to jest brzydkie, co ostatecznie kończy dyskusję.

Na szczęście zjawia się Carlos Finca. Udało mu się skontaktować z paroma osobami. Odwiedzamy kolejno Colmana, szefa Casa del Cacique przy Drugiej Alei, grubego Sergio, właściciela punktu skupu złota, dyrektora Galerii Sztuki Prekolumbijskiej i Julio Nargasa, który ma kantor wymiany w Alei Centralnej.

Nie jestem w stanie ubić żadnego interesu, gdyż wszyscy oni zaślaniają się zaświadczeniami o autentyczności przedmiotów, co oznacza wysokie ceny. Prawdopodobnie nieczęsto zdarza im się cudzoziemiec poszukujący imitacji. Tym zawodowym oszustom nigdy nie przyszło do głowy, żeby imitacje sprzedawać jako imitacje, uczciwy handel uwłaczałby ich godności. Trudno. Boli mnie głowa i szybko ucinam jałowe dyskusje. Jeśli zgłoszą się ci cwaniacy z ambasady, powiem im, żeby sami sobie załatwiali sprawunki! Tak czy inaczej, jestem rekonwalescentem i nie mam ochoty się przemęczać.

Jestem nadal w tym stanie ducha, kiedy stary Carlos znów zjawia się w hotelu:

– Francuz, Chocho chce się z tobą widzieć. Twoja propozycja go interesuje.

Nie wierzę w to zbyt, ale nie mam nic do stracenia i idę na spotkanie. W ten sposób poznaję Chocho Verde, największego fałszerza w Kostaryce.

Nie chciałbym, żeby wyglądało, że się powtarzam, mówiąc, iż jest gruby, więc wiedźcie, że tutaj dobrobyt oznacza otyłość. Porządny brzuszek jest zewnętrzną oznaką bogactwa, podobnie jak w Azji.

Chocho Verde jest uśmiechnięty. Jest inteligentniejszy od swoich kolegów, zmierza prosto do celu:

– Dzień dobry, Francuz. Carlos mówił mi, czego szukasz. Za tę cenę mogę ci dać tylko imitacje.

Nareszcie ktoś zrozumiał.

– Zgoda, ale muszą być dobre, żeby przeszły w Europie, a przede wszystkim złoto musi mieć ponad dwadzieścia karatów.

– Chcesz je tam sprzedać?

– Nie, dostałem zamówienie. Ale sądzę, że mój kupiec będzie nimi handlował w Europie.

– Dobrze, pokażę ci kilka rzeczy z mojej wytwórni. Niestety, nie robię tego dużo, bo to staranna robota, ale zaopatruję całe San José.

– Rozmawiałem z Julio Nargasem i innymi, mówili mi głównie o autentykach.

– Zaopatrują się u mnie – mówi z szerokim uśmiechem. – Jeśli kiedykolwiek mieli coś autentycznego, to naprawdę przypadek. Zaraz ci to wytłumaczę. Kiedy ktoś znajduje huacas, nigdy nie zostają one długo na miejscowym rynku. Albo szybko wysyła się je do Stanów, albo moi naganiacze przynoszą je do mnie. Oryginalne przedmioty służą jako wzory. Stosujemy воск, tak jak Indianie. Jak chcesz, mogę ci pokazać kilka moich wyrobów, które są w Muzeum Złota w San José. Jest też parę w muzeach amerykańskich i europejskich. Jestem z nich bardzo dumny! Wystarczy, że ci powiem, iż zdarzyło mi się kupić je jako autentyczne przedmioty, które wyprodukowałem parę lat wcześniej.

– Więc eksperci są tacy słabi?

– Jeśli chodzi o prekolumbijskie złoto, nie ma prawdziwych ekspertów. Udało mi się oszukać najbardziej znanego ze wszystkich, którzy się za takich uważają. Nazywa się Noli i mieszka w Nowym Jorku. Kiedy wysyłał mu większą przesyłkę, umieszczam w niej dziesięć procent autentyków. Zdarzało się już, że odsyłał mi oryginały twierdząc, że są fałszywe. To naprawdę dureń. Co do ekspertów na miejscu, to poza starym Carlosem Holtzerem, który robi się już ślepy, nie ma nikogo...

Uważam, że gruby Chocho lubi się chwalić, ale jego imitacje są doskonałe. Nie jest rzeczą łatwą przekonać go, żeby sprzedał mi swoje

wyroby po dwadzieścia pięć dolarów za gram. W końcu, po dłuższej dyskusji, dochodzimy do porozumienia. W sumie do zapłacenia jest dwanaście tysięcy pięćset dolarów. Będę musiał wpłacić siedem tysięcy jako kaucję za towar i pięć tysięcy pięćset po sprzedaży.

Interes jest dobry, ale jestem w ślepej uliczce. Skąd wziąć pieniądze na kaucję? Z forsy przywiezionej z Osa zostało mi tylko dwa tysiące dolarów. Tymczasem nie mogę przyprowadzić moich klientów do Chocho z dwóch powodów: zależy im na zachowaniu incognito, a poza tym ten stary lis Chocho postarałby się załatwić sprawę bez pośrednika. Rozwiązanie znajduję dzięki francuskojęzycznym turystom, których spotykam u Manola.

*

Trzeba tu powiedzieć, że parę dni wcześniej, w Esmeraldzie, spotkałem paru facetów. Spodobały się im moje wysokie buty, nawiązaliśmy stosunki. Podają się za Kanadyjczyków, jeden to Żyd, repatriant z Algierii, drugi jest hiszpańskim Baskiem. Dwa dni po mojej rozmowie z Chocho znów spotykam u Manola repatrianta Davida Baska Roberto. Ten ostatni pyta mnie, jak szybko zarobić trochę forsy. Młodszy, David, jest sympatyczny, taki paryski cwaniaczek. Roberto jest sprytniejszy, ale nie robi tak miłego wrażenia: to bandyta bez klasy. Spadają mi z nieba. Zobaczymy, jacy są naprawdę.

– Chcecie szybko zarobić tysiąc dolarów?

– Jasne – mówi Roberto. – Co trzeba zrobić?

– Mam na widoku jeden interes, ale brak mi gotówki. Potrzebuję pożyczyć pięć tysięcy dolarów na parę godzin. Jeśli macie tyle, zapłacę wam tysiąc dolarów odsetek.

Patrzą po sobie. David nastawiony jest entuzjastycznie, ale Roberto nie ma zaufania:

– Jaką mamy gwarancję? Co to za interes? W końcu nie znamy się.

Pytania te, choć uzasadnione, denerwują mnie. Gruby Bask nie podobają mi się.

– Słuchaj, grubasie, nie ma dla ciebie żadnych gwarancji. Pytałeś, jak zrobić szybką forszę: masz okazję. A interes to handel sztuką prekolumbijską.

Do rozmowy włącza się David:

– Juan Carlos, nie denerwuj się, Roberto niepokoi się o pieniądze, bo mamy wprowadzić pięć tysięcy dolarów, ale to cały nasz majątek. Zrobiliśmy parę numerów z czekami podróznymi, żeby zarobić taką sumę, i było trochę ryzyka.

– Jak chcecie, mogę załatwić mój deal w pensjonacie America, wynajmę tam pokój obok waszego. W ten sposób będziecie mogli pilnować waszej cennej forsy. Nic więcej nie mogę zrobić.

– Mnie to odpowiada – mówi David.

Roberto ma opory, ale w końcu się zgadza.

*

Następnego dnia załatwiam sprawę z moim Włochem, który już zaczynał się niecierpliwić. Najzabawniejsze jest to, że chciał zachować incognito, a był szpiegowany ze wszystkich stron. Z jednej zaufany człowiek Chocha, który miał mnie pilnować i stale urzędował w hallu. Z drugiej oba pajace. Po godzinie Włoch wyszedł z pięciuset gramami różnych wyrobów ze złota: orłów, żab, czarowników; wszystko świetne imitacje i jako takie zostały sprzedane.

Po spłaceniu wszystkich operacja tą przyniosła mi na czysto sześć tysięcy dolarów. Nie jest to Eldorado, ale wystarczy, żeby wrócić na Osa i zająć się kupnem-sprzedażą. Dokończę rekonwalescencji tam, bo nie chcę przepuścić całego kapitału w San José.

Tego samego dnia David i Roberto zapraszają nas do restauracji, żeby to oblać. Podczas kolacji opowiadam im o Osa i o moich zamiarach. Są bardzo zainteresowani i chcą mi towarzyszyć. Jako prawdziwy oportunistą Roberto proponuje nawet, że odda mi do dyspozycji swoją forszę, w ramach swego rodzaju spółki. Tak bardzo nalegają, że sam nie wiem dlaczego, ale się godzę. Dla nich to ciekawy epizod, dobre wspomnienia na przyszłość, a jeśli coś pójdzie źle, zawsze mogą wrócić do tatusia i mamusi. W moim przypadku przygoda to styl życia i najmniejszy błąd może mieć tragiczne skutki. Takim jak ja zasiłku dla bezrobotnych jeszcze się nie wypłaca.

Nie wiem, czy to ten cholemy ból głowy przeszkadza mi w myśleniu, czy po prostu jestem do nich dobrze nastawiony po przysługach, jaką mi wyświadczyli, dość że umawiamy się na następny dzień.

Całej naszej czwórce kończą się wizy i musimy wyjechać z kraju. Najprościej jest polecieć samolotem na San Andres, małą kolumbijską wyspę o godzinę lotu od San José.

Wieczorem, kiedy jesteśmy sami, zafrasowana Diane pyta mnie:

– Dlaczego chcesz zaprzętać sobie głowę tymi szczeniakami? Dave jest miły, ale to nie ten format. A Roberto to łajza, nie mam do niego zaufania. To wykorzystywacz i hipokryta.

– OK, wiem, że to nie najlepsi faceci. Ale po przysługach, jaką mi oddali, nie mogłem odmówić. Zawsze możemy się rozstać z nimi, jeśli zaczną przeszkadzać.

– Równie dobrze można to zrobić teraz.

– Słuchaj, ślicznotko. Rozumiem, że wolałabyś być sama ze mną, ale co się stało, to się stało. Dałem słowo i nie będę go odwoływał. Jak będzie, zobaczymy.

Jeszcze dziś nie potrafię wytłumaczyć tego błędu inaczej, jak tylko swoją chorobą.

*

Dobrze nam robi podróż na San Andres. Wiem, że już niedługo będziemy w tym syfie na Osa, i pobyt w takiej letniskowej miejscowości jest bardzo przyjemny. Po południu plaża, wieczorem kasyno i cały dzień kokaina.

Jest to jeden z nielicznych przypadków w moim życiu, kiedy w kasynie zachowuję się rozsądnie. Wiem, że czeka mnie akcja, i nie ryzykuję. Właściwie to beczynność pcha mnie do hazardu: gdy tylko zaczynam się nudzić, szukam jakiegoś stołu do gry, i nieszczęście jest blisko. Ostatnie dwa lata były pechowe: kasyna w Makao, Vegas i Panamie zabrały mi około stu pięćdziesięciu tysięcy dolarów, moje ostatnie pieniądze.

Diane zwraca mi uwagę, że nasz krupier zatrzymuje duże banknoty, zamiast wkładać je do skrzynki. Jest bardzo zręczny, potrafi rozdać całą talię kart trzymając w zagięciu dłoni złożony banknot. Wie, że zauważyliśmy jego sztuczkę, i dyskretnie zwiększa nasze zyski, najwidoczniej ma układ z kontrolerem stołu. Roberto, podniecony kokainą i grą, któremu myśl o zbliżającej się wyprawie na Osa uderzyła do głowy, chciałby krupiera zaszantażować. Biedny mały europejski frajer, chciałby się zmierzyć z Kolumbijczykami... Moja odmowa go usadza. Ma ochotę odstawiać twardego, ale zachowuje jeszcze trzeźwe spojrzenie

i woli posuwać się pod moją osłoną. Naprawdę nie jest to dobry nabytek.

*

Powrót do San José odbywa się bez problemów. Na miejscu nasz „koleś” z ambasady francuskiej robi mi wspaniały prezent. Magnum 357, cały chromowany. Broń była już używana, ale jest wspaniała. Chciał mi w ten sposób podziękować za przysługę, jaką wyświadczyłem jego przyjaciółom z tamtej ambasady. Po zrobieniu ostatnich zakupów wsiadamy do samolotu lecącego do Golfito. W mieście są jakieś zamieszki i musimy lądować w Coto 47, małej bananowej miejscowości około czterdziestu kilometrów dalej. Wynajmujemy tu taksówkę bagażową.

Mały, nie rzucający się w oczy Tico prosi, bym zgodził się go zabrać. Kiedy przyjeżdżamy do Golfito, taksówkę zatrzymują demonstranci, którzy blokują ulice. Muszę wynająć barkas, który przewozi nas do łodzi China, cały czas w towarzystwie milczącego małego Tico. Podróż przebiega spokojnie, Dave i Bask są podnieceni zbliżającą się przygodą. Mnie zmęczył cały ten ranek i odpoczywam na dziobie razem z Diane. Przed zaśnięciem przechodzi mi przez głowę myśl, że wciąż nie mam określonego planu co do mojej przyszłej działalności na Osa. Ale zobaczymy na miejscu...

*

Po przyjeździe idziemy wszyscy do baru Jeremy’ego, Rancho de Oro. Spotykam tu Wayne’a, który nadal siedzi przed baterią puszek z piwem. Wygląda, jakby nie wstawał od stołu odkąd się rozstaliśmy. Jego widok sprawia mi przyjemność. Słyszał o mojej chorobie. Ponie-

wał Ticos mają skłonność do przesady, jest zdziwiony, że jeszcze żyję.

– Myślałem, że nie żyjesz. Co się z tobą działo?

Opowiadam mu zwięźle moje przygody w Karate i Madrigal. Historyjka o Gato, którego dobrze zna, rozśmiesza go do łez.

– To twoja ekipa? – pyta, wskazując na Roberta i Dave’a.

– Niezupełnie. To dwaj turyści, którzy mają ochotę na trochę emocji. Jadą ze mną w góry. Mamy mały kapitalik, postaram się, żeby dla nas popracował, będziemy kupować złoto i sprzedawać je w Panamie.

– Dokąd chcesz pojechać?

– Jeszcze nie wiem.

– W takim razie radzę ci Cerro de Oro. Wydobywają tam sporo złota.

– To daleko?

Nadal nie miałem przed oczami mapy Osa, może byłby już czas sobie taką kupić.

– Jedziesz drogą na północ, przekraczasz rzekę Tigre, potem dalej aż do lądowiska w Las Palmas. Potem zapytasz się kogoś, bo trzeba iść ścieżkami w górach.

– Leci tam jakiś samolot?

– Możesz wynająć. Ale to niedaleko, lepiej weźcie ciężarówkę.

W tym momencie Tico, który jechał z nami taksówką, podchodzi i prosi, żeby mógł się do nas dołączyć. Jest mały, tłusty, ma ciemną skórę i dumnie obnosi śmieszna bródkę muszkietera. Tylko jego oczy zdradzają temperament. Gestem zamykam usta Roberto, który już chce go odprawić, i proszę, żeby usiadł z nami.

– Nazywam się Manuel Sanchez Riviera – mówi, ściskając nam dło-

nie. – Słuchałem, o czym mówicie. Ja też przyjechałem tu kupować złoto. Widzę, że znacie okolicę. Gdybyśmy razem pojechali do Las Palmas, moglibyśmy podzielić się kosztami, a na miejscu każdy działałby na własną rękę. W ten sposób zmniejszymy ryzyko.

Wysławia się doskonałą angielszczyzną, i nie wygląda na głupiego. Poza tym obecność jakiegoś Tico w grupie to dobra rzecz. A zresztą, skoro już wziąłem tych dwóch szczeniaków, którzy udają kowbojów, czemu nie zabrać i tego Sancho Pansy?

– W porządku, chcę wyruszyć jutro rano, samolotem do Las Palmas. Jeśli cię to interesuje, możesz jechać z nami.

Kiedy Sancho zajmuje się telefonicznym zamówieniem samolotu w Golfito, podchodzi do mnie Roberto.

– Po co zabierasz tego pajaca? Jest nas wystarczająco dużo, żebyśmy nie musieli jeszcze jego brać sobie na głowę.

– Słuchaj, kutasie, ja tu jestem od podejmowania decyzji. Ty masz tylko prawo nie zabierać głosu. Jak ci się nie podoba, zabieraj swoją forszę i zjeżdżaj.

– Nie denerwuj się, Juan Carlos, tak tylko mówiłem.

Roberto to typ faceta, którego trzeba ostro usadzać, jeśli się nie chce, żeby wlał człowiekowi na głowę. O ile Dave może być sympatyczny z tym swoim wyglądem wiecznie zdziwionego chłopaczka, o tyle oportunizm grubego Baska jest nieprzyjemny.

*

Następnego dnia spożywamy właśnie obfite śniadanie, kiedy pojawia się pilot wynajętego samolotu. Nie robi piorunującego wrażenia. Jest niski, z brzuszkiem, i nosi zbyt dużą czapkę, co nadaje mu naprawdę

kretyński wygląd. No, ale nie wierzymy pozorom, może jest to dobry pilot.

Ku mojemu zaskoczeniu nie lecimy jeszcze od pięciu minut, a już samolot podchodzi do lądowania. Sądząc, że są jakieś kłopoty, pytam:

– Co się stało, przyjacielu?

– To tu. Jesteśmy na miejscu.

Ledwo mam czas porządnie mu przyłożyć w czapkę, co oślepia go na chwilę, i już lądujemy wśród chóralnych śmiechów. Płacę pilotowi, daję mu dobry napiwek, żeby nie gniewał się za ten żart, a przede wszystkim, żeby sobie kupił mniejszą czapkę. Obiecuje, że wróci po nas za trzy dni.

Ponieważ mamy sporo bagażu, wysyłam Dave’a i grubego do Las Palmas po taksówkę.

Kiedy odjeżdżają, Sancho pokazuje mi z dumą broń, jaką nosił ukrytą za pasem. Jest to mały rewolwer bębnekowy kaliber 22, broń dla dzieciaka. Na widok mojego Magnum 357 dostaje straszliwych kompleksów. Biedak, był taki dumny ze swojego gnata!

Las Palmas to ostatnia wioska przed górami. Jest tam właściwie tylko pięć czy sześć domów i knajpka, do której też kierujemy pierwsze kroki. Uniżony właściciel rzuca się, by przygotować nam kawę. Nazywa się Alfredo i potwierdza, że oreros rzeczywiście są w Cerro de Oro, o cztery godziny konnej jazdy. Jest więc już za późno, żeby pojechać tam i wrócić tego samego dnia. Dowiaduję się jednak, że jest też mały obóz o około półtorej godziny drogi, w górę rzeki Rincon. Alfredo sprawia wrażenie łasego na pieniądze i zgadza się wynająć nam konie. Proponuje nawet, że przenocuje nas u siebie.

W obozie nie ma tłoku i udaje nam się kupić zaledwie trzydzieści

gramów złota. Odbylem całą tę podróż po to, żeby wreszcie coś zaczęło się dziać. No i dzieje się, ale głównie dla Sancha. Rzeka wezbrała i trzeba bardzo uważać przy przeprawie. Kiedy wracamy, jego koń ślizga się przy podchodzeniu na brzeg i obaj wpadają do wody, a silny prąd porywa ich natychmiast. Ogarnięty paniką Sancho dostaje się w wiry i wrzeszczy wniebogłosy. Udaje się nam go złapać, kiedy zatrzymują go jakieś gałęzie. Jest do połowy rozebrany i stracił buty.

– Moja torba, moja torba! – krzyczy. – Wszystkie moje pieniądze są przytroczone do siodła!

Na chwilę ogarnia nas panika, ale na szczęście jego koniowi udało się wydostać na brzeg. Siodło przekreśliło się, ale torba nadal jest na swoim miejscu. Dave, który poszedł przyprowadzić zwierzę, donosi mi, że portfel Sancha jest niezłe wypchany, samymi banknotami po tysiąc colonów.

Po tym incydencie wracamy do Alfreda. Postanowiłem, że u niego zamieszkamy. Wolę codzienne osiem godzin konnej jazdy niż życie w błocie.

Alfredo jest trochę zaskoczony dowiadując się, że został właśnie dyrektorem hotelu, ale bez większych oporów przenosi swoje rzeczy, by zająć mały pokój wraz z żoną i dziećmi, zostawiając mi swój pokój, dokąd wprowadzam się z Diane. Trzeba przecież dbać o pierwszych klientów. Pozostali członkowie naszej ekipy usadawiają się w sali jadalnej. Widzę, że Roberto jest niezadowolony, bo też chciałby specjalne przywileje, ale nie ośmiela się głośno protestować.

Wieczorem przekonuję się, że nie omyliłem się co do Sancho. Opowiedział Alfredowi, że jestem bardzo bogaty, że zamierzam kupować mnóstwo rzeczy i że trzeba mnie dobrze traktować. Wysławia się za swobodą właściwą ludziom wykształconym, co tak bardzo imponuje

chłopom. Potrafi zamieszać w głowie frajerowi w kilka minut. To oszust, ale sprytny i szybki. Jego niepozorny wygląd sprawia, że ludzie biorą go za ofermę, ale nie zasługuje na to. Jego jedyny słaby punkt to tchórzostwo, i dlatego instynktownie szuka u mnie ochrony.

W przeciwieństwie do dwóch pozostałych, którzy udają kowbojów i nieustannie się z niego nabijają, sądzę że Sancho jest z całej grupy najwartościowszy. Szybko znajdujemy wspólny język. Cenię jego szybkość myślenia i jego skuteczność, on zaś czuje się ze mną bezpieczny. Spodobał mu się sposób, w jaki zawładnąłem domem Alfreda. Przedstawienie z tym ostatnim trwa i nie waham się wydać trochę pieniędzy, żeby utrwalić swoją reputację. Kiedy późnym wieczorem decyduję, że potrzebujemy świeżych koni na następny dzień, nikomu nie pali się do wyjścia w błoto, w środku nocy, na ciągle lejący deszcz. Syn właściciela, Carlito, poczciwy chłopak, niedorozwinięty umysłowo, biegnie ochoczo, kiedy proponuję mu dwieście colonów.

Spędzam przyjemną noc w przytulnej sypialni. O świcie Alfredo ze swoją megierą przynoszą mi śniadanie do łóżka. Jest to dla mnie miła niespodzianka i chwałę go. Na jego twarzy pojawia się rumieniec zadowolenia. Wygląda na to, że bardzo sobie bierze do serca swoją nową pracę. Na dworze pogoda ohydna, ciągle jednakowo leje.

Całuję Diane na pożegnanie i wychodzę. Przyprowadzają nam trzy konie i małego muła. Mój koń, najsilniejszy, jest już osiodłany i czeka na mnie pod dachem. Obserwuję podstępna walkę moich towarzyszy, z których żaden nie chce jechać na mule. W końcu dostaje go Sancho, powolniejszy albo bardziej bojaźliwy. To dosyć komiczny widok, kiedy ten grubas drepce koło nas, i wszystkich to bawi. Ale niebawem przekonamy się, że to właśnie on wychodzi na tym najlepiej.

Chłopak, który wynajął nam konie, towarzyszy nam, gdyż to on za-

opatrjuje pulperię w Cerro de Oro. Jest pieszo i biegnie truchtem przed nami. Wygląda na to, że nie będzie łatwo, bo ulewa wzmaga się i droga jest w fatalnym stanie, cała rozmiękła. Konie zanurzają się niekiedy aż po pierś w lepkiem czerwonym błocie. Te biedne zwierzęta są wyjątkowo odporne i odważne. Trwa to całą godzinę. Godzinę posuwania się w linii prostej wzdłuż rio w błotach, które niesamowicie wykańczają konie. Potem zaczynają się wzgórza. Rincon wije się w niezliczonych meandrach. Trzeba więc ustawicznie przeprawiać się i pokonywać śliskie brzegi, by kilkaset metrów przejść po płaskim i błotnistym leśnym poszyciu, a następnie wszystko zaczynać od nowa; powtarza się to ze dwadzieścia razy.. Wezbrana rzeka jest głęboka i prąd bardzo silny, na swoim małym mule Sancho wielokrotnie zanurza się prawie całkowicie. Wszyscy mamy wodę powyżej kolan, obok szybko przepływają pnie drzew, a każdy mógłby porwać konia razem z jeźdźcem.

Zejścia i podejścia są męczące, stoki bardzo strome. Ostatecznie okazuje się, że Sancho jest w lepszej sytuacji, bo jego muł stąpa pewnie i wspina się bez trudności. Natomiast konie ślizgają się i wiele razy upadają, staczając się nawet po parę metrów. Za wyjątkiem Sancha jesteśmy wkrótce pokryci błotem od stóp do głów. Gdyby nie to, że panuje dobry humor, podróż byłaby piekłem.

Każdy upadek wywołuje wybuchy śmiechu. Mały Dave nabił sobie ogromnego guza na czole, ale przejażdżka podoba mu się.

– To jednak fantastyczne – mówi, jadąc u mego boku. – O takiej przygodzie zawsze marzyłem. Jak tylko będę mógł, kupię sobie ostrogi i kapelusz. Nie wiesz, gdzie można tanio dostać rewolwery?

– Nie, Dave, żadnej broni. Posiadanie broni to odpowiedzialność, trzeba umieć ją ponosić. Jeżeli masz rewolwer to po to, żeby go używać?

- No tak.
- A jeżeli rozwalisz kogoś przy świadkach, co wtedy?
- No, będę uziemiony.
- A właśnie, a przy okazji my też. Więc póki jesteś ze mną, żadnych gnatów. Możemy się razem wygłupiać, możemy wariować ile chcesz, ale wszystko ma swoje granice, zgoda?
- Zgoda, szefie.

*

Po czterech i pół godziny tej spacerowej przejażdżki docieramy wreszcie do Cerro de Oro. Jest to na granicy parku narodowego rcovado. Wioska składa się z około dwudziestu biednych, brudnych lepianek. Zatrzymujemy konie przed ranchem, które wygląda na mniej rozwalające się od innych i jest położone trochę na uboczu.

Właściciel, Andres, gość o wyglądzie starego pirata, przyjmuje nas całkiem uprzejmie i częstuje kawą. Jest gadatliwy i dużo opowiada o okolicy. Dowiaduję się od niego, że złotem handluje tu już dwóch facetów. Jeden to Europejczyk, Patrick, mieszkający na Osa od piętnastu lat. Drugi to Tico, nazywa się Cartago i prowadzi jedyną pulperię w okolicy. Zdaje się, że Andres nie pała do niego sympatią. To skurwysyn, złodziej. Kupuje złoto za bezcen, a sprzedaje swoje towary pięć czy sześć razy drożej niż normalnie. Jest tu najbogatszy. Nikt go nie lubi, ale wszyscy są od niego zależni.

Kilka minut później jesteśmy gotowi do kupowania złota. Urządziłem się pośrodku wioski, pod dachem z plastyku, pożyczyłem od Andresa stół i krzesło. Przede mną stoi waga, po prawej leży rewolwer, po lewej stos tysiąccolonowych banknotów i kalkulator. Dave i Rober-

to stoją koło mnie, Sancho poszedł naganiać klientów.

Pierwszy chętny to mały bezzębny staruszek. Podchodzi ostrożnie, rozumiem go: nasza grupka nie wygląda zachęcająco.

– Słyszałem, że kupujecie złoto.

– Zgadza się. Jeśli masz do sprzedania, kupuję.

– O, ja nie mam dużo. Tylko jeden gram.

Wyjmuje z kieszeni kawałek folii aluminiowej, w którą zawiniętych jest kilka ziarenek.

– Ile płaci Cartago, właściciel pulperii?

– Sto pięćdziesiąt colonów za gram.

– A to złodziej! A ja zapłacę sto siedemdziesiąt pięć colonów za gram. A tobie, ponieważ wyglądasz pocziwie, dam mały prezent – mówię, dając mu sto osiemdziesiąt colonów.

Odchodzi zachwycony. Płacąc za złoto sto siedemdziesiąt pięć colonów za gram, to znaczy siedem i pół dolara, robię dobry interes, bo w mieście cena wynosi od dwunastu do trzynastu dolarów.

Kilka minut później stary wraca w towarzystwie dwóch oreros.

– Oni też chcą sprzedać.

Kupuję od nich złoto, siedem i dziesięć gramów. Wtedy stary wyjmuje z kieszeni butelkę. Tym razem ma prawie dwadzieścia gramów. Stary kłamca! A właściwie zrozumiała ostrożność!

Ledwo wrócili do obozu przekazać wiadomość o nas, a już napływają sprzedający. Wychodzą ze wszystkich stron i muszą ustawić ich w kolejkę, żeby uniknąć bałaganu. Niektórzy mają bardzo mało, jeden czy dwa gramy, inni większe ilości.

Siedzę tak cały dzień. Sancho robi reklamę i bez przerwy nazywa

mnie „Don Juan Carlos”. Ma dryg do nabierania chłopów. Znając ceny Cartago, opowiada im o spółdzielni, o kontroli sprzedaży, o guarro za pół ceny. Jest tak przekonujący, że po paru godzinach wszyscy są przekonani, że jestem ich wybawcą, że dzięki mnie wszystko się zmieni. Niewiele z tego wszystkiego zrozumieli, oprócz tego, że alkohol będzie tańszy. Sancho nacina ich też za pomocą kalkulatora, kompensując moją szczodrość.

Od czasu do czasu mówię mu głośno, żeby dołożył trochę pieniędzy, bo facet porządnie wygląda albo wydaje mi się sympatyczny. Przyczynia się to do tworzenia mojej reputacji. Jestem teraz dla wszystkich „Don Juan Carlos”.

W całej tej operacji interesuje mnie nie tylko zysk, ale także to, by ludzie mnie poznali. Sancho, który stale usiłuje nacinać poszukiwaczy złota na wadze albo przy liczeniu, niepokoi się moją hojnością:

– Jesteś pewien, że w ten sposób coś zarobimy?

– Nic się nie bój, to metoda „Ben Zyke”. Chcę, żeby wszyscy mnie znali i wiedzieli, że jestem hojny. Po paru dniach takiej akcji już same moje obietnice będą warte tyle, co gotówka.

– Ale to trochę ryzykowne, można przy tym stracić kapitał – mówi ten tępak Roberto.

– Grubasie, to, co tu widzisz, to osiemnaście lat doświadczenia w krajach słabo rozwiniętych. Wyniki gwarantowane.

– A jak się nie powiedzie? – pyta.

– Jeśli się nie powiedzie, to będziesz zrujnowany! Powierzyłeś mi swoje pieniądze, bo mi zaufałeś, więc rób tak dalej. Ale jeśli potrafisz robić kanty z czekami podróżnymi wśród poszukiwaczy złota, nie krępuj się, niech każdy robi to, co umie.

Ta gruba świnia nie potrafi się nie wtrącać i denerwuje mnie to. Parę razy muszę go usadzać, kiedy próbuje mieszać się do transakcji. Po południu zjawia się facet o twarzy gringo.

– To Patrick – szepcze mi Sancho, zaniepokojony, stając bliżej mnie.

Podbijając cenę zgamęliśmy całą jego klientelę. Oczekuję gwałtownej reakcji, jestem gotów.

– Co, przyjechaliście kupować złoto? – mówi.

– Jak widzisz.

– Ile płacicie?

– Sto siedemdziesiąt pięć colonów za gram.

– W porządku, ale nie podbijajcie za bardzo ceny, chłopaki, żebym też mógł trochę kupić.

I to wszystko.

Bardziej go to nie rusza. Nie będzie nam przeszkadzał. Natomiast Cartago się nie pokazuje. Do końca dnia skupiłem dwieście gramów.

*

Zapada zmierzch, kiedy daję sygnał do odjazdu. Podróż w tę stronę była ciężka, ale powrót w nocy przez dżunglę będzie gorszy. Nie widać absolutnie nic, całe szczęście, że konie znają drogę. Trzeba kłaść się zwierzętom na szyi, żeby nie dostać gałęzią prosto w głowę. Jest po dziesiątej, kiedy docieramy do Las Palmas, przemoczeni, ubłoceni i wyczerpani.

Szybko jemy świetny posiłek przyrządzony przez żonę Alfreda, pod kierunkiem Diane. Alfredo nadal jest bardzo usłużny, przynosi mi do

pokoju wiadra gorącej wody, żebym mógł się umyć. Wszyscy szybko padają na łóżka, dziś w nocy o czwartej ruszamy z powrotem.

*

Następnego dnia w Cerro de Oro sprzedający przychodzą ze wszystkich stron. Cartago się nie zjawił, mówię o tym ze starym Andresem:

– Ten tchórz nie przyjdzie. Jest bez jaj. Powinieneś otworzyć tu pulperię – mówi mi.

– Myślałem o tym. Będę musiał tu wybudować mały dom.

– Jak chcesz, możesz używać mojego rancha.

– Wspaniale! Za ile mi je wypożyczysz?

Stary Andres musi rzeczywiście nienawidzić Cartago, bo odpowiada:

– Za darmo. Jeśli tylko udupi to tego sukinsyna, będę zadowolony.

*

Tego wieczoru, kiedy Dave i Roberto już padli, Sancho bierze mnie na stronę:

– Podoba mi się bardzo sposób, w jaki prowadzisz interesy. Chciałbym, żebyśmy zostali współnikami. Mam w tej chwili sześć tysięcy dolarów i kilka traktorów, odziedziczonych po moim ojcu, mam też landrower i jacht. Jeśli mogą się do czegoś przydać, są do twojej dyspozycji. Pomyśl o tym!

Na myśleniu spędzę całą noc. To, czego w ciągu paru dni dowiedziałem się o okolicy, w połączeniu z propozycją Sancha każe mi widzieć przyszłość w nowym kształcie. Wszystko zaczyna się układać, powoli powstaje plan.

Rano naradzam się z Sanchem.

– Dużo myślałem tej nocy – mówię mu. – Sądzę, że powinniśmy wrzucić wyższy bieg. Musimy działać na wielką skalę, a przede wszystkim szybko. Jeśli dasz radę, wybijemy się błyskawicznie. Czy jesteś gotów wszystko postawić na współpracę ze mną?

– Mam do ciebie pełne zaufanie. Jeśli dalej będziemy tak współpracować, jestem gotów iść za tobą na całego. Tylko jedna sprawa: chcę pracować z tobą, tamci dwaj mnie nie interesują.

– Nie obiecywałem im niczego, ale lubię być lojalny. Oddali mi przysługę. Zatrzymam ich przy sobie miesiąc, żeby mogli trochę zarobić. Potem możemy się rozstać.

– Wolałbym, żeby zniknęli szybciej, ale rozumiem cię.

– Doskonale, jedna sprawa załatwiona. A teraz powiedz mi, czy możesz dysponować landrowerem i łodzią natychmiast i jakiej mocy jest silnik jachtu?

– Mogę je mieć od razu, należą do mnie. Silnik ma czterdzieści pięć koni. Co do traktorów, muszę się skontaktować z matką, ona zajmuje się sprawami rodziny. Ale jak się dowie, że to poważna sprawa, nie będzie robić trudności.

– W porządku. W takim razie proponuję, żebyśmy zostali współnikami przy wydobywaniu złota nad Rincon. Ty dajesz maszyny, ja swoją znajomość złota i zmysł handlowy. Czterdzieści pięć procent dla ciebie, pięćdziesiąt pięć dla mnie!

– Dlaczego taka różnica? – pyta.

– Po prostu dlatego, że nie potrafię wyobrazić sobie spółki z równymi udziałami. Miałbym wrażenie, że jestem niedoceniany, a to nie wpływa dobrze na interesy. Mam nadzieję, że potrafisz to zrozumieć.

– We wszystkim działasz inaczej niż inni, więc można się spodziewać, że rozumujesz też inaczej. Dobra, niech tak będzie – mówi, wyciągając rękę.

– W porządku! Skoro zgodziliśmy się, dawaj forszę i idź obudzić tamtych frajerów. Mamy dużo do zrobienia.

Po upływie dziesięciu minut cała piątka siedzi przy stole popijając pierwszą poranną kawę. Wyjaśniam Dave’owi i Roberto układ, jaki zawarłem z Sanchezem.

– Ale na swoją forszę musicie zapracować. Obaj zajmiecie się pulperią, którą mam zamiar założyć w Cerro de Oro, u Andresa. Wspólnie ustalimy ceny towarów. Będziemy sprzedawać przede wszystkim alkohol, to daje największy zysk. W porządku?

– Tak czy owak, nie mamy wielkiego wyboru – odpowiada Roberto.

– Zgadza się. Ale nie bójcie się, nie stracie na tym.

Dave jest zarazem i zawiedziony, i szczęśliwy. Zawiedziony, że przyskłada koniec się za miesiąc, szczęśliwy, że nie stanie się to jutro. Roberto trochę się boczy, bo czuje, że wymyka mu się dobry interes, i żałuje, że nie potrafił go wykorzystać. Podsumowuję.

– Diane i ja zostajemy tutaj. Wy wyruszacie do roboty. Musicie zdążyć na samolot, który przylatuje dziś rano. Polecicie nim do Golfito. Stamtąd weźmiecie samolot Samsy do San José. Sancho i Roberto robią zakupy dla pulperii, zaraz zrobię listę. Sancho, daję ci trochę forsy, będziesz za nią odpowiedzialny. Po zrobieniu zakupów ty, Roberto, wynajmiesz samolot, żeby to wszystko przewieźć tutaj. Sancho i Dave, sprowadzicie samochód i jacht lądem. Pamiętajcie o rezerwacji na promie dla samochodu. Macie czas to wszystko załatwić w trzy dni. Teraz pośpieszcie się, bo niedługo będzie tu samolot. Wszystko jasne, żad-

nych problemów?

– Nie, w porządku! – odpowiadają.

– Dobrze. Sancho, chodź do mojego pokoju, dam ci pieniądze.

Kiedy jesteśmy sami, mówię mu:

– Jesteś odpowiedzialny za tę forszę. Pilnuj, żeby Roberto nie naku-pował jakichś głupstw.

Ponieważ obaj się nienawidzą, wysyłając ich razem jestem pewien, że będą się dokładnie nawzajem pilnować. Po godzinie już ich nie ma i nareszcie zostajemy sami z Diane.

*

Popołudnie spędzam na uczeniu jej strzelania z Magnum 357. Ticos, przyzwyczajeni do suchych odgłosów kalibru 22, są przerażeni wystrzałami z Magnum, które brzmią jak strzały z armaty. Dwa dni później jedziemy zobaczyć obóz oddalony o dwie i pół godziny od Cerro de Oro. Wypożyczyłem trzy konie, żeby mieć jednego na zapas. Diane nie odstaje, jeździ doskonale. Z pistoletem Sancha za pasem imponuje Ticos dużo bardziej, niż moi dwaj kowboje. Jest bardzo kobieca, ale jednocześnie emanuje z niej siła charakteru, co robi duże wrażenie na tutejszych facetach, przyzwyczajonych do grubych, rozlazłych krów. Diane umie wymóc szacunek i czują to. Sekunduje mi bez zarzutu i w ciągu dnia kupujemy sto siedemdziesiąt gramów złota.

Wieczorem wracamy do Cerro de Oro spędzić noc w naszym przysłym kantorze. Stary Andres, bardzo usłużny, pożycza nam dwa hama-ki.

Zauważyłem w oddali Cartago, właściciela pulperii. Wygląda, jakby chciał nas unikać. Dla śmiechu Diane macha mu przyjaźnie ręką, co

zmusza go do zrobienia tego samego. Czuję, że będziemy dobrymi sąsiadami...

*

Wracamy do Las Palmas następnego dnia wczesnym rankiem. Mam nadzieję, że wszyscy będą punktualni i że będzie można szybko wystartować. Pierwszy przyjeżdża Dave... za kierownicą landrowera. Wszystko poszło dobrze i przywiózł nawet mały silniczek pomocny przy płukaniu złotonośnego szlamu. Następnie jedziemy po Sancha, który powinien już być na przystani w Playa Blanca. Zostawiamy łódź pod opieką żony Andresa, starej czarownicy, która puszcza się od czasu do czasu.

Samolot przywozi Roberto niedługo później. Towaru jest prawie tonna i musimy obracać samochodem parę razy, żeby wszystko wyładować. Alkohol stanowi ponad połowę ładunku, reszta jest dość zróżnicowana: ryż, frijoles, pasta do zębów, aż po podłe komiksy, które są ulubioną lekturą oreros.

Kończymy właśnie składanie tego wszystkiego tymczasowo u Alfreda, kiedy przychodzi do mnie Sancho, trochę skrepowany.

– Juan Carlos, nie wiem, czy dobrze zrobiłem, pozwoliłem Roberto wi kupić sobie rewolwer – mówi mi.

– Kurwa! To niesamowite! Więc nie masz więcej oleju w głowie niż tamci! Powinieneś wiedzieć, że to początek kłopotów. Do cholery, nie przyjechaliśmy tutaj, żeby się bawić!

– Tak, wiem, ale cały dzień zamęczał mnie opowiadając, że część pieniędzy należy do niego, że bierze na siebie odpowiedzialność, że to się przyda w górach itd. Poza tym dał mi do zrozumienia, że w zasa-

dzie ma twoją zgodę.

– Nigdy w życiu. No, dobra, skoro już się stało, trzeba teraz coś zrobić. Zawołaj no tu tego dumnia.

Przychodzi Roberto, ma już rewolwer za pasem, to brazylijski kaliber 38 z długą lufą.

– I co, zadowolony jesteś? – mówię mu. – Kaprys spełniony?

– Słuchaj, Juan Carlos, to nie jest tylko kaprys. Jeśli Dave i ja mamy sami zostać tam na górze, broń może być potrzebna. W końcu będziemy tam mieli sporo złota, jeśli wszystko dobrze pójdzie. Poza tym w naszym kapitale jest też część mojej forsy. Możesz odliczyć ten zakup z mojej części zysków.

Nie mam ochoty tracić czasu na takie historie. Męczy mnie już, że wszystko im muszę mówić.

– W porządku! Masz go! Stało się! Ale to na twoją odpowiedzialność. W razie kłopotów na mnie nie licz. I możesz go nosić wyłącznie w pulperii. Nie chcę go w ogóle tutaj widzieć, i żebyśmy już do tej sprawy nie wracali.

Całe szczęście, że za miesiąc już ich tu nie będzie!

*

Następnego dnia zaczynamy przewozić towar do Cerro de Oro. Wynająłem dziewięć koni, ale zajmie to sporo czasu. Szklane butelki tłukłyby się w czasie upadków, więc żeby ograniczyć straty musimy obciążać konie minimalnie, nie więcej jak po trzydzieści kilo. Żeby wszystko przewieźć potrzeba kilku dni. Roberto zostaje na górze, podczas gdy ja pilnuję przewozów. Nasz przewodnik też zabiera część ładunku, to on zwykle zaopatruje pulperię Cartago. Ten ostatni ma przed

sobą widmo plajty i zaczyna być porządnie niezadowolony. W Cerro de Oro karawana dziewięciu koni załadowanych alkoholem to wielkie wydarzenie. Moje obietnice zaczynają wyglądać realnie.

Pomimo naszej ostrożności mamy pewne straty, bo zwierzęta jednak od czasu do czasu się przewracają: tłuką się głównie butelki, no i parę tubek pasty do zębów przybrało dziwne kształty. Cały ładunek nabral silnego zapachu guarro, nawet komiksy. Tym lepiej, to przyciągnie klientów. Jak zabraknie alkoholu, zawsze będą mogli destylować mydło.

Zostaję na pierwszy dzień, żeby nadzorować otwarcie. Moje ceny są o dwadzieścia pięć procent niższe od cen Cartago, ale i tak zyski są ogromne: dochodzą do czterokrotnej wartości cen zakupu w San José, odliczając koszty transportu. Za towar można płacić w colonach albo w zlocie. Od pierwszego dnia mamy tłumy klientów.

Teraz, kiedy pulperia działa, mogę zostawić Dave'a i Roberto samych i zająć się drugą częścią naszej działalności z Sanchezem. Na mapie sztabowej zakreśliliśmy teren długości czterech kilometrów wzdłuż brzegu rzeki Rincon.

Mój plan jest prosty. Wiem, że chociaż w górze rzeki jest złoto, znajduje się ono również w dolnym biegu. Jest to jednak złoto drobne, które można wydobywać mechanicznie. Mój projekt polega na tym, by wykupić ziemie w dole rzeki i wprowadzić na nie maszyny albo później je sprzedać. Przeprowadzamy więc zwiad na miejscu i jesteśmy w ciągłym ruchu, odwiedzając właścicieli rozproszonych wzdłuż rzeki.

Moja metoda zakupu ziemi oparta jest na kilku zasadach. Po pierwsze, właściciele nie są poszukiwaczami złota. To drobni farmerzy, którzy wegetują sadząc trzy banany i dwa strąki fasoli, nie myśląc o wydobywaniu złota na swoich gruntach. Ponadto playones, jak nazywają tu

te ziemie, nie nadają się do uprawy: są położone nad samą rzeką i często zalewane. Ich wartość jest więc bardzo mała i mogę je kupować po bardzo niskich cenach.

Po drugie, i jest to punkt najważniejszy, cała ta operacja bazuje na spadku wartości miejscowej waluty w stosunku do dolara. W ciągu trzech miesięcy kurs tego ostatniego wzrósł z ośmiu do dwudziestu pięciu colonów, i to jeszcze nie koniec. Tak szybka dewaluacja może się tylko nasilić, i jest mi to na rękę, bo sprzedam złoto w Panamie za dolary.

Od ręki wypłacam każdemu właścicielowi dwa do trzech procent sumy w zamian wypisuje mi pokwitowanie, które, choć prawnie jest bez wartości, blokuje możliwość sprzedaży ziemi. Umawiamy się, że pozostała część należności rozłożona zostanie na raty na okres roku, bez odsetek. Jest oczywiste, że do tego czasu, wobec wzrostu kosztów utrzymania i przy stałym spadku wartości colona, ustalona cena stanowić będzie mniej więcej równowartość pół kilo ryżu za hektar...

Oczywiście, jest to szyte trochę grubymi nićmi, ale dla miejscowego chłopca rozumowanie takie jest zbyt skomplikowane. Całkowicie otumanieni przez Sancha ci ludzie rozumieją tylko jedno: jakiś wariat chce im dać pieniądze za ziemię bez wartości. Ponadto obiecuję każdemu pracę dla przynajmniej jednego członka rodziny, bo zawsze znajdzie się jakiś kretyn, który widział już kiedyś traktor albo który ma jakieś ogólne wyobrażenie o tym, jak posługiwać się łopatą.

W ten sposób wszyscy są zadowoleni. Oni pozbywają się zbędnych gruntów, a ja za bezcen staję się właścicielem terenu długości czterech kilometrów, na którym znaleźć można złoto.

Po porozumieniu się ze wszystkimi właścicielami mam zamiar zaprowadzić całą grupę do adwokata, aby zalegalizować umowy. Wszyst-

ko to jest dosyć wyczerpujące. Sancho i ja wracamy do Las Palmas późnym wieczorem i ponownie wyruszamy przed świtem. Mało zajmuję się zakupem złota, bo liczę na obroty pulperii.

Niestety, na górze nie idzie tak, jak bym sobie życzył. Dave i Roberto szaleją i muszę ich kontrolować. Kiedy przyjeżdżam rano, zawsze na ziemi leżą zalani w trupa Ticos. Nie wygląda to porządnie, a ja nie lubię u siebie bałaganu. Mam na nich specjalny sposób. Strzelam w ziemię o pięć centymetrów od ich głów. Choć są całkowicie pijani, zwykle zrywają się na równe nogi i wylatują na dwór, nie starając się zrozumieć, co się dzieje. Jest to niezła rozrywka, ale wolałbym, aby sprzątanie odbywało się przed moim przybyciem. Ponadto Dave, cały zadowolony, oznajmia mi, że pod koniec wieczoru podnoszą ceny, wtedy kiedy klienci są już pijani.

– To, co robicie, to głupota – mówię im. – To nie ma sensu. Nie wzbogacimy się oszukując paru facetów na piętnaście czy dziesięć colónów. Nie przyjechaliśmy tutaj dla szybkiego i podłego zysku. Ja działam na dużą skalę. Do tego trzeba się tu zdomowić i wzbudzić zaufanie.

– To nie są wielkie sumy...

– Tak, ale to szkodzi naszej reputacji. Sancho i ja jeździmy po całej okolicy i opowiadamy o współpracy, o spółdzielniach, a wy, żeby zarobić szybko trzy grosze, popełniamie ten sam błąd, co Cartago. Ta nędzna forsa, którą w ten sposób zyskacie, nie pokryje nawet napiwków, jakie zostawiam chłopom, u których piję kawę.

– Ale nikt nie zdaje sobie sprawy....

– Zawsze znajdzie się jakiś kretyn, który coś zauważy. Poza tym nie podoba mi się ta sklepikarska mentalność. To, że sprzedajemy guarro pięć czy dziesięć razy drożej, to normalne. Jeśli chcą się upić, muszą za

to zapłacić. Płacą za ryzyko, jakie podejmujemy sprzedając alkohol bez licencji. Ale oszukiwać trzy czy cztery colony na produktach spożywczych...

– W porządku, nie wiedziałem, że nie uznajesz naciągania frajerów.

– To nie jest naciąganie. To nędzne, małe oszustwo. Takie małe rzeczy to za łatwe.

*

Pomimo wszystko zyski są bardzo wysokie. Ilość złota szybko się powiększa, bo wszyscy kupują u nas.

Po tygodniu zapas alkoholu zostaje wyczerpany. Czteryście litrów w sześć dni, gratuluję! Jestem szczęśliwy, że mogłem sprowadzić do tego górskiego zakątka dobrodziejstwa cywilizacji!

*

Kiedy przygotowujemy się do odnowienia zapasu, Roberto i Dave mówią mi, że nie chcą już siedzieć tam, na górze.

– Nudno tu. W ciągu dnia oreros pracują i nie ma nikogo. Wieczorem wszyscy się tu złączą, schlani, i musimy znosić ich idiotyzmy.

– Zachowujcie dystans.

– Mimo wszystko nie jest zabawne żyć tutaj na stałe. Trudno mieć do nich pretensję.

– W takim razie co proponujecie? Zamknąć pulperię?

Nie, rozmawialiśmy o tym z wnukiem Andresa, zgadza się dla nas pracować. Jest uczciwy i łatwo go będzie kontrolować. W ten sposób będziemy mogli jeździć z tobą.

Znam chłopaka, i fakt, że można mu zaufać. Tak czy owak, na pewno nie robi więcej głupstw niż ci dwaj.

*

I znów wszyscy spotykamy się w Las Palmas. Atmosfera jest czasem trochę ciężka, zwłaszcza z powodu grubego Roberta, który nie ma żadnego *savoir vivre*'u i zachowuje się jak świnia. Diane kilkakrotnie przywołuje go do porządku, ale jest to nieprzyjemne. Natomiast dochodzę do wniosku, że Dave jest całkiem sympatyczny. Jest wprawdzie całkowicie nieodpowiedzialny, robi sporo głupstw bez poważnych następstw, ale wprowadza do naszych stosunków element wesołości. Jest zawsze roztargniony i dużo rzeczy psuje. Udaje mu się nawet spowodować początek pożaru w kawiarni.

Nasza obecność ożywia wioskę. Jest mała, do naszego przyjazdu była spokojna i nigdy nie widziała takiego burdelu. Czasami spędzamy w niej kilka dni pod rząd, odpoczywając i wygłupiając się. Jest sporo strzelaniny, bo udając, że ćwiczymy, co wieczór strzelamy sobie na tylnym podwórku, na końcu którego przechodzi ścieżka. Po zapadnięciu zmroku nikt nie ośmiela się na nią zapuścić. Na pewno trochę przesadzamy, ale dzięki mojej reputacji hojnego miliardera, który ma lekkiego fioła, nikt nie ma odwagi podnieść głosu. Zajęliśmy już kawiarnię całkowicie i stajemy się coraz bardziej znani.

Rozeszła się pogłoska, że Don Juan Carlos kupuje ziemię, i często rankiem grzecznie czeka na mnie parę osób. Jedni przychodzą proponować mi swoją ziemię, inni mają najróżniejsze pomysły. Sancho, doskonale odgrywający rolę sekretarza, przysyła mi ich pojedynczo i wysłuchuję ich jedząc śniadanie, po czym podejmuję stosowną decyzję. Większość przychodzi, żeby opowiadać brednie, więc odsyłam ich do

diabła.

Zaczynam kłaść łapę na okolicy i nie tracimy żadnej okazji, żeby umocnić swoją pozycję.

*

Któregoś dnia wioska organizuje tumo. Jest to rodzaj jarmarku z orkiestrą, a przede wszystkim okazja do wypicia. Jako „notabl” muszę uczestniczyć.

W pewnym momencie jeden z chłopów wystawia na licytację małego piezzonego prosiaka. To zaczyna być interesujące! Żeby przedłużyć zabawę, podbijam ostatnią cenę trzykrotnie. Ku mojemu zdumieniu ktoś wykrzykuje sumę wyższą. To mój stary przyjaciel Cartago, który przyszedł wziąć udział w święcie i chce mnie przelicytować. Poczekaj staruchu, ja ci pokażę.

Cena idzie w górę w sposób niewiarygodny, osiągając niebotyczny poziom. Tu chodzi o prestiż i Cartago musi przegrać. Ale ten bałwan upiera się. Mam nawet ochotę dać mu wygrać, żeby zobaczyć, jak będzie płacił. Ale muszę bronić swojej reputacji, bo dla Ticos ten, kto wygra prosiaka, będzie silniejszy. Każda nowa stawka witana jest okrzykami radości. W końcu mój przeciwnik kapituluje wśród powszechnych drwin, i zabieramy prosiaka za równowartość dwustu pięćdziesięciu dolarów, zupełnie wariacką cenę w owym czasie.

Najbardziej cieszy się hodowca: za tę cenę byłby gotów oddać całą swoją trzodę, fermę i żonę. Szpan zawsze mnie bawił, więc wysłałam Sancha do mikrofonu, żeby ogłosił, że spółka stawia uczestnikom zabawy skrzynkę piwa. Wywołuje to entuzjazm.

Powtarzam ten numer przez całą noc. Daję znak piosenkarzowi, a ten

ryczy do mikrofonu:

– I jeszcze jedna skrzynka w prezencie od spółki!

Wywołuje to natychmiastowy run na bar, potężną przepychankę przy akompaniamencie okrzyków: „Niech żyje spółka! Niech żyje Don Juan Carlos!” Normalnie orkiestra gra do północy, ale płacę chłopakom, żeby grali do czwartej rano pod warunkiem, by krzyczeli „Niech żyje spółka!” po każdej piosence. Okrzyk podchwytyją wszyscy.

Ponieważ nie pijemy alkoholu, palimy ogromne skręty przez całą noc, siedząc spokojnie przy stoliku i napawając się widokiem.

O świcie łąka wokół orkiestry zamieniona jest w błotnisty placyk, błotem pokryci są wszyscy, a kilkunastu facetów schlanych na umór leży na ziemi. Po takiej zabawie nikt od Dos Brassos do Las Palmas nie może nie wiedzieć o spółce.

*

Nadal kupuję ziemię, ale teraz to chłopci przyjeżdżają prosić, żebym ich odwiedził. Jedziemy zawsze wszyscy i korzystam z tego, by przeprowadzać na każdej parceli małe badanie zawartości złota.

Któregoś dnia pojechaliśmy obejrzeć teren o półtorej godziny drogi od Las Palmas. Towarzyszy nam Carlito. Kiedy zbieramy się w drogę powrotną, Dave proponuje spływ „pniomobilem”. Polega to na tym, żeby dać się ponieść prądowi w wezbranej rzece, uczepiwszy się jednego z licznie przepływających pni drzew. Pomyśl jest wariacki, bo prąd jest bardzo silny, ale przyjmujemy go z entuzjazmem, za wyjątkiem Sancha. Powierzam broń i pieniądze Diane, która wraca z Carlitem i końmi. I wchodzimy do wody.

Płynie się bardzo szybko, czepiamy się pni w pojedynkę albo w pa-

ru, Sancho jest przerażony i każdy zabawia się popychaniem go. Często pień zaczepia o brzeg albo zatrzymuje się wśród gałęzi, a czasem prąd robi się szybszy i rzuca nami o skały. Jesteśmy trochę poobijani, ale jest dużo śmiechu. Naprawdę niebezpiecznie jest tylko wtedy, kiedy trafiamy na wiry. Niekiedy zdarza się zaporą z gałęzi, woda przepływa pod nimi i dosłownie nas wsysa. Jest to przerażające, bo kiedy pień zbyt się zanurza, prąd dociska nas do dna i nie ma możliwości wypłynąć na powierzchnię. Sancho pierwszy zniknie w ten sposób całkowicie pod wodą, po czym pojawi się pięć metrów dalej, na wpół utopiony. To samo przydarza się kolejno każdemu z nas. Ale takie są reguły gry.

Docieramy do domu zziębnięci na kość. Nasza rzeczna eskapada trwała trzy godziny.

*

Rozmawiałem praktycznie z wszystkimi właścicielami gruntów i, pomiędzy dwiema wyprawami, jedziemy na górę kupować złoto. Pulperia nadal działa, wnuk Andresa jest w porządku i przyjeżdżam pobrać z kasy pieniądze raz na tydzień. Dwukrotnie już odnowiliśmy zapas alkoholu, który przywozimy z Golfito łodzią.

Pewnego ranka ruszamy z kopyta i widzę, jak Dave, którego siodło jest źle zamocowane, powoli traci równowagę, jak na zwolnionym filmie, by wreszcie spaść na ziemię. Bardzo nas to bawi, zwłaszcza Sancho, który mści się jak tylko może. Po godzinie zresztą sam fika wspinałego kozła i wali się na ziemię. Rzecz wygląda poważniej, i jest trochę zamroczony. Dopiero przyjazne, ale energiczne uderzenia dłonią po policzkach przywracają mu przytomność. Po południu, kiedy znów galopujemy wśród krzaków, przychodzi kolej na mnie: uderzam głową

w gniazdo os zawieszzone pod jakąś gałęzią. Uderzenie wyrzuca mnie z siodła i ląduję na ziemi nie zdążywszy nawet jęknąć, do czego miałbym pełne prawo. Osy bowiem atakują mnie natychmiast i muszę uciekać, a za moim przykładem idą konie, które rozbiegają się na wszystkie strony: ukłucia owadów doprowadzają je do obłądu.

Takie są właśnie te przyjemne momenty, które dodają smaczku naszemu codziennemu życiu.

Podczas naszych zakupów złota Sancho nie może się powstrzymać od oszustw. Używając wagi i kalkulatora zyskuje po parę colonów na gramie. Nie popieram tego, ale pozwalam mu działać, bo jest to zgodne z jego charakterem skąpca. Fakt, nie ma żadnej chwały w okradaniu w ten sposób analfabetów, jakimi są poszukiwacze złota, którzy i tak nie osiągają zbyt wielkich zysków. Któregoś dnia zauważają machlojki Sancha i ogarnia ich wściekłość. Pozwalam im trochę przetrzepać mu skórę, żeby miał nauczkę. Kiedy zabierają się do pokrajania go na kawałki, wyciągam broń: nie mogę pozwolić, żeby mi go zlikwidowali, jeszcze go potrzebuję!

Robi mi Wyrzuty, że nie interweniowałem wcześniej. Wyjaśniam mu: – Skoro oszukujesz, musisz ponosić za to odpowiedzialność. Nie podoba mi się twoje postępowanie, ale nie zostawiłbym cię samego: chciałem tylko, żebyś zrozumiał.

Poza tą drobną wadą Sancho robi doskonałą robotę. Dzięki jego podejściu do chłopów, sposobowi, w jaki przedstawia mnie i przyjmuje Ticos w Las Palmas, zrobiliśmy duże postępy w skupywaniu gruntów. Mój zapas złota dochodzi do dwóch kilogramów, ale chcę dalej kupować jak najwięcej, bo spadek colona jest coraz szybszy.

Jedynym mankamentem całej sytuacji jest to, że utrzymanie pięciu osób na przyzwoitym poziomie kosztuje dosyć drogo i że stałe przeby-

wanie razem staje się nieco uciążliwe. Któregoś dnia, chcąc być z Diane sami, wyjeżdżamy we dwoje jeepem do Puerto Jimenez, żeby kupić trawkę. Ale przybór wód uniemożliwia przeprawę przez rzeki samochodem, więc decydujemy się popłynąć łodzią do Golfito. Roberto ma po nas przyjechać do Playa Blanca o czwartej po południu.

Podróż w tamtą stronę przebiega bez problemów i po kupieniu trawki urządzamy sobie wspaniały obiad z Wayne'em, który cieszy się z ponownego spotkania. Wyjeżdżamy o drugiej, bo na przepłynięcie zatoki potrzeba około półtorej godziny. Leje jak z cebra, ale nie niepokoję się tym. Jesteśmy w połowie drogi, kiedy wybucha burza. Sztorm na zatoce, nie wiedziałem nawet, że coś takiego istnieje! Zrywa się wiatr, fale uderzają ze wszystkich stron i zalewają łódź. Przekazuję ster Diane, która jest lepszym żeglarzem ode mnie, i biorę się za wybieranie wody. Ulewa wzmacnia się, i po dziesięciu minutach nie widać zupełnie nic, żadnego brzegu, tracimy orientację. Płyniemy na ślepo, starając się przede wszystkim unikać dużych fal. Po kilku godzinach kręcenia się w kółko zauważamy nagle, przez krótką chwilę, w przerwie między kolejnymi atakami deszczu, jakieś wzniesienia dokładnie przed dziobem. Diane steruje w tamtym kierunku mając nadzieję, że nie będzie po drodze podwodnych skał. Ku naszemu wielkiemu zaskoczeniu udaje się nam dobić do plaży. Trzeba wyciągnąć łódź daleko w piasek, bo fale mogłyby ją porwać jak żdźbło słomy. Zupełnie nie znamy tego miejsca. Kierujemy się ku chatce rybackiej, gdzie jakiś starzec, osłonięty przed deszczem, patrzy w naszym kierunku.

Udziela nam gościny i dowiadujemy się, że jesteśmy w Playa San-cudo, o dwadzieścia kilometrów na południe od punktu wyjścia! Jeszcze godzina i znaleźlibyśmy się na pełnym oceanie w tej naszej łupince... Śpimy u starego i rankiem wyruszamy. Szybko docieramy do Playa Blanca, gdzie wszyscy już myśleli, że zatonęliśmy. Żeby prze-

ciąć wylewne powitania, każę siodłać konie i natychmiast wyruszamy w góry.

*

Dziś zrobiłem małe podsumowanie. Jesteśmy na półwyspie praktycznie od miesiąca, mam ponad dwa kilogramy złota, około dwudziestu czterech tysięcy dolarów, i zostało mi już tylko trzy tysiące dolarów gotówką: czas przejść do dalszej części programu. Roberto i Sancho pojadą do Panamy sprzedać złoto i przywieźć dolary; razem z Diane i Dave'em będziemy na nich czekać w San José. Później pojadę z Sanchem do jego matki, żeby omówić nasze plany „maszynowe”.

*

Wyjechaliśmy wcześniej rano. Po bezproblemowym przepłynięciu zatoki dobijamy do przystani w Golfito. Czeka tu brat Sancha.

Telefonowaliśmy do niego wczoraj wieczorem, i jechał całą noc, żeby dostarczyć nam rodzinny samochód, który zawiezie Sancha i Roberto do Panamy. Szybkie powitanie i odjeżdża na lotnisko. Przekazujemy łódź Wayne'owi, po czym wszyscy razem jedziemy do Villa Nelly, małego miasta oddalonego o około dwadzieścia kilometrów od granicy panamskiej. Chcę zostawić ich samych dopiero w ostatniej chwili, żeby upewnić się, że wszystko idzie dobrze.

Jest małe ryzyko: moment przekraczania ze złotem granicy. Bank w Kostaryce bowiem nie skupuje jeszcze złota po cenach międzynarodowych. Gdyby celnicy coś wyczuli, oznaczałoby to konfiskatę kruszcu, wysoką grzywnę, a może nawet więzienie. Po tylu wysiłkach byłby to naprawdę pech. Umieszczam nasze dwa kilo w oparciu fotela kierowcy. Małe są szansę, by skrupulatnie przeszukali kostarykański samo-

chód. Udzielam ostatnich instrukcji:

– Sancho, ty odpowiadasz za złoto. Nie rozstawaj się z nim nigdy. Masz z nim spać i srać. Ty, Roberto, zapewniasz ochronę Sancha, ale złota nie dotykasz. Jasne?

Gruby Bask jest dotknięty, ale przytakuje. Mówię dalej:

– Tu jest adres Alda, to mój przyjaciel, Włoch, który mieszka w Panamie. Zaprowadzi was do Nata Mendeza, poważnego jubilera, który dobrze płaci. Inna sprawa: jak tylko sprzedacie złoto, wracacie natychmiast do San José, będę tam na was czekał. Nie wydawajcie za dużo, powodzenia.

Na lotnisku w Villa Nelly czeka nas przykra niespodzianka, samolot już odleciał. Następny będzie dopiero jutro. Villa Nelly jest zbyt obrzydliwe, by siedzieć tam choćby dwadzieścia cztery godziny, więc postanawiamy wracać do Golfito taksówką.

*

Po południu, w hotelu Delfina, jesteśmy z Diane w trakcie sjeisty, kiedy do drzwi puka Dave.

– Wejdz.

– Nudzi mi się. Fajnie byłoby mieć trochę trawki. Naprawdę musisz?

Wiesz, jestem sam i nudzi mi się.

Dobra, poczekaj na mnie w swoim pokoju. Przyjdę po ciebie. Diane, niezadowolona, zwraca mi uwagę:

– Jesteś zbyt miły dla Dave’a. Jutro wyjeżdżamy, mógłby chyba obejść się bez trawki jeden dzień.

– Masz rację, ślicznotko, i za parę dni stać mnie będzie na to, żeby się ich pozbyć. Ja też chciałbym być sam z tobą.

Dzwonię do Fernanda, mojego zwykłego dostawcy. Umawiamy się za godzinę w Las Cabinas Tortugas, spokojnym miejscu przy wyjeździe z Golfito.

Kiedy przyjeżdżamy, Fernando już czeka. Przywiózł pół kilo mango-rosa. To o wiele za dużo, ale kupuję, bo Fernando nie jest drobnym handlarzem. Zajmuje się hurtem i ma szereg plantacji rozrzuconych w dżungli na Osa; jeśli przyjechał, to głównie po to, żeby zrobić mi przyjemność.

*

Samolot odlatuje o dziewiątej rano, a ten kretyn recepcjonista nas nie obudził. Podczas gdy Diane pakuje rzeczy, biegnę obudzić Dave’a:

– Pośpiesz się, jesteście spóźnieni. Trzeba to zakopać – mówię, podając mu paczkę trawki. – Wziąłem trochę, mam w slipach.

– Nie ma sensu, wezmę to ze sobą. Skoro mam spluwę, mogę mieć i trawkę.

– Jaką spluwę?

– No tak, trzydziestkę ósemkę Roberto. Prosił, żebym ją trzymał na wypadek gdybyśmy nie wrócili na półwysep.

– Ale z was dumie! Nie po to Sancho i ja zostawiliśmy naszą broń w Las Palmas, żeby teraz ryzykować z twoją.

– Nie bój się, Juan Carlos, biorę wszystko na siebie.

– Nie będziemy teraz tracić czasu na dyskusje, jesteście już spóźnieni. Rób jak chcesz!

Męczące jest ciągle dawanie rad, poza tym nie mam ochoty być matką kwoką. Niech sobie sam radzi!

Kiedy przyjeżdżamy na lotnisko, samolot już czeka. Taksówka zostawia nas jakieś sto metrów od czegoś w rodzaju hangaru, który służy za poczekalnię, po drugiej stronie pasa. Idąc w tym kierunku, z torbą w rękę, zdaję sobie sprawę z dużej ilości mundurów dookoła. Zawsze jest tu policjant, ale dziś doliczam się sześciu. Idę usiąść na ławce i obserwuję niecodzienne ożywienie, panujące na tym wiejskim lotnisku. Po mojej prawej niski, metrowy murek wyznacza granicę poczekalni; przede mną znajduje się okienko, gdzie odbywa się rejestracja pasażerów; naprzeciwko, po prawej, stoi stół, przy którym gliny przeszukują bagaże. Nie robią tego systematycznie, ale jest nas troje Europejczyków i możemy być pewni, że padnie na nas: czuć kłopoty na odległość. Staram się wyglądać obojętnie i mówię do Dave'a, który siedzi obok mnie:

– Trzeba się pozbyć trawki, bo będziemy przeszukiwani. Najlepiej przerzucić ją dyskretnie za murek. Potem wsiadamy osobno, nie wstawaj razem ze mną.

– Ale trawka jest zawinięta razem z rewolwerem!

– Wyrzucić wszystko!

Zasłonięty przez Diane przerzucam moją małą paczuszkę trawki przez mur. W krajach latynoskich rewizje w tak intymnych miejscach są rzadkością, ale nigdy nie podejmuję zbędnego ryzyka. Podczas gdy Dave wstaje, Diane i ja idziemy ku stołowi przeszukań. Tak jak przewidywałem, sprawdzają nas. Kiedy przeszukują moją torbę, rozglądam się dyskretnie dookoła i widzę, że Dave'a nie ma na sali. Idziemy do samolotu, kiedy go dostrzegam. Jest o pięćdziesiąt metrów od baraku i wraca do poczekalni, w asyście dwóch gliniarzy.

– Kurwa, co za duren!

Domyślam się, że ten palant nie chciał po prostu wyrzucić rewolweru i próbował oddalić się, żeby go schować. Tak jakby facet łączy samotnie po lotnisku mógł nie zwrócić na siebie uwagi! Miejscowi gliniarze są głupi, ale wszystko ma swoje granice!

Jest zielony ze strachu. Po jego minie poznaję, że nie miał czasu pozbyć się czegokolwiek. Tylko cud może go uratować. Wmieszany w grupę innych pasażerów, którzy obserwują tę scenę dziesięć metrów dalej, patrzę, jak kłopoty zbliżają się wielkimi krokami. Teraz gliny przeszukują jego rzeczy i znajdują, zawinięte w spodnie, najpierw rewolwer, potem trawkę. Otaczają go natychmiast z bronią w pogotowiu.

Teraz już wpadł, i to po uszy. Co za pech! Nie mogę nic dla niego zrobić, a już na pewno interweniować. Zastanawiam się, do jakiego adwokata zwrócić się o pomoc, kiedy ten kretyn, ten idiota, robi najgłupszą, najbardziej nieprofesjonalną z możliwych rzeczy: przywołuje mnie wielkimi machnięciami ręki. Duren! Niewiarygodny duren! Typowa reakcja ogarniętego paniką dziecka. Co ja niby mam zrobić?

Zaskoczeni gliniarze spoglądają na mnie i jeden z nich kiwa na mnie, żebym podszedł. Szepczę dyskretnie do Diane, żeby się nie ruszała, i idę. Zbliżając się do nich staram się opanować rosnącą wściekłość, ale nie mogę się pohamować, by nie warknąć na Dave'a:

– I co bałwanie, udało ci się!

– Zna pan tego człowieka? – pyta mnie najstarszy stopniem gliniarz, ciemnawy, o aroganckiej mordzie.

Tak, trochę.

– Jesteście razem?

– Nie, spotkaliśmy się tutaj.

Staje się cud, moja odpowiedź wydaje się mu wystarczać. Są zadowoleni, że mają ofiarę, i nie zajmują się już moją osobą. Są cali podnieceni i zatrzymują odprawę pasażerów. Potem ładują Dave'a, cały czas pod lufą, do jeepa i znikają nawet na mnie nie spojrzawszy. Zostaje tylko jeden, w cywilu, w ciemnych okularach. Taki błąd z ich strony jest raczej wyjątkowy i może się zdarzyć tylko w takim bananowym kraju. Ale mam doświadczenie w podobnych sytuacjach i wiem, że to tylko odroczenie. Na pewno znajdzie się jakiś oficer mniej tępą od innych, który zada sobie pytanie, czy Dave rzeczywiście był sam, i zareaguje bardziej inteligentnie. Korzystam z tej chwili wytchnienia, żeby przekazać całą forszę Dianie.

– Zaraz po mnie wrócą, ślicznotko. Musimy się rozstać. Jeśli uda ci się przedostać, wsiadaj do samolotu jak gdyby nigdy nic. Nie martw się o mnie, porozumiem się z tobą za pośrednictwem Jean-Paula.

– Jesteś pewien, że wrócą?

– Całkowicie pewien, jeśli samolot nie odleci w ciągu dwóch minut, jestem ugotowany.

Rzeczywiście, po pięciu minutach jeep wraca na pełnym gazie. Wy-skakują z niego i mierzą do mnie. Musiał ich ktoś opieprzyć i czuję, że są wściekli. Bardzo uważam, żeby nie robić gwałtownych ruchów, bo wyczuwam, że nie są pewni siebie i w każdej chwili mogą strzelać. Podczas gdy jeden z nich szybko mnie rewiduje, widzę, jak gliniarz w cywilu daje im znak, żeby zwinęli również Diane. Ty skurwysynu! Tego się najbardziej obawiałem.

W jeepie mam czas pocieszyć Diane.

– Wszystko będzie dobrze, o niczym nie wiesz, nic nie rozumiesz i to wszystko.

Po przyjeździe, na posterunek rewidują mnie ponownie i zamykają w jednej celi z Dave'em. Drugi błąd. Diane siedzi w biurze i ledwo mam czas dać jej znak, że wszystko w porządku.

*

O tym, że wszystko w porządku, zupełnie nie jestem przekonany i czuję do Dave'a straszliwą nienawiść wchodząc do celi. Rzadko zdarzało mi się tak bardzo chcieć kogoś zabić. Staram się jakoś sobie wytłumaczyć, że nie należy rozwalać go od razu o ścianę. To, że narobił mi kłopotów... to ryzyko zawodowe, ale że narobił ich Diane, to co innego. Nie po raz pierwszy znajduję się w takiej sytuacji, ale pierwszy raz zdarza mi się, że zamieszana zostaje moja towarzyszka. Zwykle, kiedy czuję niebezpieczeństwo, odsuwam osoby, na których mi zależy, i sam wychodzę na pierwszą linię. Reakcja Dave'a była zbyt kretyńska, żebym mógł ją przewidzieć. To właśnie przez ten łańcuch głupstw: zabranie rewolweru, trawki, to idiotyczne machanie do mnie, właśnie przez to Diane teraz jest tutaj. Doprowadza mnie to do szału, bo znam latynoamerykańskie pudła i wiem, że jest się czego obawiać.

Kiedy drzwi zamykają się za mną, zapada długa cisza. Jeśli tylko Dave otworzy mordę, nie potrafię się pohamować. Czuje to i milczy. Patrzę na niego. Siedzi tu przede mną, przybity, ze łzami w oczach. To gnida, chłopaczek zagubiony w czymś, co go przerasta. Prawie czuję dla niego litość i to go ratuje.

Po dłuższej chwili przerywa milczenie:

– Przepraszam – mówi, nie podnosząc głowy.

– Nie chcę twoich przeprosin. Zrobiłeś swoje, teraz trzeba się stąd wydostać.

– Nie masz do mnie żalu?

– Mam do ciebie dużo żalu, ale policzymy się później. Na razie chcę ograniczyć straty. Trzeba skorzystać z tego niesamowitego błędu, jaki popełnili wsadzając nas razem. Nadstaw uszy, kutasie, powiem ci, co masz dalej robić.

Mówię do niego przez dwie godziny. Staram się przekazać mu doświadczenie całego życia pełnego przygód i aresztowań. Przede wszystkim nie żałować się. Trzeba ponosić konsekwencje swoich błędów. Jestem przyzwyczajony do przemocy, a teraz już wiem, że on nie jest.

– Jeśli zorientujesz się, że przesłuchanie będzie brutalne, jeśli zaczną bić, nie trać czasu, rzuć się na nich. Twoja jedyna szansa to stracić przytomność jak najszybciej, żeby nie czuć bicia. Jak zrobisz tak dwa albo trzy razy, zaczną cię szanować.

– Myślisz, że może być aż tak źle?

– Szczerze ci mówię, nie mam pojęcia. W tym kraju nigdy nie byłem aresztowany. Na pierwszy rzut oka nie wyglądają zbyt groźnie, ale na tym kontynencie gliny to zawsze skurwysyny. Więc lepiej być gotowym na wszystko. Trzeba przygotować swoją wersję, żeby to się trzymało kupy. Po pierwsze, zaprzeczam jakiegokolwiek współpracy z tobą, ledwo cię znam i to wszystko. Żeby móc działać skutecznie, muszę być na wolności z Diane. Natomiast posłuchaj mnie dobrze! Jeśli zrobisz wszystko tak, jak ci mówię, dam ci słowo honoru mężczyzny, że wydostanę cię stąd obojętnie jakimi środkami, niezależnie od tego, ile trzeba będzie zapłacić czy jakie wysiłki w to włożyć. Możesz mi zaufać, rozumiesz?

– Rozumiem.

– Ale jeśli załamiesz się, jeśli mnie wydasz albo znów popełnisz ja-

kiś idiotyzm, pogrążę cię i dostaniesz dwadzieścia lat. W tej sprawie także możesz mi zaufać. Jasne?

– Jasne, Juan Carlos.

– Dobra, a teraz wbij to sobie dobrze do głowy. Nikogo nie możesz wydać, a zwłaszcza tego od plantacji. Jeśli nasza sprawa zbyt się rozrośnie, nie będzie już można nic zrobić. Trzeba, żeby było jak najmniej reperkusji. Przygotuj sobie rysopis faceta, który sprzedał ci trawkę. Najlepiej opisać jakiegoś twojego kumpla, w ten sposób nie będziesz się plątał w zeznaniach. Ale to nie może też być zbyt dokładnie. Przygotuj sobie jakąś porządną historyjkę: jak do ciebie podszedł, gdzie dobiliście targu itd. A przede wszystkim podkreślaj, że to tylko do własnego użytku. To bardzo ważne, bo tutaj są bardzo ostrzy dla handlarzy.

– A broń?

– Broń jest mniej ważna. Wymyśl jakiegoś innego faceta, na przykład turystę, który ci ją sprzedał przed odjazdem.

Wymyślam dla niego historyjkę, każę mu ją powtórzyć kilkakrotnie, żeby upewnić się, że nie będzie pomyłek. To dzieciak, może się załamać, a wszystko zależy od tego, jak się zachowa. Co za szczęście, że zamknęli nas razem!

Po dwóch godzinach gliniarz otwiera drzwi.

– Ty – mówi, wskazując na mnie palcem – chodź za mną!

Daję ostatnią radę Dave’owi:

– Przede wszystkim nie daj się nabrać na klasyczne kawałki z łagodnością i obietnicami. Pamiętaj, że to wszystko skurwysyny. Powodzenia, mały!

Podczas gdy strażnik zamyka drzwi celi Dave’a, pytam go:

– Gdzie moja żona?

– Z nią wszystko dobrze. Nie martw się.

Nie wygląda na zbyt rozgarniętego i staram się wyciągnąć z niego jak najwięcej.

– Dokąd idziemy?

– Zmieniamy ci celę. Opieprzyli nas za to, że byliście razem.

– Kto was opieprzył?

– Ci z Narkotyków. Zawiadomiliśmy ich. Dwóch ma dzisiaj przylecieć samolotem. Jesteście terrorystami?

– Nie, dlaczego?

– Bo tydzień temu porwano samolot z Liberii. Dlatego teraz wszystkich sprawdzają.

Co za pech! Wpaść przez prawdopodobnie jedyne porwanie samolotu, jakie kiedykolwiek miało miejsce w Kostaryce! Siedząc w górach oczywiście nie czytałem gazet.

Strażnik zamyka mnie w celi sąsiadującej z celą Dave’a. To naprawdę zawodowcy... Zresztą nie mam mu już nic do powiedzenia. Zaczynam się poważnie obawiać o Diane. Wielokrotnie aresztowano mnie w tych niedorozwiniętych krajach i wiem, do czego potrafią być zdolni gliniarze. Świadomość, że jest się w ich rękach, poczucie bezsilności, doprowadzają mnie do szaleństwa, i łączę w kółko po moim lochu. Wiem, że Diane ma wystarczającą siłę charakteru, żeby zaimponować tym, kretynom, ale mimo wszystko...

Czas upływa i muszę się zrelaksować. Kładę się na kawałku tektury i staram się rozluźnić. Co za kurestwo! Kiedy wszystko się tak dobrze układało i moje wysiłki miały przynieść rezultaty! Teraz mogę stracić wszystko, w tym także wolność. A wszystko przez głupotę jakiegoś

szczeniaka. I ten cholerny Roberto! Pośrednio to on jest wszystkiemu winien.

Jest noc, kiedy otwierają się drzwi i budzę się z drzemki. Tym razem prowadzą mnie do biura, zakładają mi kajdanki. Po drodze dostrzegam Diane, siedzącą samotnie w jakimś pokoju. Wygląda na całkowicie odprężoną i daje mi znak ręką, z kciukiem podniesionym do góry: wszystko w porządku.

Wielki kamień spada mi z serca. Niesamowita Diane, wodzi ich pewnie za czubek nosa. Jestem znów pełen animuszu, kiedy wchodzę do biura, gdzie czeka na mnie dwóch agentów z Narkotyków. Zaskakuje mnie ich wygląd. Są młodzi, mają długie włosy i wyglądają jak Randall i Hopkirk w wersji latynoskiej. Najwyraźniej oba te błazny nie przyjechały tutaj dla zabawy, bo natychmiast przystępują do ataku najklasyczniejszą metodą:

– Wiemy wszystko, nie próbuj nas oszukiwać, bo to nie ma sensu. Jeśli powiesz prawdę i będziesz współpracował, postaramy się, żebyś nie miał kłopotów. Jesteś w gównie po uszy, więc staraj się nie wpaść głębiej! Jasne?

– Jasne!

– Kto ci sprzedał trawkę?

To nie moja trawka. Nie mam nic wspólnego z tą sprawą.

– Nie wiedziałeś, że twój kolega miał to przy sobie?

– Absolutnie nie. Prawie go nie znam, spotkaliśmy się w Golfito przypadkiem.

– Ale palisz trawkę, prawda?

– Skąd, nigdy w życiu.

– A to co jest? – mówi jeden z nich i pokazuje mi maszynkę do

skrętów i paczkę bibułki.

Cholera, zapomniałem o tej maszynie, była w torebce Diane. Nigdy jej nie używam, to przede wszystkim pamiątka. Trzeba przede wszystkim chronić Diane.

Glina zauważył moje zmieszanie i nalega.

– No więc, palisz?

– Tak, bardzo dużo i od dawna. Urodziłem się w Maroku, a tam jest to na wpół legalne. W mojej rodzinie wszyscy palą, ojciec, dziadek, ja sam odkąd miałem czternaście lat, nie uważam tego za przestępstwo.

Widzę, że są zaskoczeni moją odpowiedzią. Nie wyglądają groźnie, a wiem, że pierwsze pięć minut decyduje o wszystkim. Jeśli uda mi się wyrwać ich z ich roli, jeśli potrafię nawiązać rozmowę jak mężczyzna z mężczyzną, jestem pewien, że szybko ich opanuję. Więc drążę dalej:

– Rozumiecie, mieszkam na Osa. Szukam złota. Nie wiem, czy znacie tamte strony, ale to paskudna okolica. Pełno węży, komarów i innych świństw. Trawka to dla mnie środek nasenny.

– Mieszkasz na Osa? Znamy półwysep, jeździmy tam czasem, żeby tropić plantacje. Fakt, że to piekło. Gdzie mieszkasz dokładnie?

– W Cerro de Oro.

– A, tak, wiem. To nad Rincon, prawda?

Zupełnie zapomnieli, po co ta rozmowa. Rozmawiamy teraz o półwyspie, o zakątkach, które znają. Wiem, że już nie ma problemu, że wszystko będzie dobrze. To mieszcuchy i leserzy. Dla nich Osa to ciężki kawałek chleba i potrafią docenić wartość faceta, który mieszka tam na stałe. Uważają to za wyczyn: Europejczyk, któremu udaje się tam przeżyć! Atmosfera rozluźnia się całkowicie, można wyczuć nawet

nić sympatii między nami. Oczywiście, od czasu do czasu zadają mi pytanie o trawkę, ale to resztki zawodowych przyzwyczajień. Mają Dave'a i to im wystarczy.

Dla zasady próbują jeszcze raz:

– Ta trawka miała zostać sprzedana w San José?

– Daję wam słowo, że nie. Ja tym nie handluję. Mój biznes to złoto. Ćpam, ale nigdy nie handlowałem narkotykami.

To zresztą prawda, nigdy nie zajmowałem się handlem narkotykami. Nigdy też nikogo nie namawiałem do brania.

– W porządku, jesteś wolny. Twoja żona też. Nie wnosimy przeciwko tobie żadnych zarzutów.

Czuję się szczęśliwy i dziękuję im.

Kiedy chcą zdjąć mi kajdanki, powstaje zamieszanie. Wyjeżdżając w pośpiechu z San José zapomnieli zabrać kluczyków. Gdyby to świństwo nie obcierało nadgarstków, sytuacja byłaby nawet komiczna.

– Słuchajcie, przepiłujcie te kajdanki, zapłacę za nie.

– To nie takie proste, możemy dostać za to nagane.

– To co zrobimy? Są za ciasne i obcierają mnie.

– Pójdź nam na rękę, poczekaj do jutra. Załatwimy jakiegoś ślusarza. Powiemy twojej żonie, żeby przyniosła coś do jedzenia, i damy wam jakiś wygodny kąt na dzisiejszą noc.

Sytuacja się odwróciła, teraz oni mi dziękują za wyrozumiałość. Jest to dość zabawne, ale mimo wszystko wolałbym być już wolny.

Korzystam z mojej nowej sytuacji, żeby upomnieć się o Dave'a.

– Nie bądźcie zbyt ostrzy z tym chłopakiem, nie jest taki zły.

– Nic się nie bój, zrobimy tylko tyle, ile będzie trzeba. Poczekaj

w stołówce, przyprowadzę ci go później.

Ponad godzina czekania w napięciu. Jeśli Dave dobrze zapamiętał lekcję, wszystko pójdzie dobrze. Wierzę, że tak będzie, bo Dave jest sympatyczny, a ci dwaj nie są świniami.

Czuję się już dużo lepiej, kiedy przynoszą mi niesamowitą wyżerkę, pięć pieczonych kurczaków, które kupiła Diane. Zabieram się za drugiego, kiedy wchodzi Dave. Jest uśmiechnięty i wygląda dobrze.

– I co, bez kłopotów?

– Zupełnie. Powiedziałem dokładnie to, co mi kazałeś, i wszystko poszło dobrze. Nie byli tacy straszni, jak opowiadałeś – dodaje.

Ty mały cwaniaczku. Nie zapominaj, że rozmawiałem z nimi pierwszy i że zrobiłem główną robotę. A teraz jedz!

– Wiem. Mówili mi, że cholemnie się ciebie bali. Dlatego nałożyli ci kajdanki. Faktycznie, przy ich posturze musieli nabrać sporych kompleksów.

Wrócił już całkowicie do siebie i nawet udaje mi się go rozśmieszyć, kiedy opisuję mu, jak wyglądał na lotnisku. Zaprosiłem na kolację obu agentów z Narkotyków, ale odmówili ze względu na pozostałych gliniarzy. Kiedy pijemy kawę, zjawia się gruby sierżant, ogląda moje nadgarstki i proponuje spróbować otworzyć zamek bez klucza. Przez pół godziny męczy się nad tym, bez powodzenia, i opowiada mi pochlebne rzeczy o senor Monge, faworycie w zbliżających się wyborach prezydenckich. Nie bardzo rozumiem, dlaczego zwraca mi tym głowę, ale potakuję wszystkiemu, co mówi.

Dave wrócił już do celi, a ja jestem zmęczony i chcę spać. Jeden z agentów, Luis, przygotowuje dla mnie poślanie, trochę improwizowane, ale wygodne. Jest bardzo miły i zupełnie nie wygląda na inspek-

tora. Ze swoimi kręconymi blond włosami do ramion przypomina raczej hippisa. Czuje sympatię do Dave'a i widać, że jest skrepowany całą tą historią. Pytam go:

– Co teraz zamierzacie zrobić?

– Musimy wysłać raport do San José. Będziemy próbowali maksymalnie złagodzić zarzuty przeciwko Dave'owi, ale nic więcej zrobić nie możemy. Cała ta sprawa narobiła tam hałasu i nie można teraz tego zatuszować. No, dobranoc, Juan Carlos.

– Cześć, Luis, i dziękuję za wszystko.

Rano, po nadzwyczaj niewygodnej nocy, zostaję wreszcie uwolniony z kajdanek. Luis sprowadził klucz od kolegi z innego wydziału. Mogę więc opuścić posterunek, ucisnąwszy niezliczoną liczbę dłoni. Poznany poprzedniego wieczoru gruby sierżant odwozi mnie jeepem do hotelu w Golfito, gdzie zamieszkała Diane. Zanim się rozstaniemy, ściskając dłonie po raz trzeci, prosi, abym o nim nie zapominał. Nie rozumiem, o co mu chodzi, ale obiecuję.

Po tych długich chwilach niepokoju trudno opisać radość, jaką Diane i ja odczuwamy będąc znowu razem. Biorę prysznic, a ona opowiada:

– Byli dla mnie bardzo mili od początku do końca. Nie są pewnie przyzwyczajeni do Europejczyków.

– Bardzo się o ciebie bałem.

– Miałam szczęście. W pokoju, gdzie mnie trzymali, był telewizor i nadawali właśnie jakieś przemówienie Monge. Bez żadnych specjalnych zamiarów powiedziałam: „O, Monge.” Gliniarz popatrzył na mnie jakoś dziwnie i zapytał, czy go znam. Skorzystałam z okazji i powiedziałam mu, że mój mąż zna go trochę, bo robił interesy z Par-

tido del Pueblo Unido. Jego stosunek do mnie zmienił się natychmiast, stał się prawie służalczy i rozkazał innym, żeby dali mi spokój.

– Brawo, ślicznotko, dobrze to rozegrałaś. Teraz rozumiem, dlaczego ten dureń sierżant zanudzał mnie gadaniem o Monge, po prostu chciał się podliznąć. Gdyby tylko wiedział!

*

Po zasłużonym odpoczynku idę odwiedzić Dave’a. Został przewieziony do więzienia w Golfito. Budynek jest malutki: poczekalnia z barierką pośrodku, drzwi wychodzące na patio, wokół którego rozmieszczone są cele, w głębi hangar i wszystkiego dwóch strażników.

Dave nie wygląda już tak świeżo, jak wczoraj.

– Jak tam? Nie wyglądasz najlepiej.

– Strasznie tu brudno. Widzisz te cele tam z tyłu? Są zalane. Wszyscy siedzimy w hangarze.

– Kupię ci, co potrzeba. Chcesz prześcieradła? Koce?

– Tak, i materacyk piankowy, jeśli gdzieś znajdziesz. Do spania nic nie dają.

– Dobra, zajmę się tym, niedługo ci przyślę przez kogoś. Coś jeszcze?

– Trochę forsy. Są tu tacy cwaniacy, co sprzedają z zewnątrz fajki. Podają je przez szpary w deskach.

– Dobra, ale uważaj, twoja sprawa jest poważna. Dobrze się zachowałeś, w porządku, główne niebezpieczeństwo minęło, i dałem słowo, że cię wydostanę: dotrzymam go. Więc postaraj się dalej trzymać.

– Dziękuję, mam do ciebie zaufanie.

– A propos, nie masz problemów z innymi więźniami?

– Nie, wszystko w porządku. Jest tylko dwóch takich, co udają twardych ludzi.

– Zawołaj ich tu, pogadam z nimi.

Wiem, że w zamkniętym pomieszczeniu, jakim jest więzienie, zawsze znajdzie się paru kretynów, i że sprawą podstawową jest, żeby od początku się postawić. Ci dwaj to płotki, od dwudziestu do dwudziestu pięciu lat, nie są niebezpieczni, ale głupi. Daję każdemu papierosa.

– Posłuchajcie mnie uważnie. Dave to mój brat. Nie zostanie tu długo, ale jak będziecie mu bruździć, to się z wami policzę, jasne?

– Jasne.

Gliny przysłuchują się temu i podoba im się moja postawa. Jeden z nich daje mi znak, że nie będzie kłopotów.

*

Jest już późno tej nocy, kiedy ktoś puka do drzwi naszego pokoju. To Fernando, handlarz trawką. Słyszał o naszych kłopotach i zapewne nie spał od wczoraj. Nie bardzo wie, jak zacząć, więc od razu odpowiadam na pytanie, które go dręczy.

– Możesz się nie obawiać, nikt nie wymienił twojego nazwiska. Nie jesteś w ogóle zamieszany w tę sprawę, możesz spać spokojnie. Ale na przyszłość nie rób takich głupstw, żeby przychodzić do mnie do hotelu, nawet w nocy.

– Wiem, ale nie mogłem się z tobą skontaktować, a muszę wiedzieć. Jesteś pewien, że nie będę miał kłopotów?

– Dlaczego miałbyś mieć? Nikt cię nie wydał.

– Dziękuję ci.

– Nie ma za co, to normalne. Muszę teraz wyciągnąć z pudła chłopaka, zanim przeniosą go gdzie indziej. Jaki jest najlepszy adwokat w Gófito?

– José Araya. Jest doskonały, ale bardzo drogi. Jest naprawdę najlepszy i wyciągnął mnie już parę razy z takich historii. Ma świetne stosunki ze wszystkimi osobami w mieście. Jego biuro jest na dole. Jeśli chcesz, spotkamy się jutro o dziewiątej u niego. Jest moim adwokatem, więc nikt się nie zdziwi, że do niego przychodzę.

– Doskonale. A teraz lepiej, żebyś zniknął.

Wychodząc odwraca się:

– Tu mało kto potrafi trzymać język za zębami. Więc gdybyś potrzebował forsy na adwokata albo jakiejś pomocy, możesz zwrócić się do mnie. Jestem ci to winien.

– Forsy mam dość. Gdybym czegoś potrzebował, zawiadomię cię, nie ma sprawy. Dobranoc.

– Dobranoc, do jutra.

*

Następnego dnia punktualnie o dziewiątej jestem u adwokata. Zgodnie z umową pocziwy Fernando już czeka. Na pewno mówił już o mnie, ale przedstawia mnie mimo wszystko:

– To porządny facet. Trzeba mu pomóc. Zasługuje na to.

Adwokat to duży, tłusty facet o twarzy kruka. Jego żywe oczka przypatrują mi się uważnie zza wielkich okularów. Wygląda na maksymalnie skorumpowanego, właśnie kogoś takiego szukam. W tych krajach uczciwy adwokat dużo nie zarobi. Im więcej bierze, tym więcej ma

szans przeprowadzić swoją sprawę, pod warunkiem, że mu się dobrze zapłaci. Ci faceci mają szósty zmysł wyczuwający forszę i senor Araya nie jest wyjątkiem.

– Pańska sprawa jest poważna, to więcej niż przestępstwo. Czytał pan dzisiejszą „La Cronica”?

Podaje mi miejscową gazetę. Na trzeciej stronie jest artykuł o złapaniu trojga niebezpiecznych europejskich terrorystów, zatrzymanych z bronią i narkotykami. Jest to źle napisane, ale ma swoją wymowę. Artykuł nie jest długi, miewałem lepsze notowania w innych krajach. Oddaję mu gazetę i oświadczam:

– To nic strasznego, ludzie szybko zapominają o takich sprawach.

– Ludzie tak, ale nie aparat sprawiedliwości. Jak już kogoś mają, nie chcą go puścić. Trudno będzie bronić w tej sprawie.

Normalna technika, przyciemnia obraz ile się da. Żeby zyskać na czasie, pytam go:

– Więc co pan proponuje?

– Najlepiej byłoby załatwić umorzenie, a potem postarać się, żeby akta zaginęły. Sędzia to mój przyjaciel z lat dziecińczych. Ale to nie będzie łatwe, on tak bardzo kocha pieniądze... Nie wiem, czy będzie pan w stanie zapłacić...

Przerywani grubemu cwaniakowi:

– Proszę pana, nie będziemy nic owijać w bawełnę. Chcę, żeby ta osoba została zwolniona przed końcem tygodnia i mogę za to zapłacić panu dwadzieścia tysięcy dolarów.

Ogrom sumy przyprawia go o dreszcz, w Kostaryce to fortuna. Wiem o tym, ale nie będę się targował o czyjaś wolność. Muszę dotrzymać słowa i uważałbym za sknerstwo ścibolić jakieś grosze, kiedy

Dave ma do mnie pełne zaufanie.

– Za taką cenę nie będzie trudności.

Mam nadzieję, w twoim własnym interesie, bałwanie!

– Wyplacę panu natychmiast dwa tysiące dolarów. Resztę otrzyma pan za cztery, najpóźniej pięć dni.

– Nie mogę panu dać pokwitowania, rozumie pan dlaczego...

– Nie jest mi potrzebne, nie wierzę w papierki. Ale chcę być dobrze zrozumiany: z chwilą, kiedy przyjmie pan te pieniądze, zobowiązuje się pan do uwolnienia małego przed końcem tygodnia. Po zawarciu umowy nie będę uznawał żadnych tłumaczeń ani oszustw. Nie mam jeszcze pary uszu adwokata w mojej kolekcji, ale mogę to uzupełnić.

– Doskonale rozumiem. Będzie wypuszczony przed końcem tygodnia.

Wychodząc z biura zdaję sobie sprawę, że to pokerowe zagranie. Jeśli adwokat nie dotrzyma słowa, będę musiał dotrzymać mojego. Po zostanie mi tylko strzelić mu w łeb i spróbować uciec za granicę, a przedtem siłą uwolnić Dave'a z więzienia.

*

Po południu i następnego dnia odwiedzamy Dave'a. Strażnicy przyzwyczaili się do naszych wizyt i do moich napiwków. Możemy z nim rozmawiać bez nadzoru. Zdarza się nawet, że gadamy sobie przed wejściem do więzienia.

Rano trzeciego dnia przyjeżdżają dwaj Kanadyjczycy, których poznałem parę tygodni wcześniej w San José. Czytali o sprawie w gazetach i oto nadciąga kawaleria z odsieczą. Snują plany napadu na posterunek policji i wysadzenia więzienia w powietrze. Znowu dwóch twardzieli

od siedmiu boleści, ładna mi odsiecz! Czuję się trochę śmiesznie z tymi dwoma niedoszłymi kowbojami, którzy łążą za mną wszędzie, i pozbywam się ich wysyłając obu do Puerto Jimenez, gdzie mają na mnie czekać.

Sancho i Roberto powinni być już w San José. Kiedy telefonuję do nich, wiedzą już o Dave'ie. Szybko zapewniam ich, że wszystko w porządku. Przede wszystkim trzeba nie dopuścić do paniki, pod wpływem której mogliby odmówić przyjazdu. Jeśli tylko Sancho domyśli się, co zamierzam zrobić z forszą, na pewno nie przyjedzie. Umawiam się z nimi na następny dzień rano w restauracji Miramar. Jest to spokojne miejsce poza Golfito.

Nazajutrz wszyscy się spotykamy. Widok grubego Baska, winnego całej tej sprawy, podsycia moją nienawiść. Krótko ucinam wszelkie rozważania na temat losu Dave'a:

– Tutaj wszystko w porządku. W Panamie sprawy poszły gładko?

– Tak, u nas też wszystko było w porządku – mówi Roberto śmiejąc się.

Poczekaj, tłusta świnió, mam dla ciebie niespodziankę.

– Musiałem ostro pilnować Roberto. Podejrzewam, że chciał ukraść złoto – oskarża Sancho.

– Zwariowałeś, czy co? – odpowiada gruby.

Zaczynają się kłócić, najwyraźniej mają się wzajemnie dość i jestem pewien, że Sancho mówi prawdę. Wtrącam się:

– Dobra, zobaczymy później. Ile dokładnie jest forsy?

– Dwadzieścia jeden tysięcy siedemset siedemdziesiąt pięć dolarów – mówi Sancho podając mi plik banknotów i kwit.

Szybko przeliczam i wkładam całość do kieszeni. Teraz, kiedy mam

forse w garści, możemy się porachować.

Trzeba się zająć Dave'em. Mogę go wyciągnąć z pudła, ale adwokat dużo żąda. Opłacę go z twojej części, Roberto, i z części Dave'a.

– Zaraz, bez wygłupów! Dlaczego z mojej części? Jak się wygłupił, to niech teraz płaci! Nie mam zamiaru tracić forsy, żeby go teraz stąd wyciągać.

Szmata, gotowa poświęcić kumpla dla forsy. Wiedziałem, że to łajza, ale nie sądziłem, że do tego stopnia. Wstaję i rozwalam mu pysk pięścią.

– Jesteś zwykły kutas. Wpędziłeś nas wszystkich w gówno, a teraz jesteś gotów porzucić kumpla, ty ścierwo!

Gruba świnia siedzi na ziemi z zakrwawioną twarzą, bierny i upodlony. Powiększa to moje obrzydzenie i kontynuuję lekcję kopniakami w mordę i korpus: nie ma sensu brudzić sobie rąk na tym gnoju. Ucieka w kierunku drogi na czworakach, poganiany kopniakami w dupę.

– Won stąd, kutasie. Żebyś cię tu nigdy więcej nie spotkał. Ostatni kopniak, popycham go w odpowiednim kierunku i patrzę, jak oddala się drogą, całkowicie zniszczony.

Sancho milczy. Ale czuję, że wewnętrznie kipi z radości. Jego najgorszy wróg został wreszcie wyeliminowany.

Parę minut później jestem u José Araya, adwokata. Wyciągam osiemnaście tysięcy dolarów w banknotach studolarowych. Razem tworzy to na stole ładną kupkę forsy. Szmata jest wzruszony i drży, licząc pieniądze. Podejrzewam, że tak naprawdę cały czas w to nie wierzył.

– Przypominam panu naszą umowę – mówię mu. – Niech pan nie zapomina, że zostały cztery dni.

– Teraz to kwestia godzin, załatwimy wszystko bardzo szybko.

– Mam nadzieję. Proszę pamiętać, że jeśli nie dotrzyma pan swojej obietnicy, ja dotrzymam mojej.

Odprowadza mnie do drzwi, cały ociekający służalczością. Jestem pewien, że użyczyłby mi swojego tyłka gdybym tego zażądał.

Kiedy wychodzę, podjąłem już decyzję. Jeśli Dave nie będzie wolny do końca tygodnia, załatwię to bez dalszych pośredników.

Mam już pewien pomysł, jak to zrobić. Postanawiam nie wtajemniczać nikogo, ale muszę mieć wolne ręce. Nie chcę narażać Diane na niebezpieczeństwo. Korzystam z tego, że mówi mi o bolącym zębie, i oświadczam jej:

– Wykorzystasz to, że siedzimy tu i nic nie robimy, i pojedziesz do dentysty do San José.

Jej kobieca intuicja, połączona z doświadczeniem, jakiego nabrała żyjąc u mojego boku, jest nieomylna.

– Nie mam ochoty jeździć teraz do San José. Dentysta może pocze-
kać.

Moje niezadowolenie musi być widoczne, bo dodaje:

– Charlie, ty coś szykujesz.

– Kochanie, nie zmuszaj mnie, żebym kłamał. Muszę zostać sam i mieć wolne ręce. Wsiadaj jutro w samolot, będę do ciebie dzwonił codziennie.

*

Muszę teraz dopracować swój plan. Idę do Wayne’a. Potrzebuję jego pomocy i wiem, że umie dochować tajemnicy. Poza tym temu byłemu

komandosowi mój pomysł powinien się spodobać.

Siedzi w domu, oczywiście z butelką w ręku.

– Cześć, Wayne.

– Cześć, Juan Carlos, co nowego? Ciągłe w gównie?

– Tak, właśnie dlatego przyszedłem. Masz w tej chwili jakąś broń?

– Bardzo mało. Wszystko idzie do Nikaragui.

– Potrzebowałbym dynamitu, znajdzie się trochę?

– Mam kilka lasek. Widzę, że zabierasz się poważnie do rzeczy! Chcesz wysadzić w powietrze Golfito?

– Nie, tylko adwokata i może więzienie.

– Fantastycznie! Chcesz, żebym ci pomógł?

– Nie, dziękuję.

Wstaje. Poczciwy Wayne, to naprawdę równy facet. Chodzi po pokoju, podaje mi jakieś pudełka.

– Mam osiem lasek dynamitu, pięć zapalników, sporo lontu. Jaka długość będzie ci potrzebna?

– Mniej więcej na piętnaście minut, to wystarczy.

– Mam też kamizelkę kuloodporną, jeśli chcesz, i mogę ci dać czterdziestkę piątkę.

– Nie, wystarczy. Nie mam zaufania do pistoletów, zbyt łatwo się zacinają.

– Nie potrzeba ci nic innego? Co masz zamiar zrobić?

– Wysadzić w powietrze adwokata i skorzystać z zamieszania, żeby uwolnić Dave’a. Odwiedzę go o trzeciej. Podczas sjesty jest tylko jeden stary strażnik. Jak tylko przyprowadzi mi Dave’a, wyciągam splu-

wę i daję mu w łeb. W jego wieku nie powinien być zbyt wytrzymały. Lubił mnie, będzie miał niespodziankę swego życia. Na zewnątrz będzie czekał samochód, którym zwiejemy do portu. Tam bierzemy łódź i płyniemy do Punta Burrica, potem parę godzin przez dżunglę i jesteśmy w Panamie.

– To powinno dać się zrobić. Jesteś pewien, że będzie tylko jeden strażnik?

– Jeden czy dwóch, to wszystko jedno, wystarczy dla wszystkich.

– Jesteś pewien, że nie potrzebujesz pomocy? Mógłbym na przykład zająć się adwokatem.

– Nie, obiecałem mu, że sam się nim zajmę. Przywiążę go do krzesła, wsadzę mu łaskę w usta i parę do kieszeni i zapalę lont na piętnaście minut. Akurat tyle będzie mi potrzeba na resztę działań.

– Ja bym mu wsadził dynamit w tyłek – mówi Wayne w zamyśleniu – przypomina mi to różne przyjemne rzeczy. Mam też dwa szwajcarskie paszporty, gdybyś chciał.

– Jasne, powiedz, ile ci będę winien. Zostawię to wszystko tutaj, przyjdę zabrać tuż przed akcją.

– Zapłacisz mi, jeśli dotrzesz do Panamy. Ale koniecznie zawiadom mnie, zanim zaczniesz. Weźmiemy z żoną trochę kokainy i pójdziemy napić się piwa w pobliżu, żeby obejrzeć widowisko. W Golfito rzadko coś się dzieje.

– Dobra, Wayne, obiecuję.

*

Następnego dnia rano odprowadzam Diane na lotnisko. Czuję, że jest niespokojna i staram się jak mogę odwrócić jej uwagę. Daję jej

dość pieniędzy, żeby w razie czego nie została na lodzie. Po odlocie samolotu wracam do hotelu, gdzie śpi jeszcze Sancho. Budzę go.

– Pojedziemy do Las Palmas, a potem do Puerto Jimenez. Czekają tam na mnie Kanadyjczycy. Jeśli się zgodzisz, damy im bombę* [* Silnik używany przy wydobywaniu złota] i zabierzemy ich do Karate. Znam tam jedną żyłę złota. To nam da trochę forsy. Musimy coś zarobić, bo adwokat nas spłukał. – Idziemy odwiedzić Dave’a przed odjazdem. Na widok jego smutnej gęby rozumiem, że ma już dość.

– Uszy do góry, mały, już niedługo!

W Las Palmas odbieram spluwę, po czym z pomocą Alfreda i jego syna Carlito ładujemy silnik i rury od bomby do landrowera. Po dwóch godzinach jesteśmy w Puerto Jimenez, gdzie odnajduję moich Kanadyjczyków w barze Rancho de Oro. Są pełni entuzjazmu i znajdują wspólny język z Sanchem.

Sancho sparzył się na cudzoziemcach, ale czuje, że ci dwaj playboye z pustymi głowami nie są niebezpieczni. Jeśli się nimi dobrze pokieruje, mogą zrobić dobrą robotę. – Macie okazję zacząć przygodę. Zabieram was do Karate samolotem, przewieziemy sprzęt. Tam zostaniecie u mojego kumpla, Saltarany. On wam pokaże ciekawe miejsce do roboty i nauczy, jak się do tego zabrać.

Po dwudziestu minutach samolot jest gotów. Znów poleci z nami ten sam mały pilot. Tym razem trochę marudzi, kiedy ładujemy silnik i rury. Ma zresztą rację. Silnik jest czarny od smarów, ubłocone rury zajmują całą wolną przestrzeń, tak że musimy wyjąć fotele dla pasażerów. Jego ładny mały samolocik nagle wygląda mniej porządnie, i pilotowi zupełnie się to nie podoba. Siłą sadzam go za sterami i każę mu startować. Rury sterczą dookoła niego i krępują jego swobodę ruchów. Kładziemy się na nich i skrzęcając się ze śmiechu staramy się jako tako

je unieruchomić, żeby w ogóle był w stanie pilotować. Nie udaje się jednak uniknąć, by jedna z rur nie uderzyła go w którymś momencie w kark.

Kiedy lądujemy w Karate, Saltarana czeka na nas. Szybko przedstawiam mu sytuację w trakcie wyładowywania samolotu. Następnie odlatujemy bez zbędnej zwłoki, bo zapada już noc. Kanadyjczycy są trochę zaskoczeni tempem działania, niech więc przyzwyczajają się od razu do warunków.

Noc spędzamy w Puerto Jimenez. O świcie, kiedy odpływamy łodzią do Golfito, Sancho zadaje mi pytanie, które dręczy go od pewnego czasu:

- Ile zapłaciłeś adwokatowi?
- Dwadzieścia tysięcy dolarów.
- Dwadzieścia tysięcy dolarów! Ależ to za dużo! Można było załatwić to dużo taniej!
- Nie mogłem targować się o wolność chłopaka. Może ty też wolałbyś, żeby został w pudle, co?
- Nie, nie. Ale przecież to cały nasz kapitał!
- Zawracasz głowę. Już się stało i nie żałuję tego, więc się przyznaj. Mam inne sprawy do przemyślenia.

Postanowiłem przystąpić do akcji za dwa dni. Dłużej nie mogę czekać, bo jeśli przewiozą Dave'a do innego więzienia albo do San José, wszystko przepadnie. Poproszę Fernanda, handlarza trawką, żeby pożyczył mi samochód. Niech zgłosi, że mu go ukradli. Proponował mi swoją pomoc, powinien się zgodzić.

Zdarzało mi się już odwiedzać budynki państwowe z bronią w rękę, ale czuję się trochę podniecony. Pierwszy raz biorę się za więzienie. Wszystko ma kiedyś swój pierwszy raz. Jedyne, czego żałuję, to że trzeba będzie porzucić wszystko, co tutaj mamy. Tyle roboty na nic. Ale słowo jest słowem! Przy trybie życia, jaki sam sobie wybrałem, jeżeli nie dotrzymam tej obietnicy, nie będę mógł spojrzeć w lustro.

Z takimi myślami wracam do hotelu. Kiedy otwieram drzwi swojego pokoju, czeka na mnie niespodzianka: na moim łóżku Dave śpi jak małe dziecko. Adwokat dotrzymał słowa. Wayne będzie rozczarowany.

*

Tego samego dnia jedziemy do San José. Wolę nie zostawać zbyt długo w okolicy. Tak czy owak, trzeba podsumować sytuację, poza tym matka Sancha czeka na nas, żeby przejść do dalszego ciągu naszej operacji: musimy wszystko na nowo przemyśleć, z dwudziestu czterech tysięcy dolarów zostało nam już tylko trzy tysiące.

Poza tym, po przeżyciach ostatnich dni, każdy z nas potrzebuje trochę odpocząć. Odnajduję Diane, która jest szczęśliwa, że znowu jesteśmy razem, i odwiedzamy matkę Sancha. Dave wyjechał świętować swoje uwolnienie z jakąś przyjaciółką w San Pedro.

Pani Riviera nie jest przyjemnym partnerem do interesów. Projekty jej nie interesują, liczą się tylko wyniki. Spotkanie przebiega raczej chłodno, bo wysokość wynagrodzenia adwokata stanęła jej kością w gardle.

– Nie rozumiem, jak pan mógł użyć wspólnego kapitału dla pańskiego przyjaciela bez porozumienia z nami – zaczyna.

– Proszę pani, decyzje podejmuję wyłącznie ja i postępuję zgodnie

z tym, co uważam za stosowne. Gdybym miał to zrobić jeszcze raz, zrobiłbym to. Proszę pamiętać, że gdyby chodziło o pani syna, zrobiłbym to samo. Nie chodzi tu o przyjaźń, ale o lojalność.

– No dobrze, stało się, jest za późno, żeby coś zmienić. Ale powiedz mi, Sancho, czy naprawdę konieczne było wynajmowanie samolotu, żeby przewieźć silnik do Karate, trzy kilometry dalej, i dlaczego nikt go nie pilnuje?

– Mamo, przecież wiesz, że dowodzi tu Juan Carlos...

Biedny mały Sancho drży przed swoją mamusią, jak przyłapany na gorącym uczynku uczeń. Diane i ja ledwo powstrzymujemy się od śmiechu. Wiedziałem, że to tchórz, ale do tego stopnia? Stara mówi dalej.

– A teraz proszę mi wyjaśnić sprawę tej spółki w stosunku czterdziści pięć do pięćdziesięciu pięciu procent, podczas gdy my wnosimy praktycznie cały kapitał.

Zaczyna mnie wkurzać. Od czasu gdy zacząłem biegać szybciej niż mój ojciec, nikt nigdy nie wydawał mi rozkazów. Byłoby źle, gdyby moją grzeczność wzięła za słabość. Jeśli nadal będzie do mnie mówić takim tonem, to mimo swego wieku narazi się na parę niespodzianek... Przerywam jej zdecydowanie.

– Proszę mnie posłuchać. Pieniądze można zrobić wszędzie. To nie problem znaleźć kogoś, kto chce zainwestować. Ja znam się na złocie i mam doświadczenie w dżungli, nie każdy może o sobie powiedzieć to samo. O spółkę prosił mnie pani syn, ja nikogo nie szukałem. Ale nie jest za późno, żeby zerwać umowę, nie zamierzam nikogo do niczego nakłaniać.

– Nie, nie miałam tego na myśli. Zresztą za bardzo się zaangażowa-

liśmy, żeby się teraz wycofać. Możemy współpracę ciągnąć dalej, ale pod jednym warunkiem: że Dave nie będzie już uczestniczył, jest zbyt nieodpowiedzialny.

– Nie. Nie po to wyciągnąłem tego dzieciaka z więzienia, żeby wyrzucać go na bruk bez grosza. Zamierzam trzymać go przy sobie, aż zarobi sobie paręset dolarów. Nie może być mowy o tym, żeby teraz go zostawić. Ale niech się pani nie obawia, nie mam zamiaru trzymać go wiecznie, to kwestia paru tygodni.

Ostatecznie decydujemy się kontynuować współpracę. Musimy zapewnić sobie wystarczająco duży teren, żeby się urządzić i rozpocząć wydobywanie. Ale wychodząc z tego spotkania nie mam już takiej wiary w przyszłość. Stara zdenerwowała mnie, nie mam ochoty na ustępstwa i straciłem cały szacunek dla Sancha, który jest zdecydowanie zbyt tchórzliwy.

Zostajemy kilka dni w San José, żeby skorzystać z dobrych restauracji i kin, po czym wracamy do Las Palmas.

Wszyscy tam wiedzą o aresztowaniu, a przy ich skłonności do przesady, Ticos sporo do sprawy dodali. Postanawiamy zostać na miejscu, żeby wybrać jakiś teren, ale atmosfera nie jest już ta sama. Nie wygłupiamy się jak dawniej, nie możemy szaleć, bo nie ma forsy, nie ma też już poczucia wspólnoty. O ile zacząłem czuć sympatię do Dave'a, o tyle Sancho budzi we mnie obrzydzenie.

Siedzimy tu od dwóch dni, kiedy pojawia się jeden z Kanadyjczyków, których zostawiłem w Karate. Schudł i porusza się z trudnością. Z tego, co mówi, wynika, że sprawy mają się tam źle.

– Zostawiłeś nas jak śmieci. Myśleliśmy, że szybko wrócisz. Zupełnie się nie znamy na złocie, a twój koleś Saltarana ma to gdzieś. To leser, nie kiwnął nawet palcem, żeby nam pomóc, nie wydobyliśmy ani

grama.

Z trudnością zachowuje powagę. Fakt, że trochę chciałem się ich pozbyć. Całą operację ustawiłem na wypadek, gdyby adwokat dotrzymał słowa, ale tak dalece w to nie wierzyłem, pewien, że będę musiał wybrać drugie rozwiązanie i uciec z kraju, iż nie przywiązywałem w ogóle do tego wagi. Kiedy opadł entuzjazm, jaki ich ogarnął w samolocie, Kanadyjczycy musieli poczuć się trochę zagubieni na tej plaży, z silnikiem na głowie.

– Dobra, nic się nie stało. I tak potrzebuję silnika, żeby zacząć tu prace. Wracaj tam i powiedz Claude’owi, że przyjadę za parę dni.

– Nie wrócę tam, mam tego dość! Wystarczy mi wyprawa w tę stronę, rozwaliłem sobie nogi. Dla mnie koniec z Osa. Wracam do San José.

Jego przygoda nie trwała długo.

*

Pojechałem dziś obejrzeć kawałek ziemi. Stary chłop chce wynieść się z okolicy razem ze swoim synem i sprzedaje swoje grunty. Otoczone dżunglą, na granicy parku narodowego, o trzy i pół godziny drogi pieszo od Las Palmas, mają powierzchnię stu hektarów i cena nie jest wysoka. Interesuje mnie to, bo pieniądze idą szybko. Nie mam wyboru. Następnego dnia trzeba jechać do Golfito załatwić formalności.

Sancho nie pali się do tego, rozżłościł go Dave swoimi wygłupami w samochodzie, ale udaje, że nie dostrzegam jego humorów i przypie ram go do ściany.

– Sancho, trzeba działać. Mamy teren, trzeba sprowadzić traktory, z nim skończy się forsa.

– Przecież to za wcześnie, nie ma tu żadnej drogi. Traktorem nie wszędzie przejedziesz, może się coś popsuć.

– Musimy spróbować, nawet gdybyśmy mieli je tu wciągać w częściach.

– To głupota, mam tego dosyć. Czy nie lepiej byłoby raczej postawić tu pulperię i spokojnie skupywać złoto?

– To nie daje dostatecznie dużych zysków, poza tym już za późno, żeby się cofać. Chyba nie opuścisz nas teraz?

– Zgoda, zostanę jeśli odeślesz Dave’a. Dla niego wszystko to zabawa. Nie można nic zrobić z nim na poważnie. Dzisiaj o mało co nie utopił w rzece samochodu. Co robi jutro?

Odkąd zobaczył, jak przepędziłem Roberto, nabrał animuszu. Ale, na jego nieszczęście, nie potrafię go już znieść. Nawet jego wygląd przyprawia mnie o mdłości. To, że wszyscy czepiają się Dave’a sprawia, że jeszcze bardziej go lubię. To prawda, że jest nieodpowiedzialny, ale mam słabość do wariatów.

– Sancho, mówiłem ci już, że nie przyjmuję żadnych warunków, a już na pewno nie ten. Jeśli chcesz ze mną pracować, to albo z Dave’em, albo wcale. To moje ostatnie słowo.

– No, w takim razie chyba was zostawię. Jestem już zmęczony tymi ciągłymi wygłupami. Zabieram swoje zabawki.

– Może tak będzie lepiej. Mamy inne podejście do życia i różne zasady. Proponuję, że podzielimy się forszą, która została. Jeśli chcesz, możesz wziąć jeepa i łódź ale niestety zabieram bombę. Bez niej nic nie mogę zrobić, oddam ci ją później.

Nie jest zachwycony rozstaniem ze swoim silnikiem, ale sposób rozwiązania stanowi dla niego miłe zaskoczenie: wyobrażał sobie już, że

stracił wszystko. Daję mu tysiąc dwieście dolarów i jeden dzień na spakowanie się.

Wiem, że to szaleństwo odprawiać go teraz, jego, który zapewniał nam wszystko, po to, żeby zatrzymać Dave'a, który sprawia same tylko kłopoty. Ale miałem go już dość, nie pierwszy raz, że wypuszczam wspaniały interes dla przyjaźni. Cholerne sentymenty, zawsze dają się nabrać na to samo!

*

Po odjeździe Sancha jadę do Golfito z właścicielem ziemi, żeby zarejestrować moją nową posiadłość. Płacę z góry dziesięć tysięcy colónów, reszta później, ciągle ta sama metoda. Po powrocie spotykam Claude'a, drugiego Kanadyjczyka, który przyjechał ciężarówką z Jimenez. Mówi mi, że silnik został powierzony Saltaranie. Jego kumpel ostatecznie opuścił półwysep, ale on chciałby pracować ze mną. Ta decyzja pozostania, pomimo porażki, jakiej doznali w Karate, pokazuje, że ma zmysł walki. Jest silny i ma dobrą mentalność. To niezły nabytek.

Zostajemy w Jimenez trzy dni, okres potrzebny poprzedniemu właścicielowi na wybudowanie dachu na moim terenie; zapewnił mnie, że zdąży w tak krótkim czasie. Następnie lecimy do Karate po silnik, ciągle z tym samym pilotem. Jest to potężny i bardzo ciężki silnik, działa jak motopompa i będzie służył do wyrzucania strumienia wody na zboże, żeby je wypłukiwać. Wynajmuję ciężarówkę, żeby przewieźć go do Las Palmas, zostajemy tam dwa dni, po czym idziemy w górę.

I wszystko zaczyna się od nowa.

Cały dzień zajmuje nam przebycie drogi, która normalnie wymaga trzech i pół godziny. Silnik przewraca konie po kilka razy. Ma kształt

potężnej zwartej bryły i nie można rozłożyć ciężaru na grzbiecie zwierzęcia. Poza tym przymocowaliśmy do ogonów koni setki metrów rur, które zahaczają po drodze o drzewa i zwalniają marsz. Niesiemy ponadto prowiant i cały sprzęt potrzebny do życia przez dłuższy czas w obozie. Mamy nawet kurę, prezent od kobiety pracującej w pulperii.

Wyprawa ta wygląda trochę jak ucieczka, ale jestem zadowolony opuszczając Las Palmas, bo żyłem tam przez pewien czas na szerokiej stopie i teraz nie mogę znieść finansowych ograniczeń.

Kiedy docieramy wreszcie pod wieczór, przemoczeni i ubłoceni, obiecanego schronienia nie ma: stoją zaledwie główne słupy i jedna czwarta dachu. Możemy tylko rozwiesić hamaki. Następnego dnia czeka nas sporo roboty.

Przez tydzień pracujemy jak wariaci, żeby urządzić sobie znośny kąt w tej dżungli, która jest tu jeszcze gęstsza niż gdzie indziej. Wstajemy o czwartej rano i harujemy do nocy, z małymi przerwami na jedzenie. Miejsce jest naprawdę obrzydliwe, niesamowicie wilgotne – trzydzieści metrów niżej płynie rzeka – i roślinność odradza się niewiarygodnie szybko. Całe dnie spędzamy na wycinaniu maczetą terenu o promieniu pięćdziesięciu metrów dookoła domu, ale jakiś gatunek roślin uparcie się utrzymuje, odrasta prawie tak szybko, jak wycinamy, rośnie pięć centymetrów dziennie: czegoś takiego jeszcze nie widziałem! Pod nogami mamy czerwone, lepkie błoto. Co do węży, jest ich wszędzie pełno. Trzy osoby kładą dach, pod energicznym kierownictwem Diane.

Postanowiłem zbudować drogę od rzeki do domu. Różnica wzniesień wynosi trzy metry: trzy schodki, odcinek płaski, trzy schodki itd., wszystko na szerokości trzydziestu metrów. To wariacka robota, bo zdecydowałem, że całość będzie wysypana żwirem. Oznacza to nieustające przenoszenie na plecach jutowych worków pełnych rzeczno-
żwi-

ru, który wysypujemy na przestrzeń oszalaną drewnem. Jest to ciężka i wyczerpująca praca. Odkąd powróciłem do dżungli, moje ciało znów osłabło i mam dezynterię. Wykonuję swoją część roboty, ale to tylko pogarsza mój stan. Całe szczęście, że Dave przykłada się, a Claude, zbudowany jak atleta, jest bardzo skuteczny. Droga staje się powoli rzeczywistością i jest to piękny widok. Kiedy żyje się w takiej zgniłej dziurze, człowiek potrzebuje zrobić coś estetycznego, bez praktycznego pożytku, ale co pozwala na zachowanie ludzkiej tożsamości. Żaden z Ticos nie rozumie sensu takiej drogi w stylu japońskim, i fakt, że stanowi ona niemałe zaskoczenie tutaj, w środku dżungli.

Ze swej strony Diane zajmuje się domem. Zaczęła od wydzielenia jego części przeznaczonej dla nas dwojga, tak aby powstało coś w rodzaju prywatnego pokoju; reszta, stanowiąca świetlicę i sypialnię dla innych, ma charakter przechodni. Diane organizuje wszystko ze smakiem i rozsądkiem, prowadzi całkiem znośną kuchnię i zarządza domem jakby to było paryskie mieszkanie.

Choć nie ma jeszcze ścian i roślinność wdziera się do kuchni, nie ma mowy o wchodzeniu do domu w ubłoconych butach. Oboje chcemy stworzyć coś czystego w tym syfie.

Jemy bardzo dużo, ale niezbyt dobrze. Ryż z przyprawami, fasola z przyprawami, banany. Tych ostatnich zjadamy tak dużo, że nie mają czasu dojrzeć. Jedna kiść starczy nam na trzy dni. Dave obżera się niewiarygodnie, potrafi sam wtrząchnąć całą kiść; po raz pierwszy w życiu wykonuje tak ogromną pracę fizyczną. Wszyscy mamy ochotę zjeść kurę, ale bestia ukrywa się. Choć jest jeszcze bardzo młoda, wszyscy szukamy cudu w postaci małego jajka.

Wyzaczyłem swoje terytorium i przy pomocy rewolweru wbijam to do głowy okolicznej ludności. Chcę, aby kiedy wyjdziemy w dżunglę, Ticos nauczyli się, że nie wolno się tu zbliżać. Mają zwyczaj chodzić na skróty przez moją ziemię, więc strzelam ponad głowami tych, którzy się pojawiają. Gdyby im na to pozwolić, wkrótce zasiedliby razem z nami do stołu. Poza tym bawi mnie ich widok, kiedy podskakują z przerażenia i zwiewają ile sił. Naprzeciwko domu biegnie ścieżka i zabroniłem nią przechodzić po zapadnięciu zmroku. Każdemu, kto zlekceważy zakaz, gwarantuję mocne przeżycia. Niejeden porzuca swój ładunek, by móc szybciej uciekać. Ustawiłem wielką tablicę: POSIADŁOŚĆ PRYWATNA. WEJŚCIE WZBRONIONE, i ludzie muszą obchodzić drugim brzegiem rzeki, który jest praktycznie niedostępny. Nie obchodzi mnie to. Jestem u siebie i nie chcę widzieć tu żadnego z tych kretynów.

Przyzwyczajony jestem do jeżdżenia po świecie mając tylko dżinsy, koszulę i parę wysokich butów. Niczego nie posiadam, ale kiedy zdarzy mi się mieć coś na własność, mój zmysł posiadania krańcowo się wyostreza. Opowieści szybko się rozchodzą i wkrótce nikt nie zbliża się, nie krzyknawszy najpierw „Don Juan Carlos!”. Poza tym Ticos nie mają żadnego szacunku dla piękna, i jeden z nich posuwa się nawet do przejechania konno po naszych żwirowych schodach. Rozwścieczona Diane strzela do niego, i koń oraz jeździec uciekają, każdy w swoją stronę.

Wieczór jest jedyną porą, kiedy można się odprężyć. Po ryżu z przyprawami palimy ogromne skręty. Łapiemy nawet Radio Golfito na małym odbiorniku tranzystorowym Diane. Ich hasło reklamowe zawsze nas roźmiesza: „Radio Golfito, największe radio świata”. Raz odwiedziłem redakcję, wszystko mieści się w pomieszczeniu trzy metry na siedem!

Wieczory te to nasze przywileje po ciężkiej całodzienniej pracy, bo atmosfera jest dobra. Dave nadal się wygłupia, ale w końcu nauczył się pewnych reguł dobrego wychowania. Nie wpada już bez uprzedzenia o różnych porach dnia i nocy do mojego pokoju. Claude natomiast jest bardzo spokojny, na luzie, ale też lubi wygłupiać się bez opamiętania. Dużo palimy i wieczorem, kiedy jesteśmy naćpani, byle głupstwo nas rozśmiesza. Zasadzamy się na przykład na Ticos, którzy usiłują przemknąć się ścieżką, i ich podskoki, kiedy kula świszcze im koło ucha, powodują wybuchy śmiechu. Wszyscy czworo jesteśmy dobrymi strzelcami, i kiedy jesteśmy na haju, urządzamy konkursy, kto strzeli bliżej faceta: kto trafi, przegrywa!

Musiałem rozstać się z pracownikami, którzy budowali dom, któryś powiedział jedno słowo za dużo do Diane. Opieprzyłem ich, a głównemu winnemu zagroziłem, że powieszę go za jaja. Powiedziałem to, nie przywiązując do tego specjalnej wagi, ale on potraktował to bardzo serio i wszyscy odeszli nie czekając na ciąg dalszy.

Głównym problemem jest nawrót malarii. Niezdrowy klimat i złe wyżywienie osłabiły mnie i choroba znów bierze górę. Mam nieustającą biegunkę, w nocy nie mogę spać, pocę się i mam dreszcze. Diane ciągle zmienia przepoconą pościel. Nad ranem jestem wykończony i chciałbym spać, ale muszę wstawać: jestem tu szefem i jeśli sam do wszystkiego nie przyłożę ręki, nikomu nic się nie zechce.

Którejś nocy idę spać do hamaka. Nie mogę już znieść łóżka i chcę, żeby Diane mogła parę godzin spokojnie pospać. Hamak jest prawie przegniły i zwisa tuż nad ziemią. O świcie coś wyrывa mnie z drzemki: dziesięć centymetrów od mojej ręki, która zwisa do ziemi, kura mocnymi dziobnięciami w nasadę głowy zabija metrowego tercio pello. Mało brakowało, bym w nocnych konwulsjach uderzył go ręką.

Dzielna mała kurka! Uratowała mi życie, a przy okazji i sobie, bo teraz nie wolno już jej zjeść.

*

Wielu ludzi przychodzi do mnie, żeby sprzedać złoto, podczas gdy ja nie mam ani grosza, żeby móc je kupić. Mówię im, że na razie się urządzam, że zobaczymy później. Daje mi to też okazję do porozmawiania z nimi, i odkrywam nowy aspekt Osa. Niektórzy to nikaraguańscy uchodźcy, byli bojownicy sił antysandistowskich, inni są Kubańczykami, którzy kilka lat wcześniej poprosili o azyl w ambasadzie Wenezueli na Kubie.

Jeden z nich daje Diane w prezencie małpkę, schwytaną w dżungli. Jest to colorado. Nazywamy go Arturo. To prawdziwy mały diabeł, istny dopust boży. Znajdujemy go, albo jego ślady, w pościeli, w workach, których zawartość została rozsypana, na dachu, z którego zrywa liście, na stole, kiedy spożywamy posiłek, w talerzach. Ma zwłaszcza zwyczaj podnosić pokrywki garnków i zawsze parzy się przy tej okazji: pełno wtedy wrzasku i wymachiwania łapami, co powoduje nieopisany bałagan. Arturo polubił też naszą kurę i biega za nią, żeby powyrywać jej pióra na pamiątkę: rozpoczyna się wtedy diabelski korowód latający po całym domu i nie oszczędzający niczego...

Biorąc pod uwagę, jak mało mamy mięsa, oraz burdel, jaki urządza dookoła, mam naprawdę ochotę zjeść oba zwierzaki, ale one są święte. Z Arturo biciem nic się nie wskóra; jeśli go uderzę albo przywiążę, rozlegają się potworne wrzaski. Czasem mam chęć go udusić, ale Diane bierze go w obronę, i Arturo biegnie schronić się u niej po każdym swoim wyczynie. Doskonale wie, kiedy przekroczył dozwolone granice. Ale lubimy go i wieczorami dajemy mu trawki, żeby bawił się ra-

zem z nami. Dmuchamy mu dymem w nos, bo lubi to, i potem wariuje jeszcze bardziej. Dobrą stroną tego jest, że później zasypia.

*

Przychodzi do mnie często jeden staruszek. Nazywa się Tonio. Od dawna mieszka na granicy parku. Rząd chce go wysiedlić za odszkodowaniem. W związku z tym stary musi pojechać do San José. Ale odkąd pamięta, zawsze był poszukiwaczem złota, w ciągu pięćdziesięciu sześciu lat opuścił półwysep dwa razy, i chciałby, żebym z nim pojechał, bo boi się miasta. On właśnie pomaga mi sprawdzić zawartość złota w ziemi.

W ciągu czterech dni intensywnej roboty we czterech wykopujemy rów na całą długość parceli. Znajdujemy złoto wszędzie, na metrze głębokości. Wynik jest doskonały, ale nie można tu pracować ręcznie. Potrzebne są maszyny, a ja nie mam już grosza, żeby je wynająć. Muszę szybko zarobić parę tysięcy dolarów, żeby rozpocząć wydobywanie.

Tonio opowiada mi o wyschniętym potoku, z którego wykopuje złotonośny żwir; ładuje go następnie do worka, przenosi do rzeki, która płynie pięćdziesiąt metrów dalej, i tam przepłukuje, otrzymując pięć gramów czystego złota dziennie. Właśnie czegoś takiego mi trzeba, bo mając maszynę mogę doprowadzić wodę i zwiększyć wydajność. Jedy-nym problemem jest to, że miejsce znajduje się w głębi parku, półtorej godziny drogi stąd. Samo wchodzenie jest tam zabronione, nie mówiąc już o pracy z silnikiem. Wybieram się na zwiad z Toniem i sprawdzam, czy mówił prawdę. Miejsce jest bogate, ale dojście do niego bardzo trudne. Droga jest zbyt stroma dla koni, i zanosi się na dobrą zabawę przy wnoszeniu sprzętu.

Wracamy. Perspektywa działania podnieca mnie.

– Dave, weźmiesz konie i pojedziesz do Las Palmas kupić dwa dwudziestolitrowe kanistry benzyny.

– Ale... chyba nie chcesz wnosić tam silnika?

– Właśnie że tak, pójdziemy tam pracować.

– Przecież widziałeś to zbocze, konie w żaden sposób nie dadzą rady tam podejść!

– Kto mówi o koniach? Wszystko wniesiemy na plecach. Chyba nie przeraża cię tak mała odległość?

– Owszem, przeraża. I tak już się wywalamy, kiedy nie mamy ładunku... To wariactwo!

– To dobrze się składa, bo tu są sami wariaci. Pośpiesz się, musisz już wyruszyć jeśli chcesz wrócić przed północą. Musimy całą odkrytą część drogi pokonać po ciemku. Nikt nic nie może wiedzieć, bo inaczej doniosą strażnikom. No, jazda, ruszaj się!

Wyruszamy w nocy, jak spiskowcy, jeden koń niesie silnik, drugi benzynę. Zwierzęta są zmęczone wyprawą do Las Palmas i z trudnością dochodzą pod zbocze. Tu dopiero zaczynają się przyjemności. Jest jeszcze gorzej, niż sądziłem. To zbocze jest potworne. Ślizgamy się nawet mając wolne ręce. Ten cholemy silnik jest naprawdę ciężki i nie ma żadnego uchwytu. Jedyne wyjście, to żeby każdy po kolei niósł go na plecach. Choć podkładamy sobie poduszkę z juty, zawsze w którymś miejscu wrzyna się w plecy metalowy kant. Szczupli jak zapalki Dave i Tonio ledwo dają radę udźwignąć to żelastwo. Powierzamy więc każdemu z nich po kanistrze, a dodatkowo mają przywiązane do Pasa po kilkadziesiąt metrów rur, bo jedna ręka musi być wolna, żeby móc czepiać się drzew. Claude i ja wymieniamy się. Na skutek mojej biegunki oraz braku snu i pożywienia jestem bardzo słaby i z ledwo-

ścią posuwam się w górę. Oddaję ciężar Claude'owi co dziesięć metrów. Na szczęście jest przyzwyczajony do gór i czyni cuda. Przesuwa się o trzydzieści metrów, powoli, ale pewnie: nie ma mowy o upadku, zostałby przygnieciony przez silnik albo, co może jeszcze gorsze, upuściłby go i pozwoliłby mu spaść na sam dół.

Podczas gdy jeden z nas niesie silnik, drugi czyści mu przejście, ze względu na węże. Gdy bowiem idzie się zgietym w pół pod ciężarem, czepiając się jedną ręką korzeni i drzew, nie ma żadnej możliwości obrony przed nagłym atakiem.

Podejście zabiera nam cały dzień. Kiedy dochodzimy do rzeki, Świeczki tańczą mi przed oczami, dostaję zawrotu głowy i muszę się położyć. Miałbym ochotę przeleżeć tak całą noc, ale to niemożliwe, i ponownie ruszam w drogę na miękkich nogach.

*

Następnego dnia bardzo wcześnie rano jesteśmy ponownie na miejscu. Podczas gdy urządzam canoa, Claude i Dave uruchamiają silnik. Ten rusza na pełnych obrotach i Dave, przestraszony hałasem, który nagle rozlega się w leśnej ciszy, zatrzymuje go. I nie ma siły, żeby go ponownie zapalić. Próbujemy wszystkiego. Jak wariaci ciągniemy za ten cholerny sznurek, szczerząc zęby z nienawiścią. Mam chęć rozwalić go w drobny mak i rozsypać po okolicy; miotamy przekleństwa, ale nic to nie zmienia. Ta cholerna kupa żelastwa drwi sobie z nas, nieruchoma i milcząca. Żaden z nas nie zna się ani trochę na mechanice, a zresztą nie mamy nawet śrubokręta! Wszyscy są przygnębieni i czują ich niepokój przed tym, co ich czeka. Po krótkiej ciszy wypowiadam złowróżbne zdanie: – No dobra, zabieramy go.

Może się to wydawać szalone, ale jestem uparty i mam zwyczaj do-

przewodząc do końca to, co zacząłem. Zrobimy to, nawet gdybyśmy mieli przy tym zdechnąć. To jedyne wyjście, i ten główniany silnik nie będzie nami rządził: od rozkazów jestem tutaj ja!

Transportujemy go na dół, częściowo zsuwając się, częściowo niosąc, a każdy ma ochotę delikatnie go popchnąć tak, by stoczył się na sam dół i rozwalił tam o skały.

Kiedy docieramy do domu, jest jeszcze jasno. Wszyscy są wykończeni, ale nie mogą pozwolić na upadek morale. Nie załamujemy rąk po jednej porażce.

– Dave i Claude, ładujcie konie, zdążycie jeszcze na łódź China odpływającą do Golfito z Playa Blanca o czwartej rano. Poszukajcie tam jakiegoś mechanika, niech to naprawi i wracajcie.

– Ale jesteśmy wykończeni. Do Las Palmas jest długa i ciężka droga, zesrać się można!

– Wszyscy sramy ze zmęczenia, i jeszcze długo tak będzie. Widzisz przecież, w jakim jestem stanie. To nie obóz wakacyjny, jak się chce przygody, to trzeba na nią zasłużyć. No, jazda, żebyście byli z powrotem jutro wieczorem. I przy okazji kupcie trochę trawki, już prawie nic nie ma.

Że nie ma co jeść, jakoś ujdzie, ale kiedy nie ma co palić, to już za wiele.

Następnego dnia, po nocy malarycznych drgawek, kiedy właśnie zapaliłem sobie pierwszego porannego skręta, wyciągnięty na łóżku, nagle dom wypełnia się mundurowymi. Pojawiają się ze wszystkich stron. Przez drzwi, przez okna, zewsząd mierzą lufy karabinów.

– Nie ruszać się! Ręce do góry!

Coś takiego! Skąd oni się tu wzięli? Chyba nie chcą zaczynać na no-

wo? To już staje się tradycją! W naturalnym odruchu połykam skręta, reszta trawki spoczywa bezpiecznie przy moich jajach, jak zawsze, nawet tutaj. Wyczuwa się napięcie i gliny są nerwowe. Ledwo zdążyłem ruszyć ręką, a już krzyczą, żebym się nie ruszał. To znów gliniarze z Commando Sur, ale tym razem z Jimenez. Szybko przeszukują mnie i zaczynają rewizję w całym domu. Każą nam wyjść z sypialni. Przeszukują absolutnie wszystko, opróżniają worki; jeden wchodzi na krzesło i starannie zagląda za każdą deskę, maca wśród liści na dachu; potem pójdą poodwracać kamienie i pnie drzew wokół domu i przeszukają nawet najbliższą okolicę w dżungli. Nie wiem, kto ich tu nasłał i czego szukają, i staram się domyśleć. Diane nie daje się ponieść panice i pilnuje, żeby niczego nie ukradli.

Pytam ich, czego chcą.

– Zamknij się i siedź spokojnie – mówi jakiś oficer, mierząc do mnie, bo zrobiłem krok do przodu.

– Zaraz, mogę wiedzieć, co mi się zarzuca?

– Gdzie masz broń? Gdzie jest trawka?

– Spluwę zgubiłem podczas przeprawy przez rzekę, a trawki tutaj nie ma.

Facet wybucha śmiechem.

– Daj spokój, Francuz, wiemy, że jesteś szybki. Znamy sprawę Golfito, nie wmawiaj nam, że z ciebie świętoszek! Gdzie masz rewolwer?

– Naprawdę go zgubiłem. Możecie wszystko przeszukać, sami zobaczcie.

– Właśnie mamy zamiar. A jak znajdziemy, będzie z tobą źle. Doskonale wiem, gdzie jest moja spluwa. O dwadzieścia centymetrów od jego nóg, w moim bucie, tu, na ziemi. Nie przyszło mu do głowy tam

sprawdzić; jeśli to zrobią, nie wiem, co im powiem. To samo, gdyby któryś zechciał obejrzeć moje jaja. Jestem w szortach i trawka sterczy, jak cholera.

– A forszę gdzie schowałeś?

To coś nowego! Nie rozumiem, przecież nie chodzi im o tych parę tysięcy colonów. A nawet jeśli uważają mnie za bogacza, to nie jest to zabronione.

Kiedy już mnie odpytali i przeszukali wszystko dookoła, odprężają się trochę. Proponuję im kawę i pozwalają mi ją przyrządzić. Wykorzystując moment, kiedy odwrócony jestem plecami, szybkim ruchem wrzucam torebkę z trawką do ognia. Mam zaledwie dość czasu, żeby wciągnąć pierwszy dym. Zapach palącego się plastyku wypiera zapach trawki, a dom jest na tyle przewiewny, że nie zwrócili na to uwagi. Kiedy wracam z kawą, dostrzegam na dworze Sancha z glinami. Wygląda na przestraszonego, zbitego z tropu.

– Przykro mi, Juan Carlos, mnie też zwinęli. Musiałem im powiedzieć o naszych interesach w Panamie.

Wygląda nieszczerze, czy to strach po wydaniu mnie, czy dlatego, że go aresztowali? Diane zwraca mi nagle uwagę, że spod koszuli wystaje mu rękojeść pistoletu. Wskazuję na broń palcem.

– Chcesz, żebym uwierzył, że zostawili ci broń po aresztowaniu, ty ścierwo!

Sam fakt, że wyciągnąłem ku niemu palec, napawa go przerażeniem, i szybko rozumiem całą prawdę. Wszystko jasne: ostre działanie gli-niarzy, ich pytania. Musiał im powiedzieć, że jestem niebezpieczny, że lepiej strzelać bez ostrzeżenia. Kiedyś Dave chciał go nastraszyć i na-opowiadał mu, że jestem byłym najemnikiem i że największą przyjem-

ność sprawia mi obcinanie głów... Zdaję sobie również sprawę, że nigdy nie uwierzył w wysokość sumy wypłaconej adwokatowi. Najwi-
doczniej umówił się z glinami, że podzielią się po połowie wszystkim,
co u mnie znajdują, i obiecał im też pewnie, że będą mogli skonfiskować
mi broń: ich pensje na pewno nie wystarczą, żeby kupić chromowany
Magnum 357.

Potem dostrzegam jednookiego, który sprzedał mi ziemię, i Carlita,
syna Alfreda, który najprawdopodobniej przyprowadził ich tutaj, bo
Sancho nie wiedział gdzie jestem. Wszyscy trzej oskarżają mnie o naj-
gorsze przestępstwa. Kiedy statek tonie, szczury opuszczają pokład. Od
dawna nie mieli pieniędzy, więc czemu nie użyć najpodlejszych chwy-
tów. Gliniarze zabrali mi paszporty, ich szef mówi do mnie:

– Paszporty zatrzymuję. Macie nakaz opuszczenia półwyspu. Pakuj-
cie się. Odprowadzimy was. Nie chcemy was tutaj więcej widzieć. Za
dużo narozrabialiście. Zarzuca ci się grożenie śmiercią jednemu z pra-
cowników, nielegalne posiadanie broni, strzelanie do ludzi, zażywanie
narkotyków, przemyt złota i na koniec budowę domu na terenie rezer-
watu leśnego! Zrozumcie, że w tej sytuacji możecie tylko szybko zni-
kać.

Czuję się przybity, muszę usiąść.

– Nie mogę. Jestem zbyt chory, żeby dzisiaj wyjechać.

– Co ci jest?

– Biegunka i malaria. Ledwo trzymam się na nogach.

– Fakt, że nie wyglądasz najlepiej.

I staje się to, co stawało się przez całe moje życie za każdym razem,
gdy mnie aresztowano. Po pierwszych trudnych chwilach pozyskuję
ich sobie wzbudzając sympatię i szacunek. Tworzy się jakaś więź, coś

możliwego tylko między mężczyznami.

Porucznik Nogales nie jest tu wyjątkiem. To twardy facet, ale potrafi rozpoznać swoje alter ego. Dyskutujemy przez godzinę. Gość jest w porządku i inteligentniejszy od przeciętnej, domyślam się, że uniżoność tamtych donosicieli budzi w nim lekkie obrzydzenie. Czuję, że jest gotów mi pomóc.

– W porządku, dam wam kilka dni czasu, żebyś mógł dojść do siebie. Ale muszę zabrać silnik.

– Dlaczego? Należy do mnie. Był własnością spółki, którą mieliśmy z Sanchem.

– Nie, nie – wtrąca ten ostatni, przysłuchujący się wszystkiemu z tyłu. – Jest mój. Mam dokumenty, na moje nazwisko.

Mały szmaciarz, potrzebuje osłony dokumentów! Jak będę miał czas, zajmę się tobą kiedy będzie mniej świadków. Na razie spluwam mu prosto w mordę.

– Uspokój się – mówi Nogales. – Mogę ci pójść na rękę, ale nie przesadzaj. Sancho ma rację.

– Dobrze. Ale wysłałem silnik do naprawy do Golfito, możecie go tam odebrać.

– Pójdziemy tam. Wpadnij do mnie jak się lepiej poczujesz, pogadamy.

Przyszli tu wykończeni, bo wybrali dłuższą drogę. Z sympatii do Nogalesa pokazuję im skrót.

Dwie godziny później, kiedy omawiamy z Diane niedawne wydarzenia, nadchodzą Dave i Claude.

Obaj mają dziwne miny, szybko dowiaduję się dlaczego. Przypadek sprawił, że spotkali gliniarzy w środku dżungli. Mówiłem Clau-

de'owi, żeby nie tracił czasu, ale nie spodziewałem się, że tak szybko się uwiną! Mechanik przewiózł ich swoją ciężarówką, żeby nie musieli czekać na łódź, więc sporo zyskali na czasie. Na ich nieszczęście gliny zabrały silnik i znalazły trawkę przytroczoną do jednego z siodeł. Claude przytomnie wziął wszystko na siebie, bo jako recydywiście Dave'owi groziłyby poważne kłopoty. Nogales poszedł im na rękę, zabrał tylko paszporty. Sporo mamy ostatnio kontaktów z gliniarzami!

Postanawiam wszystko załatwić jak najszybciej i następnego dnia wyruszamy z Diane do Jimenez.

*

Przyjmują mnie bardzo sympatycznie. Widząc, jak źle wyglądam, Nogales częstuje mnie nawet obiadem w swoim gabinecie. Nasze stosunki są teraz dobre, przeprasza mnie za wczorajsze gwałtowne zachowanie.

– Rozumiesz, masz tu taką opinię i zgłoszono przeciwko tobie takie zarzuty, że musiałem się zabezpieczyć. Mogę ci teraz powiedzieć, że wszyscy baliśmy się i byliśmy gotowi do walki. Co teraz zamierzasz? Nie możesz zostać tam na górze, ta historia narobiła za dużo hałasu.

– Nie mam dokąd pójść. Nie mam grosza, muszę zarobić trochę forsy.

– Słuchaj, coś ci proponuję. Wyjeżdżam do San José na Boże Narodzenie. Wracam piątego stycznia. Obiecay mi, że do tego czasu wyjedziesz. Dziś jest piętnasty, masz dwadzieścia dni. Tylko tyle mogę zrobić, załatwię to z przełożonymi. Ale gdybyś po moim powrocie jeszcze tu był, aresztuję cię... Daj mi słowo i oddam ci paszporty.

– Daję ci je, nie ma sprawy.

Korzystamy z pobytu w Jimenez, żeby kupić trochę jedzenia, ryż i fasolę, na więcej nas nie stać. I pięćset gramów trawki. Miejmy nadzieję, że będziemy mieli czas ją wypalić. Chcę jeszcze tylko zafundować sobie jakieś mięsne danie, bo za każdym razem, jak dobrze zjem, spada mi gorączka. W Rancho de Oro, dokąd się udajemy, spotykam Hansa i jego kumpla Faulknera, też Niemca, ożenionego z dziewiętnastoletnią Ticą. Jest na półwyspie od niedawna i wygląda jeszcze porządnie. Wyglansowane wysokie buty, kapelusz stetson, zadbane twarz, wygląda jak kowboj z reklamy papierosów.

Opowiadam im o sobie. Interesuje ich to, zwłaszcza Faulknera, który ma już bombę, zainstalowaną na rzece Tigre.

– Wszystko powinno było się udać, miejsce jest świetne, ale nie mam już silnika.

– Moja bomba wydobywa tylko dziesięć gramów dziennie. A tam, na górze, ile miałeś?

– Praktycznie dwieście gramów dziennie kiedy nie było problemów.

To grube kłamstwo, ale muszę coś wykombinować. Ten wygląda milutko ze swoją gębą salonowego awanturnika, a jego silnik może mi się przydać.

– Moglibyśmy może zrobić z tobą spółkę i przewieźć bombę na górę. Kiedy możemy do ciebie przyjechać?

– Kiedy chcecie, jak najszybciej.

Odwożę mnie samochodem do Las Palmas. W czasie drogi przekonuję ich ostatecznie. Muszę mieć ten silnik. W końcu godzą się przewieźć go następnego dnia do Las Palmas, a tam wynająć przewodnika, który przyprowadzi ich do mnie.

Wkrótce nadchodzą Faulkner, jego żona i pracownik Tico. Faulkner odsunął Hansa od sprawy, wyczuł interes i nie chce się dzielić. Jak wiadać, pod pozorami operetkowego kowboja ukrywa się pirat, i to najgorszego rodzaju, z tych, co potrafią wyeliminować własnych przyjaciół. Nawet takich, którzy oddali im przysługę, jak w tym przypadku. Hans nauczył go wszystkiego o półwyspie. Nie mam już ochoty patyczkować się z Faulknerem.

Kiedy przychodzą, ubłoceni i zmęczeni, myślą, że dokonali wyczynu. Nie rozładowuję konia, bo chcę, żeby doszedł z nami na zbocze, żadnego odpoczynku. Faulkner panicznie boi się węży, jest przerażony widząc, jak je zabijamy. Zmyślamy różne historie, każdy opowiada, że właśnie widział wielkiego niedaleko, muszę przerwać Dave'owi, który zaczyna przesadzać: gotów jest już opisać gada dziesięciometrowej długości.

Silnik Faulknera jest jeszcze cięższy niż nasz, ale we czterech zdołaliśmy go wnieść przed zapadnięciem zmroku. Wysilek, błoto i węże całkowicie demoralizują Viele Schlange (Dużo Węży), jak go już nazywamy. Od początku wydawał się wszystkim antypatyczny. Nie znosi zwierząt i nie rozumie, co robią w domu ta kura i ta małpa, która ciągnie go za włosy. Próbuje udobruchać Arturo, który gryzie go do krwi. Diane zauważa:

– To nie może być dobry człowiek, bo Arturo go nie lubi.

Ta uwaga o małpie grzebie go całkowicie. Wieczorem nie jest w stanie zjeść kolacji, zbyt pikantnej: specjalnie dosypaliśmy trochę za dużo chili i nawet dla nas jest trochę za ostra. Wyciąga więc z plecaka cały stos żarcia, konserwy, mleko w proszku, rosół w kostkach; jego żona otwiera puszkę i jedzą oboje na uboczu, nie dzieląc się z nikim: o, stary, to nieładnie!

Kiedy nadchodzi pora snu, Faulkner przeżywa chwile niepewności. Przygotowaliśmy mu naprędce łoże małżeńskie na samym środku sali ogólnej. Dave, Claude i Tino mają hamaki dookoła i spoglądają z ukosa na jego żonę. Ubrani w piżamy wyglądają wśród pozostałych trochę śmiesznie, kowbojski wygląd gdzieś się ulotnił. Czuję się głodny i przemykam się do kuchni. Są tam już Dave, Claude i Arturo, za stołem pełnym jego żarcia. Urządzamy małą nocną orgię, zjadamy łyżkami nawet jego mleko w proszku. Arturo zrozumiał, na czym polega zabawa, i milczkiem obżera się wszystkim, co mu się uda złapać. Kiedy opuszczamy kuchnię, nie została nawet połowa prowiantu.

Przy śniadaniu Faulkner jest trochę niezadowolony. Arturo, cały w mleku, staje się kozłem ofiarnym.

– Dlaczego zjadłeś zapasy Viele Schlange? To bardzo brzydko! – mówi Diane poważnym tonem.

Faulkner nie daje się nabrać, ale nie ośmiela się nic powiedzieć.

Idziemy do pracy. Mnóstwo czasu zabiera nam zainstalowanie rur i kiedy pod wieczór wracamy, ukrywszy silnik, mamy tylko osiem gramów złota. Viele Schlange jest niezadowolony. Jego pracownik, który zrozumiał, do czego wszystko zmierza, odchodzi, jak tylko docieramy do domu. Woli nocną wędrówkę niż spędzenie tutaj drugiej nocy. Faulkner znalazł Arturo (który naprawdę zaczyna nabierać niedobrych zwyczajów) w swoim łóżku, zawiniętego w prześcieradło. Na wrzask Faulknera małpa ucieka skrzecząc i zostawia na pamiątkę ładne gównienko na poduszce.

Ledwo nasza miła para położyła się do łóżka, w kuchni rozpoczynają się harce. Tym razem dajemy Arturo kostki bulionu, żeby móc resztę zjeść w spokoju. Mamy wytchnienie do chwili, kiedy uda mu się zdjąć opakowanie. Zaśmiewamy się do łez obżerając się jednocześnie. Zosta-

wiamy wszystkiego jedną kostkę bulionu. Nawet Arturo wydaje się syty.

Po przebudzeniu, jakby naumyślnie, Dave zabija w kuchni dwa węże. Wiele Schlange ma dziwną minę i idzie do pracy z pustym żołądkiem: jedna kostka rosółu to trochę mało na śniadanie.

Faulkner zaczyna nas denerwować. Ciągłe się wtrąca, zrządzi, udziela rad. Fakt, że spodziewał się dwustu gramów dziennie, i że jest zdrowo rozczarowany. Okolica nie jest zła, ale nikomu nie chce się pracować, poza tym mam już dość tego dumia. Nagle daję Dave'owi i Claude'owi znak do odejścia, bierzemy nasze narzędzia i bez słowa, nawet nie zatrzymując silnika, odchodzimy.

Faulkner jest zaskoczony, wrzeszczy coś po niemiecku. Biegnie za nami, przerażony, potem wraca i usiłuje ukryć swój silnik. W końcu, ze strachu przed zostaniem samemu na górze, schodzi z nami wrzeszcząc wniebogłosy. Nie słuchamy go, zaśmiewamy się wesoło. Żeby się wreszcie przymknął, grożę mu łomem. Uspokaja się.

Kiedy docieramy do domu, zaczyna się ostatni akt. Wszyscy otwarcie nabijają się z niego i im dowcip jest cięższy, tym bardziej nas bawi. Claude śpiewa mu niemieckie piosenki robiąc różne miny...

Mógłbym z nim poważnie pracować, ale postąpił z Hansem zbyt pochamsku, żeby nasze stosunki mogły dobrze się układać. Całkowicie stracił swój dziarski wygląd, jego żona nienawidzi nas za to, że go ośmieszamy. Faulkner prosi, żebym pomógł mu sprowadzić na dół silnik, więc odsyłam go do wszystkich diabłów. Próbuje z innymi, ale odpowiedzią są tylko wulgarne gesty. Zresztą zabroniłem użycia koni do tej roboty, uważam, że źle ostatnio wyglądają...

Zdenerwował się wreszcie i zaczyna krzyczeć. Na początku jest to zabawne, ale po pewnym czasie mamy już dość. Czuję się trochę osła-

biony, więc mówię do Claude'a:

– Proszę cię, daj temu panu po mordzie.

Wstaje, a Faulkner, który nie mówi po francusku, myśli, że kazałem Claude'owi mu pomóc. Jest zaskoczony, kiedy dostaje w ryj. Claude ma metr dziewięćdziesiąt pięć, a on metr siedemdziesiąt, więc nie ośmiela się mu oddać. Ale można wyczuć, że nie sprawiło mu to przyjemności.

Myślę sobie, że właściwie jeśli zostawi swój silnik na górze, nic mi nie przeszkodzi dalej go używać. Mógłbym mu go skonfiskować, ale ostatnio za dużo już mieliśmy do czynienia z glinami.

Faulkner biega tam i z powrotem i w końcu znajduje trzech Ticos, którzy godzą się znieść mu na dół silnik i canoa. Wchodzą z wynajętym koniem i wracają z samym silnikiem.

*

Przygoda dobiega końca, zbliża się termin. Idę do Golfito sprzedać złoto wydobyte w ciągu ostatnich dni, żeby kupić coś na Boże Narodzenie. Wayne daje mi trochę kokainy. Spędzamy przyjemną Wigilię przy świecach, całkowicie naćpani. Jest wesoło, panuje atmosfera zakończenia przygody, wiemy, że niedługo się rozstaniemy.

Przed odejściem zbieramy chłopów i sprzedajemy wszystko: konie, garnki, łopaty i nawet canoa Faulknera; dostajemy w ten sposób parę tysięcy colonów, akurat tyle, żeby wrócić do cywilizacji. Potem Dave nie może oprzeć się pokusie podpalenia resztek. Siedząc na pniu drzewa i paląc grube skręty, patrzymy, jak uchodzi z dymem nasz były dom; wypuściliśmy kurę do lasu, nie chcemy nic za sobą zostawiać.

Piechotą schodzimy do Las Palmas, niosę Arturo na ramieniu. Jest

3 stycznia 1982. Nie miałem szczęścia na półwyspie: za pierwszym razem wyszedłem z niego ciężko chory, za drugim razem wyrzucili mnie.

Część trzecia

Rozstaliśmy się z Diane. Trzy miesiące, które upłynęły od wydalenia mnie z Osa, były spokojnym zakończeniem pięknej miłości. Spotkałem Diane pięć lat wcześniej na jednej z wysp Morza Karaibskiego, dokąd przybyłem splukany z amazońskiej dżungli. Diane była bogata i piękna, jej ojciec był ostatnim poszukiwaczem przygód na Karaibach. Piastował stanowisko mera na sąsiedniej wyspie, ożeniony z kobietą pochodzącą z białej rodziny od wieków zamieszkałej na wyspach; mieli trzy wspaniałe córki. Diane była z nich najpiękniejsza. Przez półtora roku żyliśmy po królewsku. Zorganizowałem przedsiębiorstwo handlowe, przynoszące spore zyski, i nie odmawialiśmy sobie niczego. W końcu jednak rasizm i liczni wrogowie, których sobie narobiłem, zmusili mnie do opuszczenia wyspy, a Diane była już w ciąży. Chciałem innego środowiska dla mojego dziecka. Zamieszkałem w Turcji, potem w Egipcie, wreszcie na Oceanie Indyjskim. Kiedy jechaliśmy do Hiszpanii, gdzie czekał na mnie interes w przemyśle rozrywkowym, wydarzyło się nieszczęście, które spowodowało mój upadek.

Cizia, mój roczny syn, zmarł na moich rękach, w parę chwil, na nieznaną chorobę. Narkotyki i hazard zawsze stanowiły część mojego życia; tym razem jednak, żeby zapomnieć o naszej rozpacz, pograżyliśmy się w nich do dna: Azja, Hongkong, Makao, cała lista porażek, prowadzących na Osa.

Po takiej serii niepowodzeń muszę zostać sam, żeby rozpocząć od zera.

Po wyjeździe z Osa poszedłem do Wayne'a, któremu zostawiłem moje Magnum 357 w zamian za pięćset dolarów. Za te pieniądze kupi-

łem parę dzieł sztuki prekolumbijskiej o gwarantowanej autentyczności, które dałem Dave'owi, żeby sprzedał je we Francji. Zostawiając mu pieniądze, wywiązałem się z moich zobowiązań. Zgodnie z umową odesłał mi moje pięćset dolarów i zachował dla siebie zysk. Forsa nadeszła akurat w dniu wybrania Monge, kandydata Partido del Pueblo Unido, na miejsce Carazo, który zrujnował kraj.

Pozostawszy sam z Diane mogłem poświęcić tylko jej te ostatnie chwile. Jako dziecko słońca i morza, wychowane na wyspie, chciała zamieszkać na plaży. Ale odejść z Osa nic stamtąd nie wynosząc nie jest w moim stylu. Wróciliśmy tam więc, ale od innej strony, dyskretnie.

Przedostaliśmy się przez mokradła Sierpe, gdzie przechodzi druga droga. Początkowo miałem zamiar udać się do Isla Violin, gdzie, jak głoszą legendy, zakopany jest skarb Morgana, słynnego pirata, gdzieś w groye nad samym brzegiem morza.

Wielu już go poszukiwało, ale na próżno. Czekąo nas rozczerwowanie. W wyniku naturalnych ruchów podłoga woda naniosła piasek i muł, a morze cofnęło się o dwadzieścia metrów od czasów Morgana. Musielibyśmy więc przeszukać nie pas wybrzeża nad samą wodą, ale odcinek o szerokości dwudziestu metrów, zatem zbyt wielki, by móc go dokładnie przeczesać.

Potem pojechałem naprzeciwnie, do Guerra, odwiedzić starego Don Nizaro, którego ziemia pokryta jest prekolumbijskimi cmentarzami. Okolica jednak pełna jest colloradillas i komarów; nie chciałem, by Diane dłużej musiała cierpieć z ich powodu.

W końcu przystałem na jej życzenie: po dwunastu godzinach marszu przez las docieramy do zatoki Drake'a. Jest to wspaniałe miejsce, na którego spokojne i jasne wody przybył zgodnie z legendą korsarz Sir Francis Drake, by uzupełnić zapas wody pitnej.

Nasze przybycie do Drake miało dosyć zabawny przebieg. Miałem zaledwie paręset dolarów w kieszeni, kiedy wynająłem pokój w jedynej pulperii tej rybackiej wioski. Jednakże pulpero natychmiast zaproponował mi sprzedaż ziemi. Takie sytuacje zdarzały mi się przez całe życie, a ostatnio nawet często, odkąd parę siwych włosów na skroniach nadało mi bardziej szacowny wygląd. Choć nie miałem grosza przy duszy, wyobrażano sobie, że jestem bogaty, i wielu właścicieli gruntów, hoteli czy sklepów miało chęć zawrzeć ze mną transakcję.

Choć rzeczywiście wspinały, teren z pewnością nie był wart astronomicznej ceny, jakiej za niego zażądał: pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Zarobek całego życia Tico! Zgodnie z moim zwyczajem przyjmuję propozycję. Mówię jednak, że muszę najpierw pomieszkać tam trochę, żeby upewnić się, czy okolica mi odpowiada. Facet pośpiesznie wyprowadza się ze swego domu i wynajmuje mi go za dwieście colonów miesięcznie, czyli za cztery dolary.

Od tego dnia pulpero, który jest najważniejszą postacią w wiosce, staje się wobec nas doprawdy służalczy; liczy na złoty interes. Tak urządzony, w spokoju, spędziłem moje ostatnie trzy miesiące z Diane.

*

Oboje wiemy, że to koniec naszej miłości. Nie chcę, by nadal cierpiała, i muszę być sam, by ponownie wypłynąć na powierzchnię. Po długiej serii niepowodzeń muszę wszystko wyczyścić wokół siebie, chcę startować z nie zapisaną tablicą. Znaleźliśmy się w ślepym zaułku. Ale chciałem, byśmy rozstali się z dobrymi wspomnieniami.

Miejsce jest wspaniałe. Jest to półwysep z jednej strony ograniczony morzem, a z drugiej przez rio oddzielające nas od wioski, co zapewnia nam pewną swobodę. Są tu długie piaszczyste plaże, a fala nie jest zbyt

silna.

Roślinność jest dobrze utrzymana, w większości składa się z drzew owocowych. Jest źródło wody pitnej, z którego korzystają rybacy, środku terenu zabetonowana płyta pamiątkowa przypomina o pobycie tu Drake'a.

Przeżyliśmy tu z Arturo spokojne dni, bez dużych wydatków, bo i nasze potrzeby były skromne. Miejscowi nie byli dotknięci gorączką złota. Większość to rybacy, spokojni i uprzejmi. Był tam też jedyny piekarz na całym półwyspie, wypiekający doskonały chleb. Co robił na tym końcu świata?

Spędzałem wiele czasu na łowieniu w rio, w którego skalnych zakamkach pełno było przepysznych ryb podobnych do barweny. Przychodzący po wodę rybacy przynosili mi krewetki, raki, różne ryby, które zjadaliśmy na gorąco z najróżniejszymi sosami lub na surowo. Menu uzupełniały równie liczne owoce i doskonałe korzenie yuca.

I wreszcie pulpero zostawił nam kilkanaście kur, które w zamian za opiekę składały dla nas jajka. Jeśli od czasu do czasu zdarzyło się, że któraś wylądowała w garnku, nie było to wynikiem złośliwości.

Od czasu do czasu chodziłem na polowanie z miejscowymi. Wychodzili bez strzelby tropić tepesquintle, rodzaj górskiego zająca, dysponując tylko psem, który zmuszał zwierzyne do chronienia się w norze. Potem wystarczyło już tylko rozkopać norę maczetą, żeby wyciągnąć zająca. Jest to bardzo sportowy rodzaj polowania, bo podczas gdy pies biegnie za zającem, myśliwy musi nadążyć za psem. Na szczęście ten ostatni zmienia sposób szczekania w zależności od tego, czy idzie za tropem, czy już widzi zwierzyne.

Jedynym ciemnym punktem tego rajy były rekiny, od których w morzu aż się roiło. Już sama kąpiel była niebezpieczna, a oddalenie

się o kilkanaście metrów od brzegu uznano by za szaleństwo. Wieczorem zarzucaliśmy długie wędkę z ogromnymi haczykami, a nad ranem, o ile nie wyprzedziły nas żarłacz, wyciągaliśmy małe rekiny-młoty.

Wykorzystywałem te spokojne dni, żeby całkowicie powrócić do zdrowia. Nawroty gorączki ustąpiły, ale chciałem wzmocnić ciało, by uniknąć ponownego kryzysu. Dużo pływałem w rio i biegałem po plaży na dalsze odległości o ile słońce nie grzało zbyt mocno. Bardzo ceniliśmy sobie te chwile intymności, pierwsze od dłuższego już czasu, tylko we dwoje, bez żadnych trosk, bez innego zajęcia niż dbanie o siebie samych.

Żeby nie tkwić w całkowitej beczynności, od czasu do czasu wybierałem się, w towarzystwie miejscowego chłopca, na prekolumbijski cmentarz oddalony o około dziesięć kilometrów, położony na skraju plaży. Ciągłe dbając o kondycję, starałem się pokonywać owych dziesięć kilometrów biegiem.

Cmentarz nie był zbyt bogaty, ale znalazłem tam parę małych złotych przedmiotów. Po sprzedaniu ich amerykańskim turystom mogłem zafundować Diane podróż do San José, żeby mogła odebrać listy od swojej rodziny.

Stary Nizaro, chytry jak lis, żył w otoczeniu swoich dziesięciorga dzieci, siedmiu ogromnych córek i trzech synów. Jego dom był doprawdy obrzydliwy i podejrzewam, że musiał mieć w przeszłości solidną plamę na życiorysie, skoro zdecydował się na życie w takim tłoku, w tej dziurze pełnej komarów. Opowiedział mi, że kiedy miał dwadzieścia lat, ktoś wpakował mu w głowę kulę kalibru 22. Pocisk wszedł przez policzek, zostawiając dobrze widoczną małą, różową bliznę, i zatrzymał się na kręgosłupie, gdzie zresztą tkwi nadal. Będąc w pełni sił i zdrowia Nizaro uznał usuwanie go za zbyt kosztowne. Dożywszy siedem-

dziesięciu trzech lat stary całe życie spędził na poszukiwaniu złota i przeszukiwaniu prekolumbijskich cmentarzy. Znał doskonale cały półwysep i jego informacje miały wartość. Opowiedział mi, jak znalazł siedmusetgramową bryłkę złota w miejscu zwanym Rancho Quemado – Spalone Ranczo.

– To bardzo bogate miejsce, chyba najbogatsze na całym półwyspie, ale wypędził mnie stamtąd dziesięć lat temu jeden skurwysyn: nazywa się Barbaroja. Ma tylko jedno oko, to złodziej i morderca. Zabronił komukolwiek zbliżyć się do swojego terytorium i wprowadził tam własne prawa.

– Słyszałem o tym. Opowiedział mi to pewien orero w Karate, ale nie wiedziałem, że to ty znalazłeś tę bryłkę.

– Oczywiście że ja! Zresztą to przeze mnie nazywają to miejsce Rancho Quemado. Spaliłem dom podczas suszenia mięsa dzikiej świni. Kto ci o tym opowiadał?

– Gato, orero, którego spotkałem w Karate.

– Gato? Znam go. Pracowaliśmy razem. Niezły pijak i spryciarz, wtedy jego specjalnością było połykanie bryłek i odzyskiwanie ich później. Niejednego w ten sposób nabrał. Mnie też.

Historia się powtarza! Przynajmniej mam satysfakcję, że nie powiększyłem grona frajerów. Opowieści starego interesowały mnie, bo nie porzuciłem całkowicie myśli o powrocie do poszukiwania złota.

W ciągu tych trzech miesięcy przygotowywałem się już do następnej przygody i pomału zabierałem się do pracy. Za pomocą catiadora przeprowadziłem testy we wszystkich okolicznych rzekach, z dobrymi wynikami: na tym półwyspie złoto jest wszędzie. Trzy razy w tygodniu wybierałem się do dżungli na zwiady i w krótkim czasie poznałem

wszystkie strumienie. Przeszukałem nawet dookoła całą lagunę Chacohuaca, niedaleko miejsca, o którym mówił stary Nizaro. Złoto występowało wszędzie, w szczególności dookoła laguny. Doszedłem do wniosku, że te mokradła, gdzie zbiegała się spora część quebradas półwyspu, musiały stanowić ogromny zbiornik złota. Ale aby dotrzeć do kruszcu, trzeba by zainwestować setki tysięcy dolarów w maszyny potrzebne do oczyszczenia terenu.

*

Miałem poza tym jeszcze inny projekt. Piękno okolicy nasunęło mi myśl o trochę specjalnym hotelu dla miliarderów. Oprócz zwykłych przyjemności, jakie oferować można w odludnych miejscach, mógłbym klientom zaproponować inne usługi: połów rekinów, polowanie na kajmany w lagunie, poszukiwanie złota i wykopaliska na prekolumbijskich cmentarzach. Czy jakikolwiek hotel może oferować taki program?

Ponieważ chłopci skwapliwie przychodzili do mnie z propozycjami sprzedaży swoich ziem, po upływie trzech miesięcy zawarłem już wstępne umowy na zakup prawie całej zatoki, a przynajmniej tych jej części, które mnie interesowały. Zawsze ta sama historia. Jeszcze bardziej splukany niż poprzednio, zapłaciłem wszystkim obietnicami. To wystarczało aż nadto. Ale im bardziej angażowałem się w ten projekt, tym mniej mnie interesował: naprawdę pociągało mnie znowu Osa.

Nie wiedziałem jeszcze jak, ale musiałem tam wrócić. I wiedziałem, że muszę to zrobić sam.

*

Był początek maja i nasz słodki romans z Diane trwał już trzy mie-

siące. Choć było pięknie, czysto i jasno, nie po to walczyłem całe życie, żeby zasnąć na plaży nad Pacyfikiem. Diane, która mnie dobrze знаła, wiedziała, że nie pozostanę już dłużej bezczynny. Ona również czuła, że nadchodzi czas rozstania. W naszych stosunkach było coraz mniej słów, rozumieliśmy się bez nich. Rano budziliśmy się ciasno objęci, nie rozstawaliśmy się przez cały dzień. Myśl o rozejściu się sprawiała mi straszny ból.

Muszę powiedzieć, że przeżyłem już wszystko, bardzo wcześniej w moim życiu poznałem aż do przesytu kobiety i przyjemności, jakich mogą dostarczyć. Diane jest jedyną, którą kochałem, jedyną godną tego, by być matką moich dzieci. Była moją towarzyszką na dobre i złe, bez żadnych ograniczeń, przez ponad pięć lat. Bywaliśmy na wozie i pod wozem, wszystko zносиła, szczerą, lojalną z inicjatywą. Obdarzona rzadką siłą charakteru, jako jedyna miała równorzędne miejsce u mego boku. Była obecna, walcząc wraz ze mną, w sytuacjach, kiedy wielu mężczyzn załamałoby się. Nigdy nie okazała zmęczenia, nigdy słowa wyrzutu z powodu sytuacji, w które ją wciągałem. Była stworzona do miłości, ale ja nie potrafię żyć tylko dla miłości. I właśnie dlatego, że kocham ją jak rzadko kogo kochałem w swoim życiu, nie chcę jej już mieszać do moich zwariowanych historii. Ze mną nie ma przyszłości. Jutro mogę zostać miliarderem i wszystko przepuścić w ciągu tygodnia, żeby znów znaleźć się na ulicy bez grosza w kieszeni.

*

Dobrze wiedząc, że nie ma alternatywy, Diane chciałaby zostać jeszcze jakiś czas ze mną. Udało mi się przekonać ją, by pojechała ze mną do San José i stamtąd zatelefonowała do swego ojca, który natychmiast przysłał jej bilet lotniczy. Wiedziałem, że kiedy usłyszy znajomy głos,

powrócą dobre wspomnienia i to pomoże jej przeżyć te trudne chwile. Nie czułem się winny. Nie zostawiałem jej samej w nieznanym mieście. Miała powrócić do bezpiecznego schronienia swej rodziny, do miejsc, w których żyła szczęśliwie zanim pojawiłem się w jej życiu.

Podjęła tylko jedną, rozpaczliwą próbę zabrania mnie ze sobą na tę jej wyspę. Ale nie mogłem wrócić bez grosza do miejsca, które opuszczałem jako zwycięzca.

Naszą ostatnią noc spędziliśmy nie śpiąc, patrząc na siebie, rozmawiając, starając się wzajemnie po raz ostatni nasycić oczy swoim obrazem.

Nasze pożegnanie na lotnisku było krótkie, ale jakże pełne treści. Żadnych łez, żadnych zbędnych słów. Cierpieliśmy w środku, oboje jednakowo. Nie było potrzeby tego wyrażać:

– Czy zobaczę cię jeszcze?

– Kto wie, ślicznotko? W każdym razie mam nadzieję, że tak. A teraz uciekaj! Nie utrudniaj tego jeszcze bardziej!

Ostatni pocałunek, przepojony miłością, i odeszła, nie odwracając się.

*

Po tym rozstaniu nie mam już ochoty zostawać w stolicy, a jest jeszcze za wcześnie, by wracać na Osa. Mam ochotę pojechać do Punta Burrica. W toku rozmów z handlarzami sztuki prekolumbijskiej dowiedziałem się, że największy przedmiot ze złota znaleziony w tym kraju pochodzi właśnie stamtąd. To wystarczy, żebym tam pojechał, bez żadnych dokładniejszych planów. Teraz przede wszystkim potrzebuję zapomnieć o pięciu latach życia we dwoje, ponownie przyzwyczaić

ić się do kawalerstwa, stanu, który przecież był dla mnie przez długie lata czymś naturalnym.

Dwa dni temu spotkałem młodego Francuza, Nicolasa, który słyszał o mnie i poszukiwał mnie. Jest podróżnikiem, wyjechał z Francji przed paroma miesiącami i szuka emocji poza wydeptanymi ścieżkami. Poprosił, żebym go zabrał ze sobą. Jest trochę podobny do Dave'a, paryski punk, włosy ufarbowane na czerwono i kolczyk w uchu, wygląda na trochę mniej nieodpowiedzialnego, ale za to na bardziej przekupnego. Ma chęć się zabawić i ja też. Dlatego zgadzam się, choć męczą mnie już trochę amatorzy. Poza tym nigdy nie potrafiłem nikomu odmówić przygody. Tak czy owak, do Punta Burrica postanowiłem pojechać na wycieczkę, bez żadnych poważnych zamiarów. Przyda się ktoś, z kim można po drodze pogadać i powyglupiać się.

Umawiamy się, że pojedziemy bezpośrednio na południe. Nicolas nie wygląda zbyt potężnie, więc żeby mi nie odstawał w drodze, poradziłem mu, by wziął jak najmniej rzeczy, a w końcu, żeby nie brał po prostu nic. Trzeba powiedzieć, że tyle już łąziłem po tej dżungli, że traktuję ją trochę jak park. Mimo wszystko Nicolas wygląda na zaskoczzonego:

- Co mam zabrać? – spytał mnie. – Coś specjalnego?
- Nie, nic. Nie zawracaj sobie głowy.
- Hamak?
- Nie. Zawsze znajdziemy jakiegoś frajera, u którego można przenocować.
- To przynajmniej maczetę na węże?
- Jeśli bardzo chcesz, ale to ciężkie i niezbyt estetyczne. Poza tym o węzach dużo się mówi, ale one boją się jeszcze bardziej niż ty.

I w ten sposób wyruszamy z rękami w kieszeniach, wzdłuż tej plaży bez końca. Droga jest naprawdę bardzo prosta: jest tylko jeden sposób, żeby się dostać do Punta Burrica. Trzeba iść plażą, a potem podejść ścieżką, używaną przez przemytników bydła, w kierunku Panamy i przejść przez indiański rezerwat. Później się zobaczy. Nie mamy bagaży, zwykła przechadzka. Żywność kupujemy po drodze u miejscowych chłopów. Wszystko idzie dobrze, tyle że do wieczora ciągle nie dotarliśmy do ścieżki przemytników. Naciera na nas przypływ i musimy podejść wzdłuż pierwszego napotkanego rio. O zmroku znajdujemy się w miejscu oddalonym od wszelkich dróg. Zarządzam nocleg.

– No dobra, śpimy tutaj. Trzeba się rozłożyć, zanim zrobi się zupełnie ciemno.

– Gdzie?

– Ja biorę tę gałąź. Znajdź sobie jakąś wygodną niedaleko. Nicolas jest trochę zdziwiony, ale skoro zachowuję się, jakbym uważał to za zupełnie naturalne, dostosowuje się.

– Zgoda. Kto się kładzie ostatni, gasi światło.

Przed snem robię sobie ostatniego skręta. Ze wzruszeniem stwierdzam, że doszedłem do końca Starego Testamentu. Przy ostatnim świetle dnia czytam nawet przez chwilę kilka wersetów Ewangelii według Świętego Mateusza patrzącemu na mnie ze zdziwieniem Nicolaso wi. Wkrótce, pod wpływem zmęczenia i trawki, zasypiamy.

Następnego dnia odnajdujemy ścieżkę. Widać świeże ślady po przejściu bydła. Idziemy za nimi i dostrzegamy obozowisko Indian, do którego kierujemy swoje kroki.

Nie należy wyobrażać sobie Indian jako potężnych, opalonych facetów przystrojonych w pióra. To raczej banda degeneratów, którzy zidio-

cieli wskutek wielokrotnych małżeństw w ramach jednej rodziny. Są gościnni, ale ich jedzenie jest obrzydliwe. Kobiety pozostają w ukryciu i obserwują nas dyskretnie, podczas gdy mężczyźni siedzą wokół nas. Kiedy zabieramy się do odejścia, najstarszy pyta mnie:

– W jaki sposób znaleźliście drogę?

– Poszliśmy za śladami bydła, trochę niżej.

Wyglądają na zaskoczonych i odbywają ożywioną naradę. Następnie chwytają za strzelby, wskakują na konie i galopem opuszczają wioskę. Domyślam się, że mają układy z przemytnikami i że ci ostatni przeszli nocą, żeby nie musieć wywiązać się z umowy. Tak czy owak, to nie nasza sprawa, odnajduję Nicolasa, który kręci się w okolicy kuchni.

– Chodź, spływamy. Zdaje się, że ci kretyni wstąpili na ścieżkę wojenną.

*

Łazimy tak trzy dni, czasem po stronie panamskiej, czasami po kostarykańskiej. Na płaskowyżu jest dość gospodarstw, żebyśmy mogli często zatrzymywać się, tu wypić kawę, tam coś przekąsić, jeszcze gdzie indziej kupić papierosy albo się przespać. Pora deszczowa skończyła się i słońce już nie grzeje tak mocno. W rozmowie z jakimś chłopakiem dowiaduję się, że w regionie Punta Burrica, w Penas Blanca, od paru lat mieszka stary Duńczyk imieniem Lars. Z ciekawości postanawiam go odwiedzić.

Natychmiast proponuje nam, żebyśmy zamieszkali u niego tak długo, jak zechcemy. Rzadko ktoś go odwiedza i jest zadowolony, że ma z kim pogadać. Jest to wartościowy facet i doceniam go od razu. Długo pracował w tym kraju i w końcu wycofał się z czynnego życia, osiada-

jąc w tym zapadłym kącie na skraju plaży. Cywilizacja już go nie interesuje, woli siedzieć tutaj i wychowywać swego syna, trzynastoletniego szczeniaka, który jeździ na nim jak na łysej kobyle. Pomimo swoich sześćdziesięciu ośmiu lat Lars pozostaje potężnym facetem.

Jest bardzo wysokim blondynem o grubych kościach. Zaopatruje się w Puerto Armuelles, w Panamie, i dwa dni zajmuje mu przeniesienie na własnych plecach trzydziestokilowych zakupów. W Europie ludzie w jego wieku nie potrafią już nawet przejść przez ulicę. Lars nie chce zaopatrywać się na miejscu, bo odkąd statek przywożący towar rozbił się na przybrzeżnych skałach, ceny wzrosły trzykrotnie.

Jego dom urządzony jest bardziej niż skromnie, ale stół zastawiony przyzwoicie, i całe szczęście, bo apetyty mamy wilcze i w ciągu trzech tygodni, jakie u niego spędzimy, porządnie nadwyreżymy jego zapasy. Zebrał około trzydziestu owoców avocado i sądził, że starczy mu to na tydzień. Następnego dnia jest zaskoczony stwierdzając, że nie ma już ani jednego. W nocy byliśmy trochę głodni i buszowaliśmy w kuchni. Hojny Lars powiedział nam, że możemy czuć się jak u siebie w domu, być może to był błąd. Sam jem dużo, ale zadziwiają mnie możliwości Nicolasa. Facet jest wysoki i chudy, ale je za czterech i zastanawiam się, gdzie udaje mu się to wszystko pomieścić.

Postanawiam zostać u Larsa do siedemnastego czerwca, dnia, w którym chcę powrócić do cywilizacji, żeby obejrzeć piłkarski Mundial.

Zaraz po przybyciu znalazłem w chacie catiadorę i całe wyposażenie poszukiwacza złota, w tym również metalową canoa i rury. Potem, ku mojemu wielkiemu zdziwieniu, dowiedziałem się, że Lars jest inżynierem geologiem.

– Pracowałem w różnych miejscach dla towarzystw górniczych, głównie na Alasce – opowiada nam Lars. – W Kostaryce przez dwa-

dzieńca pięć lat zarządzałem kopalnią miedzi. Ale nie mogę już znieść Ticos. Często nie przychodzą, są leniwi, nie mają żadnej etyki zawodowej.

– Ale ten sprzęt jest twój?

– Tak, pracowałem trochę w okolicy z ciekawości. W tych rzekach jest wszędzie złoto, ale w małych ilościach. Zresztą gorączka złota już mnie od dawna nie bierze. Interesują mnie inne minerały, bardziej estetyczne. Na plaży jest zakątek, gdzie pełno agatów.

– Ja też szukałem złota. Chętnie bym się rozejrzał tutaj z twoim sprzętem.

– Proszę bardzo, powodzenia. Zabierz mojego syna, dobrze zna tujsze rzeki.

– Dziękuję. Są tu może prekolumbijskie cmentarze?

– Słyszałem, że miejscowi znajdowali jakieś przedmioty, ale jeśli chcesz, poznam cię z Pedro. To stary Indianin, ma osiemdziesiąt sześć lat i nie wspina się już zbyt dobrze, ale może ci udzielić wielu informacji.

Następnego dnia wybieram się obejrzeć parę strumieni. Złoto jest rzeczywiście, ale nie nadaje się do wydobywania. Występuje w postaci zwanej „microgold”, ziarenek wielkości połowy łebka od szpilki, może się to opłacać tylko przy wydobywaniu na wielką skalę, Nicolas, który nigdy nie miał do czynienia ze złotem, jest zafascynowany i nie rozumie mojej rezygnacji.

– Jesteś pewien, że to się nie nadaje? Przecież to złoto, nie?

– Oczywiście, ale widziałeś wielkość? Musisz zbierać tysiąc takich drobinek, żeby uzyskać jeden gram. Jeśli chcesz, możesz zacząć wydobywanie, trzeba tylko zainwestować milion dolarów w maszynę.

– Szkoda, pierwszy raz widzę złoto. Kurczę! To jednak robi wrażenie.

– Zrobi większe wrażenie, jak znajdziesz bryłki parogramowe. Zdarzało mi się to na Osa.

– Tego właśnie nie rozumiem. Znasz interesujące miejsca. Dlaczego tam nie wrócimy? Nie kapuję zupełnie.

– Stary, za długo by opowiadać. Nie chcę wracać na ten półwysep, chyba że po to, żeby zacząć coś na wielką skalę.

Poza tymi wycieczkami nie robię nic naprawdę poważnego. Nawet kiedy chłopak prowadzi nas na miejsce, gdzie ma znajdować się prekolumbijski cmentarz, wyprawa nie ma charakteru naprawdę serio. Któregoś dnia wychodzimy z dwoma psami i jesteśmy w drodze od godziny, kiedy psy wpadają na trop pizote, rodzaju lisa żyjącego na drzewach. Natychmiast rzucamy wszystko: nasze plany i związane z nimi sprzęt. Cmentarz, złoto, nefryt, wszystko to traci znaczenie wobec możliwości najedzenia się świeżego mięsa. Zwierzę jest bardzo agresywne i rani oba psy, ale kładzie je cios maczetą w głowę. Zdobywamy dziesięć kilo mięsa, które starczy nam na półtora dnia. Lars, który nie jest mięsożerny, nie może ochłonąć ze zdumienia. Jeśli chodzi o opowiadania chłopaka, są tak barwne, że nie warto tracić czasu na sprawdzanie wszystkiego. Jest paskudny. Nie podoba mi się sposób, w jaki wykorzystuje swojego ojca. Któregoś dnia smarkacz prowadzi nas do pewnego Indianina, który miał znaleźć jakieś groby. W rzeczywistości niczego takiego nie było, po prostu miał ochotę z nami pogadać. Przy okazji prosi nas, żeby naprawić mu radio. Nicolas z grzeczności próbuje, ale ponieważ nie zna się na tym zupełnie, rozwała aparat doszczętnie.

Mieszkamy tak od tygodnia, kiedy zawiadomiony przez Larsa Pedro przychodzi się z nami spotkać. Chodzi o lasce, której koniec zakończony jest żelaznym hakiem służącym do czepiania się drzew przy podchodzeniu. Nareszcie Indianin, który po tych górach chodzi wolniej niż ja! Pokazuje nam molejones de hule, kule z naturalnego kauczuku, którymi Indianie oznaczali granice swoich cmentarzy i wiossek.

– Co o tym myślisz? – pyta, dumny ze swego znaleziska.

– Moim zdaniem to relleño, wioska. Jest tam oczywiście trochę skorp, ale są zbyt rozproszone, nie warto.

W drodze powrotnej Nicolas pyta:

– Więc co, nic tam nie ma? Tyleśmy się nałazili przez tego starucha i wszystko na nic? Znowu tylko traciliśmy czas?

– Nie, tym razem nie. Jest bardzo możliwe, że to cmentarz, zajmmy się tym.

– To dlaczego zgasiłś starego?

– Nie chcę, żeby ktoś o tym wiedział, bo inaczej uderzy mu to do głowy i nie odczepimy się już od niego. Poza tym wygadałby się i z całej okolicy zlecieliby się faceci i wszystko rozbabrali. A my przeprowadzimy to spokojnie. Spróbuj znaleźć u Larsa żelazny pręt długości półtora metra i po cichu zorganizuj łopatę. Ciągłe wszędzie szperasz, więc pewnie wiesz, gdzie to można znaleźć.

– Jemu też nic nie powiesz?

– Nie, wolę nie. Jego syn by wszystkim rozgadał.

– Ale przecież i tak ciągle za nami łązi. Nie będzie łatwo się go pozbyć.

– Zrób mu numer w twoim stylu, niech się obrazi na jeden dzień.

Wracamy tam po trzech dniach. Technika jest prosta: wbija się w ziemię pręt żelazny w kształcie litery T. Po tysiącu lat ziemia nie jest całkowicie ubita i jeśli ma się wprawna rękę, można wyczuć różnice konsystencji. Po wielu próbach natykam się na warstwę kamieni na głębokości pięćdziesięciu centymetrów. To zupełnie mały cmentarzyk. Ma cztery metry na sześć i otoczony jest murkiem wysokości trzydziestu centymetrów, zbudowanym z doskonale dopasowanych kamieni. Przez cały ten czas, mimo ruchów podłoża, wszystkie są na swoich miejscach. Doliczamy się pięciu grobów. Postanawiam zacząć od najbardziej dostępnego.

Nicolas pala entuzjazmem i jest gotów zrobić pierwszy wysiłek fizyczny w swoim życiu. Pozwalam mu kopać pierwsze pięćdziesiąt centymetrów, po czym przejmuję pałeczkę kiedy tylko ziemia zmienia kolor. Trzeba bowiem teraz delikatnie zdejmować ziemię warstwami przy pomocy maczety, tak aby niczego nie zgubić ani nie uszkodzić. Bowiem po tak długim przebywaniu w wilgotnej ziemi wyroby z gliny są rozmiękle i bardzo kruche. Po godzinie znajdujemy pierwszy przedmiot. Jest to trójnóg wysokości trzydziestu centymetrów, który wykopuję bardzo ostrożnie. Pracuję dalej. Pod koniec dnia suszą się na słońcu takie cztery.

Biorę jeden i pokazuję bardzo podnieconemu Nicolasowi:

– Widzisz, to ma co najmniej tysiąc albo tysiąc pięćset lat. Czasami znajduje się takie z rysunkami na bokach, na przykład w Guacanaste; ale tu jest za dużo wilgoci, wszystko znikło.

To fantastyczne, że można to tak po prostu znaleźć. Ma to jakąś wartość?

– Nie, praktycznie żadnej. W tym kraju liczy się tylko złoto.

I bez uprzedzenia ciskam trójnogiem o drzewo tak, że rozlatuje się w drobny mak. Nicolasa, którego ojciec jest archeologiem, zamurówuje z wrażenia, ale po chwili wybucha śmiechem.

– Jak pomyślę, ile zmarnowałem niedziel, kiedy byłem małym chłopcem, na klejenie kawałków ceramiki, które nawet w jednej czwartej nie były tak ładne, a ty to tak traktujesz! Zostawisz mi jeden, żebym też popełnił świętokradztwo?

– Nie, stary. Na świętokradztwo trzeba sobie zasłużyć.

*

W ciągu piętnastu dni wrócimy tam pięć razy, nasze wizyty nie mogą być za częste, żeby nie zwracać niczyjej uwagi. Za piątym razem mamy szczęście. Wydobywani przedmiot, który, choć nie jest ładny, ma tę dobrą stronę, że jest z czystego złota. Jest to figurka kacyka, ważąca około osiemdziesięciu gramów. Jest zgięta wpół, jedna ręka jest złamana i nakrycie głowy pogięte. Nazywają to przedmiotem „poświęconym”; jego właściciel był tchórzem, i należące do niego cenne przedmioty zostały pogięte przed zakopaniem.

– Ile to może być warte? – pyta Nicolas, a w oczach tańczą mu dolary.

– Około pięciu tysięcy dolarów.

– Aż tyle? A to dopiero jedna trzecia cmentarza! Jak będziemy mieli szczęście, znajdziemy jeszcze więcej.

– No, to już innym razem! Pamiętaj, że chcę wracać na Mundial; zaczyna się już za trzy dni.

– Wiem, ale szkoda byłoby teraz odchodzić, jak już to znaleźliśmy.

Poza tym wiesz, nigdy mnie specjalnie nie interesowało gapienie się na facetów, którzy w szortach latają za piłką. Najlepiej, żeby każdy sobie wziął jedną i byłoby po sprawie.

– Nie, stary. Mówisz do byłej nadziei zespołu Girondins, zanim wyrzucono ją z klubu. Każdy ma w życiu swoje małe przyjemności, a ja lubię obejrzeć dobre spotkanie, jeśli grają dobre drużyny. Poza tym może nie wiesz, że w Ameryce Środkowej ludzie sporo stawiają na wynik meczu. Znam się na tym wystarczająco, żeby móc zarobić sporo forsy.

– Mimo wszystko szkoda. Tutaj byliśmy pewni zarobku.

– W każdym razie tak właśnie jest. To wszystko tkwiło tu tysiąc lat, więc może jeszcze trochę poczekać. Słuchaj, myślę że najlepiej będzie przekazać ten cmentarz Larsowi. Chyba mu się to należy po tym, jak nas tak długo gościł. Nie wiem, czy zauważyłeś, ale zjedliśmy mu prawie całe zapasy. Na drzewie nie ma już ani jednego avocado, nawet bananowce są oczyszczone, zresztą zaczyna na ciebie patrzeć w dziwny sposób i może dobrze byłoby wynieść się zanim cię otruje.

– Dobra, dobra. Ty decydujesz.

Bierze mnie za wariata, ale są rzeczy, których nie może zrozumieć. Od czasu znalezienia posążku zastanawiam się, czy szczęście przypadkiem nie wróciło, i mam ochotę sprawdzić to przyjmując zakłady na mecze. Jestem hazardzistą i okazja jest wspaniała. Ponadto wiem, że to, iż znaleźliśmy jeden posążek, nie musi oznaczać, że znajdziemy następne, i rzeczywiście chcę obejrzeć Mundial. Daję Larsowi osiemdziesiąt z setki dolarów, jaka mi została, i określam mu położenie cmentarza. Jego syn służy nam za przewodnika, ma pokazać skrót przez góry.

Wyruszamy o czwartej rano, bo chcę w jeden dzień zrobić to, co zajęło nam trzy dni w tę stronę. Po trzech godzinach marszu przez džunglę i bardzo stromym zejściu docieramy do plaży i rozstajemy się z chłopcem. Musiał iść z nami aż na dół, żeby zabrać buty, które pożyczył mi jego ojciec, bo moje już się rozleciały. Szczeniak jest wściekły, że czeka go niezła wyprawa pod górę. Wyrobi mu to nogi, a przy okazji nauczy grzeczniejszego zachowania w stosunku do ojca. Ostatnie dowcipy, ostatnie klepnięcie w kark i ruszamy.

Zapomniałem o przypływie i musimy się pośpieszyć. Nie możemy bowiem zostać zaskoczeni przez wodę pod falezą, bo jest pionowa i nie byłoby żadnej ucieczki: z chwilą, kiedy ruszyliśmy, musimy dojść do końca. Ostatnie czterdzieści kilometrów pokonujemy biegiem. Na szczęście pobyt u Larsa przywrócił nam dobrą kondycję. Udaje nam się in extremis, ostatnie skały pokonujemy przemoczeni przez fale, które docierają już pod falezę. Śpimy na miejscu, a rano autobus dowozi nas do Paso Canoas.

*

Znajdujemy tu atmosferę typową dla miast granicznych. Mieszkają tu wyłącznie drobni przemytnicy i handlarze, korzystający ze spadku colona kostarykańskiego w relacji do dolara. Granica wygląda jak ser szwajcarski, bo ulice zaczynają się w Kostaryce, a kończą w Panamie. Całe miasto aż kipi z podniecenia, wszyscy mówią tylko o Mundialu. W krajach latynoamerykańskich futbol odgrywa dużą rolę, i Mistrzostwa są oczywiście wielkim wydarzeniem, choć sama Kostaryka się nie liczy i nie ma własnej drużyny w rozgrywkach. Pierwszy mecz to Belgia – Argentyna. O ile dla większości Ticos Belgia to kraj nie znany, Argentynę znają i jest ich faworytem. Potwierdza mi to młody peru-

wiański handlarz, którego spotykam w jakimś barze.

– Nikt nie będzie stawiał przeciwko Argentynie. To Latynosi tak jak my i byli mistrzami świata w siedemdziesiątym ósmym.

– Zobaczmy. Gdzie jest najlepszy bar do oglądania telewizji?

– Idź do Chińczyka, naprzeciwko. Tam jest najwięcej ludzi. Jestem najwyraźniej jedyną osobą tutaj, która wie, że Belgia była wicemistrzem Europy w 1980 roku. Ponieważ wierzę ponadto, że znów sprzyja mi szczęście, daję mi to chęć do gry. Mam przeczucie, postawię na Belgię. Do tego potrzeba mi gotówki.

– Nicolas, pożyczysz mi dwieście pięćdziesiąt dolarów. Idź wymienić swoje czeki podróżne w Panamie, weź jeden banknot studolarowy i sto pięćdziesiąt jednodolarowych.

– Jesteś pewien, że wiesz, co robisz?

– Jak się będziesz wciąż niepokoił, to ze mną nie pożyczysz długo. Zresztą masz, daję ci posążek jako kaucję. To chyba uczciwe, nie?

Na trzy godziny przed meczem jestem już w barze Chińczyka. I zaczynam swoje małe przedstawienie. Ja, który nigdy nie piję alkoholu, kupuję butelkę whisky i po półgodzinie udaję, że jestem zalany. Bar jest pełen i podnieceni zbliżającym się meczem faceci skandują: „Argentina! Argentina!” Po chwili, ku ogólnemu zaskoczeniu, ryczą: „Belgica!” Ticos odwracają się ku mnie, więc wrzeszczę jeszcze raz i oświadczam:

– Zdaje się, że nie przepadacie za Belgią. Ale ja jestem Belgiem i przyjmuję zakłady dla mojego kraju. Stawiam trzy do jednego, że Belgia wygra przewagą jednej bramki. W razie remisu wygrywacie wy.

Patrzą na mnie i śmieją się. Biorą mnie za wyszczekanego wariata. Wyciągam mój plik banknotów, ze studolarówką na wierzchu:

– Mam czym płacić, wierzę w mój kraj. No więc jak, kto się decyduje?

Zaczynają traktować mnie poważnie i podchodzą, zachwyceni gratką. Pełen niepokoju Nicolas zapisuje nazwiska i sumy na wielkiej kartce papieru. On też na pewno myśli, że zwariowałem. Pilnie uważam, żeby nie przyjąć żadnego zakładu powyżej stu dolarów, tak aby w razie zwycięstwa Belgii, na które liczę, nie mogli odmówić zapłaty. Wymagam, aby każdy pokazał pieniądze i by trzymał je na stoliku przed sobą. Niektórzy nawet chodzą do domu, żeby przynieść forszę. Ani jednemu nie przychodzi do głowy sprawdzić mój plik banknotów.

Nicolasowi zlecam robienie mi reklamy:

– Jeśli ktoś cię zapyta, opowiadaj, że jestem bardzo bogaty, ale trochę rąbnięty, że nie pierwszy raz przegrywam i że jak jestem zalany, często robię głupstwa, ale mam czym płacić.

– Jak chcesz. Ale teraz ty przyjmuj zakłady. Ja sobie stanę przy drzwiach.

– Nie bój się, wszystko będzie dobrze. Ticos nie są groźni.

– Być może, ale jest ich więcej niż nas.

Fakt, że jest ich dużo. Przychodzą ze wszystkich stron. Mam wrażenie, że całe miasteczko się tu zeszło. Całe szczęście, że do granicy niedaleko.

Kiedy zaczyna się mecz, porobiłem zakłady z około trzydziestoma facetami o dwa tysiące czterysta pięćdziesiąt dolarów. Jeśli przegram, będę musiał zapłacić siedem tysięcy trzysta pięćdziesiąt, a nie mam ani grosza. Trudno, mam ochotę się powygłupiać, a poza tym wierzę w swoją dobrą gwiazdę:

– Nalegi wszystkim. Płaci przegrywających.

Po pierwszej połowie, podczas której ci cholerni zjadacze frytek nie potrafili strzelić nawet jednej bramki, czuję lekki niepokój. Wołam Nicolasa, który ciągle stoi przy drzwiach:

– Trzeba coś zjeść. Zamawiam po kurczaku. Musimy nabrać sił, na wypadek gdyby to się źle skończyło. W takim przypadku spotkamy się w Panamie.

– Nie wiem, jak boksujesz, ale ja szybko biegam. Jak widzisz nasze szansę?

– W porządku. Odpnij się. Fakt, że jest ich trochę dużo, ale sądzę, że jeśli te matoly strzelą gola i utrzymają go, to się zabawimy.

Tak, ale jeśli nie strzelą, to będzie źle.

– Spokojnie. Trzeba wierzyć w siebie. Masz, napij się.

– Nie, dziękuję. Ale czy ty nie powinienesz przestać pić? Jak przyjdzie co do czego, lepiej być w dobrej formie.

– Nie ma sprawy, mój organizm jest tak przyzwyczajony do narkotyków, że alkohol praktycznie na mnie nie działa.

Ledwo skończył jeść, już wraca do drzwi. Właśnie w tym momencie Belgia strzela bramkę.

Brawo, zjadacze frytek! Kocham was, uwielbiam. Ryczę na cześć zwycięzców na cały bar, a Nicolas, któremu nagle wróciła wiara w siebie, znów siada przy mnie z wielkim uśmiechem na ustach. Wśród pozostałych konsternacja. Na pięć minut przed końcem meczu wstaję:

– Chodź do drzwi, żeby nie nawiali. Mój blef się udał, ale teraz trzeba działać szybko.

– Myślisz, że moja postura robi na kimś wrażenie?

– Nieważne. Rób groźną minę!

Zaraz po zakończeniu meczu biorę kartkę i wywołuję ich po kolei. Jeśli któryś nie reaguje, inni wypychają go do przodu. Mają niejasne wrażenie, że zostali nabrani, ale zakład to zakład. Ci, którzy nie stawiali, śmieją się i trzymają naszą stronę. Poznany poprzedniego dnia młody Peruwianczyk dołączył do nas i nabija się z facetów, którzy przychodzą płacić. Kiedy dochodzę do końca listy, daję sygnał do odejścia. Ticos nie są niebezpieczni, ale wolę nie zostawać tu zbyt długo. Wiele osób wie, że noszę przy sobie okrągłą sumkę. Idziemy w stronę Panamy, i Peruwianczyk, który dołączył się do nas, wskazuje nam knajpę udającą nocny lokal, usytuowaną dosłownie na granicy, z wejściami po obu stronach. Jesteśmy w euforii i postanawiam urządzić wielkie święto. Posyłam go, żeby kupił dziesięć gramów kokainy, po czym naćpani zajmujemy miejsca w lokalu. Zwracam Nicolasowi dwieście pięćdziesiąt dolarów plus drugie tyle tytułem odsetek i odbieram swój posążek.

W miarę jak zapada noc, nadchodzą Ticos, i orkiestra zaczyna od salsy. Spotyka się tu cała miejscowa fauna przemytników i handlarzy, a ponieważ zarabiają pieniądze szybko, szybko też je wydają. Wkrótce wszyscy są pijani.

Stale sięgamy do naszego zapasu kokainy i czas upływa na wesołej zabawie. Noc dobiega końca i postanawiam urozmaicić trochę nasze przyjemności. Spędziliśmy trzy tygodnie w dżungli, nie widząc nawet kobiety. Posyłam Peruwianczyka, który zna tu wszystkich, żeby sprowadził nam pół tuzina dziewczyn, tak abyśmy mogli wybierać. W końcu zatrzymujemy wszystkie. Ja biorę cztery, Nicolas jedną, skoro nie ma jakości, niech będzie chociaż ilość. Nasz naganiacz również poszedł na ilość, ale w jednej dawce; sprowadził sobie dziewczynę ogromną, trzy razy większą od niego.

Wracamy do hotelu, nasze kochanki depczą nam po piętach. Portier trochę się boczy, ale odpowiedni banknot przełamuje jego opór. Dwie godziny później idę po Nicolasa i Peruwiańczyka. Pytam tego ostatniego:

– Płaciłeś coś?

– Nie, powiedziałem, że ty zapraszasz.

– A ty, Nicolas?

– Ja też, powiedziałem że jesteś bardzo bogaty i że stawiasz wszystkim, jak zwykle.

– No dobra, wspaniale to nie było: ani jedna z całej czwórki nie była na poziomie. Chodźcie, spływamy.

I wychodzimy z hotelu pod gradem wyzwisk naszych ukochanych. Za dobrą pracę dobra płaca, ale brak profesjonalizmu zasługuje na karę.

*

Naładowani kokainą po uszy nadal nie idziemy spać. Bierzymy tak-sówkę do Golfito, osiemdziesiąt kilometrów stąd. Idziemy do Wayne'a, który jeszcze nie wstał. Znów dwa pociągnięcia kokainy, i jesteśmy w formie. Wayne wygląda dziwnie bez puszki piwa w ręku.

– Co chcesz robić? Wracasz na Osa?

– Nie, jadę oglądać Mundial do San José. Masz jeszcze moją spluwę?

Tak, dbałem o nią. To prawdziwe cacko. Jakbyś chciał ją kiedyś sprzedać, pomyśl o mnie!

– Zgoda. Masz tu pięćset dolarów plus odsetki.

– Nie, nie między nami. Sprawilo mi przyjemność, że mogłem ci

oddać przysługę, to wszystko.

– Dziękuję, to ładnie z twojej strony. No, dobra, lecimy. Chcę zdążyć na samolot.

Na lotnisku dwóch gliniarzy przygląda się pasażerom. Zapomniałem już o tym. W bucie mam rewolwer, a w slipach kokainę. Jeden z gliniarzy podchodzi do mnie. To sierżant, który mówił mi o Monge podczas aresztowania Dave'a.

– Ej, Francuz, widziałeś? Monge został wybrany. Będiesz o mnie pamiętał rozmawiając z twoimi kumplami w Pueblo Unido?

– Obiecuję. Nie ma sprawy.

– Dziękuję. To jak, tym razem nic nie masz?

– Niewiele. Tylko rewolwer i kokainę.

Wybucha śmiechem. Częstuję go mocnym klepinięciem w ramię i wsiadamy do samolotu bez dalszych formalności. Dobrze jest mieć stosunki.

W samolocie Nicolas, któremu mój dialog z gliniarzem odebrał mowę, prosi o wyjaśnienia. Opowiadam mu całą historię, przygotowując dwa rzędkie kokainy.

– Ej, zaczekaj! Nie tutaj, ktoś może zobaczyć.

– I co z tego? Powiemy, że to nivaquina. Zresztą to już końcówka. Podczas lotu myślę nad dalszymi działaniami. Nie chcę pozbywać się teraz posążka, bo na pewno sprzedałbym go ze stratą. Z drugiej strony mam ochotę obejrzeć ten Mundial w luksusowych warunkach, a na to trzeba zarobić. Najprościej byłoby kontynuować zakłady. Przy odrobinie szczęścia powinno to wystarczyć. Jedyne problem to mój wygląd. Od kilku miesięcy zauważyłem, że nie gra on już na moją korzyść. O ile moja postura robi dobre wrażenie w ostrych akcjach, w dżungli

albo na wsi, o tyle w mieście ludzie nie mają do mnie zaufania. Dlatego postanawiam zatrzymać przy sobie Nicolasa. Choć szybko wychodzi z niego jego przekupność, ma sympatyczny wygląd, który zjednuje mu ludzi i ułatwia kontakty.

*

Po przyjeździe do San José zatrzymuję się w hotelu Balmoral, a Nicolas w Amstelu. Recepcjonistka w moim luksusowym hotelu to dawna przyjaciółka Dave'a, bardzo sympatyczna, mała pulchna dziewczyna. Kiedy wypełniam kartę meldunkową, ze zdumieniem odczytuję nagłówek: Balmoral, Hotel, Kasyno. A więc w tym mieście są kasyna! To dobra wiadomość. Jakoś źle był zorganizowany mój pierwszy pobyt tutaj. Jestem pewien, że Diane wiedziała o tym, ale znając mój pociąg do hazardu wołała to przede mną ukryć.

Wyzaczyłem Nicolasowi spotkanie na wieczór w Key Largo, amerykańskim barze. Po paru godzinach snu udaje się tam. Key Largo to luksusowy lokal prowadzony przez Amerykanów i odwiedzany przez bogatych gringos zamieszkałych w mieście. Pełno tu małych Ticas, szukających bogatej partii. Jedna z nich, zwabiona obiecującym wyglądem moich kieszeni, szybko podchodzi do mojego stolika. Ponieważ opowiadam właśnie Nicolasowi, jak się cieszę ze znalezienia kasyna, dziewczyna proponuje, że zaprowadzi nas do innego, Torre Blanca. Opowiada, że ma tam brata, który jest krupierem czy kimś w tym rodzaju: w rzeczywistości ta Tica jest najprawdopodobniej naganiaczką. Nicolas poznał w hotelu jakąś dziewczynę i szybko nas opuszcza. Dla mnie nie ma rzeczy ważniejszej, niż stół do gry. Od nocy z najpiękniejszą kobietą świata stanowczo wolę poważną partię pokera. Torre Blanca to mały budynek, mieszczący nocny lokal ze strip-teasem. Na pierw-

szym piętrze znajduje się sala gier. Kasyno jest malutkie, tylko z trzema stołami do black jacka.

Jestem jedynym graczem i sądząc z usługomości krupierów nie bywa tutaj tłoczno. Siadam i zaczynam walkę. Gram do piątej rano, pory zamknięcia. Szczęście powróciło. Kasyno nie ma w tym swojego udziału, bo starali się mnie obrobić, jak mogli. Od początku brali mnie za frajera. Biorąc pod uwagę liczbę klientów, nie mogą sobie pozwolić na przegraną, a tej nocy jestem jedynym graczem. Jest to prawdziwa walka, bo pozostali krupierzy, nie mając klientów, stoją wokół mnie, i czuję, jak rośnie napięcie po każdej mojej wygranej. Mówię o walce, bo w black Jacku krupier i gracz są zawsze przeciwnikami.

W Makao krupier wyzywał nas po chińsku. Tutaj siedzę za stołem sam i czuję, że wszyscy są przeciwko mnie. Kierownik sali daje kelnerce znaki, by stale napełniała mój kieliszek, lecz jest to dla mnie raczej przyjemne, bo nigdy nie straciłem głowy od alkoholu. W tej ciepłej rodzinnej atmosferze zgarniam tysiąc czterysta dolarów.

Kiedy wracam do hotelu, jestem w euforii. Moja zdobycz idzie ze mną, uwieszona na moim ramieniu. W windzie, żeby sprawdzić szczerść jej intencji, blokuję drzwi i szybko załatwiam ją od tyłu. Jej protesty uzmysławiają mi, że jej miłość, niestety, nie była szczerą, i podczas gdy poprawia na sobie garderobę biegnę do pokoju i zamykam drzwi na klucz. Choć dobija się długo, zachowuję zimną krew. Wiem, że nie należy przesadzać z przyjemnościami, a mamusia przestrzegала mnie przed kobietami, które ulegają zbyt łatwo.

*

Kiedy Nicolas budzi mnie o czwartej po południu, opowiadam mu o moim wczorajszym zwycięstwie. Czuję, że szczęście powróciło, i że

Mundial pójdzie dobrze.

– Chodź ze mną dziś wieczorem. Powyglupiamy się razem w kasynie.

– Bardzo chętnie, tak naprawdę to nigdy nie byłem w takim miejscu.

Kiedy zjawiamy się w kasynie w minutę po otwarciu, spotykamy się z ciepłym przyjęciem. Po mojej wczorajszej wygranej obawiali się, że więcej nie przyjdę. Liczą na to, że dziś odrobnią straty. Ale są w błędzie. Złapałem niezły szwung i nadal wygrywam. Układam żetony na kupki przed sobą i tłumaczę reguły gry Nicolasowi, który siedzi obok. Ciagle jesteśmy dobrze traktowani i sprawia mi przyjemność widok ich wymuszonych uśmiechów. Płaćcie dalej, i uśmiech, proszę! Około północy zbieram żetony.

– Już pan wychodzi? – pyta mnie kierownik sali, cały spięty.

– Nie, chcemy tylko zajrzeć na parter.

Poniżej jest sala widowiskowa. Siedząc w barze zaśmiewam się z Nicolasem wspominając minę kierownika. Na scenie przedstawienie jest podłe. Dziewczyny, z których żadna nie jest zawodową tancerką, rozbierają się kołysząc biodrami w rytm mniej lub bardziej nowoczesnej muzyki. Na zapleczu dwa czy trzy pokoje oczekują na klienta wystarczająco majątnego, by móc sobie pozwolić na tancerkę. Jest to ni mniej, ni więcej tylko zwykły burdel, przeznaczony dla zamożnej klienteli, bo wynajęcie pokoju wraz z wybraną dziewczyną kosztuje pięćdziesiąt dolarów, podczas gdy na ulicy kurwa bierze tylko pięć.

Przyuważyłem właśnie jedną, dosyć milutką, która kończy show mając na sobie tylko parę białych skarpetek. Zawsze lubiłem małe dziewczynki i posyłam po nią kelnera. Przed przejściem na zaplecze

mówię do Nicolasa:

– Wychodzę na parę minut. Jak chcesz, wybierz sobie jedną. Niech to zapiszą na mój rachunek.

– Więc jak mówisz, że wszystkie koszty są opłacone, to naprawdę znaczy wszystkie koszty?

– Wszystkie, stary. Korzystaj!

W pełnym świetle rozczarowują mnie, jak to się często zdarza kiedy schodzą z przyciemnionej sceny. Eva, co jak przypuszczam jest artystycznym pseudonimem, proponuje mi skręta, ale wolę rząddek kokainy. Kiedy zdejmuję koszulę, na ziemię wypada mi rewolwer. Eva wydaje się być trochę zdziwiona, ale nie odzywa się. Jest łagodna, młoda, całkiem przyjemna.

Wkrótce wracam na piętro, gdzie niebawem dołącza do mnie Nicolas. Nadal jestem jedynym graczem na sali. Ta mała przerwa higieniczna kosztowała mnie sto dolarów i zamierzam je odzyskać.

Kiedy dochodzę do pięciuset dolarów wygranej, postanawiam wracać do domu. Kierownik sali jest szary. Ten obwieszony złotymi łańcuchami grubas stracił całą swoją jowialność.

– Już pan wychodzi? – pyta mnie.

– Tak, a co? Nie jest to panu na rękę?

– Ależ skąd, ale niech pan jeszcze trochę zostanie!

– Chcesz, abym zagrał jeszcze raz?

Denerwuje mnie to ciągle pragnienie oskubania mnie. Nie przycho-dzę tu w charakterze frajera, ale po to, żeby wyciągać im forszę. Lepiej, żeby się do tego przyzwyczaili:

– No to patrz, stawiam całą moją wygraną na najwyższą kartę, ale

jak wygram, płacisz podwójnie, zgoda?

Rozciągam na stole talię kart i wybieram jedną. Odwracam ją. Serce mi się ściska, bo mam siódemkę. Nie zawsze można wygrywać. Szkoda, ale zabawa była niezła. Podobnie jak ja, kierownik jest pewien wyniku. Odwraca swoją kartę i wrywa mu się głośne westchnięcie: trójka. Zabieram swoje tysiąc dolarów i wychodzę, umówiwszy się na następny dzień. Skoro tak im zależy, wróć tu: najwyraźniej traktują to jako osobiste wyzwanie, a to mnie bawi. Nicolas jest zadowolony, czuję, że problemy bytowe mamy z głowy.

– Najzabawniejsze jest to – mówię mu – że jestem chyba jedynym klientem w kasynie. Za każdym razem, kiedy wygrywam, czuję się tak, jakbym zabierał im forszę z kieszeni. To całkiem przyjemne, będę tam chodził co wieczór, aż się zesrają.

– Miejmy nadzieję, że dalej będziesz wygrywał!

– Nie bądź pesymistą, wszystko będzie dobrze. Czuję, że będę miał szczęście.

Pójdę tam czternaście razy. Wygram czternaście razy. Weszło mi już to w krew. Codziennie o trzeciej po południu budzi mnie zgłodniały Nicolas. Jemy, potem siedzimy u fryzjera i u czyścibuta, którzy już nas dobrze znają. Mam własnego taksówkarza Roberta, sympatycznego wąsatego grubasa, któremu uśmiech nie schodzi z twarzy. Jest też moim dostawcą kokainy i codziennie przywozi mi pięć gramów, moją conocną porcję. Od czwartej jest do mojej wyłącznej dyspozycji i czeka na mnie, gdziekolwiek rozkażę. Po czyścibutach zjadamy drugi obfity posiłek, kilka rządków kokainy i już nadchodzi pora otwarcia kasyn, na którą niecierpliwie czekam.

Zawsze zaczynam od grzecznościowej wizyty w Torre Blanca, gdzie nadal płacą mi po królewsku. Odkryłem inne kasyna, na wyższym po-

ziomie, ale uważałbym się za niewdzięcznika gdybym zapomniał o moim kumplu, kierowniku sali. Myślę, że czułby się zawiedziony gdybym co wieczór nie przyszedł odebrać mu trochę forsy. To tak jak stara przyjaciółka, do której się idzie z sympatii. Poza tym czuję się tu jak u siebie w domu. Są tacy mili i grzeczni!

Następnie przeprowadzam szybką i pasjonującą rozmowę z Evą, po czym Roberto zabiera mnie na przejażdżkę po kasynach: hotel Irazu, hotel Cagliari, hotel Balmoral. Wszędzie płacą mi równie chętnie, a niektóre nawet wyciągają ode mnie trochę forsy. Ale na ogół moje dzienne zarobki są bardziej niż wystarczające. Choć nie odmawiam sobie niczego i choć nasz styl życia kosztuje mnie bardzo dużo, nie udaje mi się wszystkiego wydać i mój kapitał rośnie.

Nad ranem, po zamknięciu przybytków gry, co zawsze mnie trochę zasmuca, jedziemy do Soda Palace, jedyne miejsce otwartego o tej porze, by zjeść paellę i pociągnąć ostatni rząd kokainy. Tu też znajdujemy towarzyszek na resztę nocy. W tym kraju ogamiętym kryzysem prostytutka jest najpewniejszym sposobem przetrwania, i im bardziej spada colon, tym tłoczniej na niektórych ulicach. Ale podaż w końcu przewyższa popyt, i o szóstej rano Soda Pałace zapełnia się dziewczynami, które dotąd nie znalazły klienta. Są przeważnie bardzo młode. Jako niepełnoletnie nie mogą swobodnie uprawiać zawodu, co w ich przypadku stanowi poważny handicap.

Kawa z mlekiem i perspektywa spędzenia nocy w łóżku na ogół wystarczają, by zdecydowały się nam towarzyszyć.

Okolo godziny dziesiątej, po ostatnim posiłku, każdy z nas wraca do swojego hotelu, by nabrać sił na następny wieczór.

Któregoś dnia, kiedy moje badania zatrzymują mnie dłużej niż zwykle, do hotelu wpadają ludzie z Brygady Narkotyków. Jesteśmy wszy-

scy w hallu kiedy rozpoznają Luisa, który kieruje operacją. On też mnie rozpoznał i podchodzi do nas. Idziemy na kawę. Rozmawiamy teraz jak starzy kumple i ze śmiechem wspominamy sprawę Golfito.

Luis bierze Nicolasa za Dave'a i muszę wyprowadzić go z błędu. Czuję, że coś go gnębi, i zwierza mi się ze swoich drobnych kłopotów: narzeczona jest w ciąży, ale nie chce teraz się żenić.

Najlepiej byłoby, żeby zrobić skrobankę, ale tutaj to zabronione, poza tym to prawdziwi rzeźnicy. Trzeba by jechać do Panamy, ale to za drogo.

– Oddałeś mi przysługę ostatnim razem. Teraz moja kolej. I dam ci sześćset dolarów.

– Dziękuję, to ładnie z twojej strony. Ale nie mogę tego wziąć, nigdy nie byłbym w stanie zwrócić.

– Wiem o tym doskonale, to prezent: mam teraz dobrą passę.

– W porządku, Juan Carlos, postaram się odwzajemnić.

Choć lubię go, nie jestem całkowicie bezinteresowny. Biorąc pod uwagę moje zapotrzebowanie na narkotyki, lepiej jest mieć sojusznika po drugiej stronie barykady.

Nie zapomniałem o Mundialu i za każdym razem, kiedy jest interesujący mecz, wstaję trochę wcześniej albo rezygnuję z jakiejś przyjemności i idziemy go obejrzeć do Escurialu.

Escorial to kawiarnia i restauracja prowadzona przez Hiszpanów, którzy z okazji mistrzostw zamontowali ogromny ekran telewizyjny. Spotyka się tu wielu cudzoziemców, głównie Europejczyków, i zakłady zależą od narodowości drużyn. Trudniej tu wygrać większą sumę, bo publiczność nie jest tak naiwna, jak moi Ticos z Paso Canoas.

Ktoregoś dnia spotykam Hiszpana, który po powrocie z Algierii do-

stał obywatelstwo francuskie i pracuje dla Belgów. Był działaczem związkowym, a w wyniku strajku zmienił pracę i został przedstawicielem przedsiębiorstwa produkującego wagony-chłodnie na Amerykę Łacińską. Interesują go moje opowieści o Osa. Jak wszyscy, którzy nie mieli do czynienia ze złotem, jest zafascynowany kopalniami i stawia mnóstwo pytań. Odpowiadam przez grzeczność, ale nie przywiązuję do tego wagi. Tymczasem jest to pierwszy krok do mojego powrotu na Osa.

Na razie dużo bardziej interesują mnie przyjemności, jakie oferuje miasto. Nie zajmuję się niczym poważnym i wystarcza mi hazard, kokaina i uczennice lubiące kawę z mlekiem. Stan kawalerski ma swoje dobre strony. Mogę sobie pozwolić na spokojne życie z dnia na dzień.

Dalej odbywam mój codzienny obchód kasyn, a wizyty w Torre Blanca są przede wszystkim pretekstami do wygłupów. Część pieniędzy wygranych na pięttrze wydaję w burdelu. Na górze znają już nas dobrze. Jeden z krupierów zapytał mnie nawet, czy mam jakiś specjalny system, żeby wygrywać. Nicolas odpowiedział mu, że mam fenomenalną pamięć i że zapamiętuję wszystkie kolejne rozdawane karty, co pozwala mi na przewidywanie następnych. Ponieważ w black jacku używa się dwustu pięćdziesięciu kart, wyjaśnienie to jest zupełnie bez sensu, ale przyczyniło się do umocnienia mojej reputacji.

Któregoś wieczoru, kiedy wracam z kolejnej lekcji anatomii z udziałem Evy, poznaję dwóch Europejczyków, którzy siedzą przy moim zwykłym stoliku. Pierwszy jest Belgiem. Ma białą smokingową marynarkę jak Humphrey Bogart w „Casablance”. Efekt jest niezupełnie ten sam, bo gość jest gruby, łysy i ma krótkie nogi. Drugi jest Francuzem, jest starszy, dość wysoki i ma głębię zdraycy. Widać, że przywiązuje dużą wagę do stroju, ale nadmiernie dopasowana czerwona marynarka

i spodnie w szkocką kratę, kończące się powyżej kostki, nie sprawiają poważnego wrażenia. Nosi na palcu wielki sygnet marsylskiego alfonsa i mówi z akcentem południowo-wschodniej Francji, co łącznie składa się na obraz drobnego bandycyny bez większych perspektyw.

Para ta wyobraża sobie, że ma klasę, ale w rzeczywistości przypomina Flipa i Flapa. Obaj stawiają małe sumy i są niezadowoleni za każdym razem, kiedy przegrywają. Gruby Belg jest nawet miły, taki mały kozak mogący rozbawić swoimi dowcipami. Rozśmiesza nas opowiadając o kłopotach, jakie miał w swoim kraju. Ale jest bardzo złym graczem, przegrywam przez niego wielokrotnie.

Przed odejściem postanawiam pójść na całość: monopolizuję stół i stawiam po sto dolarów na każde z siedmiu pól. Tak jak się spodziewałem, krupier ma ponad dwadzieścia jeden. Wysoki kretyń z podziwu traci mowę, a Belg naśmiewa się z krupiera. Jego zachowanie podoba mi się, więc zapraszam ich do mojego apartamentu w Balmoralu.

Po godzinie gruby, otumaniony alkoholem, drzemie w kącie, a wysoki prosi mnie o rząderek kokainy, a ponieważ narkotyk rozwiązuje język, gęba mu się nie zamyka. W głupim dążeniu do zaimponowania za wszelką cenę przedstawia siebie jako zawodowego szwindlarza opisuje mi swój ostatni numer.

Z jego poplątanych opowieści wynika w końcu, że okradł kumpla, którego znał od wielu lat, wykorzystując jego przyjaźń. Co gorsza, tchórz bał się zemsty, więc wydał kumpla glinom.

– Zanim odsiedzi swoje w Europie, będę już bezpieczny – mówi mi, bardzo zadowolony z siebie.

Jak ta gnida ośmiela się mi to opowiadać? I jest w dodatku z tego dumny! To nie szwindel, to zwykłe świństwo! Czuję do niego gwałtowne obrzydzenie i żałuję, że go zaprosiłem. Budzę po przyjacielsku

grubego, pociągając go za ucho, i pod pretekstem zmęczenia szybko wyrzucam wszystkich za drzwi. Kiedy wychodzą, mówię do Nicolasa normalnym tonem:

– Przyjdź jutro wcześniej, czeka nas duża robota.

Jego rozweselone oczy wyraźnie mówią, że mnie zrozumiał. Wie już, że ten wysoki sukinsyn otrzymał właśnie wyrok.

Następnego dnia Nicolas zjawia się o dziesiątej. Mam już ułożony plan działania.

Ten facet to prawdziwa świnia, ściervo najgorszego rodzaju. Chcę mu dać ostrą lekcję, którą popamięta. Mówi, że robi szwindle, ale to gówniarz. Chciałeś zobaczyć, jak się robi szwindel, no to masz dobrą okazję. Jeśli zrobisz dokładnie wszystko, co ci powiem, obrobimy go w parę dni.

– Jasne. Mnie też się chce rzygać na jego widok.

– Więc posłuchaj. Facet jest napalony, cholernie napalony. Jest pewien, że jestem bardzo bogaty. Te wczorajsze siedemset dolarów utwierdziło go w tym. To taki skąpy baran, który nie rozumie, co to znaczy zaszaleć. Trzeba się z nim spotkać.

– Mówił mi, że często po południu chodzi do Key Largo.

– Dobra, pójdziesz tam. Jeśli tam będzie, zachowuj się jakbyś spotkał go przypadkiem, spokojnie przysiądź się do niego... Gdyby go nie było, zajmij stolik, w końcu się pojawi. To on musi się starać, żebyś go ze mną skontaktował. Wczoraj potraktowałem go tak chłodno, że nie ośmieli się zadzwonić bezpośrednio do mnie. Ale wyczuł forszę, więc będzie cię pytał, kim jestem, co robię. Nie bój się przesadzić. Opowiedz mu, że jestem cholernie bogaty, że zajmuję się przemysłem sztuki prekolumbijskiej na wielką skalę. Opowiedz mu o ogromnych

zyskach, jakie można osiągnąć sprzedając w Anglii: cztery albo pięć razy tyle, ile się zainwestowało. Możesz być pewien, że zaproponuje swój udział. Tylko nie zgadzaj się zbyt szybko. Powiedz mu, że jestem bardzo zajęty, że niechętnie wchodzę w spółki z nieznanymi, że mam podły charakter i takie rzeczy. Gdyby uznał, że idzie mu za łatwo, mógłby się czegoś domyślić. Powiedz mu, że zobaczysz, co się da zrobić. I bardzo ważne: postaraj się dowiedzieć, ile ma forsy. To ma zasadnicze znaczenie dla dalszego ciągu.

– A gdyby nie był zainteresowany?

– O to się nie martw, rzuci się na to jak amen w pacierzu. Gdyby chciał się ze mną umówić, powiedz mu, że to bardzo trudne. Będzie nalegał, więc powiedz mu, że jutro jesz ze mną obiad w Balmoralu, i że może tam zająć niby przypadkiem. Jest bardzo ważne, żeby ustawić go w roli tego, któremu zależy, żeby uważał, że robię mu łaskę. Wtedy będzie ugotowany, a resztą zajmę się ja.

– No, czuję, że się zabawimy.

– A przede wszystkim pamiętaj: nie sprawiaj wrażenia, że ci zależy, niech on zadaje pytania. W żadnym momencie nie może się domyślić, że nim manipulujemy.

Wieczorem Nicolas przychodzi złożyć raport.

– Wszystko odbyło się dokładnie tak, jak przewidziałeś, bez żadnych problemów. Prawie rzucił się na mnie. Zrobiłeś na nim niesamowite wrażenie. Będzie jutro w porze obiadu. Wiesz, jaki ma tupet? Powiedział, że dobrze się składa, bo właśnie miał zamiar zjeść z nami obiad. Wyobrażasz sobie, takie skapiradło. Trochę się tylko niepokoił, że wczoraj za dużo gadał.

– Udało ci się dowiedzieć, ile ma forsy?

Tak, z tym było trochę trudniej. Ma dokładnie dziesięć tysięcy sześćset dolarów. Ale rachunku ścierwo nie zapłacił! Musiałem zapłacić ja.

– To nieważne. Za kilka dni nie zostanie mu już nic.

*

Następnego dnia w południe wszystko jest gotowe do przedstawienia: kiedy kretyn pojawia się, siedzimy przy stole, w towarzystwie wynajętej na tę okoliczność Ewy. Kiedy kretyn pozdrawia nas i zmierza w kierunku innego stolika, daję mu znak, żeby się do nas dosiadł; wygląda, jakby odczuł ulgę. Na początku nic nie mówię, zamówiłem najlepsze rzeczy i widzę, jak wycenia stojące na stole francuskie wino. Pod koniec wreszcie decyduje się:

– Dowiedziałem się, że zajmujesz się sztuką prekolumbijską. To się naprawdę opłaca?

Udaję zaskoczenie.

– To ja mu powiedziałem – mówi Nicolas z zażenowaniem w głosie.

– Nie ma sprawy, to w końcu żadna tajemnica. Dochód wystarcza, żeby żyć bez kłopotów.

– Mówię o tym, bo chętnie zrobiłbym z tobą interes. Mam trochę forsy i chciałbym ją zainwestować.

– Można to załatwić. Ile chcesz w to włożyć?

– Myślałem o pięciu albo sześciu tysiącach dolarów.

– Przykro mi, ale nigdy nie zajmuję się sprawami poniżej dziesięciu tysięcy. Nie mogę rozmieniać się na drobne.

– Ale dziesięć tysięcy to dla mnie za dużo!

– Nie ma sprawy, są inne możliwości. Co do mnie to zawsze przestrzegałem określonych reguł zawodowych.

Zapada cisza, po czym płacę rachunek na dwanaście tysięcy colonów i wstaję.

– No dobrze, panowie, mam z tą panią pilne sprawy do załatwienia. Nicolas, widzimy się dziś wieczorem.

Zgodnie z ustaleniami Nicolas zostaje przy stoliku. Rozmowa, która nastąpi, została wcześniej przygotowana i mogę ją przewidzieć: – Twardy jest ten twój koleś.

– Wiesz, jest jak wszyscy dziani faceci, nie interesują go drobne interesy. Jest przyzwyczajony do obracania wielkimi sumami.

– Ale pięć tysięcy dolarów to nie jest mała suma. A jeżeli wyłożę dziesięć tysięcy, ledwo mi zostanie na opłacenie biletu lotniczego do Londynu. Będę tam bez grosza i nawet nie będę wiedział, do kogo się zwrócić.

– Jeśli o to chodzi, mogę oddać ci ostatnią przysługę. Zajmuję się trochę jego sprawami, więc mogę ci dać adresy specjalistów od sprzedaży sztuki prekolumbijskiej.

– To będzie długo trwało. Nie masz adresu kolekcjonera?

– Nie mogę ci tego podać. Tym zajmuje się Juan Carlos. Ale poprzez handlarzy łatwo dotrzesz do kolekcjonerów.

– Muszę się nad tym zastanowić. Długo zostajecie w mieście?

– Nie wiem. W zasadzie tak, ale z Juanem Carlosem nigdy nie wiadomo.

Ponieważ jestem pewien, że padną takie pytania, opracowałem na

nie odpowiedzi. Kiedy Nicolas przychodzi do mojego pokoju, uśmiecha się od ucha do ucha.

– I co?

– Poszło jak po maśle. Trzęsie się, że interes mu przejdzie koło nosa, ale boi się wyłożyć całą forszę, przekonałeś go na sto procent. Wiedziałeś, jak zaglądał w rachunek?

– No to doskonale. Zostawimy go w spokoju na jakiś czas i poczekamy, aż sam się zgłosi. Wie, jak się z tobą skontaktować?

– Tak, dałem mu adres mojego hotelu.

– Gdyby się pojawił, popuść trochę i powiedz mu, że zrobił na mnie dobre wrażenie i że może spróbować poprosić mnie o dobry adres.

Nicolas, dla którego jest to pierwszy w życiu szwindel, boi się, że zwierzyna wymknie nam się z rąk.

– Nic się nie bój. Wróci. Musi tylko dojrzeć!

*

Po południu odwiedza mnie Ureba, Hiszpan z Algierii, którego poznałem w Escorialu. Mówił o mnie swoim klientom, którzy chcieliby mnie spotkać, bo interesuje ich złoto.

– To nie byle kto. Są nieźle ustawieni. Słyszałeś o rodzinie Caracas? Tak naprawdę to oni rządzą tym krajem. Stary był założycielem Partido del Pueblo, która jest teraz przy władzy.

– Nie bardzo lubię partie polityczne, to sami złodzieje. Za każdym razem, jak się z nimi zadawałem, kończyło się źle. W Afryce czy tutaj, zawsze to samo.

– Nie ci, tutaj to co innego. Można im zaufać, kochają swój kraj

i nie są skorumpowani. Chciałbym, żebyś spotkał się z Hermanem Weinbergiem, to ich przedstawiciel.

– Jesteś tego pewien?

– Całkowicie. Powiedziałem im, że jesteś największym poszukiwaczem złota w okolicy, nie możesz teraz nie przyjść, bo wezmą mnie za mitomana albo za dumia. Gdybyście doszli do porozumienia, urządziłoby mnie to, bo sam załatwiam z nimi duży interes. Oddałbyś mi przysługę w samą porę.

– Zgoda, pójdę tam, zrobię to dla ciebie.

– Idziemy teraz?

– Nie, wpadnij jutro o tej samej porze.

*

Herman Weinberg to jeden z tych biznesmenów, których elokwencja i uprzejmość każą zapomnieć o ich wyglądzie kupy tłuszczu. Nieustannie żartuje i uśmiech nie schodzi mu z twarzy. W pierwszym zetknięciu jest sympatyczny, i można się domyślić, że to znakomity człowiek interesu. Jest w garniturze i krawacie. Ja, zgodnie z moim zwyczajem, mam na sobie bawełnianą koszulkę, dżinsy i wysokie buty: trzeba trzymać fason salonowego poszukiwacza przygód i podróżnika.

Po zwyczajowych uprzejmościach Herman zmierza prosto do celu:

– Ureba mówił mi, że jest pan wielkim znawcą złota, interesuje nas to. Jak pan zapewne wie, kraj przechodzi poważny kryzys i złoto może nam pomóc się wydźwignąć. Mamy w Malessie sporo maszyn, których z powodu inflacji nie możemy sprzedać. Można by je wykorzystać przy pracach górniczych.

To, co mówi, jest przygotowane, czuję, że byłem oczekiwany. Pro-

wadzi mnie do hali swojej fabryki, w której ustawione są maszyny. Są tu wszystkie modele i wszystkie rozmiary. Podczas gdy opowiada mi o ich zaletach, zastanawiam się, po co właściwie traci ze mną czas, skoro ja zaledwie odróżniam samochód od samolotu. Naprawdę nie interesują mnie kwestie techniczne: wiem jedno, że nigdy nie dostarczają maszyny bez technika, a ja wiem, jak działa technik. Po półgodzinie, widząc moje oczywiste zainteresowanie swoimi wywodami, Herman przyprawia mnie z powrotem do biura.

– Pan zna półwysep, a my mamy maszyny. To niezły początek. Politycznie rzecz biorąc, jesteśmy w siodle na cztery lata, czyli na długo, i nie jest problemem załatwienie koncesji górniczej czy jakichkolwiek innych zezwoleń. Wiem, że miał pan na półwyspie kłopoty. Ale z nami takich kłopotów nie będzie: prawo pobytu, pozwolenie na broń, wszystko możemy szybko załatwić. Naszym słabym punktem jest brak specjalisty od pracy w terenie. Czy widzi pan jakieś przeszkody w naszej współpracy?

– To bardzo interesujące. Ale nie mogę odpowiedzieć panu natychmiast. Żeby być zupełnie szczerym, chciałbym obejrzeć do końca Mundial zanim podejmę decyzję, a rozgrywki kończą się za dwa tygodnie. Może pan to uznać za wariactwo, ale dla mnie przyjemności zawsze były na pierwszym miejscu.

– Interesuje się pan piłką nożną? Ja też.

Nuta zainteresowania w jego głosie brzmi fałszywie. Szybko zdaje sobie sprawę, że zna się na futbolu tak jak ja na maszynach. Muszę naprawdę być dla niego kimś ważnym, skoro wkłada tyle wysiłku, żeby mi sprawić przyjemność. Czas się pożegnać. Umawiamy się niezbyt konkretnie na ponowne spotkanie po Mundialu.

W samochodzie, który odwozi mnie do miasta, Ureba pyta:

- Co sądzisz o moim kumplu?
 - Hipokryta.
 - Fakt, ale tacy są wszyscy biznesmeni. Chodzi mi o jego propozycję. Ciekawe, nie?
 - Tak, oczywiście. Może być z niego niezły sojusznik. Ale widzisz, nie bardzo lubię samą zasadę spółki, dzielenie się władzą z kimś innym...
 - Tak, ale powinienś mimo to o tym pomyśleć.
 - Może tak, zobaczymy. Tak czy inaczej, nie pali się.
- Po powrocie dowiaduję się od Nicolasa, że tamten kretyn chce się ze mną spotkać i że się zdecydował. Umówili się na jutro wieczór.

*

W ciągu dnia idę do Esmeraldy, gdzie od dawna się nie pokazywałem. Spotykam tam Carlosa Finca. Pytam go, co ma najtańszego i najbrzydszego. Kupuję za trzydzieści siedem dolarów różnych imitacji z jasno- i ciemnozielonych kamieni, zwanych pompatycznie nefrytem; dodaję do tego dwa miedziane złożone dzwonki i rzeźbioną kość, która ma mieć dwa tysiące lat, ale którą zapewne znaleziono na łące wraz z innymi częściami krowy nie dalej jak pół roku temu.

Spotykamy się wieczorem:

– Przyniosłem ci parę próbek. Możesz sam decydować o cenie sprzedaży. Jako wskazówkę mogę ci powiedzieć, że przedmioty z ciemnego nefrytu są najdroższe. Są rzadkie, więc bardziej poszukiwane. Rzeźbione kości też są wiele warte. Trudno znaleźć coś w dobrym stanie, bo upływ czasu i wilgoć niszczą substancje organiczne. Ta pochodzi z pustyni Guacanaste, więc klimat ją zakonserwował.

Akurat, jeszcze dobrze, że nie czuć jej formaliną!

– Przedmioty ze złota dobrze się sprzedają, tu masz czyste złoto. Zobacz, jakie ciężkie.

Waży je w rękę z miną znawcy. Gdyby miał doświadczenie ze złotem, byłby zaskoczony, bo przy ich rozmiarach dzwonki powinny ważyć cztery razy więcej. Bawię się wspaniale.

– Fakt, to ma swoją wartość. Ale powiedz mi, nie można by tego kupić za mniej niż dziesięć tysięcy?

– Wydawało mi się, że się dogadaliście. Ale jak nie, to nie ma sprawy. Zapomnij o wszystkim. Dość straciliśmy czasu.

Zaczynam pakować moje skarby. Nicolas widząc, jak forsa się ulatnia, jest zaniepokojony. Ale ja wiem, że owoc spadnie, a poza tym mam swoją tajną broń: po paru rządkach kokainy kretyń kapituluje. W przypływie hojności zostawiam mu lipny adres, po czym pieniądze wędrują z jego kieszeni do mojej. Przedmioty, które mu dałem, nawet przez pół minuty nie wytrzymają badania przez zwykłego amatora, ale trzeba powiedzieć, że cała kolekcja prezentuje się nieźle w swoim pudełku wyłożonym czarnym aksamitem. Dla neofity to wystarczy.

Wszystko, co zabiera ze sobą, posłużyć może co najwyżej do zabawy jego wnukom, gdyby je miał. Choć rzecz wydaje się mało prawdopodobna, bo nie wyobrażam sobie kobiety gotowej znosić takiego kretyna. Zaletą moich precjozów jest to, że na pewno nie spowodują kłopotów z celnikami.

*

Następnego ranka budzi mnie Nicolas. Skręca się wprost ze śmiechu, ale udaje mu się wreszcie wykrztusić:

– Na początku wszystko szło dobrze. Był cały podniecony i chciał się zabawić. Koło trzeciej rano, kiedy kokaina przestała działać, trochę myśleć i zastanawiać się, czy przypadkiem nie popełnił głupstwa. Musiałem znów dać mu trochę kokainy, żeby przestał mi wracać głowę. Jak tylko otworzyli biura, pojechaliśmy do Air Florida kupić mu bilet i tutaj zaczyna się najlepsze. On zupełnie nie mówi, angielsku, więc to ja załatwiałem mu rezerwacje. Do Miami nie było problemu. Ale nie ma mowy o dostaniu miejsca Miami – Londyn wcześniej, niż za trzy dni. Wpisałem go na listę oczekujących i powiedziałem, że wszystko w porządku. Nie wiem, jak sobie tam poradzi ale czeka go cholerna niespodzianka. Nie ma już ani grosza i musiałem mu dać forszę na opłacenie taksy lotniskowej, ale już na taksówkę odmówiłem: nie trzeba przesadzać, dałem mu piętnaście colonów na autobus.

– Ale jesteś chociaż pewien, że odleciał?

– Tak, na pewno. Wziąłem taksówkę i patrzyłem, jak wsiada do samolotu. Wyglądał na szczęśliwego. Ciekawe, na jak długo.

– Miałeś rację, że nie dałeś mu na taksówkę. Skoro nie ma forsy, nie może domagać się przyjemności dla bogatych. Masz, tu jest twoja część, pięćset dolarów.

– No, nie przepracowałem się, żeby je zarobić! A w dodatku zrobiliśmy dobry uczynek, to go nauczy uczciwości.

– Chodź, uczymy to, zapraszam cię do Golfito na langustę. Zobaczymy się z Wayne'em.

*

Kasyno i zabawa już mnie trochę męczą. Używamy życia już od dwóch tygodni, nocne wyprawy i kokaina nadszarpnęły mi poważnie

zdrowie. Dwa dni na plaży dobrze nam robią. Dzięki hojności naszego „przyjaciela” mogę sobie pozwolić na wynajęcie awionetki do Golfito. Kiedy przyjeżdżamy, Wayne szykuje się właśnie w drogę do Jimenez, na cotygodniowe zakupy złota. Zaprasza nas, żeby mu towarzyszyć i na miejscu wspólnie się zabawić. Trochę się waham, a Nicolas, który nie zna moich spraw z przeszłości, nie rozumie, co mnie powstrzymuje. Tak czy inaczej, jak mówi Wayne, chyba już o mnie zapomnieli po tych wszystkich miesiącach. Na wszelki wypadek zostawiam rewolwer w Golfito. Kiedy Wayne idzie spotkać swoich handlowych partnerów, rozsiadamy się w Rancho de Oro i zjadamy langustami. Nie siedzimy tam nawet godziny, kiedy otacza nas pięciu gliniarzy z wycelowanymi karabinami. Przeszukują nas pobieżnie, nie znajdując pieniędzy, które mam schowane w butach. I rozpoczyna się dyskusja, jak zawsze. Jakiś facet mnie rozpoznał i poszedł zadenuncjować. Nicolasa znowu biorą za Dave’a i myślą, że wróciła stara ekipa.

Podczas gdy gliny rozmawiają przez radio z San José i coś sprawdzają, szef posterunku prawi mi kazanie i powtarza, że w tym kraju nie wolno strzelać do ludzi. Na moje pytanie: „Czy ja wyglądam na kogoś, kto strzela do ludzi?” odpowiada przecząco, ale wiem, że myśli co innego.

Po trzech godzinach wypuszczają nas i proszą, abyśmy wrócili do Golfito. Jest to moje trzecie aresztowanie w tym kraju. Skoro na południu tak źle nas przyjmują, postanawiam wrócić do San José.

*

Ku mojemu wielkiemu zmartwieniu Mundial dobiega końca. Półfinały były dla mnie dotkliwym ciosem. Wierząc w nadzwyczajne umiejętności Francuzów, postawiłem na nich trzy tysiące pięćset dolarów.

Aż do ostatniego karnego byłem pewien, że wybrałem dobrze, ale moimi pieniędzmi podzieliły się Szwabcy. Dzisiaj finał i jestem zdecydowany się odegrać. W Escorialu panuje atmosfera inna niż zazwyczaj. Po jednej stronie sali siedzą Niemcy, po drugiej – Włosi. Moje uczucia skłaniają się raczej ku makaroniarzom, którzy zgodnie ze swym ła-cińskim duchem wrzeszczą i robią z kawiarni ogólny burdel. Przyszli tu z żonami i dziećmi i lokal wygląda jak neapolitańska kawiarnia.

Po drugiej stronie Niemcy są spokojni i poważni. Postawiłem na Włochów prawie wszystko, co mi zostało, i mam nadzieję, że makaroniarze nie sprawią mi zawodu. W przypadku przegranej nie ma mowy o ucieczce, bo stawki, jako że wysokie, zostały powierzone właścicielowi restauracji, który gra rolę bukmachera.

Mecz przebiega w nieopisanym hałasie. Ku mojej radości Włosi mają przewagę i po każdej bramce wszyscy się całują i robią w kierunku Niemców obsceniczne gesty. Kiedy mecz kończy się zwycięstwem jestem bogatszy o dziewięć tysięcy osiemset dolarów i rewanżuję się wczorajszym zwycięzcom. Cała kolonia włoska wychodzi na ulicę w spontanicznym pochodzie. Blokują ruch i wśród ogólnego zamieszania wrzeszczą „Italia! Italia!”

My także wrzeszczymy z tylnego siedzenia mercedesa, który uczestniczy w defiladzie trąbiąc na wiwat. Jestem przepojony nie tyle patriotyczną radością, ile szczęściem czysto finansowym. Mogę trochę pokrzyzczeć na ich cześć, w końcu dzięki nim zarobiłem prawie dziesięć tysięcy dolarów. Wieczorem zabawa przenosi się do domu pewnego bogatego Włocha. Podczas gdy zalani faceci gratulują sobie wzajemnie i udowadniają jedni drugim, że Włosi są najlepsi na świecie w piłce nożnej, my staramy się udowodnić ich dziewczynom, pomagając sobie kokainą, że Francuzi też nie są najgorsi w całkiem innej dziedzinie.

Kiedy nad ranem zabawa dobiega końca, żeńska cześć koloni włoskiej nie ma już dla nas tajemnic.

*

Mundial zakończył się dwa dni temu i zaczynani zastanawiać się, co będzie jutro, kiedy odwiedza mnie w hotelu Ureba z polecenia Hermana Weinberga. Już zapomniałem o tym gościu.

– Wiesz, nie powinieneś przepuścić tej okazji. To naprawdę niezła fucha. Wielu ludzi chciałoby z nimi współpracować. Powinieneś skorzystać, że Herman cię ceni.

– Jesteś pewien, że nie chodzi mu raczej o zrobienie nowego interesu?

– Przestań się wygłupiać. Zadzwoń do niego. Jego wspólnicy chcieliby się z tobą spotkać. Będzie Tino, syn byłego prezydenta, i Orlando, jego siostrzeniec, który kończył West Point.

*

I tak wracam do Malessy. Kiedy wchodzę do gabinetu, jakiś nieznajomy siedzi w fotelu Hermana, który zajął miejsce w kącie. Czekają na mnie jeszcze cztery inne osoby. W każdym razie jestem tu mile widziany.

Dokonujemy prezentacji. Tino Caracas, syn Juana, założyciela Demokracji Kostarykańskiej, Orlando, siostrzeniec, Oskar Troun i Mario Terrino.

Za biurkiem Hermana siedzi Tino. Na pierwszy rzut oka można by pomyśleć, że to nieśmiały nauczyciel z prowincji. Jest źle uczesany, wysoki i szczupły, na nogach ma sandały. Pomimo pozorów czuję, że

jest zimny i niebezpieczny jak wąż.

Orlando Caracas, siostrzeniec, jest jego przeciwieństwem: mały, tłusty, przypomina wołu i w jego oczach odczytać można podobny stopień inteligencji.

Pozostali dwaj są bardziej niepozorni i wyglądają na typowych biznesmenów. Wszyscy usiedli tworząc półkole, a ja, siedząc w fotelu, czuję się jak przed sądem. Zrobili mi stary numer z fotelem niższym niż inne i próbują mnie pogłębić.

Zadają mi pytania na temat Osa. Orlando w bezpośredni sposób wyraża wątpliwości, co do mojej kompetencji.

– No tak, jeśli dobrze rozumiem, zna pan cały półwysep?

– Zgadza się.

– Podejmował pan kilka prób wydobycia, które się nie powiodły.

– Tak, sądzę, że słyszał pan o tym.

– I chciałby pan podjąć nową próbę z naszą pomocą, jeśli zgodzimy się zaryzykować jakieś kapitały?

Już wiem o co im chodzi, to grubymi nićmi szyte. Czy on naprawdę sobie wyobraża, że wejdzie mi w ten sposób na głowę? Przede wszystkim trzeba popsuć scenariusz. Wstaję i opieram się o ścianę plecami:

– Ej, chwileczkę, to jakaś pomyłka. Kto mówił o pieniądzach? Ja nikogo nie szukałem. Nie odwracajcie ról. To wy potrzebujecie mnie. Ja świetnie sobie daję radę sam.

Głos zabiera Tino. On tu gra rolę psychologa.

– Wszyscy się z tym całkowicie zgadzamy. Orlando wyraża się czasem trochę zbyt bezpośrednio. To jego sposób bycia. Ale spotkaliśmy się wszyscy po to, żeby zobaczyć, w jaki sposób spółka albo współpra-

ca mogłaby być korzystna dla wszystkich. Sądę, że możemy sobie wzajemnie dostarczyć tego, czego brakuje drugiej stronie. Wiemy, że pańskie poprzednie próby zakończyły się fiaskiem. Może moglibyśmy panu pomóc?

– Jeśli poprzednie mi się nie udały, to nie z powodu złota, braku pieniędzy albo braku doświadczenia, ale z powodu kłopotów z policją. O czym zapewne wiecie... Z tego, i tylko z tego powodu postanowiłem rozważyć waszą propozycję.

– Zgoda. Niech pan powie, podobno półwysep jest niebezpieczny?

– Trochę. Powiedzmy, że jest zamieszkały przez facetów, którzy mogą być niebezpieczni. Dlatego trzeba posługiwać się ich metodami, a czasem nawet posunąć się dalej. To tłumaczy moje problemy w przeszłości.

– Właśnie tutaj, jak sądę, nasza spółka może okazać się korzystna. Możemy panu pomóc jeśli chodzi o dokumenty i bezpieczeństwo. My mamy maszyny, ale nikogo z doświadczeniem w terenie. Natomiast sądzimy, że pańska skuteczność działania jako Europejczyka może pomóc wydobyć Malesę z kłopotów.

– Zgoda, ale podyktuję twarde warunki.

Przechodzimy do szczegółów naszej współpracy. Żądam całkowitej swobody działania. Oni ze swej strony podejmują się zapewnić załatwienie wszystkich papierkowych formalności, w tym także sprawę mojego prawa pobytu i zezwolenia na noszenie broni, a przede wszystkim, co najważniejsze, zobowiązują się kryć mnie we wszystkim, czego się podejmę. Nie mam zamiaru utopić kraju w morzu krwi, ale poszukiwanie złota to nie sprawa dla grzecznych dzieci.

W całej dyskusji udział biorą trzy osoby: Tino, Herman i ja. Orlan-

do, urażony swoją pierwszą reakcją, dąsa się w swoim kącie. Dwaj pozostali, prawdopodobnie mniej ważni w spółce, zadają tylko od czasu do czasu pytania i potakują.

– Juan Carlos – podsumowuje Tino – Herman jest naszym rzeczni-kiem. Będiesz się mógł z nami kontaktować za jego pośrednictwem. On zajmie się wszystkimi twoimi dokumentami. Kiedy zamierzasz wyruszyć?

– Myślę, że za tydzień. Pojadę na rekonesans na jakiś miesiąc. Chcę rozejrzeć się w paru miejscach dokładnie. Mam już pomysł co do miej-sca, gdzie można będzie pracować. W przeciwieństwie do innych przedsiębiorstw, my rozwinie my działalność w górach. Jest to trudniej-sze, ale bardziej się opłaca.

– Doskonale. Po twoim powrocie zajmiemy się dokumentami doty-czącymi naszej spółki i zalegalizujemy przedsiębiorstwo. Pracuje dla nas najlepsze biuro adwokackie w mieście.

Wychodzą i zostają sam na sam z Hermanem. Ze swoim nieodłącz-ny m uśmiechem na ustach nalewa mi koniaku.

– Masz temperament. Ale nie zapominaj, że ci ludzie są w tym kraju bardzo ważni.

– Ważni czy nie, mnie to wszystko jedno. Nie idę na ustępstwa i pracuję po swojemu. Może ty musisz się kłaniać, ale ja nic nie je-stem nikomu winien.

– Nie chodzi o kłanianie się. To przede wszystkim przyjaciele z dzieciństwa. Co zamierzasz robić przez ten tydzień do wyjazdu?

– Chcę przygotować wyjazd i iść do Ministerstwa Geologii i Gór-nictwa po plany stref koncesyjnych, żeby nie tracić czasu.

– Będiesz czegoś potrzebował w najbliższym czasie?

– Jeepa, jeśli masz.

– Każę ci przygotować jednego i dam ci też przepustkę dla miejscowych władz. Dostaniesz też kierowcę, przyda ci się w górach.

To zmetysowany Indianin, który jako dziecko chodził z ojcem po całej dżungli.

– Dziękuję ci, ale mam zwyczaj pracować sam.

– Ależ on ci nie będzie przeszkadzał, sam zobaczysz. To porządny chłopak.

Domyślam się, że chodzi przede wszystkim o podstawienie mi szpiega. Mogę pójść na takie małe ustępstwo.

– No dobrze. Gdzie go spotkam?

– Wpadnij przed wyjazdem, to ci go przedstawię. Jesteś zawsze mile widziany w Malessie. Możesz być dla nas cholerną pomocą. Mamy deficytu osiemset tysięcy dolarów, więc może ta sprawa pomoże nam wyjść z dołka. Niebo nam ciebie zsyła.

Wolę wyjść, zanim zaczną się czułości.

*

Jimmy to indiański Metys, mały i zwinny, o przyjemnej powierzchowności. Szybko go oceniam podczas wspólnego obiadu. Jest to idealny zaufany człowiek, uczynny, choć nie uniżony, sympatyczny dzięki dobremu charakterowi, z pozoru spokojny, ale zdolny do gwałtownych wybuchów. Później dowiedziałem się, że w czasie bójki przeciął zębami palce swego przeciwnika. Jest przyjacielem Hermana z lat dziecińczych, służy mu jako totumfacki i dobrze zna rodzinę Caracas. Jest wreszcie sprytny, choć nie cwaniacki, i dostrzegam w nim raczej pomocnika niż szpiega.

Razem idziemy do Ministerstwa Geologii i Górnictwa. Nie pracuje się tam zbyt poważnie i wszystko załatwiane jest za pomocą łapówek, ale dostaję informację, której potrzebowałem: nie ma żadnej koncesji na tereny dookoła laguny Chocohuaco. To dobra wiadomość i spieszo mi teraz, by wrócić na półwysep. Kiedy byłem w Drake, poznałem praktycznie całą tę strefę.

*

Jeszcze kilka drobnych spraw do załatwienia i w końcu tygodnia jestem gotów do wyjazdu. Herman ma przysłać mi topografów, którzy będą wolni dopiero za kilka dni. Nie chcę tracić czasu na czekanie i postanawiam wyruszyć po ostatnim zabawowym weekendzie. Przyjemności miasta straciły trochę ze swego uroku odkąd wiem, że niebawem zacznie się nowa przygoda.

W poniedziałek wyruszam, Jimmy, Nicolas, Jairo i ja. Jairo to mały uliczny handlarz narkotykami, którego zatrudniłem do drobnych posług. Będzie dbał o moje rzeczy osobiste: skoro mam okazję wrócić na półwysep w roli zwycięzcy, warto od początku robić dobre wrażenie i mieć u boku służącego. Herman zrozumiał, że lubię działania wykraczające poza przyjęte normy, i zalecił mi ostrożność:

– Nie niszczyć wszystkiego na swej drodze. Możemy cię chronić, ale lepiej uniknąć rozgłosu.

– Nie obawiaj się. Mam zamiar jechać przez Sierpe i Guerra. Na początek tak będzie dyskretniej. Rozpoczniemy prace zanim wieści dotrą do Jimenez.

– Wiesz już, dokąd pojedziesz?

– Tak, mam pewien pomysł. Ale miejsce, o którym myślę, zajęte

jest przez jednego skurwysyna. Być może trzeba będzie użyć siły.

– Działaj spokojnie. Nie zaczynaj wojny, nie używaj siły bez potrzeby.

– Tylko tyle, ile będzie potrzeba. Będę działał zgodnie z naszymi interesami.

*

Wyjeżdżamy w nocy, żeby łatwiej przejechać punkty kontrolne na szosie panamerykańskiej: pomimo listu polecającego Hermana, nigdy nie wiadomo. Mam rewolwer, Magnum 357 ze spiłowanym numerem fabrycznym, Nicolas ma trzydziestkę ósemkę kupioną na czarnym rynku, a Jimmy karabin kaliber 22 bez pozwolenia na broń: w przypadku szczegółowej rewizji wystarczy to, żeby stracić parę godzin. Jimmy, który był kiedyś kierowcą prezydenta, prowadzi bardzo dobrze, ale jeep jest w okropnym stanie. Poza przełęczą Cerro de la Muerte, gdzie panuje pieski ziąb, droga przebiega dobrze, ale dłuży się potwornie. Docieramy do Sierpe, gdzie musimy zostawić samochód, bo zaczynają się bagna. Spotykam Miguela, który wielokrotnie przewoził Diane z Drake; zabiera nas na swoją łódź, zwykły wydrążony pień drzewa.

Żeby dotrzeć na półwysep, trzy dni będziemy płynąć przez te bagna, pełne komarów i kajmanów, omijając od czasu do czasu sterczące nieliczne drzewa. W końcu wysiadamy w Guerra, małej malarycznej wiosce na skraju bagien, w której mieszka Nizaro. Stary jest zadowolony widząc mnie znowu i chętnie zgadza się nas przenocować. Czekając na topografów złożę tylko wizytę w Rancho Quemado. Nizaro proponuje nam swój dom, ale odmawiam, bo jest tam stanowczo za brudno. Zawieszamy nasze hamaki w domku, który służy za składzik, ale szybko orientujemy się, że miejscowe świnie wybrały go sobie na sypialnię.

W nocy kładą się pod naszymi hamakami i walenie kolbami nic nie pomagają: te głupie zwierzęta są uparte i codziennie powtarza się ta sama corrida.

Żeby poprawić sobie humor, dzień zaczynamy od małej przechadzki w błocie, w padającym deszczu. Później pracujemy na prekolumbijskim cmentarzu odległym o kilometr od domu. Został on już przeszukany parokrotnie, chodzi raczej o rodzaj treningu. Wieczorami rozmawiamy albo gramy w karty, gram z don Nizaro przeciwko Jimmy'emu i Jairo. Sprawia wrażenie spokojnego dziadka, ale pod tymi pozorami kryje się prawdziwy kanciarz, i gdyby nasz pobyt miał się przedłużyć, naiwny Jairo straciłby całą swoją pensję. Trzeba też powiedzieć, że siedzący obok niego Nicolas bardzo nam pomagał, wymieniając jego karty po francusku.

Don Nizaro, który nienawidzi Barbaroi, z zadowoleniem dowiaduje się o moich zamiarach ale myśl o towarzyszeniu mi przeraża go.

– Ze mną nie musisz się niczego bać. Jeśli chcesz, poczekasz z tyłu.

– Tak, ale on dowie się, że to ja was przyprowadziłem. Ty jesteś sam, Juan Carlos, ale ja muszę myśleć o rodzinie.

Faktycznie, niezła rodzina. Mając na głowie jego żonę i siedem ogromnych córek, jedyni dwaj mężczyźni w tym domu z ledwością zapewniają utrzymanie. Są chudzi, wysuszeni. Żona, gruba krzykliwa megiera, namawia go do przyjęcia mojej propozycji. Wyczuła forszę i gotowa jest posłać go na śmierć pod warunkiem, że zapłacę z góry. Za cenę spokoju stary w końcu zgadza się.

– Barbaroja jest naprawdę taki straszny?

– To złodziej i morderca. Ma na sumieniu kilka zabójstw: kilku facetów zniknęło. Zatrudnia ludzi obiecując im, że się podzieli zyskami.

Ale w rzeczywistości posługuje się nimi tylko przy zdejmowaniu wierzchniej warstwy ziemi, która nie zawiera złota. Potem, pod pretekstem, że nic nie wydobyli, zwalnia ich po tygodniu nic nie płacąc, i strzela jeśli tylko ktoś się próbuje stawiać. W ten sposób może później sam eksploatować przygotowany teren i zabrania komukolwiek nawet się zbliżyć.

– Teren jest jego?

– Wcale nie. Kupił tylko małą działkę za parę colonów, kawałek łąki, który wykarczował. Całą resztę ukradł, przywłaszczył sobie nawet wszystkie rzeki. Ostatnim razem, jak tam poszedłem, wypędził mnie strzałami z karabinu, podczas gdy to ja odkryłem to miejsce.

– Nie bój się, pomyśl raczej, że ty i twój syn będziecie mieli pracę w moim przedsiębiorstwie.

– Gdyby się stawiał, masz czym go uspokoić – mówi, wskazując na mój rewolwer. – Nie wahaj się strzelać pierwszy, ten facet jest niebezpieczny.

Szkoda, że znalazł się na mojej drodze, bo do tego Barbaroi czuję raczej sympatię. Fakt, że utrzymał się tak długo zupełnie sam w tych górach wskazuje na jego zalety, dużo większe niż wszystko, co reprezentują sobą dumie, którzy go krytykują; potrafię docenić odwagę samotnika. Tym niemniej nie będę się rozczulał, jeśli stanie mi na drodze, i zlikwiduję go bez litości. Ale zdecydowałem, że jeśli okaże się w porządku, pozwolę mu na wyjście z twarzą.

*

Jesteśmy tu już od czterech dni, najwyższy czas ruszać w góry. Wychodzimy bardzo wcześnie, żeby zdążyć obrócić w ciągu jednego dnia.

I znowu to samo gówno: wydaje się, że Osa składa się wyłącznie z błota i gór. Jest koniec lipca, pora deszczowa w pełni, i jak zwykle droga jest paskudna. Najpierw pół godziny bagien, w których konie pogrążają się aż po brzuch, potem trzy godziny nieustannego pięcia się w górę do poziomu sześciuset metrów. Trzeba iść jakby ścieżką wytyczoną w błocie przez spływającą wodę, jest stromo i bardzo ślisko. Często trzeba zejść z konia, wspinać się czepiając się drzew i ciągnąć za sobą opornego konia. Jako typowy mieszczuch Jairo nie jeden raz leci na pysk i kosztuje go to wiele wysiłku. Natomiast Jimmy daje sobie radę znakomicie. Mały, lekki i zwinny posuwa się żwawym krokiem, nigdy nie ześlizgując się, i zostawia na ziemi ledwie widoczny ślad tam, gdzie ja zapadam się do połowy uda. Kiedy docieramy do płaskowyżu, on jeden nie jest cały umazany błotem. Nizaro nie chce iść dalej:

– Dalej prosto. Dom brodacza jest o pięćset metrów stąd.

– Nie pójdziesz z nami?

– Nie. Ktoś musi zostać przy koniach.

Pięć minut później podchodzimy do domu Barbaroi, położonego pośrodku łąki. Widać kilkanaście prosiąt, krowę i kury, ale żadnego śladu obecności ludzkiej. Drzwi i okna są pozamykane i dom wydaje się pusty. Zbliżamy się ostrożnie. Kiedy dochodzimy do budynku, stwierdzamy, że rzeczywiście nie ma tam nikogo.

– Jimmy, musimy wiedzieć, gdzie on jest, zanim pójdziemy do rios. Nie chcę mieć tego sukinsyna za plecami.

Jednym susem wskakuje na ścianę i ze zwinnością kota wślizguje się w otwór między ścianą a dachem. Po paru minutach pojawia się znowu.

– Na stole stoi kawa, jeszcze ciepła. Wyszedł mniej niż godzinę temu.

– Musimy się dowiedzieć, gdzie jest.

– To nietrudne: rano padało, więc widać świeże ślady. Poszli tedy, we trzech! – wykrzykuje po chwili.

Z dumą pokazuje mi ślady trzech różnych butów odcisnięte w błocie.

– Idziemy.

Przez kwadrans postępujemy za śladami, w całkowitej ciszy, kiedy nagle daje nam znak, by się zatrzymać. Dziesięć metrów dalej pracuje trzech facetów. Barbaroja, którego poznaję po rudej brodzie, pochyla się nad catiadorą. U jego stóp dwaj pracownicy, zanurzeni w wodzie po pas, machają łomem i łopatą. Wychodzimy zza drzew i kierujemy się w jego stronę.

Kiedy nas dostrzega, jego pierwszą reakcją jest sięgnięcie po karabin, leżący parę metrów dalej. Przewidziałem to i celuję do niego z rewolweru, krzycząc, żeby się nie ruszał. Waha się... Strzelam tuż obok jego bronii. Huk jak wystrzał armatni; nieruchomieje, twarz mu tężeje. Obaj pracownicy stoją bez ruchu, oparci na swoich narzędziach. Posyłam Jimmy'ego, żeby przyniósł karabin, po czym każę Barbaroi podejść bliżej. Jest niepewny swego, ale stara się nadrabiać miną. To mocno zbudowany facet z twarzą brutalnego chama, oczy ma zasłonięte tanimi okularami przeciwsłonecznymi.

– Co tu robicie? To mój teren.

– Mylisz się, przyjacielu. Teren jest mój. Od dziś całe te góry należą do mnie. Właśnie wystąpiłem o koncesję, jestem prawnym właścicielem.

Nie jest to całkowita prawda. Stawiając go przed faktem dokonanym chcę uniknąć, by strzelił mi kulę w plecy, naiwnie starając się odwrócić bieg rzeczy. Pokazuję mu przepustkę wypisaną przez Hermana dla miejscowych władz. Nie wiem, czy umie czytać, ale dokumenty z oficjalnym nagłówkiem zawsze robią wrażenie. Opowiadam mu o Kompanii, o maszynach, o rozwoju kraju, co sprawia, że traci resztę pewności siebie.

– Więc chcecie mi odebrać moją ziemię?

– Kto ci mówi o odebraniu czegokolwiek? Mamy koncesję na te góry, to wszystko. Możesz tu zostać, nie przeszkadzasz mi. Ale musisz się przyzwyczaić do tego, że będziesz miał sąsiadów. Po jakimś czasie wrócę tu z inżynierami i urzędnikami, będziesz musiał zachowywać się kulturalnie.

Opróżniam magazynek jego karabinu i oddaję mu go; tutaj ludzie nigdy nie noszą naboju w kieszeniach; amunicja jest podłej jakości i wilgoć szybko ją niszczy.

– Muszę pobrać parę próbek. Wpadnę do ciebie później. Przygotuj kawę, pogadamy.

*

Oddalamy się trochę, po czym opuszcza nas powaga i wybuchamy śmiechem wspominając minę Barbaroi. Ale nie należy go lekceważyć: jest to być może zwykły chłop, którego łatwo oszukać, ale skoro rządził tu przez tyle czasu, ma na pewno i zalety i wady, by poprzestał na naszej rozmowie. Chcę mu dać czas do namysłu zanim pójdę z nim porozmawiać. Tymczasem, za każdym razem kiedy zatrzymujemy się, żeby kopać, wysyłam Jimmy'ego na czaty na wypadek, gdyby Barbaroja zareagował szybciej, niż przewidywałem. Kiedy ochłonie z pierw-

szego zaskoczenia weźmie się w garść.

Jairo, który od rana dźwigał wszystkie narzędzia, ma teraz wątpliwą satysfakcję mogąc wreszcie się nimi posłużyć: biedny Jairo, zaczyna się zastanawiać, w jaką historię się wpłatał. Tak jak się tego spodziewałem, drobne złoto znajduje się wszędzie dookoła: jeśli było potrzebne jakieś potwierdzenie, mamy je.

Kiedy wracamy, Barbaroja nie pracuje już nad rzeką. Zapewne wrócił do domu, żeby się namyślić. Kiedy wyłaniamy się z lasu, jeden z pracowników, który stał na czatach, zawiadamia pozostałych i cała trójka oczekuje nas na progu domu. Stojący w środku Barbaroja daje nam znak, żebyśmy podeszli.

Zbliżamy się ostrożnie, gotowi na szybką reakcję w przypadku zdrady. W przeciwieństwie do tego, czego się obawiałem, Barbaroja wydaje się bardzo spokojny i gotów do rozmowy. Zaprasza nas do środka, żeby pogadać. Wnętrze domu jest dosyć brudne. To dom człowieka przyzwyczajonego do samotności od lat: jedna jedyna izba z łóżkiem i kłoc drewniane do siadania. Na stole stoją cztery szklanki mleka, przeznaczone dla nas. Nie wiem, czy jest dość sprytny, żeby zastawić na nas pułapkę, ale wolę się mieć na baczności. Zamiast wypić mleko wylewam je na podłogę. Ku zdziwieniu Barbaroi pozostali robią to samo.

– Nie lubicie mleka?

Jeśli ten poczęstunek wynikał z dobrych zamiarów, to trudno. Wygląda na zmartwionego, ale nie wiem, czy chodzi o marnotrawstwo, czy o coś innego.

– Natomiast chętnie napiłbym się kawy. Kiedy wstaje, mówię do Nicolasa po francusku:

– Idź z nim i nie spuszczaaj z niego oczu, kiedy będzie przygotowy-

wał kawę.

– Myślisz, że chciałby nas otruć?

– Otruć na pewno nie, ale naszczać do wody tak, jak pewnie to zrobił z mlekiem, owszem.

Kiedy wraca, nie uśmiecha się już. Mówi, że naprawdę nazywa się Gerardo i przedstawia dwóch pozostałych jako swoich współników.

Wspólnicy, na pewno! Widząc jak pracowali, jestem pewien, że moje przybycie uratowało ich od wykiwania. W trakcie rozmowy wyjaśniam mu, że nie przyjedzie tu jakiś pojedynczy orero, ale cała Kompania, i że jeśli będzie sprytny, może skorzystać na naszym przybyciu. Chodzi tu właściwie o dialog w jedną stronę, bo słucha mnie nie odpowiadając inaczej niż niearykułowanymi pochrząkiwaniami. Albo nic nie rozumiał, albo się maskuje. Atmosfera jest napięta i kiedy się rozstajemy, nie mam pojęcia, na co zdecydował się na przyszłość. W każdym razie nie strzela nam w plecy, to już dobry znak.

*

Wracamy do don Nizara, który na nas czeka. Jest cały podniecony.

– Więc zabiłeś tego skurwysyna! Słyszałem strzał. To dobrze, będę mógł wrócić tam pracować.

– Nie, nie zabiłem go. Ale ani ty, ani nikt inny nie pójdzie tam pracować. Od dziś to miejsce należy do mnie.

– Ale nie zapomnisz, że to ja je odkryłem?

– To było trzydzieści lat temu. Tak czy inaczej, dostaniesz u mnie pracę jak już się urządzę. Na razie wracamy na dół.

Nie niepokoję się zbyt reakcją Barbaroi. Przyznaję, że terroryzował okolicę, ale żyje przede wszystkim ze swojej reputacji, podtrzymy-

wanej przez wrodzone tchórzostwo Ticos. Być może wyolbrzymiają trochę to wszystko, żeby usprawiedliwić swój strach przed nim.

*

Dwa dni później jadę do Sierpe po topografa: przyjechał ze swoim synem, wielkim niezgułą, który taszczy sprzęt. Topograf to mały zręczliwy człowieczek, w stylu „wszystko wiem, wszystko widziałem”, i od razu czuję do niego niechęć. Na statku przekonuje mnie, że w rio Sierpe nie ma aligatorów, podczas gdy w czasie podróży w tamtą stronę ustrzeliłem czterometrowy egzemplarz, który wygrzewał się na słońcu na brzegu.

W krótkim czasie zraża sobie wszystkich; przywiózł ze sobą namiot, żeby nie spać w hamaku, więc wskazuję mu przyjaźnie pobliską łąkę, o której wiem, że jest pełna coloradillas, żeby się trochę podszkolił. Następnego ranka on i jego syn pożalują swych ciągót do komfortu. Na drugi raz nie będzie się mądrzył, kiedy coś powiem o owadach.

Tego dnia wychodzimy w góry, by zamieszkać u zięcia Nizara, chłopca mieszkającego w Rancho Quemado. Wioska podobna jest do wszystkich innych na półwyspie: pięć czy sześć domków dookoła futbolowego boiska.

Nasz gospodarz mówi nam, że Barbaroja głosi dookoła, że nie pozwoli nam wrócić.

– Powiedział, że jeśli Francuz postawi nogę na jego ziemi, to będzie strzelał bez ostrzeżenia. Uważajcie, jest do tego zdolny. Ja tam nie wrócę – mówi Nizaro.

Topograf jest trochę zaskoczony:

– Co to znowu za historia? Mnie za to nie płacą. Przyjechałem tu,

żeby robić pomiary, a nie, żeby do mnie strzelano.

I baran zaczyna mi zrędzić i opowiadać o warunkach pracy. Nizaro i on naprawdę pasują do siebie; ci dwaj kretyni zdemoralizują mi cały zespół, przestraszą synów gospodarza, których właśnie zaangażowałem.

– Słuchaj, tchórze jeden, przyjechałeś tu po to, żeby wywiązać się z umowy, nic innego. Jeśli nie pójdziesz pracować, będziesz miał do czynienia ze mną. Możesz wybierać między możliwym niebezpieczeństwem w przyszłości i natychmiastowym, zupełnie pewnym. Zresztą, mogę ci zagwarantować, że nie będzie żadnych problemów.

Nie dodałem mu odwagi, ale przynajmniej uspokoił się.

*

Następnego dnia idziemy do Barbaroi. Topograf odmówił rozpoczęcia pomiarów jak długo istnieje ryzyko, że zostaniemy w lesie ostrzelani. Podchodzimy, po czym w odległości dwustu metrów od domu Nizaro zatrzymuje się, a za jego przykładem cała reszta. Zanim ruszę dalej, trzeba się zabezpieczyć.

Jak wszyscy Indianie, Jimmy jest doskonałym strzelcem: ustawiam go o trzydzieści metrów od domu, polecając, by miał Barbaroję na oku.

– Gdyby zrobił jakiś podejrzany ruch, strzelaj w ramię. Kaliber dwadzieścia dwa nie robi mu dużej krzywdy, chodzi tylko o to, żeby go uspokoić.

Nicolas, Jairo i ja posuwamy się naprzód tyralierą, w pełnej gotowości. Barbaroja pojawia się na progu domu, na szczęście ma puste ręce. Wykrzykuję w jego kierunku:

– Podobno chcesz do mnie strzelać?

– Wcale nie, nigdy tego nie mówiłem. Ludzie we wsi nie lubią mnie i opowiadają niestworzone historie.

Nie wierzę mu i ten przejaw słabości zmniejsza moją sympatię do niego.

– Popatrz – mówię mu, wskazując na topografa i jego syna, którzy powoli podchodzą – ci ludzie pracują dla mnie. Będą robili pomiary na okolicznych rzekach, więc się nie zdziw, jeśli będą przechodzić przez ten teren.

*

Przez trzy tygodnie topograf mierzy rzeki i tysiąc dwieście hektarów ziemi. To stary dureń, ale zna się na robocie. Wspomagany przez dwóch ludzi, którzy otwierają mu drogę maczetami, pracuje od rana do wieczora.

*

Każdego ranka wyruszamy w kierunku rzek, oddalonych o godzinę drogi. Jedyną trudność stanowi rzeka, przez którą trzeba się przeprawić przechodząc po cienkim i śliskim pniu drzewa. Za każdym razem, w obie strony, któryś z nas wpada do wody, a stary dureń częściej niż inni, bo trochę mu pomagamy. Całymi dniami pobieram próbki i pracuję z catiadorą, a także rozmawiam z Barbaroją. Duże wrażenie wywarła na nim moc mojej spluwy, a także cały sprzęt topograficzny, który jest dla niego symbolem wiedzy i władzy. Przyzwyczał się już do myśli o sąsiadach i stara się teraz sąsiedztwo to wykorzystać.

– I co, zabierzesz mi moją ziemię?

– Wcale nie, mam koncesję na całe góry i akurat twoje trzy hektary

nie są mi potrzebne do szczęścia. Będą tylko pewne miejsca, gdzie nie będzie można chodzić, to wszystko. Zbuduję w pobliżu obozowisko. Jeśli będziesz sprytny, możesz na tym skorzystać i wzbogacić się, na przykład otwierając pulperię.

– Możesz się urządzić obok, jeśli chcesz, są tu wykarczowane miejsca, które nie są mi już potrzebne.

– Dziękuję, to mi ułatwi sprawę. Ile wydobywasz złota miesięcznie?

– Trzydzieści, czterdzieści gramów. Mam słabe oczy i nie mogę pracować bez przerwy, ale moje góry są bogate.

– „Moje” góry! Musisz zmienić przyzwyczajenia. Jeśli chcesz i jeśli zobowiążesz się przestrzegać naszej umowy, będę ci płacił dwadzieścia pięć tysięcy colonów miesięcznie za wynajęcie terenu, który mi proponujesz, i dodatkowo piętnaście tysięcy colonów jako odszkodowanie za ewentualne kłopoty, jakie możesz mieć z tego tytułu. Mogę ci też doprowadzić bieżącą wodę i prąd. Jak będziesz ze mną współpracował, będziesz miał same korzyści, a jak nie, będą same kłopoty. Jeśli wybierzesz wojnę, to mnie jest wszystko jedno, możemy walczyć, ale przegrasz ty, nie ja. Jak widzisz, możesz tylko zyskać na współpracy.

Suma jest ogromna na miejscowe warunki i wiem, że się zgodzi. Jeśli odmówi, tym gorzej dla niego: w grę wchodzi interesy tak wielkie, że nie przeszkodzi temu żaden miejscowy bandyta. Nie boję się przemocy, kiedy jest konieczna, ale można przez nią stracić sporo czasu.

Tak jak przewidywałem, zgodził się. Moja propozycja daje mu dwa razy więcej, niż mógłby zarobić sam, ale czuje się urażony, że musiał zgodzić się tak szybko, i kiedy w mojej obecności uderza swojego pracownika, wiem że jest to jego sposób na zachowanie twarzy i podtrzymanie swego nadszarpniętego autorytetu.

*

Topograf zakończył pomiary; będziemy mogli wracać do San José. Zabiorę ze sobą malutkiego boa, którego znalazłem w domu i któremu zgmiotłem szczęki uderzeniem obcasa.

Po raz ostatni idę do Barbaroi:

– Więc jak, zgoda? Przestrzegasz swoich zobowiązań, a ja swoich. Za parę dni przyślę tu ludzi na budowę. Zapłacę ci za drzewa, których będą potrzebowali na deski. Nie musisz im pomagać, ale nie przeszkadzaj w pracy. Masz tu dwadzieścia tysięcy colonów zadatku.

– Wszystko będzie dobrze.

Pewnie! Jest tak samo zakłamaný jak inni, tyle że trochę bardziej inteligentny.

*

Wracam do Guerra, gdzie trzeba załatwić sporo spraw zanim zamieszkać w okolicy. Przede wszystkim dom; polecam Nizaro zwerbować ludzi na budowę, za którą będzie odpowiedzialny.

– Ilu będziesz potrzebował?

– Myślę, że czterech.

– Weź dziesięciu, ale wszystko ma być gotowe za dwa tygodnie. Postaraj się ich zebrać przed moim odjazdem, chcę z nimi mówić. Zostawię ci pieniądze na opłacenie ich i zakup sprzętu na miejscu. Co do reszty, to znaczy pił, gwoździ i wyposażenia pokoi i kuchni, pojedziesz ze mną do Palmar na zakupy, zanim wyjadę do San José.

– Jak będziesz jechał do San José, mógłbyś mnie ze sobą zabrać?

Muszę iść do szpitala na badanie, mam kłopoty z sercem, a chcę być

w formie żeby z tobą pracować.

Tylko tego brakowało.

Dobrze, załatwimy to. Jeszcze coś, na górze będą potrzebne kucharki. Twoje córki umieją gotować? Oczywiście, będą się nadawać.

– Wybierz te, które najmniej jedzą, musimy być ostrożni. Weź też na budowę syna.

To gratka dla rodziny; dodatkowe pensje wydatnie zwiększą ich dochody.

Dwa dni później zbiera się u niego dziesiątka ludzi. Werbunek nie był trudny, bo oprócz jego rodziny i okolicznych mieszkańców przyszli też ludzie z Drake, którzy dowiedzieli się, że wrócił Juan Carlos, i przyszli szukać pracy. Są tu Max i Omar, dwaj rybacy z Drake, Miguel, czystej krwi Indianin, prawdziwy siłacz, choć ma dopiero szesnaście lat, Gabino, bezzębny idiota z Guerra, Tonio i Jeremiaś, syn i zięć Nizara, oraz inni, których nie znam. Stary traktuje swoją rolę bardzo serio, przedstawia mi ich, po czym puszczam w obieg butelkę rumu i wygłaszam przemówienie:

– Jestem waszym szefem. Podczas mojej nieobecności kierować wami będzie don Nizaro. Moje ranczo musi być ukończone jak najszybciej, płacę trzysta colonów dziennie. Pracujcie dobrze, to nie pożałujecie. Gdyby don Nizaro musiał wyjechać, kierownikami będą Tonio i Jeremiaś.

Rysuję im dokładny plan tego, czego oczekuję.

*

Mogę teraz pojechać do Palmar, muszę się śpieszyć, bo mam też jechać do Jimenez – przez Golfito – gdzie też mam sprawy do załatwie-

nia. Zostało ustalone, że zakupiony sprzęt odwiezie do Guerra Nizaro, po czym wróci do Palmar, gdzie zaczeka na mnie i razem Pojedziemy do San José.

Jairo, który jest wykończony i stracił już sporo na wadze, pojechał wcześniej autobusem z topografem i jego synem; mają jak najszybciej wyrysować mapę potrzebną do wystąpienia o koncesję.

Ja jadę do Jimenez z Nicolasem i Jimmym: chcę spotkać się z porucznikiem Nogalesem, żeby ustawić sobie gliniarzy. Jimmy zna go dobrze, bo sprzedawał mu przedmioty prekolumbijskie, znajdowane przez ojca. Idziemy do niego bezpośrednio. Wydaje się zadowolony z mojej wizyty. W pierwszych słowach przeprosza mnie jeszcze raz za aresztowanie w górach.

Miałem rozkazy i nie znałem cię. Ale teraz to już przeszłość, zapomnijmy o tym i chodźmy oblać twój powrót.

I stary lis wyciąga paczkę trawki, którą kładzie na stole.

– Wiesz – mówi z uśmiechem – trawka, którą zabraliśmy Dave’owi i Claude’owi była doskonała. Nie poleżała długo. Co cię do nas sprowadza?

– Będę znów pracował w górach, ale tym razem na poważnie i potrzebuję spokoju. Kiedy ostatnim razem pojechałem do Jimenez, od razu mnie aresztowali...

– Tak. Słyszałem o tym. Ale nie mam z tym nic wspólnego, od czasu wyborów straciłem stanowisko. Kiedy zmienia się prezydent, zmieniają się wszyscy szefowie policji. Wydał cię Jeremy, właściciel Rancho de Oro.

– Nie chciałbym, żeby to się powtórzyło, a poza tym potrzebuję dynamitu do pracy: muszę mieć zgodę miejscowego szefa policji.

– Z tym nie będzie problemu. Przedstawię cię porucznikowi Villanueva. Jest skorumpowany całkowicie i robi wszystko dla pieniędzy. Kiedy pomyślę, że wylali mnie po to, żeby takiego faceta dać na moje miejsce! Wszyscy ważniejsi policjanci starają się dostać tutaj nominację, bo to najlepsze miejsce, żeby sobie napchać kieszeń – mówi z goryczą.

– Skoro oddasz mi tę przysługę, ja też coś dla ciebie zrobię. Nauczę cię dobrego sposobu.

W tym czasie bank skupujący złoto nie przeprowadzał jeszcze próby na kwas.

– Wystarczy kupić dwunastokaratowe złoto jubilerskie, przepiłować je na małe kawałeczki i zmieszać z dwudziestoczyterokaratowym złotem z rzeki; zarabiasz dwa i pół tysiąca dolarów na kilogramie.

– To genialne! Nie pomyślałem o tym. Dlaczego sam tego nie robisz?

– Mam lepszą robotę.

– Dziękuję, musimy to godnie uczcić.

Przyprawdza dwie młode dziewczyny ze swojego haremu, wyciąga gram kokainy i przyjemnie spędzamy noc.

Następnego dnia spotykam Villanuewę. Jest to weteran rewolucji 1948, ma siwe włosy, jedną ręką wyłamaną i nosi nisko na biodrze trzydziestkę ósemkę kolbą do przodu, jak zawodowy pistolero. Nie ukrywa przynajmniej swojej natury. Zaledwie Nogales powiedział mu, o co chodzi, oznajmia:

– Jeśli chodzi o dynamit, nie ma sprawy, płaci pan pięć tysięcy colonów.

Daję mu pięć tysięcy i dokładam drugie pięć.

– Podoba mi się pan. Będzie tak co miesiąc.

Zapewnia mnie o swoim wiecznym oddaniu, ale nie oczekuję aż tyle: wystarczy przez okres pełnienia służby w Jimenez.

Kiedy oczekujemy na statek do Golfito, przykleja się do mnie dwóch facetów, którzy szukają pracy. Przyjechali szukać na Osa szczęścia, ale nie powiodło im się i teraz zdychają z głodu, nie stać ich nawet na przejazd statkiem. Jeden nazywa się Chita i mieszka koło Palmar, drugi White, to Murzyn z San José. Zawsze uważałem, że Murzyni z Karaibów są ciężcy i męczący, ale ten jest wyjątkiem; obaj są całkiem sympatyczni, nieźli cwaniacy. Zabieram ich ze sobą, zostawię ich u Chity, żeby zaczekali na mój powrót.

W Golfito też idę do glin. Nogales podał mi nazwiska nowych i najbardziej przekupnych. Potem pozostaje mi już tylko zająć się tymi z Palmar. Wiem, ciągle od Nogalesa, że na czele policji stoi w tym mieście kobieta. Spotykam się z nią w barze prowadzonym przez młodych Niemców, którzy przyjechali się tu zadekować. Po paru kieliszkach czuję, że mój urok osobisty nie jest jej obojętny: jest stara, tłusta i ma wąsy, więc oszczędzę sobie opisu naszej miłosnej nocy. Zawsze dobrze jest mieć stosunki z przedstawicielem prawa, ale niech nie liczy na mnie zbyt często.

*

Zabieramy po drodze Nizara i wszyscy razem jedziemy do San José.

Podczas podróży zdaję sobie sprawę, że rzeczywiście stary nie wygląda zbyt dobrze. Nie wiem, czy to wpływ wieku, czy napięcia ostatnich tygodni, ale wydaje mi się jakiś poszarzały, co nie jest mi na rękę bo jeszcze go potrzebuję.

Zaraz po przyjeździe pędzę do Hermana Weinberga, wchodzę do biura jak do własnego domu.

– Hallo, Juan Carlos! Opowiadano mi, że dokonujesz cudów. Topografowie mówili, że nie boisz się niczego.

Ciągle potrzebne mu jest to wazeliniarstwo. Ja też mu zrobię przyjemność:

– Wszystko poszło dobrze. Przywiozłem ci nawet mały prezent na pamiątkę.

I wyciągam z kieszeni kurtki mojego boa, kładę go na biurku; spodziewałem się, że będzie zaskoczony, ale nie do tego stopnia; dosłownie wyskakuje z fotela, przewracając go, i wciska się w ścianę w rogu pokoju wrzeszcząc:

– Zabierz to stąd, szybko, proszę cię.

– Ale to boa, nie jest jadowity.

– Wszystko jedno. Nie mogę znieść tych bestii.

A mnie się wydawało, że są do siebie podobni. Trudno, zabieram swojego kumpla, który zaczynał już przegląd szuflad, i ponownie wkładam go do kieszeni. Herman dochodzi do siebie przez co najmniej dziesięć minut. Siedzi na krześle, jest cały blady, rękę trzyma w okolicy serca; przynajmniej raz nawet się nie uśmiecha. Powoli jego twarz powraca do normalnej barwy, lekko zielonkawej, i możemy przejść do poważniejszych spraw.

– No – zaczyna – to opowiadaj, jest tam złoto?

– Dużo. Okolica jest bardzo bogata, podobnie zresztą, jak pozostałe zbocza laguny, i nie powinno być zbyt trudności z wydobyciem. Jedyne problemy to dostępność: jest do wyboru przeprawa łodzią przez bagna albo ponad trzy godziny wspinaczki, nie jest to takie proste jak

w przypadku kopalni u stóp gór. Wniesienie sprzętu to niesamowite zadanie.

– Myślisz, że ci się uda?

– Nie ma sprawy: powiedziałem, że to bardzo uciążliwe, a nie, że niemożliwe. To dodaje smaczku całej sprawie.

Podobnie jak w przypadku silnika w Cerro de Oro, lubię takie zwariowane wyzwania.

– A ten Barbaroja, o którym mówił mi topograf, kto to jest?

– Skurwysyn, który mógłby nam narobić kłopotów. Nie sądzę, żeby chciał otwarcie użyć siły, ale może okazać się zdradliwy. Pozwoliłem mu dalej pracować na terenie koncesji, jego dłubanina nam nie przeszkadza. Wolałem zostawić mu furtkę, żeby nie stracił twarzy. Ale w razie problemów wykosimy go bez litości.

– Masz rację. Przedsiębiorstwo takie jak nasze nie może się zgodzić, żeby jednostka stawiała mu na drodze.

Przerywam mu, zanim zacznie wygłaszać przemówienie.

– A propos jednostek, potrzebuję najlepszego kardiologa, żeby się zajął Nizarem. Stary ma kłopoty z sercem i jest bliski wykończenia się. Nie chodzi o cuda, na starość nic się nie poradzi. Ale dobrze by było, żeby go trochę podreperować, przynajmniej na miesiąc lub dwa, potrzebuję go do zapewnienia łączności z chłopami.

– Nie ma sprawy, na pewno któryś jest członkiem rodziny. Znam osobiście wszystkich dyrektorów szpitali.

– Dobrze. Inna sprawa: topograf pewnie ci mówił, że dokonał pomiarów trzech rzek, których nie ma na mapach. Nazwałem je Quebrada del Frances, Quebrada Rancho Quemado i Quebrada Herman, żeby zrobić ci przyjemność.

Czerwieni się z dumy. Nie codziennie ma się okazję nadawać swoje imię nieznannej rzece w 1982 roku. Zawsze przyjemnie jest widzieć je zapisane na oficjalnej mapie, kiedy jest się tak jak on „wielkim łowcą przygód”. Przechodzimy do spraw bardziej przyziemnych.

– Wiesz, że jedno przedsiębiorstwo nie może uzyskać koncesji na więcej niż czterysta hektarów?

– Pomyślałem o tym. Dlatego właśnie włączyłem te trzy rzeki. Możemy utworzyć trzy różne spółki, noszące nazwy każdej z nich, które połączone będą w holdingu Quebrada del Frances.

– Dlaczego właśnie tej?

– Bo należy do mnie, bo jest najbogatsza, bo jestem jej prezesem i po prostu, bo tak.

– Dobrze, dobrze. Tak czy inaczej, trzeba będzie poważnie zająć się dokumentami gdy tylko geologowie zakończą pracę.

– Nie mam zamiaru wracać wcześniej, muszę kupić sprzęt.

– Potrzebujesz pieniędzy? Malessa może pokryć swoją część kosztów.

– Dziękuję, stać mnie jeszcze, żeby płacić samemu.

– Dlaczego tak się upierasz?

– Bo nie chcę być od nikogo zależnym, lubię mieć wolne ręce. Nie zgadzam się na dawanie komuś pretekstu do wtykania nosa w moje sprawy. Wszedłem z wami w spółkę tylko z jednego powodu, ale nie lubię samej zasady spółki. Powiedzmy, że robię wam prezent w zamian za przysługę.

– Więc chcesz wszystkim zarządzać sam?

– W terenie tak, to bardzo ważne, żebyśmy się w tej sprawie zrozumieli.

mieli. Ty, Tino i pozostali jesteście ludźmi miasta, pozostańcie na swoim miejscu i zajmijcie się papierami, niech każdy robi swoje. Ja muszę sam podejmować decyzje na miejscu, tylko pod tym warunkiem będą skuteczny, niech to będzie jasne!

- Z tym nie powinno być problemów.
 - Nie może być żadnych: na tym stoi cała nasza współpraca.
- Sprawa ta będzie stale powracać w rozmowach.

*

Muszę teraz przygotować całą materialną stronę przedsięwzięcia. To niemałe zadanie zapewnić wyposażenie potrzebne trzydziestu ludziom do przeżycia w górach. Na początek każę zbudować specjalne canoa sześciometrowej długości. Potrzebuję dobrego tygodnia na dokonanie najróżniejszych zakupów. Sporządziłem listę:

- silnik elektryczny, z generatorem,
- zestaw garnków i utensyliów kuchennych,
- trzydzieści talerzy, szklanek, nakryć stołowych itd.,
- zapasy żarcia, ryż, frijoles itd.,
- magnetofon z kolumnami, o możliwie największej mocy. Tyle dla domu.
- Piętnaście łopat i tyleż łomów,
- trzydzieści maczet, tyle dla kopalni.
- Trzy komplety pościelowe,
- trzy materace piankowe,
- trzy poduszki,
- trzy moskitiery,

– fotel bujany. Tyle dla naszej wygody, Nicolasa, Jimmy’ego i mojej.

Oprócz tego dziesiątki mniej ważnych rzeczy. W sumie daje to kilka ton towaru. Podczas gdy zajmuje się tym Jimmy, Nicolas nagrywa jak najwięcej kaset: mam zamiar prowadzić prace przy muzyce Clash, Niny Hagen, Sex Pistols i innych grup punkowych, będzie trochę odmiany po ciągłym słuchaniu salsy.

Wciąż noszę mojego boa w kieszeni, czekając na okazję zrobienia złośliwego kawału. W hotelu śpi w skrzynce, do której włożyłem mu kilka kurczaków na obiad. Ale jego uszkodzona szczeka nie pozwala mu jeść i musi znosić dziobnięcia tych małych niedobrych ptaków. Biedny boa! Taki wstyd!

*

Któregoś wieczoru Nicolas zabiera mnie do Tubo, baru prowadzonego przez Niemca, w którym spotyka się złota młodzież San José i cudzoziemcy. Jest tu spory wybór Europejek, a to zawsze przyjemne po miesiącu spędzonym w dżungli. Można tu spotkać Curtisa, grubego Belga towarzyszącego Francuzowi, którego okantowałem. Żeby żyć, założył warsztat produkujący kartonowe podkładki pod kieliszki, z nazwą kawiarni, która je kupuje: to niezły pomysł, i właściciel baru jest jego pierwszym dużym klientem. Nie miał wiadomości o swoim kumplu.

– Zniknął, nie zostawił żadnej wiadomości. Pewnie trafił na jakiś dobry interes i chciał skorzystać sam.

Podczas wieczoru dostrzega mojego boa. Zupełnie nie okazuje strachu, zakłada go sobie na szyję i idzie epatować znajomych. Aż mi się serce ściska, kiedy widzę, jak udaje łowcę przygód z tym swoim wy-

głodem oferny.

– Sprzedaj mi go – mówi, kiedy chcę odebrać mu węża.

– Ależ skąd, tego się nie sprzedaje. Musisz sam sobie poszukać jednego w dżungli. Na to trzeba zasłużyć.

– Słuchaj, już od dawna chciałem mieć takiego, proszę cię.

– Zgoda, dwieście dolarów – mówię, śmiejąc się.

– To stanowczo za drogo. Wymień jakąś rozsądną cenę, na przykład dziesięć dolarów.

To targowanie się o grosze denerwuje mnie trochę, ale czuję, że się nie odczepi. Poza tym wąż, który pozwala się dziobać pisklętom, nie wygląda zbyt poważnie.

– Masz, daję ci go w prezencie. Postaw nam tylko kielicha.

– To bardzo ładnie z twojej strony. Wobec tego nie kielicha, ale możecie pić na mój rachunek przez całą noc. Właściciel jest mi winien trochę pieniędzy za podstawki. Zaraz go uprzedzę. Wychodzi, żeby poszpanować w innym lokalu, wyobrażam sobie, opowiada niestworzone historie o tym, jak złapał żywego węża.

Co do nas, to kiedy opuszczamy bar nad ranem, zostawiamy mu rachunek na sześćset dolarów. Nie wiem, czy dług właściciela wystarczy, żeby go pokryć, ale jest to na pewno najdroższy boa świata. Przynajmniej tym będzie mógł się chwalić mówiąc prawdę.

*

Wszystkie te zakupy dla kopalni kosztują sporo, więc żeby pokryć koszty, postanawiam sprzedać posążek znaleziony w Burrica, ale nie ludziom takim jak Chocho czy inni fałszerze, którzy bardzo źle płacą. Carlos Finca opowiadał mi o pewnym Peruwianczyku, który handluje

z gringos i dobrze płaci: nazywa się René Sacaretta i mieszka w Tibas. Kiedy wchodzę do niego, zaprowadzony tam przez Carlosa, jego jasnoniebieskie oczy i pomarszczona twarz Latynosa coś mi przypominają; on rozpoznaje mnie od razu i woła żonę:

– Mama, mama, chodź zobaczyć, kto do nas przyszedł!

Kiedy stoją obok siebie, poznają ich natychmiast. To para oszustów, których uratowałem kilka lat temu w Kolumbii. Zajmowali się wtedy przemytem szmaragdów i trochę oszukiwali; moja interwencja pozwoliła im uniknąć kuli w łeb, ale musieli wyjechać z kraju.

Witamy się serdecznie i niemniej serdecznie całujemy.

– Ostatnim razem, kiedy się widzieliśmy, nazywałeś się inaczej – mówię mu.

– Wiesz, tutaj trzeba umieć się dostosować, zmieniać z biegiem czasu. Tutaj nazywam się René Sacaretta, gdzie indziej inaczej.

– Mieszkasz w Kostaryce?

– Mniej więcej. Powiedzmy, że wybrałem sobie ten kraj na spokojną emeryturę. Mama założyła tu mały interes, a ja prowadzę różne sprawy za granicą, ale nigdy tutaj.

– Te twoje sprawy, ciągle tak samo uczciwe?

– Każdy ma swoje pojęcie uczciwości. Moje jest na tyle szerokie, żebym się w nim zmieścił.

Patrząc na tę parę starszych ludzi nigdy nie można by się domyślić, że to oszuści. Jego żona wygląda na pocziwą babcię, którą łatwiej wyobrazić sobie przy kominku robiącą na drutach niż przenoszącą broń albo kokainę w torebce. To właśnie stanowi ich siłę.

Kiedy René dowiaduje się, że wszedłem w spółkę z rodziną Caracas, aby szukać złota, ostrzega mnie:

- Uważaj, to bandyci i mordercy. Z którymi współpracujesz?
- Tino i Orlando.
- Ci są najgorsi, zwłaszcza Tino, który wygląda tak niepozornie. To wariat, był zamieszany w niejedną podejrzaną sprawę.
- Domyślam się, ale zabezpieczyłem się. To pokerowe zagranie, ale do wygrania, i można sporo zarobić.
- Być może, ale to niebezpieczne.

Przedstawiłem im Nicolasa jako syna słynnego włamywacza, który powierzył mi go celem ukończenia edukacji. Rozbawia to bardzo René i spędzamy popołudnie u nich. Ten mały człowieczek jest zadziwiająco żywy, nie może usiedzieć na miejscu, siada, chodzi, a przede wszystkim dużo mówi, ciągle zmieniając wyraz twarzy i bez przerwy gestykulując. Ma już ponad siedemdziesiąt lat i dwie życiowe pasje: małe dziewczynki i alkohol, który pije bez przerwy zagryzając ostrymi papryczkami.

– Odwiozę cię samochodem – mówi mi, kiedy wstaję, by się pożegnać. – Mama musi coś załatwić na mieście z dziećmi.

Po drodze zatrzymujemy się, żeby zabrać dwie piętnastolatki.

- To twoje córki? – pytam go. – Milutkie są.
- Niezupełnie, wytłumaczę ci. Kiedy zamierzasz wyjechać?
- Za tydzień lub dwa. Jak tylko będą gotowe dokumenty.
- Zadzwoń do ciebie wcześniej. Urządzimy sobie zabawę.

Kilka dni później Nicolas zachorowuje, na ten sam rodzaj malarii, jaki dopadł mnie na Osa. I tak nie był gruby, ale po tygodniu jest przezroczysty jak pergamin. Powinien iść do szpitala, ale zawożę go na plażę, na słońce; powraca do zdrowia w trzy dni, dzięki metodzie Juana

Carlota.

Kiedy wracamy, dwa dni przed wyjazdem na południe, zastaję w hotelu kartkę od René, który prosi o telefon.

– Zanim wyjedziesz zamknąć się w dżungli, zapraszam cię na małą specjalną zabawę, którą organizuje mama. Wpadnę po ciebie.

Zabiera mnie do domu, położonego niedaleko jego mieszkania. Dzwoni do drzwi, otwiera nam jego żona.

– Proszę – mówi – tutaj jest królestwo mamy. Mnie nie wolno wejść dalej.

Zaskakuje mnie wystrój wnętrza. Wszystko jest różowe i białe, dobrze umeblowane, i emanuje z tego spokój. Mama prowadzi mnie do pokoju bez okien, z przyciemnionymi światłami, w którym zasłony zakrywające ściany potęgują jeszcze to wrażenie spokoju.

– Często myśleliśmy o panu przez te wszystkie lata. Nareszcie będę mogła odwdziżyć się za przysługę, którą nam pan oddał. Jest pan moim gościem – mówi, otwierając drzwi w głębi pokoju.

Tu, w pokoju mniejszym, lecz o podobnym wystroju, siedzi sześć dziewcząt, z których żadna nie ma więcej, niż piętnaście lat. Nie są ubrane jak kobiety, ale jak dzieci; jedna nosi nawet szkolny mundur.

– Są kobiety, które bardzo drogo płacą w tym kraju za chwilę ukojenia, którego tutejsi mężczyźni nie potrafią im zapewnić. Wszystkie moje protegowane są sierotami z Bogoty. Zamiast żeby się prostytuowały na ulicy, staram się im zapewnić dobre wychowanie, które będzie dla nich dobrym początkiem w życiu. Jest pan jednym z nielicznych mężczyzn, którzy mają tu prawo wstępu. Niech pan wybiera.

Wybierać, cóż za rozterka! Jedna jest ładniejsza od drugiej. Widząc moje wahanie, mama bierze moją rękę i wkłada w dłoń młodzianek

dziewczynki ubranej jedynie w biały tiul.

Więcej nie powiem nic. Mogę tylko wyjaśnić, że moja towarzyszką nocy była świetnie wyposażona do życia i gotowa do wielkiej przyszłości.

*

Umowy spółki są gotowe. Idę je podpisać w biurze adwokackim Rosenberga, oczywiście najlepszym w mieście i prowadzącym sprawy rodziny Caracas; zaczyna się korowód papierków. Mają nie wiadomo ile stron, które adwokat odczytuje monotonnym głosem. Potwornie mnie to nudzi i z trudem ukrywam obojętność: nigdy nie lubiłem papierów, to broń dla słabych; dla mnie dotrzymać umowy nie znaczy dotrzymać czegoś, co jest napisane, ale dotrzymać danego słowa. W tych krajach ludzie nie szanują słowa, ale umowa pisana nie stanowi żadnej gwarancji. Moją bronią jest pozytywne nastawienie do świata.

– Kończymy to – mówię – gdzie mam podpisać?

Umieszczam swoje nazwisko u dołu mnóstwa kartek, z których jedne są bardziej bezsensowne od drugich. Jedyne, co się liczy, to, że zostałem prezesem spółki Quebrada del Frances: posiada ona najbogatszą rzekę i czterysta hektarów terenu. Reszta mało mnie obchodzi, nie mam ochoty spędzić całego życia w górach przekopując ziemię. Za rok lub dwa mam nadzieję stąd wyjechać. Jimmy, którego mianuję dyrektorem, będzie mógł zająć moje miejsce.

Tego samego wieczora w Malessie, gdzie składowany był cały sprzęt, ładujemy wszystko na ciężarówkę, stary rozklekotany gruchot, który pojedzie z trzema ludźmi; pozostali pojadą ze mną jeepem. Zwerbowałem paru facetów na mieście: są spoza półwyspu i będą tam czuć

się bardziej obco niż ja, a zatem będą wierniejsi. Jest wśród nich Chiche, długowłosy chuligan pokryty tatuażami i bliznami po bijatykach; Eduardo, młody i gwałtowny chłopak, którego życie upływa na wychodzeniu na wolność i wracaniu do więzienia; brat Jimmy’ego i jego kumpel, obaj z Guacanaste na północy kraju, poleceni przez Hermana. Jeden nazywa się Barbas, ma gębę judasza, mówi bez przerwy i jeszcze częściej pierdzi – Nicolas nadał mu przydomek Pierdziel, i tak już zostanie. Jego brat, przeciwnie, unika odzywania się; choć ma dopiero osiemnaście lat, nie został mu już z przodu ani jeden ząb. Jest nawet były śpiewak, który stracił głos. Około północy, kiedy wszystko jest załadowane i jesteśmy gotowi, wpadam do gabinetu Hermana na ostatnią kawę. Umawiamy się, że zostanę w górach trzy miesiące i wrócę na Boże Narodzenie. Będziemy się kontaktować telefonicznie.

– Zajrzę do ciebie, gdy się urządzisz – mówi Herman.

– Przyjedź za tydzień, przy okazji przyprowadzisz łódź, którą kupiłem, akurat będzie gotowa.

– Nie, dostarczę ci ją inaczej, wolę przyjechać później.

Tak, oczywiście, jak będą wygody i mniej niebezpieczeństw; przygoda owszem, ale przygotowana.

– Moja żona jest bardzo dumna mogąc opowiadać, że jestem wiceprezesem spółki wydobywającej złoto. To brzmi poważnie.

Przede wszystkim brzmi to mniej szmatławie niż powiedzieć, że siedzisz jak pajac za biurkiem, liżąc tyłek Tina i innych. Ale niech każdy robi, co umie najlepiej.

– Zanim wyjedziesz, mam dla ciebie prezent.

Kładzie na biurku tekturowe pudełko. W środku jest pięć do sześciu kilo mango-rosa.

Wiem, że dużo palisz, ale to także dla pracowników.

No z takim ładunkiem nie będziemy się nudzić. Myślę też o dwóch kilogramach halucynogennych grzybów, które Chiche i Eduardo przynieśli mi z Monte de la Cruz, dokąd posłałem ich przed paroma dniami.

– Specjalnie dla ciebie mam co innego – mówi, podając mi opakowanie wielkości dużego pudełka od zapalek.

Jest wypełnione kokainą, sto do stu pięćdziesięciu gramów; no, tu już zaczynasz mi się podobać, grubasie.

– Jest prawie czysta, doskonała. Dostawa prosto z Kolumbii, skonfiskowana przez celników.

Mały rząddek, szybko. Podróż będzie przyjemna.

– Dziękuję. No, pora jechać. Chcę przejechać przez posterunki kontrolne o świcie, kiedy gliny są zmęczone, a ja w pełni sił. Do zobaczenia za trzy miesiące.

Parę potężnych klepińców w plecy, seria uścisków dłoni, latynoskie czułości, których zazwyczaj staram się unikać, i rozstajemy się.

*

Siedzę na przedzie jeepa, Nicolas i Jimmy wymieniają się za kierownicą; pracownicy jadą z tyłu, w tłoku. Ciężarówka podąża za nami, gdzie bardzo wolno i przy podjazdach na przełęcze wielokrotnie musimy na nią czekać.

Szczególnie nieprzyjemnie przekracza się przełęcz Cerro de la Muerte, w strugach deszczu. W środku nocy zimno jest przejmujące, a jeep nie ma dachu. Kiedy dojeżdżamy, ubrani w koszule i podkoszulki, pracownicy są zsiniali z zimna. Nie skarżą się, ale entuzjazm ich, opuścił.

Kilka potężnych skrętów pomaga im przeżyć te trudne chwile. Wreszcie, o trzeciej po południu, dojeżdżamy do Sierpe.

Od kilku dni czekają na mnie White, Chita, Omar i Max. Są też inni facci szukający pracy. Niektórych zatrudniam, między innymi jakiegoś Tico, który twierdzi, że jest stolarzem, i byłego gliniarza o zdrazieckim wyglądzie.

Jest za późno, żeby jechać do Guerra; każę rozładować ciężarówkę, podczas gdy wyruszam na poszukiwanie łodzi. Jakiś gość proponuje mi swoje usługi. Wyjaśniam mu:

– Potrzebuję łodzi do przewiezienia całego tego sprzętu i ludzi aż do Guerra.

– Mam dwie łodzie z silnikami po pięćdziesiąt koni. Każda może wziąć tonę. Mogę to wszystko przewieźć w dwa dni.

– Jesteś pewien?

– Całkowicie. Biorę drogo, ale gwarantuję, że wszystko zostanie dostarczone.

– Dobrze. Bądź tu jutro rano o czwartej.

Cały sprzęt jest już wyładowany i ciężarówka odjeżdża.

– Barbas i Garret, obejmiecie pierwszą wartę. Towar nie może być bez opieki nawet przez chwilę, jasne? Przyślę wam coś do jedzenia, a druga zmiana przyjdzie o północy.

Puszczam w obieg ogromnego skręta, po czym zabieram pozostałych, żeby coś zjedli.

Moi ludzie nie znają się jeszcze i w zespole brak jedności. Po posiłku prowadzę ich do cantiny i stawiam kolejkę. Tak jak przewidywałem, po upływie pół godziny Eduardo zaczyna bić się z jakimś facetem z Sierpe. Zachęcam moich ludzi i szybko przeradza się to w ogólną bi-

jatykę: nie ma lepszego sposobu na wyrobienie w grupie solidarności; zatrzymuję jatkę, zanim będzie zbyt wiele ofiar, i płacę za szkody.

Miałem czas ich ocenić. Wszyscy mają dobre chęci, ale w większości są niezbyt mocni. To się zmieni w górach. Tymczasem mieli okazję się poznać, więc zbieram ich koło sprzętu.

– Będziecie spali tu. Dwóch ma stale czuwać, ustalimy kolejność wart.

Z lekkim zdziwieniem oglądają swoją sypialnię – wiejski placyk.

– To gdzie mamy leżeć?

– Gdzie kto chce, miejsca nie brakuje, śpijcie szybko, bo zaczynamy wcześniej rano.

Po chwili wahania kładą się na workach dookoła. Wraz z Jimmym zajmujemy dwa małe brudne pokoiki na zapleczu baru.

O czwartej, kiedy nadchodzi właściciel łodzi, wszyscy są już przebudzeni. Zmęczeni niewygodną nocą, drugą z kolei nie przespaną od początku podróży, ludzie ruszają się jak muchy w smole. Wkraczam do akcji i ryczę na cały głos: w dziesięć minut później wszystko odbywa się biegiem, ładuję im worki na plecy i faceci odchodzą dźwigając niewiarygodne ciężary; odnajdują w sobie nie znane dotąd siły. Po półgodzinie łodzie są załadowane.

– Jimmy, popłyniesz z nimi ten pierwszy raz. Ze mną zostają tylko White i Chita. Niech rozładują jak najszybciej i odeślij łodzie. Jak się uwiniecie, zdążymy jeszcze raz obrócić przed zmrokiem. Potem jedź do Rancho Quemado pomóc przy budowie, jeśli jeszcze nie skończyli. I załaduj facetów, niech zaczną wnosić rzeczy na górę!

W południe łodzie wracają, pierwsza holuje drugą. Popsuł się silnik, tylko jedna może popłynąć po raz drugi; odpływa z White'em

i pracownikiem przewoźnika, który przezornie bez słowa wysłuchał mojej awantury. Ale o siódmej wieczór łódź nie powróciła i ogarnia mnie wściekłość. Pewnie boją się płynąć w ciemności i pojawiają się dopiero rano; nie lubię takich nie przewidzianych przeszkód i mam ochotę dać komuś w mordę.

*

Rano siedzę w barze z przewoźnikiem, gdy dostrzegam moich dwóch kretyńców w łodzi Mario, sklepikarza z Guerra; wyglądają na wykończonych.

– I co, debile, co się stało? Gdzie łódź?

– Zatonęła – mówi White.

– Jak to: zatonęła?

– Wczoraj wieczorem, kiedy płynęliśmy do Guerra, silnik nagle zgasł i zalała nas fala. Zatonęła w dwie sekundy. Nie mogliśmy niczego uratować, zgubiłem nawet buty, żeby szybciej płynąć z powodu kajmanów. Noc spędziliśmy uczepieni jakiejś gałęzi. Potem zobaczyliśmy, że płynie Mario, zawołaliśmy go i wziął nas na pokład.

Wyobrażam sobie tę ich noc na drzewie pośrodku bagien, wśród tysięcy komarów i z kajmanami czekającymi na dole. Ale wybucham, muszę mieć winnego.

– Lepiej, żebyście tam zostali, kretyni! A ty, skurwielu – mówię do przewoźnika – zagwarantowałeś przewiezienie ładunku, więc teraz mi za niego zapłacisz.

– Ale ja teraz nie mam pieniędzy!

Tym gorzej dla ciebie, bałwanie. Kupię ci perukę, szpilki i minispódniczkę, i spłacisz mnie biorąc po dziesięć colonów za sztos, sukin-

synu!

– Poczekaj, może się jakoś dogadamy.

– Mam nadzieję. White, co było na łodzi?

– Całe jedzenie, silnik i prądnica.

– Dobrze, ty i Chita idźcie do Maria i powiedzcie mu, że wynajmuję jego łódź. Muszę zatelefonować i przyjdę do was.

Z pulperii, gdzie znajduje się jedyny w Sierpc telefon, dzwonię do Hermana.

– Zatonęła łódź z jedzeniem i sprzętem, jeszcze nie wiem, co będę mógł zrobić. Na razie kup nowy prowiant i przygotuj do przysłania tutaj jak najszybciej.

Szybko dyktuję mu listę.

– Ale co się stało?

– Nie mam czasu ci wytłumaczyć. Pośpiesz się z tymi zakupami. Wieczorem zadzwonię, żeby ci powiedzieć, co z silnikiem.

Odkładałam słuchawkę, żeby nie słuchać dalszego trucia.

Kiedy wracam na przystań, tego skurwiela przewoźnika już tam nie ma. Dostał pietra i wołał się zmyć. Sierpe jest małe, dopadnę go, a wtedy popamięta. Wypływamy na rzekę i szybko jesteśmy na miejscu wypadku. Chita odważnie nurkuje pierwszy, ale po piętnastu minutach bezowocnych poszukiwań chce wychodzić z wody. Żeby go zachęcić i zyskać na czasie, nurkuje i ja. Woda jest lodowata i błotnista, nic nie widać. Na głębokości czterech metrów trzeba macać muł; po godzinie odnajdujemy jedynie worek z cukrem, który oczywiście nie nadaje się już do niczego.

Wolę nie myśleć o aligatorach i wielkich żarłocznych rybach, któ-

rych pełno w tych bagnach i które pożerają wszystko na swej drodze. Wreszcie znajdujemy silnik: przy pomocy lin przycumowujemy go do burty, bo łódź jest zbyt mało stabilna, a silnik zbyt ciężki, by można było wciągnąć go na pokład. Samej zatopionej łodzi nie sposób zlokalizować, podejrzewam, że prąd wody i tak już ją przesunął, toteż wracamy do Sierpe. Telefonuję do Hermana, by natychmiast przysłał jedzenie, generator i mechanika, który oczyści silnik.

*

Cała sprawa zaczyna poważnie się paskudzić. Faceci z Rancho Quemado pewnie nie są zachwyceni, że od dwóch dni nie mają co jeść. Jak już sprawy przybierają taki obrót, nie ma powodu, żeby się na tym skończyło. Chita przedstawia mi przyjaciółkę, Marcelłę, która jest kucharką w obozie; mam jakieś przeczucie i angażuję ją. Jest sympatyczna, przyzwyczajona do życia w sercu dżungli z siedmioletnią córką i stale nosi w staniku kuchenny nóż.

Podczas gdy White i Chita poszukują przewoźnika, czekam na nich w barze i nagle ze zdumieniem widzę, jak pojawia się jakaś blondynka i podchodzi do mnie. To Sophie, Szwedka, którą poznałem podczas pobytu w San José i z którą spędziłem weekend, kiedy to zajęła się mną bardzo troskliwie. Wyjechała już do kraju i więcej o niej nie słyszałem.

– Co ty tu robisz? Nie jesteś w Europie?

– Mam urlop. Jestem w Kostaryce od dwóch dni, słyszałam, że jesteś tutaj i przyjechałam, spróbować cię odnaleźć.

Jest taka sobie, ale tutaj jej blond włosy robią wrażenie. Chwilowo sprawia mi to przyjemność, ale nie chcę wiązać sobie rąk. Mimo wszystko przyjechała z Europy specjalnie dla mnie, to zasługuje na

wspólną noc w nagrodę: pojedę z nią do Palmar, żeby mieć chociaż czyste prześcieradło.

Tymczasem wraca White:

– Znaleźliśmy przewoźnika, jest w swoim garażu, zalany w trupa.

– Dobra, nie ruszy się stamtąd do rana, ja jadę do Palmar i spotkam się tu jutro, pilnuj wszystkiego.

Sophie zajmuje się mną. Po pierwszych uniesieniach zastanawiam się, co z nią zrobić. Interesuje mnie tylko moja przygoda, i nie mam żadnej ochoty na obecność kobiety u mego boku. Ale musiała się wykosztować na tę podróż, więc muszę pójść na jakieś małe ustępstwa.

– Co zamierzasz teraz robić?

– No, zostać tu i jechać z tobą, jeśli to możliwe.

– Zgoda, na parę dni, ale słuchaj: to męska sprawa tam na górze, są tylko mężczyźni, więc nigdzie nie łaż, na nikogo nie patrz, rób to co mówię, i przebywaj tam gdzie każe. Nie chcę dodatkowych problemów, nie będę mógł ci poświęcić dużo czasu, więc pilnuj się!

Rano wracam do Sierpe: mój koleś przewoźnik czeka na mnie. Jest nadal pijany do nieprzytomności.

– Chita, White, wywalcie tego krety na zewnątrz.

Biorą delikatnie każdy za jedną nogę. Kiedy jego głowa wali o ziemię, potem o stopnie i wreszcie o kamienie na drodze, budzi się w końcu i z trudnością wstaje. Biorą go za uszy i wrzucają do łodzi.

Mechanik, który przyjechał rano, naprawił już silnik. Ładujemy go na drugą łódź wraz z nowym generatorem i resztą sprzętu. Sophie, Nicolas, Chita, White, kucharka z córką i ja wsiadamy razem z moją ofiarą: kiedy docieramy na miejsce wypadku, facet już śpi. Wrzucam go do wody.

– Teraz nurkuj i spróbuj się na coś przydać.

Nurkuje parę razy, ale bezskutecznie. Kiedy usiłuje wrócić na pokład, wałę go płazem wiosła w głowę.

– Dalej, musisz odnaleźć moje rzeczy.

Robię to bardziej ze złości niż w nadziei na odnalezienie czegokolwiek, bo prąd musiał i tak wszystko poprzesuwać. Kiedy facet, wycieńczony, z trudem już utrzymuje się na powierzchni, uznaję, że dosyć na dzisiaj, i zaciągam go za włosy do najbliższego drzewa.

– Zostaniesz tu i posmakujesz nocy na bagnach, nie mam czasu cię odwozić. Mario, zabierzesz go jutro rano po drodze!

– Nie możesz go tutaj zostawić! – protestuje Sophie, przerażona.

– Zamknij się, robię co chcę, nie zawracaj mi głowy.

Jak się jeszcze raz odezwie, to zostawię ją z tamtym ścierwem. Odplywamy i bez przeszkód docieramy do Guerra.

Pada. Dom Nizara, gdzie składujemy sprzęt, odległy jest o osiemset metrów. Łódź zatrzymuje się, gdy robi się zbyt płytko, i trzeba przejść jeszcze czterysta metrów w błocie po kolana zanim dojdzie się do twardego gruntu.

– Sprowadzimy konie do wyładunku, nie idźcie z pustymi rękoma. Każdy bierze worek ryżu albo frijoles, o wadze pięćdziesięciu kilo.

White, który nie odpoczął jeszcze po nocy na bagnach, z trudnością przedziera się przez błoto na bosaka, buty przecież zgubił, to go nauczy pilnować swoich rzeczy. Nicolas również niesie pięćdziesięciokilogramowy worek, biorąc pod uwagę jego szczupłość to pewnie tyle, ile sam waży: robi trzy kroki słaniając się, jego noga ślizga się, i wali się w błoto, w którym znika całkowicie, przygnieciony ciężarem. Kiedy wyciągam go zanosząc się od śmiechu, jest czarny od stóp do głów.

Nawet Sophie jest objuczona jak muł, idzie obok mnie, również się przewraca i leży tak w błocie, czekając nie wiadomo na co. Jej zaskoczenie rozśmiesza mnie i idę dalej; jeśli oczekuje z mojej strony szarmanckiego gestu, to jej sprawa, mam co innego do roboty.

Za pomocą koni rozładunek idzie sprawniej. Wyjątkiem jest silnik: to świństwo waży około dwustu kilo i musimy przewozić je przez błoto w czymś w rodzaju drewnianej taczki; pokonanie ośmiuset metrów zajmuje nam ponad godzinę i wyobrażam sobie, co to będzie w górach. Nizara nie ma, ale wszystkie jego grube córki są na miejscu, jeszcze bardziej tłuste niż ostatnim razem, o ile to w ogóle możliwe.

– Na górze nie ma kucharki?

– Nie, tata nie chciał żebyśmy tam szły od razu. Powiedział, żeby zaczekać, aż konie odpoczną. Ma wrócić po nas jutro.

Fakt, że trudno wyobrazić sobie, żeby te grube krowy dostały się tam piechotą. Nie mówię nic, ale myślę, że miałem nosa zatrudniając Marcelle.

Cały sprzęt jest złożony w chacie koło domu, pod opieką Miguela. Niewiele rzeczy wniesiono na górę.

– Senora, co to ma znaczyć? Niczego nie zabrali?

– Tylko trochę, prawie nic.

– A Jimmy nic im nie mówił?

– Mam wrażenie, że nie miał posłuchu, kpili sobie z niego.

Do cholery, co ten kretyń sobie myśli! Czuję do niego sympatię, ale przez niego wszystko się rozleci. Pilno mi być już na górze. Jemy coś, po czym urządzamy się na noc w budynku szkolnym. Przez cały wieczór Chita wygłupia się i skacze jak najęty. Starczy mu nawet odwagi, żeby dowalać się do jednej z wielkich panienek, która strzela go

w mordę. Przynosi mi kawę za kawą i wymyśla potworne kłamstwa, które rozśmieszają wszystkich. Facet zupełnie zwariował, ale jest niewiarygodnie żywotny. Kładzie się dopiero, kiedy nie ma już ani jednego słuchacza; już po ciemku słyszę jak jeszcze nawija.

O trzeciej nad ranem pobudka. Zarekwirowałem oba konie Nizara. Chita ładuje na nie, ile wlezie, ku wielkiemu niezadowoleniu żony gospodarza, która chciałaby je oszczędzać. Nie daje za wygraną:

– Ja mam dwie nogi i niosę pięćdziesiąt kilo, one mają cztery nogi, więc mogą chyba nieść sto pięćdziesiąt. No, jazda! W drogę!

I odchodzi, popędzając przed sobą konie, z wielkim plecakiem na ramionach.

– Senora, przyślę tu ludzi po sprzęt, to zajmie kilka dni. Proszę ich karmić i wszystko zapisywać, później zapłacę.

Każdy z nas coś niesie. Miguel, szesnastoletni Indianin, ma tępy wygląd, ale to prawdziwy siłacz: chwytą pięćdziesięciokilowy worek ryżu i wrzuca go sobie na plecy bez widocznego wysiłku. Każdemu z pozostałych ładuję rzeczy, aż powie stop, po czym dokładam jeszcze parę kilo na wypadek, gdyby chcieli leniuchować. Z Miguelem jest inaczej: bierze wszystko, worek ryżu, dziesięciokilogramowy łom i piętnaście kilo cukru przewieszone przez ramię, kiedy uznaję, że wystarczy.

– Może być?

– W porządku.

I wyrusza w trzygodzinną wspinaczkę w błocie i w deszczu. Nicolas niesie na ramionach córkę Marcelli. Kiedy ruszamy, pojawiają się z góry Barbas Pierdziel i śpiewak. Są zadowoleni, że mnie widzą.

– Najwyższy czas, żebyś przyszedł – mówi Barbas. – Zeszliśmy zo-

baczyć, czy da się coś kupić do jedzenia. Na górze nie ma wiele, jemy wszystko na zimno i dom nie jest gotowy. Nikt nie wie, co ma robić, i jest ogólny bałagan.

On już ma ochotę odejść.

– Chcesz odejść?

– Nie, teraz jak już jesteś, zostaję.

Dwa dni opóźnienia wystarczyły, żeby wszystko zaczęło się sypać.

– Dobra, wezmę to wszystko w garść. Bierzcie ładunek. Idziemy na górę.

Skoro już przyszli, niech nie idą z pustymi rękami. Górską ścieżkę zamieniła się w bagno jeszcze uciążliwsze, niż poprzednim razem.

– Od miesiąca nie przestaje padać – lamentuje Barbas. – Takie błoto jest aż do końca.

Po drodze spotykamy schodzącego Nizara.

– Co to ma znaczyć? Dlaczego dom nie jest gotowy?

Były kłopoty z Barbaroją i niektórzy pracownicy odeszli, bo się ba-
li. Ten sukinsyn nie pozwalał przystąpić do budowy. Przyszedł zaraz po naszym przybyciu.

– Więc gdzie są wszyscy?

– Jimmy ulokował ludzi w małym opuszczonym rancho o dwadzie-
ścia minut drogi od Barbaroi. Tam na ciebie czekają.

Wyobrażam sobie ten burdel. Jimmy jest uczynny i miły, ale nie ma zadatków na szefa. Powinien był przynajmniej kazać wnieść sprzęt za-
miast pozwolić na beczynność.

– Zaangażowałaś nową kucharkę? – niepokoi się Nizaro.

– Tak.

– A moje córki?

– Twoje córki powinny już od dawna być na górze. Gdybyśmy na nie liczyli, ciekawe, co byśmy jedli. Ale jak będziesz wracał, przyprowadź je, przydadzą się.

Kiedy docieramy, nic nie jest gotowe, nikt nie pracuje, ludzie porozłazili się po okolicy. Jimmy uśmiecha się z ulgą na mój widok. Nie mogę mieć do biedaka pretensji, całe życie był służącym i nie umie podejmować decyzji, pewnie rozmarzył się, kiedy powierzyłem mu dowództwo na parę dni.

– Przykro mi, Juan Carlos. Miałem kłopoty.

Klepię go przyjaźnie po ramieniu.

– Nie bój się, rozumiem, teraz się odpręż. Najpierw zajmujemy się jedzeniem.

Szukam wzrokiem kucharki, jest już w domu i przygotowuje ryż, pomaga jej Chita, który rąbie drzewo.

Rancho jest paskudne, od dawna opuszczone, kilku facetów drzemie na ziemi. Strzelam w powietrze, żeby ich obudzić i zwołać wszystkich.

– Wstawać: wyglądajcie po ludzku, jesteście tutaj w domu.

Są zadowoleni widząc mnie i wkrótce wszyscy zbierają się dookoła. Trzeba ich rozruszać, otwieram butelkę guarro: dziesięć minut później atmosfera robi się swobodniejsza i zaczynają żartować między sobą. Biorę Sophie za rękę.

– Wszyscy zostają tutaj, idę się umyć.

Wyglądają, jakby nie zrozumieli, więc dodaję:

– Idę przerznąć tę panią, pierwszy, który się pokaże, dostanie kulę.

Idziemy w kierunku lasu wśród wybuchów śmiechu. Sophie, która

słabo mówi po hiszpańsku, nic nie rozumiała i drepce u mego boku. Trochę wody, trochę mydła, szybki numerek i czuje się lepiej. Kiedy wracam, stoją wszyscy oparci o balustradę, dwudziestu pięciu facetów patrzących na mnie z uśmiechem.

Jedzenie jest gotowe i humory poprawiają się ostatecznie. Przynieśliśmy magnetofon i włączam go na cały regulator: pięćdziesiąt watów muzyki punk rozbrzmiewa w środku dżungli. Nawet mały zamilkły, zapewne po raz pierwszy słyszą muzykę, i to jaką muzykę: przez cały wieczór Nina Hagen, Sex Pistols, Clash i Rolling Stonesi wyją po lecie, słysząc to chyba w promieniu paru kilometrów. Moi ludzie są zdrowo naćpani i mocno podpici, wszyscy czują się jak w nocnym lokalu, śmieją się i wygłupiają. Chita udaje kłowna: kiedy naśladuje ekwilibrystę na parapecie okna, popycham go nogą i spada dwa metry niżej w kałużę, wśród chóralnego śmiechu. Po chwili wraca przez drzwi, cały utyłany w błocie, i kontynuuje swoje występy. Po długich dniach pełnych napięcia faceci doceniają zabawę i wygłupiają się jak dzieci. Powoli padają jeden za drugim, odurzeni trawką i alkoholem, niektórzy zasnęli przy stole wśród butelek: dobrze zrobili, bo zanoszą się na ciężkie jutro.

Zaledwie położyłem się i przykryłem kocem, czuję, jak po całym ciele łążą mi jakieś stworzenia. Zapalam świeczkę i to, co widzę, przypomina koszmar: dom przeżywa najazd karaluchów, milionów karaluchów, wyłazą z każdej dziury, z każdej szpary w podłodze. Po zachodzie słońca całymi legionami ruszyły do ataku na wszystko, co jadalne, ściany są dosłownie zakryte ruchomą warstwą owadów: to karaluchy latające, bardzo żarłoczne, które oblażą wszystko i gryzą ludzi we śnie. Początkowo przestraszyło je światło, ale wkrótce nabierają odwagi i rzucają się na świeczki, podgryzają je u podstawy, a kiedy świeca się wywraca, zostaje pokryta lasem czułek i zeżarta w parę minut, zo-

staje tylko knot. W kuchni jest jeszcze gorzej, worki z ryżem i cukrem są pokryte ruchomą masą karaluchów, które starają się dostać do środka, tworzy to prawdziwy żywy chodnik, który rozgniatam butami. Talerze i menażki są całkowicie oczyszczone przez tysiące tych stworzeń, które ściągnęły na ucztę. Dla dopełnienia obrazu – długie kolumny owadów łązą po ciałach śpiących ludzi. Pozostaje dla mnie tajemnicą, w jaki sposób mogą w ogóle jeszcze spać: widzę ciało Chity, całe w czerwonych ćetkach od ukąszeń.

Jimmy zrobił niezłe głupstwo wybierając to miejsce, a wiedząc, co się tutaj dzieje, nigdy nie powinien był pozwolić na przechowywanie tu żywności. Nie chcę spać w takich warunkach, a na zewnątrz błoto i deszcz, żadnego miejsca, gdzie można by się schronić. Całą noc spędzam na rozmowach z Nicolas. Sophie, która boi się owadów, zaczyna ją niezłe podobać się te wakacje.

O czwartej rano budzę wszystkich łagodnie, strzelając z pistoletu; nim zdążą się ubrać, kawa i gorący ryż są gotowe. Wydałem polecenie, by nie oszczędzać na jedzeniu.

– Za każdym razem musi coś zostać na talerzu. Nikt nie odejdzie od stołu głodny.

Podczas gdy jedzą, rozplanowuję dzień.

– Jimmy, pójdziesz do Guerra z dziesiątką facetów i przyniesiecie sprzęt. Jesteś odpowiedzialny za całą grupę, nie chcę widzieć nikogo wracającego z ładunkiem mniejszym niż dwadzieścia kilo na plecach. Gdyby były problemy, gdyby ktoś nie chciał słuchać, powiesz mi, zajmę się tym osobiście. Weźmiesz Miguela, Wilsona, Eduarda, Barbasa, Chiche i Jeremiaha, postaraj się nie tracić czasu. W pierwszej kolejności bierzcie kilofy i łopaty, resztę jedzenia, a także moje rzeczy, materace, prześcieradła, poduszki... Weźcie też baterie do magnetofonu i cały

sprzęt kuchenny. Zjecie u Nizara i natychmiast z powrotem! Wszyscy skończyli kawę? No to w drogę i nie traćcie czasu!

Jest ciemno i pada; niezupełnie jeszcze przebudzeni, chroniąc się pod plastikowymi płachtami, zabierają się do odejścia, kiedy przywołują ich z butelką guarro w rękę.

– Widzę, że trzeba wam dodać odwagi. Bierzcie kubki. Wszyscy rozbiegają się, żeby znaleźć czystą szklanę, i ustawiają się przede mną w ogonku. Każdemu nalewam solidną porcję, po czym znikają w lesie z pieśnią na ustach. Wracam do pozostałych.

– White i Garret, będziecie pomagać Marcelli. Trzeba wszystko wyjąć z domu i oczyścić z karaluchów. Róbcie to dokładnie, każdą rzecz z osobna. Wszystko przeniesiemy do obozu, ale nie można zabrać ani jednego z tych cholewnych owadów. Jak tylko skończycie, weźmiecie konie i zaczniecie przeprowadzkę. Jedzenie przykryjcie plastikowymi płachtami, żeby nie zamokło. Wszyscy pozostali idą na rancho, zaraz do was dołączę. To musi być zrobione dokładnie: wystarczy jedna para karaluchów i wszystko trzeba zaczynać od początku.

– Juan Carlos, co mam zrobić z osobistymi rzeczami pracowników, tam mogą być jajeczka? – pyta Marcella.

– Włóż to wszystko w koc i wrzuć do wody na cały dzień, to je zabije.

Rozbawia ją to, ale wiem że polecenie wykona.

*

Kiedy przybywam na rancho, zdaję sobie sprawę z nieporadności Nizara. Rusztowanie domu już stoi, ale to wszystko. Gotowe deski do wykonania ścian leżą na kupie z jednej strony, belki stropowe zostały

zamocowane, ale nie ma na czym kłaść liści, które tworzyć będą dach. Są to specjalne długie liście, zwane suitas, które zapewniają doskonałą szczelność, jeśli w odpowiedni sposób zamocuje się je do drewnianych deseczek łączących belki stropu. Liści tych potrzeba ogromne ilości: dom ma dziesięć metrów na dziesięć, a dach obramowany jest czterema belkami złączonymi na końcach; tworzy to sporą powierzchnię do pokrycia. Parę worków już zebrano, leżą czekając, aż ktoś je wykorzysta.

– Omar, Daniel i Max, zaczynajcie kłaść dach! Pozostali idą zbierać liście. Chita, pilnuj, żeby nie napełniano jednego worka godzinami i żeby każdy był dobrze wypchany. Uwaga na węże, przynieście skórę ładniejszych okazów.

Ważę w rękę każdy worek: jeśli jest zbyt lekki albo jeśli napełnienie go zajęło zbyt wiele czasu, facet otrzymuje opieprz i biegiem wraca do roboty. Muszą chodzić coraz dalej po te liście i wracają z coraz większymi worami; pod koniec powłóczą nogami, wycieńczeni ciężarem i długą drogą.

Budowa dachu postępuje powoli. Kazałem zacząć od miejsca, gdzie zamierzam urządzić swój pokój, bo mam ochotę spędzić wygodną noc, nie codziennie ma się w dżungli do dyspozycji blondynkę. Nie toleruję więc bezczynności pracowników.

– Carlos, co ty wyprawiasz. Opalasz się?

– Nie mam już liści.

– No to co, jest kupa innych rzeczy do zrobienia, pomóż trochę stolarzowi. A ten kretyn co robi?

Dostrzegam stolarza, który klei coś w kącie z dwóch desek.

– Co ty tam robisz?

– Łóżko.

- Dla kogo?
- Dla siebie.
- Zwariowałaś? Co ty sobie wyobrażasz? Może zrobisz sobie jeszcze koc na drutach, co?

Daję mu po łbie, tak że ląduje w rogu mojego przyszłego pokoju.

- Nie zauważyłeś, że jestem tu z kobietą? O czym myślisz, egoisto jeden? Masz tu do zbudowania z desek cztery ściany, a potem mi zbudujesz łóżko, duże łóżko na dwie osoby, i taboret. Potem zrobisz pale-nisko w kuchni i półki na jedzenie. Jak skończysz, zrobisz stół i ławki. Pośpiesz się, już kawałek dnia minął, możesz sobie kogoś wziąć do pomocy, ale wszystko ma być ukończone do wieczora.

Zwracam się do Carlosa:

- Przestań udawać ptaka, złaż z gałęzi i chodź trochę pomóc.

Carlos jest muzykiem i dawniej grał salsę. Alkohol i papierosy zniszczyły mu głos. Daje sobie jeszcze nieźle radę i każda okazja jest dobra, żeby trochę powrzeszczeć. Ale nasz słowik jest leniwy i razem ze stolarzem zawsze starają się wykręcić od roboty, dobrali się doskonale, wolę ich mieć na oku. Biorą parę desek i oddalają się.

- Zostańcie tu przy mnie, będę mógł wam doradzać.
- Ale tu jest wygodniej! – odpowiada Carlos.
- Tu jest jeszcze lepiej. Lubię cię i nie chcę, żebyś mi się zgubił. Cała scenka nas umknęła uwagi pozostałych i wszyscy kpią teraz z obu ptaszków. Ktoś wykrzykuje:

- Trzeba mu obciąć ogon, żeby nie odfrunął.

Deszcz pada bez przerwy i całe wnętrze rancho, rozdeptane ciągłym chodzeniem, stanowi teraz obszerne bajoro. Mała Sophie, która niezupełnie rozumie, co się z nią dzieje odkąd opuściliśmy Guerra, ciągle pęta się koło mnie. Nie podoba mi się, że nie ma co robić.

– Nie powinnaś tak łązić, to demoralizuje ludzi. Zrób coś pożytecznego.

Rzucam jej zwój materiału, żeby zrobiła parę moskitier.

Ma nadąsaną minę, ale trudno, mam ją gdzieś! Chyba że chodzi o mały numerek, to zawsze chętnie, bo też Sophie wygląda całkiem milutko w swoich pięknych białych dżinsach utyłanych w błocie, i z włosami zlepionymi przez deszcz pośrodku twarzy. Od czasu do czasu przerywam pracę i biorę ją za rękę:

– Chodź, malutka, obejrzymy kwiatki.

Wszyscy szybko zrozumieli, w czym rzecz, i korzystają z mojej nieobecności, żeby zwolnić tempo; kiedy wracam z moim towarem, za każdym razem trochę bardziej ubłoconym, wrzeszczę na towarzystwo, które w mig zaczyna uwijać się jak w ukropie. Niechże skończą wreszcie ten mój pokój! Spodnie mam już strasznie brudne na kolanach.

*

Kiedy White i Garret kończą swoje wędrówki między domem karaluchów a ranchem, każę im natychmiast brać się za budowę tymczasowego dachu nad częścią kuchni. Wszyscy pracują.

O trzeciej po południu nadchodzi zespół, który wyruszył po sprzęt. Jimmy nie żałował im ładunku, i wszyscy są wykończeni i ubloceni od stóp do głów. Niektórzy chcieliby się przebrać, ale stan, w jakim znajdują swoje rzeczy, nie pozwala im na to. Moja metoda walki z ka-

raluchami nie wszystkim się podoba.

Tak czy inaczej, dzień się jeszcze nie skończył. Chcecie spać dziś w nocy pod dachem?

– No tak.

– Więc wszyscy na dach.

Jest ich dwudziestu pięciu siedzących na belkach wśród podmuchów wiatru; ładnie to wygląda, jak choinka na Boże Narodzenie.

Mija pół godziny i słychać krzyk. Garret spada, obija się o belki i ląduje sześć metrów niżej. Na szczęście to Murzyn, ma mocną głowę. Zapada cisza, po czym wszyscy wybuchają śmiechem. Nie zrobił sobie zbytnej krzywdy, tylko twarz ma rozciętą od czoła po podbródek. Nie mam apteczki, nawet plastra.

– Chcesz, żebym cię zszył? Mam igły.

– Nie, nie – broni się przestraszony.

– Ma ktoś pomysł?

– Znam jeden sposób – mówi Chita. – Trzeba zrobić okład z popiołu, oliwy i cytryny.

Zdziwiłbym się, gdyby ten baran powiedział coś mądrego, ale w końcu, kto wie, może to działa. Podczas gdy Chita stosuje swoje lekarstwo, Garret wyje pod okładem z kwasu cytrynowego. Ogarnia mnie współczucie:

– Masz, wypij szklanekę guarro, to dezynfekuje. Lepiej teraz?

– Tak, tak – odpowiada, pragnąc tylko jednego: uciec od naszej opieki.

– Tym lepiej. Więc włącz z powrotem i uważaj, gdzie stawiasz nogę, mógłbyś sobie zrobić coś złego.

Mój pokój jest wreszcie zakryty, i każę jeszcze pokryć pas dachu na szerokości metra z drugiej strony, żeby mieli dla siebie suchy kąt.

Zapada noc i trzeba będzie kończyć pracę, niestety! Inny facet, Omar, również spada, na szczęście kończy się na strachu.

– No dobra, na dzisiaj dosyć, wszyscy na dół. Przenieście stół pod dach, zjemy coś.

*

Zapaliłem świece, wyciągam skręty i trochę alkoholu, robi się wesoło. Głównym obiektem żartów jest Garret, którego głowa spuchła jak balon. Proponuję mu coraz wymyślniejsze lekarstwa, od okładów z kurzego gówna po wypalanie gorącym żelazem. Magnetofon nastawiony jest na maksimum i wśród śmiechów ludzie zapominają o zmęczeniu. Ale ja myślę o jutrze i szybko posyłam ich do łóżka: nie jest to ściśle określenie, bo za łóżko każdemu służą torby plastikowe, kawałki desek i liście, mające chronić przed błotem i deszczem. Faceci leżą, a raczej upychają się, pod wąskim pasmem dachu, na stole i pod stołem oraz na ławkach.

W moim pokoju oczekuje mnie zgoła inny widok. Deski położone na ziemi pokrywają błoto; pośrodku pokoju króluje moje łóżko przykryte moskitierą i białym prześcieradłem. Z każdej strony rolę świeczników spełniają łomy gómicze wbite w ziemię, na których umocowane są świece nadające całości romantyczny wygląd. I wreszcie na łóżku siedzi odpoczynek wojownika, ubrany w same tylko majteczki z białej bawełny. Widok ten, zwłaszcza gdy przypominam sobie moich ludzi uwalonych w błocie, potęguję moją żądzę: robię głośniejszą muzykę, żeby nie było słychać odgłosów naszych miłosnych zmagania, i Rolling Stonesi towarzyszą mi przez całą noc w moich fantastycznych przeżyciach.

Kokaina i wysiłek przyprowadzają mnie o bezsenność; siłą rzeczy Sophie również nie śpi: kiedy wyciągam ją z łóżka o czwartej rano, tak jak wszystkich, jest już niepodobna do niczego.

*

Nie ona jedna zresztą. Wstający faceci mają dziwne miny, ich włosy przylepione błotem do twarzy są przemoczone, wyglądają na nie wyspanych. Rana Garreta przez noc zaogniła się i jego twarz wygląda teraz jak kamawałowa maska. Swoim zwyczajem Chita znów zaczyna się wygłupiać.

Zziębnięci tłoczą się wokół stołu w milczeniu. Pytam:

– Źle spaliście?

– Przede wszystkim było zimno.

– U mnie w porządku, mam ogrzewanie – mówi Barbas wypuszczając donośne pierdnięcie.

– Przestań zachowywać się jak świnia, bo ci wsadzę korek. Dobra, wiem, że było ciężko, ale musimy pracować dalej. Jeśli chcecie mieć minimum wygod, trzeba przyspieszyć tempo, za dwa dni będziecie spać na suchym. Na razie macie tu na rozgrzewkę.

Puszczam w obieg butelkę guarro. Rozgrzani płynem, który pali im kiszkę, moi ludzie rozluźniają się trochę.

– Dobra, dzisiaj oprócz Omara, Daniela i Garreta robimy co innego. Kto chce iść do Guerra po sprzęt?

Zgłaszają się wszyscy. Zapewne na dole odpoczywają, korzystając z tego, że nie siedzę im na karku.

Wszyscy ci, którzy wczoraj siedzieli na dachu, idą na dół. Ale dzisiaj obróćcie dwa razy; jeśli wyruszycie od razu, możecie być z powro-

tem przed dwunastą i zdążycie obrócić drugi raz przed zmrokiem. Nie marudźcie po drodze, bo musicie zejść dwa razy niezależnie od pory. Jimmy, w pierwszej kolejności wniesiecie rury, żeby doprowadzić wodę do kuchni.

– Co takiego? przecież ich jest mnóstwo!

– Weźcie konie, nie obciążajcie ich zbyt i przywiążcie im rury do ogonów. Wnieście canoa i całą resztę sprzętu do pracy w rzece. Na dole zjedzcie placki i natychmiast wracajcie.

Ledwie przełknęli kawę, znikają w ciemnościach.

– Stolarz, dzisiaj masz zrobić trochę więcej niż wczoraj, nie chcę cię widzieć bez roboty. Masz do zrobienia pięć zwykłych łóżek i szesnaście piętrowych. Dokończ ściany, damy ci plany do zrobienia drzwi. Postaraj się też zakończyć wyposażenie kuchni.

Pół godziny później wszyscy uwijają się przy robocie i pokrzepia mnie to. Ale kogoś brakuje, nie ma mojej małej blond kurewki. Znajduję ją śpiącą w łóżku – do którego wróciła po śniadaniu, brutalnie ciągnę ją za nogi.

– Co ty tu robisz?

– Odpoczywam, zmęczona jestem.

– Nie ma mowy, nikt nie śpi podczas godzin pracy. Jazda, wstawaj.

– Ale jest czwarta rano! W domu o tej porze mam zwyczaj spać.

– Ale tu nie jesteś w swoim domu, jesteś w moim i ma być jak mówię. Jak ci się nie podoba, zabieraj rzeczy i wynoś się. Natrulaś mi o równości kobiet i mężczyzn, więc teraz nie narzekaj. Umiesz szyć?

– Tak, trochę.

– No to włącz na dach i zszywaj liście tak jak wszyscy.

Powoli dom nabiera kształtów. Marcella zrobiła już niezły porządek w kuchni, choć nadal chodzi w wodzie po kostki i nie ma jeszcze ani ścian, ani dachu. W miarę jak stolarz zamocowuje deski, dziewczyna wbija w nie gwoździe i zawiesza swoje naczynia, w czym pomaga jej córka.

– Senora, moi ludzie nie są dobrze wychowani, proszę uważać na córkę, żeby nie było kłopotów.

– Niech się pan nie obawia, Don Juan Carlos, nie boję się tych świń. Zawsze mani pod ręką coś do obrony – mówi z szerokim uśmiechem i wskazuje na kuchenny nóż wbity w drewno.

– Fakt, ale nie byłoby też dobrze gdyby poobcinała pani jaja tym wszystkim kretynom; proszę trzymać swoją córkę stale przy sobie, odpowiada pani za nią. Zresztą zabronię wszystkim wstępu do kuchni.

Jeden z moich pracowników, Innocente, to człowiek z półwyspu i przyszedł tu razem z synem, Manolito, dziesięcioletnim szczeniakiem, dzikim, bez wychowania, specjalistą od kradzieży. Manolito nosi manierkę z alkoholem, uwiązałem mu do szyi kubek, i chodzi za mną wszędzie. Od czasu do czasu posyłam go na dach, żeby trochę pokrzepił ludzi: bawi go to, a jednocześnie jest dumny, że na niego czekają. Donosi mi nawet na tych, którzy jego zdaniem nie pracują dostatecznie pilnie, bo lubi słuchać, jak na nich wrzeszczę.

Kiedy zespół transportujący sprzęt wraca z Guerra, budowa dachu jest już mocno zaawansowana i ściany pną z wolna do góry. Szybki posiłek, łyk denaturatu i wszyscy wracają do pracy.

– Ależ Juan Carlos, nie zdążymy wrócić przed zmrokiem – mówi Jimmy.

– To nie moja wina, ostrzegałem was, trzeba było się nie grzebać po

drodze.

– Ale konie nie chcą szybciej iść!

– To je nieście.

*

Popołudnie upływa w podobnym tempie. Chodzę od jednego do drugiego bez słowa, nie potrzebuję już krzyczeć: wystarczy, że spojrzę na któregoś, by natychmiast przyśpieszył pracę. Od czasu do czasu posyłam Monolita z kubkiem alkoholu do faceta, który na to zasługuje.

Moja kurewka siedzi sama w kącie i pracuje w milczeniu, zresztą całkiem nieźle. Widząc jej drobne, wątłe ciało na rusztowaniu, czuję wyrzuty sumienia i postanawiam poświęcić jej trochę uwagi.

– Malutka, chodź chwilkę odpocząć.

Szybko schodzi z dachu, popycham ją łagodnie w kierunku sypialni, a po trzech minutach wraca z powrotem na górę. Praca przede wszystkim.

Noc już zapadła i wszyscy pracują mechanicznie, z rozpędu. Pozwoliłbym im nawet kontynuować, ale nie mogę ich pilnować po ciemku, niektórzy korzystają z tego i śpią.

Dziś wieczór nie ma zabawy, zresztą i tak wszyscy są zbyt zmęczeni. Jedzą szybko, w milczeniu, nawet solówki na trąbkę Barbasa straciły na energii. Ustawiają siedem łóżek, które zostały ukończone w ciągu dnia.

– Kładźcie się, korzystajcie z łóżek zanim przyjdą pozostali, bo potem może być ciasno.

Wspomagany porcją kokainy nie mam ochoty na sen i spędzam czas na rozmowie z Nicolasem, który ustawił sobie łóżko na stronie.

Około dziewiątej nadchodzi zespół moich strażaków, ciągnąc za sobą setki metrów rur. Są wycieńczeni, ledwo powłóczą nogami, nawet konie wyglądają na zmęczone. Zaledwie kończy się wyładunek, jeden z ludzi pada na ziemię i nie jest w stanie się ruszać. Nikt nic nie mówi, jak banda duchów. Nie są głodni i myślą tylko o położeniu się spać, niektórzy nie mają nawet siły na zdjęcie butów i padają na łóżko w ubłoconych i przemoczonych ubraniach. Po krótkiej kłótni o lepsze miejsce na łóżkach zapada cisza.

Nadszedł czas, bym wrócił do mojej Dulcynei. Okazuje się, że bezczelnie wykorzystwała moją nieobecność, by zasnąć, więc budzę ją brutalnie kilkoma delikatnymi dotknięciami. Nie chcę, by jej krzyki obudziły ludzi i dały im do myślenia, są już bez tego wystarczająco zmęczeni; nastawiam więc magnetofon, tak jest o wiele weselej. Nasze zabawy nie pozwalają dziewczynie zasnąć aż do czwartej. A jest to pora wstawania. Tu bowiem o czwartej wschodzi słońce, zmrok zapada o osiemnastej, nie ma mowy o rannym leniuchowaniu. Wszyscy mają błędny wzrok, nawet alkohol nie wyrzywa ich z odrętwienia.

– Panowie, dziś wieczór będzie zabawa. Jak tylko ukończymy dach zarządzam odpoczynek. Niech zespół idący do Guerra się pośpieszy, dziś obracamy tylko raz. Ale im wcześniej wróciecie, tym wcześniej będziecie mogli pomóc przy wykończeniu dachu. A potem fiesta!

Dla Latynosów to magiczne słowo. Sama myśl o tym działa jak smagniecie biczem, i do Guerra wyruszają prawie biegiem.

Sophie nie pojawiła się na śniadaniu i zastanawiam się, czy nie pójść do niej. Ale przypominam sobie nagle powiedzenie mojej matki: „Kto chce daleko zajechać, musi oszczędzać siły”. Więc wyjątkowo pozwalam jej pospać.

Około dziesiątej przychodzi do mnie Raphael, jeden z pracowników

Barbaroi. Zupełnie już zapomniałem, że ten facet istnieje, choć jego dom jest położony zaledwie o pięćdziesiąt metrów stąd.

– Czego chcesz?

– Chciałem zapytać, czy nie miałbyś pracy dla mnie?

– Nie pracujesz już u Barbaroi?

– Na razie tylko pilnuję domu w czasie jego nieobecności.

– Wiesz dokąd poszedł?

– Nie mówił mi, ale chyba po gliny. Był wściekły.

– Niech się odpieprzy. A ciebie mogę przyjąć.

– Jeśli nie masz dość desek, to u niego jest cały skład. Możesz je wziąć, tylko daj mi coś za to.

Trochę się waham, ale w końcu to ten kretyn Barbaroja zaczął. Wołam stolarza.

– Idź z Raphaelem po drewno do Barbaroi. Weź tylko to, co potrzebne, podasz mi potem ilość.

Gdyby przypadkiem Barbaroja zmienił humor, zawsze mogę mu za drewno zapłacić. Oczywiście, jeśli będzie grzeczny.

Chita i Cunado doprowadzili według moich wskazówek bieżącą wodę. Dosyć wysoko w quebrada ustawiamy beczkę, która spełnia rolę zbiornika tworząc naturalną zaporę. W dnie wywiercone są otwory, z których wychodzi pięćset metrów rur przeprowadzonych aż do domu. Korzystam z tego i instaluję koło kuchni prysznic.

Kiedy około drugiej wraca zespół z Guerra, do zakończenia dachu brakuje już tylko paru metrów kwadratowych. To może poczekać, tym bardziej że po raz pierwszy od czterech dni przestało padać i nieśmiałe promienie słońca próbują przedrzeć się przez chmury.

– Dobra, przerwijcie robotę, wystarczy na dzisiaj. Korzystajcie ze słońca, żeby się umyć i wysuszyć rzeczy.

Od trzech dni nie myli się i spali w przemoczonych, ubłoconych ubraniach: wszyscy zaczynają już cuchnąć stęchlizną.

*

Zachęceni kopniakami w dupę stolarz i jego pomocnik czynią cuda. Wszystkie ściany są już ukończone i jeśli pominąć błotniste klepisko, dom nareszcie zaczyna wyglądać porządnie. Podzielony jest na trzy części o powierzchni trzy metry na dziesięć. Pośrodku znajduje się główne pomieszczenie, służące jako jadalnia i świetlica, otwarte z dwu stron. Po prawej znajduje się sypialnia pracowników i kuchnia; po lewej pokój kucharek oraz pokoje Jimmy’ego, Nizara i mój.

Kiedy siadają wszyscy do stołu, są czyści i różowi, mają na sobie ubrania, których nie zdążyli jeszcze zabrudzić. Posłałem Gabina, małego urwisa, którego rodzina mieszka o dwie godziny drogi od obozowiska, żeby kupił w domu prosiaka. Teraz zwierzę właśnie się piecze.

– Chłopaki, dobrze pracowaliście. W trzy dni prawie ukończyliśmy dom. Dziś wieczór każdy będzie miał swoje łóżko. Ale pamiętajcie, że jesteście tutaj u mnie. Trzeba będzie przestrzegać pewnych reguł. W świetlicy nie chcę widzieć żadnych walających się rzeczy. Starajcie się utrzymać sypialnię w czystości, nie róbcie z niej chlewa. W kuchni nie chcę widzieć nikogo, oprócz senory i Chity: jak kogoś tam zastanę, to na długo popamięta. Nie macie też nic do roboty w lewej części domu, a wstęp do mojego pokoju jest kategorycznie zabroniony wszystkim oprócz Marcelli. Gdybym kogoś tam przyłapał, to nie będzie nic pamiętał, bo zabiję go na miejscu. Nie będę tego powtarzał, więc weźcie sobie to do serca. A teraz życzę wszystkim smacznego.

Marcella przynosi pieczone mięso, trzydzieści kilo pieczeni łąduje na stole. Faceci są w pierwszej chwili zaskoczeni taką obfitością, po czym rzucają się na jedzenie. Postawiłem dziesięciolitrową butlę guarro kubki nie pozostają długo puste. Alkohol i ogromne skręty, krążące wokół stołu, szybko uderzają do głowy i to co było początkowo rodzinnym obiadem przeradza się w sceny ze spelunki: na wyścigi wrzeszczą i opowiadają idiotyzmy. Rozdałem karty, ale są zbyt pijani, żeby grać, i szybko rzucają sobie nimi w twarz. Niektórzy zaczynają tańczyć ze sobą, a raczej zataczać się parami. Eduardo chrapie na podłodze, a inni deptają po nim bez litości.

– Brakuje kobiet! – wrzeszczy Cunado.

– Leć do koni – odpowiada Barbas.

W chwilę później Chita, ubrany w fartuch Marcelli, skacze na stół i zaczyna taniec brzucha wśród oklasków i gwizdów; nie zdjął butów i podciągnął spodnie, ukazując grube włochate łydki. Zaczyna strip-tease, kiedy tępy góral Gabino, ulegając iluzji, kładzie mu rękę na dupie. Chita odwraca się natychmiast i wymierza mu tęgiego kopa w mordę, posyłając pozbawionego przytomności Gabino w błoto obok Eduardo.

Marcella, która ma już zdrowo w czubie, dołącza się do Chity na stole, a deski aż uginają się pod jej ciężarem; podnieceni faceci wrzeszczą co sił w płucach i próbują śpiewać w rytm muzyki. Idzie „Africa” Niny Hagen, nikt nie zna niemieckiego, ale „africa” z czymś im się kojarzy, więc wyrykują to słowo do utraty tchu.

Kiedy kompletnie już pijana Marcella przewraca się, mężczyźni tracą panowanie nad sobą. Piersi ma już obnażone, dwóch w amoku ściąga jej spodnie, zanim zdołam wkroczyć do akcji, ślaniając się ze śmiechu.

Kilka uderzeń łopata w głowę uspokaja najbardziej zapamiętałych, po czym wspomagany przez Jimmy’ego wyciągam Marcelłę z pokoju

i rzuca ją na łóżko: obaj zaśmiewamy się tak, że po drodze upuszczamy ciało kilkakrotnie. Niedługo później zabawa dobiega końca; zmęczenie, alkohol i trawka ścinają ludzi z nóg jednego po drugim. Większość kładzie się do łóżek, ale kilku pozostaje na podłodze świetlicy.

– Chita, White, wyrzucicie mi tych kretynów na dwór.

Bez cackania się wyciągają ich na zewnątrz i zostawiają w błocie.

Idę do swojego pokoju, w objęcia mojej małej nimfomanki. Zdejmując mi buty Sophie mówi mi głosem, w którym pobrzmiwa niepewność:

– Juan Carlos, chciałabym jutro wyjechać.

Miłości mojego życia, dlaczego chcesz mnie opuścić w środku romansu?

– Nie jest ci tu dobrze? Nie podobają ci się wakacje?

– Owszem, ale jestem wykończona.

Biedactwo, rozumiem ją. Ona jedna musi tu pracować w dzień i w nocy.

– W porządku, każę cię jutro odwieźć do Guerra.

Już się prawie przyzwyczaiłem do tego małego domowego zwierzątka. No, przynajmniej będę się lepiej wysypiał. Na razie trzeba skorzystać z tej ostatniej nocy zanim zabiorą mi moją zabawkę: przez całą noc bawimy się na najróżniejsze sposoby.

*

Rano jestem wściekły, bo moja zabawka przemieniła się w bezwładnego pajaca, który leci mi przez ręce. Marcella krząta się, przygotowując śniadanie. Kiedy wchodzę do sypialni pracowników, widok jest

obrzydliwy: facci są porozrzucani bezładnie po łóżkach, niektórzy leżą z głową we własnych rzygowinach. Właściciele górnych łóżek nie dali sobie rady z przeszkodą i pozostali tam, gdzie wylądowali spadając. Te świny przyprowadzają mnie o mdłości, idę do kuchni po szlauch i zaczynam asenizację. Pod uderzeniem lodowatej wody przebudzenie jest szybkie.

– Wstawać, świny jedne. Macie dziesięć minut na umycie się przed śniadaniem.

Wychodzą jeden po drugim, chwiejnym krokiem, jeszcze pijani po wczorajszym. Kiedy wszyscy przełknęli kawę, mówię do nich:

– Dzisiaj zaczynamy pracę na rzece. Jeśli ktoś chce odejść, to ostatnia okazja. Potem będzie za późno, bo płacę dopiero w grudniu.

Ku mojemu miłemu zaskoczeniu tylko trzech korzysta z okazji: śpiewak, stolarz i Garret. Ten ostatni potrzebuje opieki lekarskiej; jego rana, nadal nie leczona, przybrała kolor zielonkawy i choć barwy tej specjalnie nie widać na jego czarnej skórze, zapach staje się nieprzyjemny: lepiej, żeby sobie poszedł, bo zaczyna śmierdzieć. Pozostali dwaj stale leserują i jestem zadowolony pozbywając się ich. Ale stolarz popełnia błąd zabierając głos:

– Zrozum, Juan Carlos, nie jesteśmy zwierzętami. W tym kraju są zawodowe, obowiązują określone godziny pracy.

– Tak? To ciekawe, opowiedz.

Zachęcony moją odpowiedzią podchodzi bliżej:

– Tu, w Kostaryce, prawo... – zaczyna.

Przerywam mu uderzeniem pięścią prosto w mordę.

– Tutaj nie jest już Kostaryka, tylko Quebrada del Frances i jedyne prawo, jakie obowiązuje, to moje prawo. Jeśli tak zadecyduję, będzie-

cie pracowali dwadzieścia godzin dziennie, ale za to gwarantuję wam dobre żarcie, komfort i dobrą zabawę. Komu się ten program podoba, zostaje, inni odchodzą. Więc?...

Nikt nie występuje z szeregu. Przeciwnie, z pogardą patrzą na tamtą trójkę. Zaczyna kształtować się zespołowa solidarność, i dumni są z tego, co zrobili i wybudowali w trzy dni.

– Chiche, odprowadzisz senioritę. Weź dwa konie i w drodze powrotnej przywieziesz parę rzeczy.

Płacę trzem odchodzącym.

– Idźcie do Guerra z Chiche. Umówcie się z pulpero, żeby was przewiózł do Sierpe. A teraz spieszcjcie.

Sophie po raz pierwszy w życiu dosiada konia i ostrożnie sadowi się w siodle. Kiedy już siedzi, na jej twarzy pojawia się grymas bólu, co z kolei na mojej wywołuje uśmiech. Czyżbym nadużył tylnego wejścia?

Z ulgą patrzę, jak odjeżdża. Ten nieprzewidziany luksus był bardzo przyjemny, ale do kierowania przedsiębiorstwem potrzebna jest pełna koncentracja. Tym bardziej teraz. Zwracam się do moich ludzi:

– Zaczynamy poważną robotę. Ty, Daniel, i twoi dwaj synowie, Max i Omar, kończycie dach.

To goście z półwyspu, zawodowi budowlani.

– Gabino, Miguel, bierzcie każdy po maczecie i oczyśćcie okolice domu. Chita, wykopiesz dół na latrynę, jak najgłębszy. Jimmy, rozdaj ludziom wszystkie łomy, łopaty i maczety.

*

Postanowiłem pracować na Rzece Francuza, mojej rzece. Idę tam,

a za mną gęsiego trzech facetów z narzędziami na ramieniu. Myśl, że zbliżają się do złota, budzi w nich radość; zgodnie ze swym zwyczajem Manolito idzie koło mnie, niosąc na głowie catiadorę. Kiedy dochodzimy na miejsce, zarządzam przerwę. Muszę bowiem zastanowić się, w którym miejscu zaczniemy; niech sobie odpoczną przez ten czas, nie mają ku temu zbyt często okazji. Uważnie oglądam rzekę i jej brzegi, w towarzystwie Manolita idę w górę rio i pobieram próbki. W górnym biegu pracowali już poszukiwacze złota i miejscami prześwituje lita skała.

Podjąłem decyzję: w miejscu, gdzie dolina rozszerza się, rzeka płynie prawą stroną; według ukształtowania terenu wnioskuję, że paręset lub parę tysięcy lat temu płynęła lewą. Zamierzam przesunąć jej bieg w stare koryto, żeby rozpocząć pracę.

Kiedy wracam do ludzi, wszyscy na czworakach przeglądają żwir i skały: gorączka złota to nie legenda, przekonałem się o tym wielokrotnie. Niektórzy w podnieceniu przynoszą mi pełne kieszenie żółtych kamyków. Nie mają o robocie zielonego pojęcia, jestem prawdopodobnie jedynym, który widział, jak poszukuje się złota.

*

Najpierw zapora. Musimy usypać tony skał, przemieszanych z liśćmi i gałęziami, na wysokość kilku metrów. Tworzy to prawie szczelną przegrodę, i szybko zaczyna pojawiać się jeziorko. Powoli poziom wody podnosi się i osiąga wysokość dawnego koryta. Wśród wiwatów pierwsza strużka wody spływa w odpowiednim kierunku. Czyścimy teren, aby ułatwić przepływ wzdłuż urwiska.

Liczę na to, że woda ta wymyje wierzchnią warstwę ziemi pozwalając dotrzeć do złotonośnego żwiru. Moi ludzie, ustawieni na przestrze-

ni czterystu metrów, wałą w podłoże łomami i kawałkują grunt, po czym uprzążają większe kamienie jeden po drugim, tak by prąd wody, który jest coraz silniejszy, porywał ze sobą ziemię i żłobił swoje nowe koryto. Pokazuję każdemu, co ma robić.

Nie używajcie łopat, tylko łomów. Układajcie kamienie tak, aby powstał szczelny murek. Im lepiej będzie zrobiony, tym mniejsze ryzyko, że wam spadnie na łeb.

Szybki prąd wody i mocne uderzenia łomami przynoszą rezultaty. Ludzie są w krótkim czasie zziębnięci od lodowatej wody, która dochodzi im do kolan, i od padającego bez przerwy deszczu. Tym lepiej, je-dyne wyjście, jakie im zostaje, by się trochę rozgrzać, to wzmoczenie wysiłków. Urządzają nawet wśród krzyków i oklasków zawody, kto przeniesie największy kamień.

Odgłosy pracy sprawiają mi przyjemność. Stale przy mnie obecny Manolito, z torbą plastikową na głowie i manierką alkoholu w ręku, rozdaje według moich wskazówek małe szklaneczki, które rozgrzewają i podnoszą na duchu, ale denerwuje mnie, że nie mogę jednocześnie mieć na oku wszystkich pracowników, rozstawionych wzdłuż rzeki. To ta dżungla, ta niepotrzebna zieleń, zasłania mi widok. Wołam dwóch ludzi:

– Chiche, Cunado, weźcie siekiery i maczetę i oczyśćcie mi to wszystko na przestrzeni czterystu metrów.

To jest właśnie dobra strona Ticos: powiedzcie jakiemukolwiek in-nemu rozsądnemu robotnikowi, żeby ściął siekierą drzewa na przestrze-ni stu metrów, a roześmieje wam się w nos; tutaj jest inaczej, mają do mnie zaufanie, słuchają i nie zadają pytań. Drzewa padają jedno po dru-gim i krajobraz zaczyna się zmieniać.

Manolito wskazuje mi leserów i gaduły. Że odpoczywają minutę, to

normalne; dwie, to za dużo; jeśli dłużej, mocny kopniak w tyłek, celny rzut kamieniem albo wystrzał z pistoletu przywołuje ich do porządku. Pojawiam się nagle z różnych stron, i przyzwyczajają się do mojej wszechobecności. White, z natury leniwy, ciągle usiłuje ukryć się przed moim wzrokiem za zakrętem rzeki albo za drzewem; ale jest biedak jedynym Murzynem i choć nie znam ich wszystkich, jego nieobecność daje się od razu zauważyć. Parokrotnie znajduję go śpiącego na stojąco, opartego o łom; za każdym razem walnięcie w ucho posyła go do wody. Zaskakuję Eduardo przykucniętego w jakimś kącie, jak przesiewa w rękach żwir, i strzelam mu koło ucha; w panice biegnie na swoje miejsce.

Pod koniec dnia, kiedy przerywam pracę, rów ma już prawie metr głębokości i poziom wody w jeziorzku nadal opada; w ciągu nocy woda będzie kontynuować dzieło. W drodze powrotnej jest mniej wesoło niż poprzednio. Poszukiwanie złota okazało się robotą bardziej mokłą, niż przypuszczali. Kiedy siadamy do kolacji, zdaję sobie sprawę, że kogoś brakuje.

– Gdzie jest Chita?

– Jeszcze kopie – mówi Marcella, wybuchając śmiechem.

Idę zobaczyć. Ten bałwan wykopał już dół o głębokości ponad trzech metrów, wystarczający dla całej armii, to niesamowita praca.

– Dokąd się wybierasz? – krzyczę do niego, dając mu znak żeby wychodził. – Chcesz się dostać do Chin?

– Nie bój się, dwie córki Nizara same wypełnią to gównem w ciągu tygodnia.

Ta sama robota ciągnie się przez dwa następne dni i w końcu kamienie wyciągnięte z rzeki tworzą prawdziwy chiński mur na przestrzeni czterystu metrów. Dżungla została wycięta, głowy wystają z rowu jak na strzelnicy, i pilnowanie stało się proste: liczę głowy, a jeśli kogoś brakuje, biada winowajcy.

Pod koniec trzeciego dnia rów ma dwa i pół metra głębokości na metr szerokości i woda ostatecznie zmieniła koryto.

Ludzie są zziębnięci i wykończeni, czubki palców krwawią im od ciągłego przerzucania kamieni. Podczas gdy wszyscy wracają do domu, napełniam catiadorę na dnie rowu: pojawia się kilka ziarenek złota, nadszedł czas, by poważnie zabrać się do roboty.

Wieczorem, na zakończenie posiłku, wygłaszam krótkie przemówienie.

– Jutro zaczynamy wydobywać złoto. Od tej chwili poza godzinami pracy nikt nie ma dostępu do rzeki pod żadnym pozorem, pierwszemu, którego tam złapię, strzelam w jaja i zostawiam na miejscu, żeby zdechł. Nie żartuję. Kto chce się umyć, idzie do drugiej rzeki, to dzisiaj minut drogi. Jeśli zobaczycie złoto w canoa albo obok, nie ruszajcie go, tylko zgłaszajcie mnie: złoto należy do mnie i do nikogo innego. Jasne?

– Jasne.

– In gold we trust, but nobody can touch – mówi sentencjonalnie White w karaibskim angielskim.

Żeby przełamać ciszę, jaką wywołało moje oświadczenie, puszczam w obiegu kilka skrętów i manierkę guarro.

Moi ludzie żyją teraz lepiej. Przyzwyczajają się powoli do warunków pracy i dom stał się przyjemniejszy. Sypialnia jest utrzymywana

w czystości, każdy ma swoje własne łóżko i swoje małe terytorium. W górach to luksus, oreros często śpią w kilku na jednym posłaniu. Błoto zaczyna wysychać i zakazuje noszenia butów w domu.

*

Nadszedł wielki dzień. Umieszczam canoa w rzece, zmniejszyłem jej długość do trzech metrów. Eduardo, jedyny, który umie posługiwać się piłą i wbić gwóźdź pozostając przy życiu, został mianowany stolarzem. Zrobił z drewna czoło canoa: ma kształt litery V i otwiera się na szerokość półtora metra. Dziób wmontowany jest w część aluminiową, a całość pokryta jest rodzajem syntetycznej wykładziny, która zatrzymuje złoto.

Z przodu dwunastu ludzi uzbrojonych w łopaty i kilofy ładuje canoa. U czoła, tam gdzie gromadzą się bryłki, postawiłem tych, którym najbardziej ufam: Daniela i jego dwóch synów, Omara i Maxa. Tych ostatnich poznałem w Drake, i kiedy później dowiedzieli się, że wróciłem na półwysep, przyszli do mnie prosić o pracę, i przyprowadzili ojca, dziwnego faceta, który prawie nic nie mówi, prawdopodobnie dlatego, że nie ma nic do powiedzenia. Jest z pochodzenia Panamczykiem, nigdy nie miał na sobie butów ani nie wziął prysznica, ma stopy wielkie jak buty kłowna i śmierdzi jak cap: któregoś razu jego współtowarzysze z pokoju siłą zaciągnęli go pod kuchenny szlauch.

Dołączam do nich ojca Manolita, który dobrze zasługuje na swoje imię – Innocente: głupi jak but, nie skrzywdziłby nawet muchy. Wy tłumaczyłem im, co mają robić i jakimi ruchami ułatwiać przemieszczanie się żwiru.

– Wyjmujcie duże kamienie i kawałki żwiru pojedynczo i każdy oglądajcie. Nigdy nie wyrzucajcie garści żwiru bez dokładnego obejrze-

nia.

Wiem, że w okolicy są bryłki złota, a te barany nie potrafią wyczuć ich na dotyk i byliby zdolni je wyrzucać. Długo im to tłumaczę, bo przyswojenie sobie każdej nowej informacji zabiera sporo czasu. Najważniejsze, że zrozumieli, co robić, nawet jeśli nie dostrzegają w tym sensu.

Po nich trzech innych wykonuje tę samą pracę, dla pewności: zwykle złoto nie przesuwają się dalej niż czoło canoa, ale z tymi debiutantami lepiej być przygotowanym na wszystko. Z drugiej strony canoa dwóch facetów uzbrojonych w łopaty odrzuca dalej niepotrzebny już żwir, aby nie tamował swobodnego przepływu wody. Barbas i Jimmy pilnują wszystkich pracujących w canoa. Co do mnie, przyniosłem sobie fotel bujany. W ręku kubek kawy, w ustach skręt, i pilnuję mojej fabryki złota: z tego miejsca mam widok na całość.

W ten sposób praca trwa cały dzień. Stojący w wodzie ludzie z łomami bez przerwy walą w grunt; trochę dalej w dół rzeki inni pełnymi łopatami wrzucają żwir do dziobu canoa, przy którym, jak się wydaje, Daniel, Max, Omar i Innocente zrozumieli, na czym polega ich praca. Korzystając z tego, że pracują blisko siebie, faceci rozmawiają i wygłupiają się nie przerywając pracy, za wyjątkiem Innocente, zbyt zajętego wykonywaniem moich poleceń, aby móc się rozpraszać. Kiedy rytm pracy zwalnia się, strzelam parę centymetrów nad ich głowami: podskakują nerwowo, po czym przyspieszają, śmiejąc się.

*

Tego dnia około południa, kiedy szykujemy się do obiadu, pojawia się Nizaro w towarzystwie obu grubych. Jest zaskoczony wielkością i jakością wykonanej od czasu jego odejścia roboty, ale nic nie rozumie

z moich zamiarów i zaczyna grać rolę wszystkowiedzącego dziadka.

– Dlaczego przeszedłeś na tę stronę? Trzeba było zacząć od prawej.

– Czemu?

– Bo zawsze tak się robi.

– A mnie mój nos mówi, że złoto jest tutaj: jeśli jest tam, to tu też.

– No, i tak już za późno. Nie było mnie, więc nie miał ci kto powiedzieć.

Truj tak jeszcze trochę, staruchu, to ci każę wybierać złoto zębami. Nie chcąc bić przedstawiciela jesieni życia, postanawiam zakończyć dyskusję:

– Zobaczymy za dwa dni.

Po południu pojawia się Barbaroja, twierdzi, że był w Puerto Cortez rozmawiać z siostrą w sprawie tytułu własności. Wielkość naszego domu i zakres prac robi na nim wrażenie. Ale powstrzymuje się od komentarzy, i dobrze robi.

O piątej odsyłam wszystkich za wyjątkiem Jimmy’ego i Nizara, odnosząc canoa. Stary szybko wypełnia catiadorę i pokazuje mi z ironicznym błyskiem w oczach: kilka ziarenek, najwyżej dwa do trzech gramów. Nie jestem rozczarowany, myślę bowiem, że nie dotarliśmy jeszcze do warstwy, która mnie interesuje; mam nadzieję, że wkrótce będę mógł wykazać staremu, że mam rację, bez konieczności dołożenia mu, by zrozumiał, że jestem lepszy.

Następnego dnia, żeby zyskać na czasie, jemy obiad na miejscu. Pośilek przynoszą obie grubaski, które zrządzą pod nosem; przejście czterystu metrów z menażką w każdej ręce to dla nich wyczyn.

Pod koniec dnia dziura się powiększyła, ale wynik jest taki sam jak poprzedniego dnia: stary uśmiecha się z coraz większą ironią, a Barba-

roja, który odwiedza mnie, by zobaczyć jak sprawy stoją, nabiera przekonania, że już wkrótce będzie mógł powrócić do swego samotniczego życia. Ja natomiast jestem coraz bardziej pewny siebie.

*

Dwa dni później, około godziny jedenastej, Wilson, brat Jimmy'ego pracujący przy canoa, wydaje głośny okrzyk. Z zachwytem pokazuje mi bryłkę, pierwszą, jaką znajdujemy. Waży siedemnaście gramów. Jest najpiękniejsza i wiem, że jej koleżanki też już czekają.

Wieczorem, kiedy podnoszę canoa, na wykładzinie pojawia się mnóstwo błyszczących punktów. Jest tu ponad sto gramów w postaci ziarenek oraz bryłek ważących od dziesięciu do dwunastu gramów. Triumfuję! Ani przez chwilę nie wątpiłem w słuszność mojego rozumowania.

Następne dni potwierdzają moje sukcesy: sto, sto dwadzieścia, dzie więćdziesiąt gramów. Wpadam w euforię i moja radość przenosi się na pracowników, którzy czują się wszyscy współtwórcami sukcesu.

Choć nadal pracują równie ciężko, jeśli nie ciężej, atmosfera jest bardziej rozluźniona. Trzeba powiedzieć, że choć zgodnie z zapowiedzią ledwo się wyrabiają z robotą, nie oszukałem ich jeśli chodzi o inne obietnice.

Żarcie jest obfite: rano o pół do piątej potężne śniadanie; o dziesiątej kawa i posiłek złożony z ogromnych, doskonałych i sycących naleśników; o pół do pierwszej obiad nad rzeką przyniesiony przez obie potworne; o pół do czwartej ponownie kawa i coś na ząb; wreszcie ostatni posiłek o siódmej.

Obozowisko nadal się rozbudowuje. Dżungla została odsunięta, okolice domu są wykarczowane i ryzyko spotkania węża wydatnie się

zmniejszyło: w ciągu tygodnia zabiliśmy tylko dwanaście „śmiertelnych”, w tym jednego pod łóżkiem Nicolasa. Eduardo zrobił okna w ścianach i stworzona w ten sposób wentylacja całkowicie wysuszyła błoto. Dobudował też małą werandę do składowania sioდეł, a teraz bierze się za składzik na narzędzia.

Ponieważ dzień roboczy kończy się około pół do piątej, choć nie jest to nigdzie wyraźnie stwierdzone, ludzie mają czas wyprać swoje ubrania albo przyczynić się do urozmaicenia menu: często wracają z dżungli z pękami bananów, korzeni yuca albo sercami palmowymi.

Zaczynają nawet lubić muzykę punk, która wyje bez przerwy: początkowo nikt tego nie znosił, często prosili mnie o swoją wieczną salwę, choć oczywiście odmawiałem; ponieważ jednak słyszą to stale, w domu i nad rzeką, znają już słowa nie rozumiejąc ich znaczenia.

Tylko warunki pracy pozostają bez zmian i ubrania są stale mokre. Każdego ranka deszcz zaczyna padać około dziesiątej, czasem wcześniej, i przestaje dopiero późno w nocy. Dziura jest większa, głębsza, przez dwanaście godzin stoją w lodowatej wodzie po pierś, rozgrzewani tylko szklaneczkami alkoholu, i zastanawiam się, skąd mają siły, by każdego wieczoru urządzać sobie małą zabawę.

Po kolacji krążą skręty, dałem ludziom karty i namiętnie wygrywają i przegrywają swoje zarobki. Ja tylko opalam ich z papierosów. Mogą siedzieć tak długo, jak chcą, pod warunkiem, że o pół do piątej są w swojej dziurze, więc siedzę i wyglupiam się z nimi.

*

Woda w dziurze jest naprawdę bardzo zimna, próbowałem się w niej umyć, ale muszę przyznać, że nie wytrzymałem. Natomiast moi ludzie nie skarżą się zbytnio: właściwie to nie mają wyboru. Musiałem doko-

nać selekcji tych, którzy pracują w dziurze: jest już tak głęboka, że najniżsi piją wodę przy każdym wbiciu łopaty.

Ktoregoś dnia z urwiska spadł wąż prosto do dziury. Wyciągnąłem rewolwer i strzeliłem, po czym wszyscy biegiem wyskoczyli na brzeg. Później przyznali mi się, że bali się nie tyle węża, ile moich kul, które odbijały się rykoszetem wokół nich. Zastanawiają się zapewne, jak daleko sięga moje szaleństwo; ilekroć teraz wyciągam rewolwer, błyskawicznie rozbiegają się.

Jeden tylko poważny problem sprawia mi kłopot nie mniejszy niż im bo zmniejsza wydajność: skutek stałego przebywania pod wodą w gumiakach, gniją im stopy. Rozwinęła się jakaś infekcja, pokrywach stopy płatami, z których sączy się zielonkawy płyn. Nic na to nie pomaga i niektórzy pracują boso, bo nie są już w stanie wciągnąć gumiaków. Jedynym sposobem, żeby wszystko zdezynfekować, byłoby po-trzymać nogi we wrzącej wodzie, ale żaden się nie zgadza.

*

Nasz sukces trwa już dziesięć dni. Nizaro zamknął się wreszcie; więcej, opowiada teraz każdemu, kto chce go słuchać, że przewidział tutejsze złoża i że to na jego sugestię odkryłem Rzekę Francuza. Stary łgarz.

Zdumiony Barbaroja nigdy nie widział naraz tyle złota. Według jego własnych słów jestem czarodziejem. Rozstroiła go świadomość, że tyle czasu żył obok całego tego bogactwa. Tak naprawdę to nie chce przyznać się przed samym sobą, że nawet gdyby wiedział o złocie, i tak nie byłby w stanie przedsięwziąć prac na taką skalę. Przychodzi co wieczór na rancho, by zjeść z nami kolację i uczestniczyć w naszych codziennych zabawach. Uwielbia alkohol i parokrotnie dałem mu w prezencie

litru guarro, który wypijał w ciągu nocy. Dawny postrach okolicy wraca do domu zataczając się i nie robi już na nikim wrażenia, poranny kac stał się u niego rzeczą normalną. Jego poziom życia poprawił się, ma bieżącą wodę, ale więcej zużywa mojego alkoholu. Ojciec Miguela dostarcza mi guarro z przemytu. Bardzo tanio sprzedał mi też dwa konie, bo musiałem już oddać Nizaro jego zwierzęta. Był już zresztą najwyższy po temu czas, bo zaczynały być w złym stanie: codziennie ktoś jedzie do Guerra i przywozi sprzęt; my się wymieniamy, ale konie pozostają te same, a do tego krwawią im grzbiety.

*

Dotarliśmy do litej skały. Od tej pory pracownicy rozpoczynają o pół do szóstej, bo chcę być sam podczas pierwszej godziny. Ponieważ ukształtowanie skały jest nieregularne, a woda jest mętna od błota, ludzie nie są w stanie dokładnie oczyścić dna i część materiału nie zostaje wybrana. Ponadto uderzenia łomów rozwalają grunt i zmieszane z drobnymi grudkami złoto pozostaje w szczelinach. Dlatego część kruszcu nie może zostać wydobyta za pomocą narzędzi.

Każdego ranka przed pobudką wyruszam samotnie nad rzekę. Marcella, która jest już na nogach, ma przykazane pilnować, by nikt za mną nie poszedł. Nie jest to trudne, bo moi ludzie są zmęczeni i nikt nie ma ochoty tracić nawet minuty swego cennego snu.

Po przybyciu na miejsce nacieram ciało tłuszczem, bo woda jest lodowata, zakładam maskę do nurkowania, chowam rewolwer pod liśćmi w zasięgu ręki, i schodzę pod wodę na poszukiwanie bryłek złota. Woda jest czysta, bo muł zdążył osiąść. Pod wodą delikatnie przeczesuję dno, uważając, by nie zmącić wody, i odsłaniam skałę przygotowaną poprzedniego dnia. Plon jest fantastyczny. Czekają na mnie liczne brył-

ki ulokowane w pęknięciach, a nawet po prostu leżące na płaskich skałach. Jest to chwila wielkiego podniecenia, nie tyle ze względu na samo złoto, ile na jego ilość. Każdego ranka wydobywam co najmniej dwa razy więcej, niż poprzedniego dnia: o ile produkcja wyniosła osiemdziesiąt gramów, ja wydobywam sto pięćdziesiąt gramów albo i więcej.

Zwykle nie tracę łatwo głowy, ale to jest naprawdę niesamowite! Po powrocie do mojego pokoju, gdzie nikt nie ma wstępu, oglądam bryłki, z których największa waży dwieście sześćdziesiąt gramów. Znam się dobrze na złocie, widywałem już dobre miejsca, ale takiego jeszcze nigdy.

Wiem, że wielkie przedsiębiorstwa podejmują pracę powyżej progu opłacalności, który wynosi jeden gram na metr sześcienny. Nie liczy się wówczas procentowa zawartość, ale ilość przerzuconego żwiru.

Tutaj natomiast złóże jest niewiarygodnie bogate, być może zbyt bogate na jednego tylko człowieka. Jest to niewyobrażalna fortuna, nie wyczerpana kasa, siedzę na setkach milionów dolarów. Na początku sądziłem, że chodzi o jedną bogatą żyłę, ale mimo upływu czasu wydobywanie nie ulega zmianie. Było parę dni mniej złotodajnych, było to jednak do przewidzenia, bo zdejmowaliśmy wtedy górne warstwy, o mniejszej zawartości kruszcu.

*

Miałem szczęście bardzo wcześnie poznać wartość pieniądza, dysponowałem bardzo dużymi sumami zarabianymi na popłatnych inwestycjach; ale zawsze, ile by to nie było, można było sumę obliczyć z góry, nie było niespodzianek. Tu jest zupełnie inaczej, wyniki przekraczają wszelkie moje oczekiwania.

Jak dotąd, nie było takiej sumy, której nie można było w krótkim czasie wydać, a raczej roztrwonić na przyjemności. Po raz pierwszy zupełnie inaczej: to miejsce powinno przynosić dochody wystarczające do realizacji starego marzenia bez konieczności oszczędzania, co byłoby sprzeczne z moimi zasadami. To właśnie pchało mnie dotąd do czynu i podnieca mnie teraz każdego ranka: przygotowywać przyszłość korzystając w pełni z teraźniejszości. Oto powód mojego uporu, by pozostać za wszelką cenę w tym zgniłym zakątku.

Nie można przeżyć przygody nie stawiając ogromnych wymagań swemu organizmowi i mój jest już solidnie nadwreżony. Nie można przekraczać własnych granic nie musząc później za to zapłacić; wiem, że rachunek może się okazać słony. Muszę więc pędzić naprzód, póki dysponuję jeszcze pełnią swoich możliwości. Moja ostatnia przygoda musi być czymś wielkim, bardziej zwariowanym niż wszystko inne: być może okazją do tego jest Rzeka Francuza.

*

Nie wygrałem jeszcze do końca: nie można posiadać pięćdziesięciu jeden procent bajecznej fortuny nie powodując zazdrości i wiem z doświadczenia, że kiedy jakiś interes sięga astronomicznych sum, ani dane słowo, ani spisana umowa nie mają długo znaczenia. Na tych przemyśleniach kończę swoją zadumę: jest wpół do szóstej, czas obudzić pozostałych.

Każdego ranka rozgrywa się ta sama scena: stoję u wejścia sypialni i strzelam, jeden jedyny wystrzał z Magnum 357 wystarcza, by wszyscy spadli z łóżek. Jeśli prawdą jest, że stresujące przebudzenia niszczą serce, moi pracownicy nie będą żyli długo; celuję zawsze do tej samej deski, służy mi za kalendarz.

Z oczywistych względów bezpieczeństwa nigdy nie pozostawiam mego złota bez opieki. Noszę je stale przy sobie w zamykanej na kłódkę żelaznej skrzynce, kupionej w San José. Choć wstęp do mojego pokoju jest wszystkim wzbroniony, znam siłę przyciągania złota, a najlepszym sposobem zapobiegania kradzieży jest nie stwarzanie okazji. Nikt nie wie o moich rannych zbiorach, a codzienne ważenie odbywa się bez świadków: droga do mojego pokoju przebiega przez pokoje Jimmy'ego i Nizara, które też są zamknięte przed pracownikami; stanowi to bufor chroniący mnie przed niespodziewanymi wizytami.

*

Choć nikt nie zna prawdziwej zawartości kopalni, wszyscy pracownicy świadomi są jej bogactwa. Ich pierwsze zetknięcie ze złotem nie rozczarowało ich, ale kiedy minęło początkowe podniecenie, pod wpływem którego stale myśleli, że w każdej chwili w ich dłoni pojawić się może bryłka, ich entuzjazm opadł, a raczej ich zainteresowanie przesunęło się. Jedynym pytaniem jest wielkość produkcji danego dnia. Traktują to jako osobiste wyzwanie, codzienny rekord, który należy pobić. Wiedzą, że jest to najbogatsza kopalnia na półwyspie, i że nasza produkcja jest większa niż we wszystkich innych. Każdego wieczoru ogłoszenie wydobytej ilości wywołuje wiwaty: ciągną z tego sławę, a ja zyski.

Jeden White, najsprytniejszy, zachowuje zimną krew. Któregoś dnia, kiedy ogląda swoje dłonie całe stwardniałe od machania łopatą, mówię mu:

– No, nie masz powodów się skarżyć, pomyśl o wszystkich wspomnieniach, które ci pozostaną. Będiesz mógł opowiadać swoim dzieciom, że pracowałeś w kopalni złota, i to jednej z najbogatszych.

– A jak mnie pytają, gdzie jest złoto? Kto wyjdzie na idiotę?
W każdym razie na pewno nie ja.

*

Nie daję się nabrać na bezinteresowność moich pracowników; nawet jeśli rzeczywiście odczuwają entuzjazm i dzięki moim staraniom mają odpowiednie nastawienie do pracy, wiem, że przy pierwszej okazji bryłka, która znajdzie się w ich rękach, bez świadków powędruje bezpośrednio na dno kieszeni. Bryłka o wadze stu gramów stanowi równowartość dziesięciomiesięcznego zarobku, pokusa jest silna: to ludzkie. Ale u mnie nie ma o tym mowy, każdy, kto by spróbował, wie, że w razie wpadki kara będzie nieproporcjonalna, zapowiedziałem im to:

– Rozumiem, że was kusi, ale pamiętajcie, jeśli kogoś złapię, nie będzie litości.

Moją sprawą jest nie stwarzać im okazji. Jestem na miejscu cały czas przychodzę pierwszy i odchodzę ostatni. Ustawiłem swój fotel bujany na brzegu, żeby z góry widzieć wszystkich; jak tylko któryś podnosi głowę, napotyka mój wzrok. Ta wszechobecność jest skuteczniejsza niż wszelkie groźby, i jako dobry wyzyskiwacz nadzorujący niewolników narzucam im rytm pracy.

Dzisiaj poznali dynamit. W pracy przeszkadza ogromna skała, której nie sposób przesunąć; zajmuje się tym Miguel, siada okrakiem na czubku i przy pomocy dłuta oraz dwukilowego młotka wykonuje otwór. Z regularnością metronomu wali w dłuto bez przerwy cały dzień. Pod koniec dnia otwór jest wystarczający, by włożyć doń dynamit. Wkładam kilka lasek z zapalnikiem i lontem na dwie minuty. Ludzie są nerwowi i nie przerywając pracy nie spuszczają ze mnie wzroku. Dla nich dynamit to coś nieznanego, o mocy, której straszną potęgę

przeczuwają. Ich strach bawi mnie, i zasłonięty przez Jimmy'ego zapalam lont.

– Senores, macie minutę i pięćdziesiąt sekund na znalezienie schronienia, zabierajcie narzędzia ze sobą.

Jest to mądre zalecenie, bo wybucha panika. Dosłownie wylatują z dziury i co sił w nogach rozbiegają na wszystkie strony. Nicolas i ja zapalamy po papierosie od dymiącego lontu i spokojnie idziemy się schować za najbliższe drzewo. Rozlega się gwałtowny wybuch i słup wody podnosi się na dwadzieścia metrów. Skała została rozbita, a całą dolinę pokrywa dym. Pracownicy, którzy trochę ochłonęli ze strachu, biją brawo wrzeszcząc i cali podnieceni hałasem i dymem żartują sobie z paniki, jaka ich przed chwilą ogarnęła. Nigdy nie przyzwyczajają się do tych eksplozji i zawsze będą przed nimi odczuwać nieopisany lęk; jak dzieci boją się i podniecają potęgą wybuchu: mają urozmaicenie, raz wystrzał na przebudzenie, raz wybuch dynamitu.

*

Zespół jest jednolity, każdy ma swoje miejsce i zapracowuje na swój zarobek, za wyjątkiem obu córek Nizara. Przykry widok tych dwóch wielkich krów przyprawia mnie o mdłości: przez cały dzień nic nie robią. Tak jak to przewidział Chita, spędzają czas na obżeraniu się i sraniu. Boją się mnie i kiedy jestem w pobliżu udają, że mają zajęcie, ale doskonale wiem, że kiedy tylko się oddalam, kładą się do góry brzuchem. Zabroniłem im podrywać ludzi, nosić obcisłe spodnie, nie chcę, żeby tworzyły się jakieś związki, bo sama myśl o tym, że któryś z moich pracowników mógłby rznąć się z taką obrzydliwą masą mięsa wzbudza we mnie wstręt. Wiedzą o tym i nienawidzą mnie za to. Ponadto wielokrotnie słyszały, jak wyrażałem się o nich słowami więcej

niż obraźliwymi. Na szczęście Marcella sama daje sobie radę. Przykazałem jej, by stale nadzorowała żarcie, aby nie dopuścić do wchodzenia w szkodę przez te dwa worki gówna, jak je nazywam publicznie.

*

Skrzynka, którą stale przy sobie noszę, robi się coraz cięższa, jest to bardzo niepraktyczne i nie chcę trzymać tutaj całego tego złota: lepiej byłoby zabezpieczyć je w San José. Ponadto chciałbym pokazać moim wspólnikom, jak bogata jest kopalnia, żeby skłonić ich do przyspieszenia działań administracyjnych. Postanawiam wysłać Jimmy'ego, by zadzwonił do Hermana i skorzystać z okazji, by umocnić moją pozycję u gliniarzy. Mam się na baczności przed Barbaroją, nie daję się nabrać na jego pozornie uniżoną postawę i podejrzewam, że szykuje jakieś kłopoty. Wspominał już, że biorąc pod uwagę zasobność miejsca, umówione trzydzieści pięć tysięcy colonów to za mało, udałem, że nie rozumiem o co chodzi. Pozostaję przy tym co zostało uzgodnione, ale nie mam absolutnie zaufania do słowa danego przez Tico.

– Jimmy, masz tu sto pięćdziesiąt gramów złota. Najpierw pojedziesz do Palmar, żeby zatelefonować do Hermana. Powiedz mu, że operacja jest opłacalna i że proszę, żeby przyjechał porozmawiać, niech przy okazji przyprowadzi łódź. Dodaj, że nie ma już węży ani brzydkich zwierzątek i że może przyjeżdżać natychmiast. Potem pojedź do Jimenez, sprzedać złoto w banku, i przywieź mi pokwitowanie. Masz tu wreszcie trzy koperty: jedną dasz szefowi gliniarzy w Jimenez, drugą szefowi w Golfito, a trzecią grubej w Palmar; pamiętaj, żeby powiedzieć, że to ode mnie.

Do każdej z kopert włożyłem dziesięć tysięcy colonów, moją comiesięczną składkę na dobroczynność dla gliniarzy, i napisałem dużymi li-

terami swoje nazwisko na odwrocie. Przewiduję nowe posunięcia Barbaroi i wolę, żeby gliny pamiętały o mnie.

Polecam też Jimmy'emu, żeby przywiózł worek cementu. Na razie bowiem dynamit złożony jest w moim pokoju, pod łóżkiem, na pastwę byle iskierki. Dwieście lasek dynamitu z łatwością przekształciłoby obozowisko w przedstawienie typu „światło i dźwięk”, a nas w żywe pochodnie. Mam więc zamiar zbudować mały bunkier, szczelny i zamykany na klucz.

Jimmy będzie też musiał przywieźć sto żarówek, bo nadszedł czas, by założyć u nas elektryczność. Powód jest prosty: mam nadmiar pracowników. Nawet jeśli odliczyć tych, którzy są bezużyteczni z powodu infekcji stóp, nie mogę wpuścić do dziury więcej niż dziesięciu naraz, ani ustawić przy canoa więcej niż czterech, a jednocześnie nie chcę nikogo zwalniać. Poza tym myśl o tej wielkiej dziurze opustoszałej w ciemności sprawia mi smutek. Postanowiłem więc wprowadzić pracę na dwie zmiany, z których jedna przypadałaby na noc. Sądzę, że jakieś pięćdziesiąt lamp i reflektory dadzą wystarczająco dużo światła, ale w tym celu trzeba będzie wnieść na górę silnik, a to raczej nie będzie przyjemne.

Na pierwszy rzut oka wydaje się to nawet niemożliwe, ale wiara czyni cuda. Będę musiał pojechać osobiście, bo znam swoich ludzi: sami nie dadzą rady, a zwątpienie musi doprowadzić ich do dezercji w sensie dosłownym, bo jeśli porzucą silnik gdzieś w górach, nie ośmielą się pokazać mi na oczy. Postanawiam więc poczekać na powrót Jimmy'ego i wyruszyć w drogę.

Poprzedniego wieczoru po kolacji, kiedy wszyscy szykowali się do snu, z ciemności i deszczu wyłonił się jakiś facet. To Demesio, mieszkający o trzy kilometry stąd, od niego zawsze kupuję mięso w dużych

ilościach. Nie przepadam za nim, to taki mały miejscowy pirat, degenerat, złodziej i kłamca. Podchodzi do mnie:

– Don Juan Carlos, mówiono mi, że potrzebujesz koni?

– Owszem, masz jakieś do sprzedania?

– Przyprowaździłem ci dwa, piękne zwierzęta, sprzedam ci oba za szesnaście tysięcy colonów.

– Dlaczego miałbym zapłacić tak dużo, skoro ostatnio kupiłem dwa za dziewięć tysięcy?

– O, moje są inne. Są większe i mogą nieść nawet trzy kwintale każdej, bez trudności.

– Trzy kwintale? Jesteś pewien tego, co mówisz? Uważaj, nie zapominać, że jesteśmy sąsiadami i że łatwo mi będzie cię znaleźć jeżeli oszukujesz.

– Zobowiązuję się przy wszystkich, że odkupię je od ciebie, jak ci się nie będą podobać – mówi, wskazując moich pracowników.

– Daję ci słowo.

– Zgoda, ale za taką cenę chcę dodatkowo dwa siodła w dobrym stanie i dwie drewniane skrzynie transportowe.

Po krótkiej dyskusji daję mu siedemnaście tysięcy colonów za konie i ich wyposażenie. Przed odejściem powtarza swoją obietnicę, a ja moje ostrzeżenie.

Następnego ranka oglądamy konie przy świetle dziennym. Jeden to rzeczywiście piękne zwierzę, o wiele większe i mocniejsze niż konie, które zwykle można znaleźć na Osa. Drugi to stara szkapka ledwie trzymająca się na nogach, nadająca się jedynie do rzeźni. Stary sukinsynu! Jeśli myślisz, że tak łatwo się z tego wywiniesz, to jesteś w błędzie. Na razie mam ważniejsze sprawy na głowie, ale co się odwlecze, to nie

ucieczce.

Przede wszystkim elektryczność. Po kolacji wyjawiam swoje zamiary:

– Panowie, jutro wnosimy na górę silnik.

Zapada wielka cisza, każdy myśli o wysiłku, jaki przyjdzie mu w to włożyć. Wyznaczam siedmiu najsilniejszych, których stopy są w dobrym stanie.

– Miguel, Chita, Chiche, White, Gabino, Omar i Barbas, jutro zejście na dół. Kładźcie się spać wcześniej, bo wstajemy o trzeciej. Będzie ciężko, ale trzeba to zrobić.

Zdanie to stało się już znany refrenem: kiedy je wypowiadam, wszyscy wiedzą, że będą srali z wysiłku. Ale moja obecność dodaje im ducha.

*

Jadę na koniu, pracownicy idą pieszo przede mną. Zostawiłem obozowisko pod opieką Jimmy’ego. Nad rzeką nie będzie nikogo, wszyscy będą pracować na budowie. Poprzedniego dnia o świcie oczyściłem skalne dno; a w ciągu dnia pracowaliśmy tylko nad wierzchnią warstwą, nie zawierającą zwykle złota: jeśli wykluczyć nadzwyczajne szczęście, nie ma praktycznie szans na wydobywanie kruszcu. Mimo to kazałem Jimmy’emu zabronić dostępu do rzeki. Chłopak działa coraz skuteczniej, jego początkowa porażka to już tylko złe wspomnienie. Pomogłem mu nabrać pewności siebie i stopniowo ludzie zaczęli go szanować, jego uprzejmość zastępuje siłę, której mu brak. Stale chodzi w prawdziwym borsalino, które wystrasza nie wiadomo skąd, ozdobionym piórkiem.

Po przyjeździe do Guerra oglądałam silnik i przystępujemy do próby przewiezienia go. Jest zbyt ciężki, by nieść go na plecach, a stan drogi wyklucza niesienie w kilku. Próbuje różnych rzeczy, między innymi małego wózka pożyczonego od Maria, ale pojazd zagłębia się w błoto. Pozostaje tylko jedno wyjście, sporządzenie nosideł. Każę wyciąć dwa długie, drewniane drągi o dużej wytrzymałości, pośrodku których umieszczamy silnik. Niesie to czterech ludzi z przodu i czterech z tyłu. Koń idzie za nami, a ja niosę razem z innymi, aby ich zachęcić. Zaczęliśmy o szóstej. Po pięciu godzinach mamy za sobą cztery kilometry, choć teren jest tutaj płaski. Każdy krok to straszliwy wysiłek, przegnienieni ciężarem silnika głęboko zapadamy się w lepkie błoto, które ściga nam z nóg buty. Wysiłek, by oderwać nogę, krok, wysiłek przy odrywaniu drugiej nogi, krok; co metr ktoś gubi but i przewraca się w błoto. Pozostali muszą utrzymać silnik, aż tamten się podniesie, po czym ruszamy dalej, aż do następnego upadku. Co sto metrów musimy się zatrzymać i postawić ciężar na ziemi, i czujemy jak drżą nam kolana. Omar, który ze względu na swój wzrost niesie więcej niż inni, runął na ziemię całkowicie pozbawiony sił. Próbujemy go podnieść, ale nie jest w stanie się ruszyć i leży tak w błocie z rozrzuconymi ramionami, na granicy omdlenia. Kładę sobie na ramiona końce obu drągów i idziemy dalej; dogania nas dopiero po dwóch godzinach, zataczając się. Dochodzimy do zbocza pokonawszy wreszcie błoto, ale wiem, że nie będziemy w stanie wejść na górę.

– Chita, weź mojego konia i wracaj do obozu. Powiedz Jimmy’emu, żeby zszedł tu jak najszybciej ze wszystkimi ludźmi.

– Wszystkimi?

– Wszystkimi bez wyjątku. Powiedz, żeby zabrali latarki, a także niech przyniosą kawę i dużo naleśników. Pośpiesz się!

Po godzinnym odpoczynku wstają:

– Panowie, będzie ciężko...

– Ale trzeba to zrobić – odpowiadają chórem.

– Ostatni wysiłek. Podejdziemy trochę pod zbocze przed drugą zmianą.

Kiedy Jimmy nadchodzi z resztą zespołu, nikt już nie może utrzymać się na nogach: przeszliśmy jedną czwartą drogi prawie na czworakach, nieraz ześlizgując się i przewracając. Podczas gdy półprzytomni ze zmęczenia jemy i pijemy kawę, pozostali zastępują nas. Pracujemy na zmianę. Manolito biega tam i z powrotem do podnóża góry, gdzie płynie rzeka, i przynosi wodę w manierkach.

Ostatni odcinek drogi zaczynamy przy świetle latarek; podczas gdy jedni niosą, inni oświetlają grunt pod nogami, idący z przodu przestrzegają następnych przed dziurami i korzeniami. Oświetlenie jest niewystarczające i w końcu staje się to, co musiało się stać: na szczególnie stromym odcinku któryś z ludzi potyka się i przewraca, za nim drugi, i pod wpływem gwałtownej zmiany punktu ciężkości wszyscy padają wypuszczając silnik. Chita, odważnie, lecz bezmyślnie, próbuje go przytrzymać; zostaje przygnieciony ogromnym ciężarem, oczy mu wychodzą na wierzch, oddech staje się świszczący.

Błyskawicznie oswobadzamy go. Miał niewiarygodne szczęście, wpadł do głębokiego rowu, którego brzegi zatrzymały silnik, nie dopuszczając do całkowitego zgniecenia: Chita ma tylko wgniecioną klatkę piersiową. Bardzo się przestraszył i powoli dochodzi do siebie, zostawiamy go siedzącego pod drzewem i idziemy dalej. Jest pół do jedenastej, kiedy dochodzimy do obozu, szesnaście i pół godziny zabrało nam wnoszenie tego kurewskiego silnika. Nikt nie wyszedł bez szwanku. Co do mnie, to mam zgnieciony paznokieć, ale dokonaliśmy nie-

możliwego: teraz sędę, że moi ludzie będą się czuli zdolni do zrobienia wszystkiego. Szybko jemy kolację i wszyscy kładziemy się w milczeniu.

Wyjątkowo pozwalam im spać godzinę dłużej, zasłużyli na to.

*

Tworzę dwa zespoły. Jeden pracuje nad rzeką, jak zwykle, podczas gdy drugi zakłada instalację elektryczną. Mianowałem Barbasa odpowiedzialnym za drugi zespół, a Eduardo, naszą złotą rączkę, technikiem elektrykiem. Każę im zbudować schron do przechowywania silnika, w połowie drogi między domem a rzeką.

Piętnaście osób zakłada instalację. W ciągu dnia przeprowadzili kable elektryczne od silnika do domu, a potem nad rzekę, gdzie pięćdziesiąt żarówek zamontowanych w czterech wielkich reflektorach oczekuje na prąd. Zatrzymuję pracę zespołu canoa o piątej i wszyscy zbierają się wokół silnika. Patrzą na niego jak na diabelską maszynę. Ten dziwoląg produkujący elektryczność nie wzbudza ich zaufania, a nawet z lekkim obrzydzeniem dotykają przewodów i żarówek, zwłaszcza ludzie z Osa, którzy trzymają się raczej z tyłu.

Omar, z zawodu przewoźnik promowy, jako jedyny jest jako tako obznajomiony z tą maszyną.

– No, uruchom mi to – mówię do niego.

W głębokiej ciszy, z miną zawodowca, zakłada korbę i kręci z całej siły. Jeden obrót, dwa, po czym korba zaczyna się kręcić i uderza go prosto w mordę. Wywraca się na plecy, krew tryska z rozciętego łuku brwiowego. Porządnie dostał.

Przerywam ogólną wesołość jednym słowem:

– Następny!

Przyjmują postawę wyczekującą i mają rację: jeden po drugim próbują uruchomić silnik, ale jakoś słabo, bo strach przed rozwaleniem głowy ujmuje im siłę.

– No dobra – mówię po kilku nieudanych próbach – spróbujemy inaczej. Kto jest mańkutem?

Biorąc pod uwagę kierunek obrotów korby, ryzyko powinno być mniejsze. Nikt się nie zgłasza, ale Eduardo mówi z szerokim uśmiechem:

– White! Jest leworęczny, ale nie chce się przyznać.

Rzeczywiście, White, który zwykle znajduje się w pierwszym szeregu, przycupnął gdzieś za innymi, jest szary ze strachu.

– To prawda, White?

– No tak, trochę.

– Więc pokaż, co potrafisz. Kręci parę razy bez przekonania.

– Dostaniesz podwójną porcję trawki, jeśli uruchomisz to świństwo.

To jedyna rzecz, która może go ruszyć, tym razem wkłada w obrót całą swoją energię. Po trzydziestu sekundach, w górach rozbrzmiewa warkot pierwszego silnika, jaki kiedykolwiek uruchomiono na Osa, i całe obozowisko rozjaśnia się: to wielka chwila. Radość jest nieopisana, wszyscy śpiewają i ryczą na wiwat. W mieście elektryczność jest rzeczą naturalną, do której nie przywiązuje się wagi; w tej dżungli natomiast to niesamowity luksus: wszyscy zdrowo napociliśmy się, żeby doprowadzić do tej chwili.

W domu jest po parę lamp w każdym pokoju i ta niezwykła jasność tworzy atmosferę święta i niezwykłego komfortu; Barbaroja, u którego założyliśmy jedną żarówkę, patrzy na to wniebowzięty. Wszyscy idzie-

my nad rzekę, gdzie widok, jaki nas wita, wywołuje głośne okrzyki: wrażenie, jakie robi ta błotnista dziura oświetlona a giomo przez cztery reflektory jest fantastyczne; brakuje tylko półnagiej aktoreczki, pływającej w wodzie, by powstał doskonały hollywoodzki obrazek.

– To piękne – mówi do mnie Chiche ze wzruszeniem.

– Będzie jeszcze piękniejsze, jak piętnastu facetów będzie tam harować: nocna zmiana, do dziury!

Zamiast aktoreczki pływać będą moi brodacze. Są zaskoczeni: pogrążeni w radości z zainstalowania w dżungli elektryczności, trochę stracili z oczu zawodową stronę zagadnienia, oddając się całkowicie odczuciom estetycznym.

Po chwili wahania wślizgują się do lodowatej wody, ale pod wpływem ogólnego podniecenia nowością sytuacji dzienna zmiana dołącza do nich i przez godzinę wszyscy pracują razem.

*

Od tej pory zawsze będą dwa zespoły i inne godziny pracy: dzienna zmiana pracuje od szóstej trzydzieści do południa i od trzynastej trzydzieści do szesnastej trzydzieści, po czym pałeczkę przejmuje nocna zmiana, pracująca do kolacji o osiemnastej, a następnie od dziewiętnastej do północy. Każdy woli co innego i zespoły ukonstytuowały się bez problemów. Pogoda poprawiła się, między deszczami pojawia się słońce, opady stają się rzadsze, zwłaszcza w nocy, a woda jest cieplejsza.

Wszystko idzie dobrze, ale coś mi przeszkadza: nie lubię patrzeć na wszystkich tych facetów bez zajęcia przez cały dzień. Siedzę nad rzeką na obu zmianach i dowiaduję się, że w czasie mojej nieobecności robi

się burdel, wybuchają gwałtowne kłótnie i bójki. Praca fizyczna i obfitość jedzenia zrobiły z moich ludzi atletów. Dawni cherlacy rozrośli się i rozpiera ich energia; trzeba więc jakoś wykorzystać ten nadmiar sił. Nuda i beczynność to najgorsze rzeczy, dają bowiem czas na myślenie.

Dlatego też stopniowo przydzielam ludzi z nocnej zmiany do prac w porządkowaniu rancha: zaczyna się od drobnych poleceń, po tygodniu robi się tego więcej i w końcu pracują zarówno w dzień, jak i w nocy. Z wyjątkiem paru komentarzy, wypowiedzianych w tonie żartobliwym, szybko przystosowali się do tego. Wiedzą, że im więcej pracują, tym bardziej ich lubię; a im bardziej ich lubię, tym więcej robię im prezentów: na przykład papierosy, za które dawniej potraçałem im z wynagrodzenia, teraz dostają za darmo.

Aby nikt nie był zazdrosny, pierwsza zmiana poddana jest tym samym zasadom: teraz wszyscy pracują od szóstej do północy.

Za pośrednictwem sklepikarza Mario kazałem kupić w Palmar i przewieźć do Guerra osiemdziesiąt worków cementu: codziennie wnosi się na górę dwa worki, które są natychmiast zużywane, bo postanowiłem wybetonować całą podłogę w domu. Ponieważ jest on zbudowany na terenie lekko pochyłym, trzeba najpierw wyrównać poziom za pomocą żwiru wydobytego z rzeki. Tym właśnie zajmuje się zespół, który akurat nie pracuje w dziurze, i chodzą tam i z powrotem dzień i noc, z ogromnymi workami na plecach.

Nie chcąc opuszczać mego miejsca nad rzeką, nie mogę pilnować pracy w obozie, ale ich regularne pojawienie się koło mnie daje mi informacje o wydajności każdego. Z wyjątkiem paru facetów, którzy zaspiają przy stole, wszyscy dość dobrze znoszą nowe godziny pracy. Co do mnie, to nie śpiam w nocy. Zdarza mi się w ciągu dnia, że drze mię w fotelu bujanym; często budzi mnie wrażenie, że rytm pracy zo-

stał zwolniony: strzelam wówczas na wszelki wypadek, stało się to już odruchem. Jako celu używam ogromnego ściętego pnia drzewa, leżącego na brzegu urwiska. Po każdym strzale odpryski drewna spadają na ludzi i niejeden podskakuje sądząc, że został trafiony kulą.

Wydobycie złota jest regulame, atmosfera dobra, a obie ekipy nawet rywalizują ze sobą. Stałem się mniej rygorystyczny jeśli chodzi o godziny pracy; podczas każdej przerwy na kawę lub posiłek każę przegrodzić canoa i zaglądam do środka, a jeśli pojawi się duża bryłka, zatrzymuję pracę na resztę dnia.

Złoto jest wszędzie. Podczas odgarniania małego obwałowania kamieni u stóp urwiska, w miejscu, gdzie nawet nie pracowaliśmy, Jimmy znalazł bryłkę o wadze siedemdziesięciu dwóch gramów: umacnia to mnie w przekonaniu, że trzeba zabronić wstępu nad rzekę komukolwiek podczas mojej nieobecności. Moje nurkowanie o świcie nadal przynosi bogaty plon. Dziś rano był najwspanialszy moment: znalazłem bryłkę o wadze czterystu dwudziestu gramów. Jest szeroka i płaska jak spodek, a wokół niej błyszczy mnóstwo punkcików, dwieście gramów w ziarenkach ważących od pięciu do dziesięciu gramów.

Na pamiątkę tych znalezisk zawiesiłem sobie na lewym przegubie pięć bryłek na złotym łańcuchu i nigdy nie zdejmuję bryłki pięćdziesięciogramowej, bardzo pięknej, o kształcie Ameryki Łacińskiej, którą noszę na szyi.

*

Czuję się dobrze. Od dawna już nie mam żadnych obaw co do obecności złota na moim terenie, a Barbaroja, który przychodzi regularnie w porze podniesienia canoa, ciągle nie może się z tym pogodzić; razem z Nizarem opowiadają sobie o Beta Madre, legendarnej żyłce złota. Co

do Nizara, to w głowie mu się przewróciło i regularnie irytuje mnie uwagami w rodzaju: to on pierwszy znalazł to miejsce, to dzięki niemu jestem tutaj itd. Któregoś wieczoru słyszę, jak lamentuje przed Jimmy'm:

– Ja zasiałem złoto, a Juan Carlos zbiera plon.

Tego już za wiele! Następnego dnia siedzi w dziurze z catiadorą. Spędza teraz dni w wodzie tam, gdzie łopata nie wystarcza, wydobywając około dziesięciu gramów dziennie, to jest swój sześciokrotny zarobek, i trzyma mordę na kłódkę. To złodziej i trzeba mieć na niego oko: siedzący na skale o niecały metr od niego Nicolas pilnuje go bez przerwy. Ta stała obecność i nowa praca dały mu do zrozumienia, że jest w niełasce; stale narzeka na swój los, ale odsyłam go do roboty. Początkowo miałem zamiar dać mu dobre stanowisko, ale jego codzienne przechwałki i w dodatku niedołęstwo zmęczyły mnie. Nie jest mi do niczego przydatny. Sądziłem, że jego trzydzieści pięć lat doświadczenia w górach będzie użyteczne, ale okazało się, że wiem więcej od niego: niech zdycha.

*

Barbaroja zaprosił mnie do siebie na kurczaka, wiem aż nadto dobrze, o czym chce ze mną rozmawiać. Po zobaczeniu takiej ilości złota umocnił się w przekonaniu, że powinien być lepiej ze mną negocjować: zdobędzie się pewnie teraz na odwagę i przedstawi swoje żądania. Mógłbym mu dać trochę więcej, ale wówczas nie byłoby powodu, żeby na tym poprzestał; ponadto suma, jaką płacę mu co miesiąc, jest już i tak wystarczająca jak na poziom życia w kraju, a do tego codziennie je i pije za darmo. Byłbym gotów pomóc mu założeniu pulperii, ale nie podwyższę ani o colona sumy ustalonej na początku. Moja gło-

wa w tym, żeby mu to dać łagodnie do zrozumienia.

Jak przewidywałem, po pięciu minutach gadki o pogodzie wylewa na mnie kubel swoich żalów. Do cholery! Co za dureń! Tym gorzej dla niego. Mam pod ręką polano i walę go nim mocno w kark, co sprawia, że pada na kolana. Po drugim uderzeniu ma już dość. Uderzenie wywołało spory hałas. Barbaroja leży bez ruchu. Tylko tego brakuje, żeby wykitował. Nie chcę go dotykać, żeby go ocucić, więc nie przychodzi mi do głowy nic innego niż nasiusiać mu na łeb. Ciągłe się nie rusza. Łapię menażkę, w której gotuje się zupa z kurczaka, i wylewam mu to na mordę: wrzątek robi swoje, ku mojej uldze drze się, jakby go obdzierano ze skóry. Biorę jego karabin i rozbijam kolbę o ścianę; potem, przy pomocy młotka, rozwalam zamek, łamię spust i kurek. Wychodzę z domu zostawiając go ciskającego się po podłodze: trochę mi smutno, zupa wyglądała na smaczną.

Po powrocie do domu siadam na swoim zwykłym miejscu przed pracownikami, którzy jedzą wszyscy razem.

– Chita, ty masz dobre stosunki z Barbaroja, pójdziesz do niego. Powiedz temu skurwysynowi, że nie chcę go tu więcej widzieć, ani nad rzeką, i w ogóle nie chcę go widzieć, żeby mi się na oczy nie pokazywał. Jak już tam będziesz, przynieś z powrotem żarówkę i kabel.

Następnie zwracam się do wszystkich:

– Od tej pory Barbaroja nie jest już naszym przyjacielem. Nie wolno mu tu przychodzić i nikomu nie wolno tam chodzić, jasne? Gdybyście widzieli jego świnię koło domu, wyrzucicie je, nie chcę tu bałaganu.

Wieczorem Chita, który widział Barbaroję, opisuje mi jego stan, co wywołuje ogólną wesołość.

Rano kiedy wszyscy jemy śniadanie, stwierdzam, że nie ma konia

Barbaroi: widocznie ten ostatni pojechał po gliniarzy. Zastanawiam się nad karą, jaką mu wymierzę, kiedy jeden z jego prosiaków wsadza łeb przez drzwi kuchenne. Wstaję i strzelam mu prosto w ryj, ku ogólnemu zaskoczeniu. Marcella wybucha śmiechem, ale obie grubaski są przerażone, bo na Osa zwierzęta chowają się na wolności i każdy szanuje własność swego sąsiada.

– Wypatroszcie go – mówię im – to prezent od Barbaroi.

– Ale nie umiemy!

– To się nauczcie, jest okazja. White, Chiche, Cunado, idźcie po deski, które zostały u Barbaroi, teraz należą do nas.

Prosiak jest tłusty i wieczorem mamy święto. Mięsa jest sporo, ludziom podoba się mój sposób robienia sprawunków. Są szczęśliwi, bo jutro i pojutrze, w sobotę i niedzielę, daję im pierwszy wolny weekend: mam lekką gorączkę i czuję, że zbliża się atak malarii. Jesteśmy w środku kolacji, kiedy pojawia się Tonio, jeden z synów Nizara, i podchodzi od razu do mnie.

– Dobry wieczór, Don Juan Carlos.

– Dobry wieczór, Tonio, co się stało?

– Paru ludzi przyплыnęło statkiem do Guerra: Herman Weinberg, Orlando Caracas i Pablo Garcia. Chcą żebyś wysłał ludzi z końmi, muszą je mieć dzisiaj, żeby mogli wejść jutro na górę, potrzebują też ludzi do ładowania sprzętu. I wszystko natychmiast.

– Ej spokojnie. Co to za historia? Możesz wracać na dół, jeśli chcesz, ale sam. Powiedz tym bałwanom, że wyślę im to wszystko jutro, ale o tej porze my odpoczywamy; dodaj, że tu się pracuje.

Następnego dnia nie czuję się zbyt dobrze, bolą mnie wszystkie mięśnie. Wysyłam przodem pięciu ludzi z dwoma końmi. Nicolas i ja wyruszamy na pozostałych dwóch wierzchowcach parę godzin później. Spotykamy całą grupę u stóp zbocza, facci obładowani są różnymi rzeczami jakby szli na piknik, a Omar niesie nawet na głowie telewizor. Herman i Orlando jadą konno. Ten ostatni umocował do siodła skrzynkę dynamitu. Trzeci facet, tłusciuch, którego przedstawiają mi jako księgowego, z trudnością idzie przez błoto i wyciera pot wielką chustką. Zatrzymują się nad rzeką, pijani ze zmęczenia, zanim w ogóle zaczęło się podchodzenie pod zbocze.

Wgląd tych trzech mieszczuchów, czerwonych i spoconych, stanowi kontrast z widokiem moich ludzi, kroczących szybko i bez wysiłku. Cała trójka ma na sobie krótkie dżinsy i wysokie buty, a Herman, który zatknął sobie za pas rewolwer, ma nawet ciemne okulary. Księgowy, Pablo Garcia, szybko zostaje w tyle, zatrzymuje się co dziesięć metrów. Później wyprzedzamy z kolei Orlando Caracasa, bardzo źle jeździ konno i w trudniejszym miejscu zaczyna powoli się zsuwać, uczepony swojej skrzynki dynamitu. Próbuje się wyprostować i woła o pomoc, ale ludzie wiedzą, co zawiera skrzynka, i zamiast mu pomóc rozbiegają się na wszystkie strony, zostawiając ładunek na drodze, i chowają się za drzewami. Nie ma żadnego niebezpieczeństwa, bo dynamit w ten sposób nie wybucha, ale nie mają zaufania. Orlando jest zaskoczony, po czym spada z głośnym pluśnięciem. Jest urażony: nigdy go tak nie potraktowano, jego, siostrzeńca prezydenta, i pomstuje na pracowników, którzy głośno się śmieją. Wściekły przywiązuje skrzynkę do grzbietu konia i wzięwszy go za uzdę idzie dalej pieszo.

Zostawiam jednego człowieka, żeby wskazywał im drogę, i idziemy dalej. Herman zadaje mi mnóstwo pytań, na które ledwo odpowiadam, bo nie mam teraz ochoty na rozmowy. Jest lepszym jeźdźcem od pozo-

stałych i udaje mu się dotrzymać nam kroku; na szczęście teren jest zdradliwy i podczas gdy jedzie dumnie kłusem, jego koń potyka się i przewracając się pociąga go za sobą. Spada najmniej dziesięć metrów wśród ogólnej obojętności; kiedy wstaje, jego okularów już nie ma i jest cały ubłocony. Uśmiewa się fałszywie, wsiada z powrotem na konia pod ironicznymi spojrzeniami pracowników. Po paru następnych razach traci swój dumny wygląd i jedzie dalej powoli i ostrożnie.

Korzystam z tego, by przyśpieszyć i uniknąć dalszych pytań. Nicolas, jadący obok mnie, bawi się doskonale i żartując dojeżdżamy do rancha na długo przed wszystkimi.

Z przyzwyczajenia idę rzucić okiem nad rzekę. Kiedy wracam, wszyscy są już na miejscu i robią wiele hałasu. Orlando siedzi w moim fotelu, proszę go, by wstał żebym mógł usiąść. Nie podoba mu się to, ale musi się ugiąć.

Herman, cały w uśmieszach, rozpoczyna kampanię zdobywania popularności. Podłączył telewizor i zabiera się do regulacji: jest ciągle w ruchu, robi dużo hałasu, ale bez większych efektów. Pracownicy patrzą z zainteresowaniem, wielu nigdy nie widziało telewizora i nowość ta ich fascynuje. Po godzinie Hermanowi nie udaje się z aparatu wydobyć nic poza szumami, i faceci zaczynają krzywo na niego patrzeć, niezadowoleni, że narobiono im fałszywych nadziei; czują, że najchętniej rozwaliliby mu telewizor na głowie. W końcu tracą wszelkie zainteresowanie i żądają muzyki.

– To dlatego, że nie ma anteny – mówi Herman. – Ty i ty, zamontujcie ją na dachu.

Nikt się nie rusza i moi ludzie wydają się rozbawieni tym małym grubasem, który tyle krzyczy. Zaczyna się denerwować i przychodzi mu z pomocą.

– Chiche, Cunado, idźcie to założyć, żeby zrobić temu panu przyjemność.

Herman siada obok mnie.

– To nie do wiary – mówi mi – wiedzą, że jestem twoim współnikiem, więc muszą mnie słuchać. Nie rozumiem, w jaki sposób dajesz sobie z nimi radę.

– Słuchaj, tu jesteś w górach, a nie w twoim biurze. Moi ludzie nie pracują dla zarobku, ale dlatego, że podoba im się atmosfera: szacunek i autorytet nie są dane z góry, trzeba je zdobyć. Jak dalej będziesz tak się do nich zwracał, to może ci się przytrafić coś nieprzyjemnego.

Uspokaja go to natychmiast i zmienia temat:

– A co ze złotem, dużo go jest?

– Mnóstwo!

– To pokaż.

– Później. Nie ma pośpiechu. Ile czasu zostaniecie?

– Dwa dni.

– To wystarczy aż nadto.

– O której zaczynasz pracę, żebyśmy mogli obejrzeć przedstawienie?

– Dzisiaj nie pracujemy, obiecałem im dwa dni odpoczynku. Może jutro popracują godzinę, żeby ci pokazać.

Jest rozczarowany i nalega.

– Jeden dzień by wystarczył, mam wrażenie, że strasznie ich rozpuszczasz: mięso na każdy posiłek, łóżko i materac dla każdego...

Wiesz, to tylko zwierzęta, nie są przyzwyczajeni do takich wygod.

Nadchodzący atak malarii męczy mnie i nie mam siły mu odpowiedzieć ani tłumaczyć mu przyczyn mojego postępowania. Ale uwagi do-

chodzą do uszu moich pracowników, którzy naprawdę zaczynają patrzeć na przybyszów spode łba. Ta trójka tutaj nie pasuje. Moi ludzie pracują ciężko, ale są przyzwyczajeni do swego rodzaju rodzinnej atmosfery, kumpli, którzy razem się wygłupiają, i takie traktowanie ich, chłopów, przez ludzi z miasta, którzy patrzą na nich z góry, razi ich bardzo.

Poza Nizarem, który gnie się w ukłonach, pracownicy po prostu ich ignorują. Nawet fizycznie przybysze są nieprzyjemni: przykro patrzeć na tych grubasów w szortach, na ich niezdrową i białą cerę.

– Co za szkoda, że musimy wchodzić w spółkę z takimi gnidami – mówię do Nicolasa, który podziela mój niesmak. – I pomyśleć, że tacy faceci rządzą krajem!

– Mimo wszystko sądziłem, że siostrzeniec prezydenta potrafi lepiej się zachować. Zauważyłeś, że chłopaki zniechcieli ich od pierwszego wejrzenia?

– To normalne, przyjechali tu jako zdobywcy. Dla ludzi Weinberg i Caracas nie znaczą nic, to tylko dwóch śmiesznych mieszczuchów, których najchętniej powiesiliby za nogi dla przyjemności, po prostu dla zabawy.

W tym momencie Herman przyprowadza mi trzeciego grubasa, z którym nie zamieniłem nawet słowa.

– Juan Carlos, przyprowadziłem ci Pablo Garcię do prowadzenia księgowości.

– Jakiej księgowości? Co to za historia?

– Chodzi o dokumenty, jakie robimy dla Malessy, no i dokumenty pracowników. Zrobimy spis, powiedz im, żeby się zgłaszali z dowodami osobistymi.

– Popelniasz błąd, nikt się na to nie zgodzi, ponad połowa tych face-

tów jest poza prawem i od czegoś ucieka: od alimentów albo wyroku. Nikt tu nie jest naprawdę czysty i nie zgodzą się, żeby ich nazwiska figurowały w prawniczych dokumentach.

– Ale musimy zrobić to zgodnie z przepisami, pomyśl, co by było gdyby zdarzył się wypadek.

– Sądzę, że wolą raczej takie ryzyko niż pójść do więzienia. Zresztą, zajmiemy się tym jutro rano, teraz jest pora posiłku.

– Nakryją nam osobny stół?

– Oczywiście że nie, tutaj jest jedna wielka rodzina: nie mamy takiej segregacji.

Pod koniec posiłku Herman wyciąga dwie butelki whisky. Trzeba oblać założenie kopalni, przywiozłem to dla nas.

– Świetny pomysł. Ej, chłopaki! Przynosicie kubki, Herman przywiózł nam prezent.

Podczas gdy zachwyceni gratką tłoczą się wokół mnie, widzę po minie Hermana, że serce go boli gdy musi dzielić się tą świetną whisky z robotnikami. Z zakłopotaną miną podchodzi do mnie Chiche:

– Czy to prawda, jak mi powiedział Herman, że jutro pracujemy?

– Na pewno nie, obiecałem wam dwa dni odpoczynku i będziecie je mieli. Popracujemy tylko trochę przez godzinę, żeby im pokazać.

Wieczór trwa i moi ludzie, szczęśliwi, że mają w perspektywie jeszcze jeden dzień odpoczynku, odprężają się wrzeszcząc. Obie butelki zostają szybko opróżnione, i wyciągam moje guarro z przemytu. Napęlam wszystkie szklanki po brzegi, pod zaintrygowanym spojrzeniem Hermana, który wacha swoją.

– Za kopalnię! Zdrowie!

I wypijam moją szklanę do dna, a za moim przykładem wszyscy pracownicy. Mają przelyk wypalony tym dziewięćdziesięcioprocentowym alkoholem i znoszą go doskonale. Orlando, który umie wypić, jest mimo to zaskoczony, zrobił się cały czerwony i krztusi się pod naszymi ironicznymi spojrzeniami. Herman wziął ostrożnie do ust tylko jeden łyk.

Napełniam szklanki i powtarza się ta sama scena. Po upływie pół godziny Orlando pasuje, pokonany przez zmęczenie i alkohol, i spada z ławy wśród kpin: stracił resztki swojej dumy i wybucha płaczem w pijackim smutku, mamrocząc słowa bez związku; jest żałosny.

Jimmy i Herman zaciągają go do łóżka. Nizaro i Jimmy odstąpili swoje Hermanowi i Orlando, a Pablo został przez chwilę na lodzie: w końcu zgodziło się dwóch ludzi, z lekkim ociąganiem, by jedno mu odstąpić.

*

Przed pójściem spać przychodzi do mnie Chita.

– Juan Carlos, odchodzę.

– Dlaczego?

– Nie mogę znieść tych dwóch grubasek, ciągle mi wymyślają, traktują mnie gorzej niż psa.

– Chyba nie pozwolisz, żeby takie dwie golonki weszły ci na głowę? Pogadamy o tym jutro.

Doszły mnie słuchy o kłótniach między Chitą a dwiema obrzydliwymi, ale nigdy nie przywiązywałem do tego wagi. Traktuję to jako kaprys i przestaję o tym myśleć. Nie czuję się dobrze i choć atak choroby nie jest zbyt silny, bolą mnie wszystkie kończyny. Marcella przy-

chodzi zrobić mi masaż: ma łapy jak nogi zapaśnika, i choć jestem mocno zbudowany, jej delikatna kuracja pozostawia mnie na wpół omdłego. Dom pogrążony jest w ciszy i już mam zasnąć, kiedy rozlega się donośne chrapanie. Nie ruszając się z miejsca wrzeszczę:

– Który dureń robi taki hałas?

– To Pablo – odpowiada Chiche.

– Obudź go, żeby przestał.

Po dziesięciu minutach chrapanie jest jeszcze głośniejsze.

– Chiche, dołóż temu durniowi, bo to źle się skończy.

Słysząc suche trzaśnięcie w twarz, po czym rozlega się okrzyk Pabla wśród wybuchów śmiechu. Po dalszych dziesięciu minutach wszystko zaczyna się od nowa: tym razem tego już za wiele.

– Chiche, White, Cunado, Miguel, Raphael i wszyscy, którzy nie śpią, zatłuczcie tego kretyna i wyrzućcie go na dwór.

Słyszę szarpaninę i stek przekleństw. Przypuszczam, że zepchnęli go z piętrowego łóżka: pod gradem uderzeń Pablo drze się rozpaczliwie.

– Uciszcie go, do cholery, albo wynoście się z tą zabawą na dwór. Na zewnątrz szamotanina trwa dalej przy akompaniamencie wrzasków i śmiechów, więc wyglądam przez okno. Oparty o parapet jestem świadkiem sceny rzadkiej piękności: wszyscy wyszli z domu i spuszczaają nieszczęsnemu księgowemu solidne manto. Czterech trzyma go za ręce i za włosy, podczas gdy pozostali walą gdzie popadnie. Najpierw odbywa się to trochę nieskładnie, bo każdy chce wykazać się gorliwością, ale wkrótce wprowadzają porządek i zaczynają pracować metodycznie: ustawiają się jeden za drugim i czekają grzecznie na swoją kolej, po czym każdy wali go parę razy w łeb i wraca na koniec kolejki. Oczy się zamykają, nos i usta pękają, zdają sobie sprawę, że zrobili się

ostatnio bardzo silni; wkrótce Pablo przestaje krzyczeć. Wyraźnie widać, że nie spodobała się im jego wyniosła postawa i sposób, w jaki z nimi rozmawiał, więc teraz dają mu to poznać, i to z jaką radością! Herman wyszedł na dwór, próbuje uspokoić ich wrzeszcząc, ale nie ma odwagi podejść. Dostrzega mnie w oknie i woła:

– Juan Carlos, zrób coś, zabiją go!

– Ostrzegałem cię, że są twardzi. Nie śpią dużo, a Pablo im przeszkadza, nic na to nie poradzę.

Ale ponieważ zaczynam się obawiać, że rzeczywiście mogą go wykończyć, interweniuję:

– Dobra chłopaki, starczy. Idźcie go położyć u Barbaroi i wracajcie spać.

Biorą go za ręce i nogi i biegiem niosą do Barbaroi. Zaledwie otworzyli drzwi, jednym zamachem wrzucają go do środka bez zbędnych ceregieli: przedstawienie skończone, idę spać.

Może się to wydawać trochę dziwne, ale też co za pomysł, żeby tak głośno chrapać? Na śniadanie Pablo się nie pojawia. Marcella przychodzi mi powiedzieć, że zamknął się u Barbaroi i odmawia wyjścia.

– Twarz ma całą fioletową i stracił dwa zęby – mówi śmiejąc się. Miła jest ta gruba. Niczego się nie boi i wszystkie wygłupy ją bawią. Ale nie zapomniałem, po co przyjechali tutaj moi współnicy, i prowadzę wszystkich nad rzekę.

Wychodząc znajduję gówno o parę metrów od drzwi. Jaka świnia mogła się tutaj zesrać? Na pewno nie któryś z pracowników, bo nauczyl się szanować swoje otoczenie. Orlando był zbyt pijany i narobił w spodnie, mało jest prawdopodobne, żeby to był Pablo. Domyślam się, że to ta świnia Herman, który przestraszył się węży i nie miał od-

wagi iść aż do ustępu.

Nad rzeką moi ludzie szybko zajmują stanowiska, ja siadam w fotelu bujanym, a tamte dwa grubasy na pniu drzewa. Po trzech godzinach przerywam pracę, obiecałem ludziom dwa dni odpoczynku i chcę dotrzymać słowa. Poza tym nie mogę znieść widoku tych dwóch, którzy rozsiedli się beczynnie, to obniża morale grupy. Moi ludzie działają jak zegarki, ale każdy ma swoją godność: to, że siedzę i ich pilnuję, jest rzeczą normalną i powszechnie przyjętą, ale te dwie świny nie zrobiły niczego, żeby na to zasłużyć, i uważam za poniżające dla moich ludzi, że muszą przed nimi pracować.

Odsyłam wszystkich do domu i podnoszę canoa: pokaz jest udany, a dnie leży jakieś dziesięć gramów. Herman i Orlando nie wierzą własnym oczom, widzą złoto po raz pierwszy i są podnieceni, oglądają bryłki i porozumiewają się wzrokiem.

Wyjaśniam im, że miejsce jest bogate, i przedstawiam możliwości pracy; z trudem przychodzi im zdać sobie sprawę, że mają pod stopami legendarną żyłę i że trzeba oczyścić miliony ton materiału skalnego. Powoli jednak dociera do nich, jak wielki prezent im zrobiłem, nie posiadają się z radości i w ich oczach zapala się płomień gorączki złota: kiedy wracamy na rancho, wróciła im już duża część poprzedniej pewności siebie, którą utracili.

– Słyszałem, że miałeś problemy z Barbaroją – mówi mi Herman. – Jeśli chcesz, usuniemy go. Wystarczy załatwić fałszywe oskarżenie, zajmę się tym i posadzą go na dwadzieścia albo trzydzieści lat, to łatwe.

– I podłe.

– Nie, nie cierpię tych metod dla tchórz, walczę uczciwą bronią i nie stosuję niełojalnych środków: poza tym lubię sam płacić swoje rachunki.

Wyczuł moje obrzydzenie i próbuje to nadrobić zmieniając temat.

– Popatrz – mówi, grzebiąc w swoich rzeczach – przygotowałem papiery, które mogą ci pomóc. Dobrze by było, żebyśmy ściśle współpracowali, myślę, że taka kopalnia powinna być prowadzona w sposób uporządkowany, a w tym mogę ci wiele pomóc.

Daje mi plik dokumentów: są to, na kartkach z nadrukiem Malessy, zestawienia godzin pracy, przepisów i innych głupot, podpisanych przez niego. Co ten dureń sobie wyobraża? Nie jesteśmy w jego biurze w San José. Chyba nie sądzi, że wywieszę takie bzdury? I w dodatku podpisane przez Hermana Weinberga, który tutaj jest nikim i nie ma żadnych praw. Rzucam plik na stół.

– Panowie, Herman przywiózł nam sraj-papier, i to ładny, z rysunkami.

Daję mu znak, by poszedł za mną, i idziemy do mojego pokoju.

– A teraz popatrz, co zrobiłem w ten mój nie uporządkowany sposób i bez twoich rad.

I opróżniam skrzynkę na łóżko. Jest oszołomiony widokiem, bierze w palce bryłki jedną po drugiej powtarzając:

– To niemożliwe, to niemożliwe.

Następnie wraca nieco do siebie ze stanu osłupienia, w którym po-grążony był przez kilka cudownych minut, i pyta podniecony:

– Ile tego jest?

– Siedem kilo, grubasku, praca jednego miesiąca.

Nie mówi już nic i podziwia to bogactwo rozłożone na łóżku. Są-dzę, że nie ma już wątpliwości co do skuteczności moich działań.

– No dobrze, ja wywiązałem się ze swojej części umowy. Teraz wa-

sza kolej. Co się dzieje z dokumentami i koncesją?

– Nie martw się o to, zajmujemy się tym, potrzeba przecież na to czasu.

– Przestań bredzić! To nie może nam uciec sprzed nosa, nie możemy żałować środków. Kto jest odpowiedzialny za uzyskanie koncesji? Tu jest dosyć, żeby ją kupić. Dajcie mu dziesięć albo dwadzieścia tysięcy dolarów, jeśli trzeba, ale nie traćcie czasu. A propos, co z moim zezwoleniem na pobyt? Załatwiłeś sprawę mojego paszportu?

– Pracujemy nad tym. Są procedury prawne, których nie można uniknąć. Zrobimy cię prezesem towarzystwa bananowego, które mamy w Panamie, żeby ułatwić postępowanie.

– A moje zezwolenie na broń?

– Zajmujemy się tym, ale...

– Po prostu nic nie zrobiliście!

– Ależ Juan Carlos, nie bierz tego w ten sposób! W każdym kraju na świecie, nawet tutaj, bardzo trudno jest zalegalizować broń, która ma spiłowany numer fabryczny, są w tej sprawie przepisy.

Wolę nie ciągnąć tej rozmowy, ten facet denerwuje mnie. W tej sytuacji muszę im zaufać.

– Dobra, teraz liczę na was w sprawie maszyn. Niedługo praca ręczna stanie się niemożliwa, bo skała schodzi coraz głębiej, za dużo czasu zajęłoby zrywanie warstwy ziemi. Poza tym nie mogę narzucać ludziom takiego tempa pracy dłużej, niż trzy miesiące, bo załamią się w końcu: potrzebuję zezwolenia na pracę z maszynami jak najprędzej.

– Myślałem już o tym, i mam dla ciebie niespodziankę: zleciłem naszemu najlepszemu mechanikowi opracowanie maszyny, która będzie jednocześnie zasysać i wyrzucać strumień wody. To tajny prototyp,

przetestujemy go tutaj, a potem wprowadzimy go do sprzedaży.

Nie palę się zbytnio do tego typu rzeczy. Są w handlu doskonałe pompy ssące, a ja nie przyjechałem tutaj, by się bawić w wynalazcę. No, ale Herman wydaje się bardzo pewny swego mechanika, który według niego jest najlepszy w Kostaryce...

Ustalamy, że przyśle mi traktor na gaśienicach z zamontowaną łyżką do wybierania wierzchniej warstwy ziemi i żwiru.

Ważymy złoto. Jest tu sześć kilo osiemset pięćdziesiąt trzy gramy w bryłkach. Oddaję mu je i zatrzymuję drobne ziarenka na pokrycie działania kopalni.

Trzymaj to w bezpiecznym miejscu, podzielimy się po moim powrocie w grudniu, po odjęciu kosztów.

W momencie przekazywania mu złota dostrzegam nagle wyraz zwątpienia na jego twarzy, wygląda tak, jakby czegoś nie był pewien. Jestem przekonany, że ta gnida zastanawia się, czy nie zatrzymałem części dla siebie, i wkurza mnie to.

– A teraz posłuchaj mnie. Oddaję ci wszystko bez żadnego dokumentu czy pokwitowania. Więc nie próbuj sztuczek, nie macie wiele do roboty, korzystajcie z tej szansy, jaka wam spada z nieba, ale powtarzam, bez sztuczek.

– Możesz się nie obawiać – odpowiada mi ze swoim szerokim uśmiechem – za bardzo cię potrzebujemy. Tylko ty potrafisz osiągnąć takie wyniki, byłeś fantastyczny.

I dalej znowu wstawia mi swoje wazeliniarskie refreny i komplementy. Jest to zawsze przyjemne, ale w ustach takiego hipokryty naprawdę brzmi zbyt fałszywie.

Następnego dnia odjeżdżają. Pablo pojawił się wreszcie i schodzi

pieszo. Herman, któremu pożyczyłem mego konia, robi nam przedstawienie samotnego jeźdźcy: stojąc w strzemionach daje nam na pożegnanie szerokie znaki ręką. Jeszcze raz ostrzegłem go przed odjazdem i patrzę jak oddala się zadowolony, ale i zamyślony.

Herman sprawiał wrażenie dobrze poinformowanego o życiu obozu, wiedział już między innymi o sprawie Barbaroi, o bójce w Sierpe i o innych szczegółach, o których wiedzieć nie powinien. Nie jest to ważne, ale przeszkadza mi. Wołam Jimmy'ego.

– Herman zadał ci dużo pytań?

– Nie, praktycznie nie rozmawialiśmy.

Dzielię się z nim moimi spostrzeżeniami.

– Zapewniam cię, że nic mu nie mówiłem. Wiem, co można, a czego nie należy mówić, i nie mam zwyczaju zdradzać.

Wierzę mu. W takim razie ktoś inny w zespole ma za długi język...

*

Muszę teraz ponownie wziąć ludzi w garść. Te dwa dni prawie waka-cji i obecność tamtych kretynów miały fatalne skutki dla wydajności pracy. Kiedy dzienna zmiana gotowa jest do wyjścia, podchodzi do mnie Chita.

– Don Juan Carlos, postanowiłem już, odchodzę.

– Jesteś tego pewien?

– Tak, nie mogę już znieść córek Nizara i nie jestem tu lubiany.

Staram się go jakoś przekonać, bo jak dotąd byłem z niego całkowicie zadowolony i lubię go. Ale nikt nie jest niezbędny. Ze względu na jego dobre zachowanie płacę mu, wbrew wcześniejszym ostrzeżeniom.

– I dokąd teraz pójdziesz?

– Do Barbaroi. Znam się teraz trochę na złocie i pomyślałem sobie, że założę z nim spółkę, bo ma doświadczenie.

– Uważaj, jeśli będziesz z nim, będziesz podlegał tym samym zasadom. Nie wolno ci się tu pokazywać ani nad rzeką. Zgoda?

– Zgoda.

Odchodzi.

*

Minęły dwa dni i zapomniałem o nim. Jestem nad rzeką i podnoszę canoa, jest pora wieczornego posiłku i odesłałem ludzi na kolację. Przy mnie zostali tylko Jimmy, White, Chiche i Nizaro. Nadzoruję operację, kiedy dostrzegam Chitę, który zbliża się do nas. Jak zwykle ma obnażony tors i w ręku trzyma maczetę.

– Chciałbym z tobą porozmawiać, Juan Carlos.

– Nie masz tu nic do roboty, skurwysynu, spieprzaj!

– Jako pilnujący domu Barbaroi mam prawo...

– Masz prawo zwiewać stąd, i to szybko.

– Myślisz, że się ciebie boję – mówi podnosząc maczetę.

Tu już posunął się za daleko. Wyciągam rewolwer i wskazując na murek celuję w nogę i strzelam. Kula rozrywa mu spodnie na wysokości kolana. Na jego twarzy maluje się osłupienie, potem strach, kiedy dociera do niego, że właśnie do niego strzeliłem: wypuszcza maczetę i ucieka biegiem, ogarnięty paniką. Potyka się, przewraca, wstaje: jest przerażony. Dosłownie leci w powietrzu, oczekując na drugą kulę, która go zabije, i wreszcie udaje mu się przebiec te czterysta metrów dzielące

go od lasu. Kiedy po tym beżładnym biegu znika wśród drzew, z pewnością pobije wszelkie rekordy szybkości.

Przez pięć minut nikt się nie odzywa i praca przebiega w milczeniu. Potem odprężamy się i zaczynają się żarty. Kiedy w godzinę później wracamy do domu, wszyscy oczekują nas z uśmiechem. Widzieli jak Chita, bardzo dumny, wchodził do lasu pomimo przestróg Marcelli, potem usłyszeli strzał i zobaczyli, jak wylatuje z lasu biegnąc jak wariat. Samo opowiadanie o tym rozśmiesza ich do łez. Podobno był cały we krwi w wyniku licznych upadków w czasie panicznej ucieczki przez las.

Po posiłku zauważam, że ludzie są jakby spięci. W końcu wyciągam z nich wyjaśnienie: Chita zagroził, że zatruje wodę i podpali rancho. Widziano, jak przygotowywał pochodnię. Są przestraszeni, dom zbudowany jest z liści i drewna i może spłonąć w ciągu minuty. Wiedzą też, że mam pod łóżkiem skrzynkę dynamitu i niektórzy odmawiają pójścia spać. Moim zdaniem są to tylko pogrożki i przechwałki faceta, który nie chce stracić twarzy, ale choć wątpię by chciał je wprowadzić w czyn, muszę uspokoić ludzi.

Kiedy kieruję się w stronę rancho Barbaroi, z pudełkiem naboí w ręku, stoją na progu domu i obserwują mnie. Strzelam w dach i wzywam Chitę, by wyszedł porozmawiać. Ponieważ nie odpowiada, głośno ostrzegam go, by zapomniał o swych planach zemsty. Następnie, by nadać wagi swoim słowom, siadam dokładnie naprzeciwko i faszeruję dom kulami. Zaczynam od drzwi, które rozlatują się od jednego strzału, po czym przenoszę ogień na ściany. W huku wystrzałów każda kula Magnum 357 wrywa kawałek deski. Kiedy przestaję, pudełko z pięćdziesięcioma nabojami jest puste i cały front domu jest w żałosnym stanie. Biedny Chita, mam nadzieję, że miał czas gdzieś się

schronić. W całkowitej ciszy mówię ludziom, że mogą iść spać.

*

Następnego dnia Chita znika. Nigdzie nie można go znaleźć i sędzę, że w panice postanowił uciec. Zdaje się, że nadeszła chwila porachunków, bo pracujemy od kilku chwil, kiedy Manolito przybiega ostrzec mnie, że właśnie przyszedł Barbaroja z gliniarzem. Rzeczywiście, po paru minutach nadchodzą. Siedząc w fotelu bujanym widzę, jak się zbliżają. Barbaroja wygląda na pewnego siebie i szerokim gestem pokazuje gliniarzowi rzekę. Tego ostatniego nie znam, to młody facet, około dwudziestu pięciu lat, z twarzą, której usiłuje nadać twardy wyraz, pełen wiary w prestiż swojego munduru.

– Julio Cortes, z brygady w Sierpe – mówi, salutując po wojskowemu. – Czy Don Juan Carlos?

– Co pan tu robi? Nie mówiono panu, że to posiadłość prywatna? Moja odpowiedź zbija go z tropu. Odchrząkuje i próbuje uzyskać przewagę.

– Przychodzę w sprawie skargi senora Gerarda. Dzieją się tu rzeczy bezprawne, widziałem, w jakim stanie jest dom. Do czasu wydania wyroku przez sąd będę musiał zatrzymać prace.

Wstaję i podchodzę do niego, przewyższam go co najmniej o głowę.

– Co będziesz musiał zatrzymać, pacanie?

Pracownicy przerwali robotę i otaczają nas, roześmiani. Nagle gliniarz czuje się trochę osamotniony i zdaje sobie sprawę, że wymóc przestrzeganie prawa w dżungli to nie to samo, co w mieście: mundur nie wystarcza tutaj, by mieć autorytet. Zaczyna się jąkać:

– No, tak powiedziałem, ale może moglibyśmy porozmawiać o tym

spokojnie.

Rzuca nienawistne spojrzenie na Barbaroję, który wciągnął go w tę pułapkę.

– Może tak będzie lepiej, bo jak dalej będziesz za dużo gadał, wsadzę cię do dziury.

Zachwyceni obrotem sprawy pracownicy zaczynają skandować: „Do dziury! Do dziury!” Biedny gliniarz rozumie, że całkowicie przestał panować nad sytuacją, i stara się ratować skórę.

– Przepraszam, nie wiedziałem. Ja tylko robię to, co mi każą: może dano mi fałszywe informacje, to on mnie przyprowadził.

Wskazuje na Barbaroję, który widząc, na co się zanoszą, cofa się i stara się dyskretnie ulotnić.

– Łapcie go – mówię do ludzi – i przyprowadźcie mi go tutaj!

Zanim zdołał zrobić jeden ruch, Barbaroja schwytywany przez dziesięć rąk, już stoi przede mną, drżąc ze strachu. Odwracam go i wymierzam mu wspaniałego kopa w tyłek. Porwani moim przykładem chłopcy używają sobie i z widoczną przyjemnością prześcigają się w kopniakach. Barbaroja wyrывa się, zostawia im w rękach strzępy koszuli i ucieka. Ludzie wracają do gliniarza, który czuje, że i dla niego może się to źle skończyć.

– Macie rację – mówi – dobrze zrobiliście, że daliście mu nauczkę: to kłamca, napiszę o tym w swoim raporcie. No dobrze, muszę już iść, droga jest długa.

– Ależ nie, masz czas, posiedź chwilę z nami, odpręż się – mówię, biorąc go za ramię i zmuszając, by usiadł.

Pracownicy zaczynają poszturchiwać go lekko i strącają mu czapkę do wody. Wszyscy mieli do czynienia z prawem i nienawidzą mundu-

ru. Poza tym w Kostaryce gliniarze nie mają żadnego przygotowania, bo zmieniają się bez ustanku: są gliniarzami tak jakby byli murarzami, a po paru miesiącach robią co innego. Kilka przyjaznych klepinięć w tył głowy całkowicie pozbawiło go animuszu.

– Don Juan Carlos – mówi do mnie poważnie Cunado, najbardziej zboczony w całym zespole – White i ja uważamy, że ma miłą mordę, chcielibyśmy go wypierdolić, możemy?

To całkiem zabawny pomysł. Gliniarz robi się zielony, a Cunado gładzi go po włosach. Waham się chwilę, zanim odpowiem, żeby się trochę podenerwował.

– Nie, to byłoby nieładnie. Nie trzeba mieć zbyt wielu stosunków z prawem. Zostawcie go już, ma długą drogę przed sobą.

Dosyć już tych żartów, nie chcę, żeby to zaszło za daleko: gliniarz mógłby sobie przypomnieć, że ma broń.

Ściska mi dłoń, przeprasza, dziękuje, jeszcze raz podaje mi rękę i odchodzi szybkim krokiem, szczęśliwy, że udało mu się wymigać takim kosztem, z przemoczoną czapką w dłoni.

Kiedy wracamy w południe, chłopaki są jeszcze podniecone.

– Prosiaka, prosiaka! – wołają.

Gonią prosiaki, łapią dwa i przyciągają je na sznurkach przywiązanych do nóg. Przychylam się do ogólnego żądania i zabijam jednego, a po chwili namysłu jeszcze drugiego: w końcu to Barbaroja nam stawia.

Wieczorem ucztujemy. Oba prosiaki leżą na stole w częściach. Dziękuję, Barbaroja!

Don Nizaro załamał się. Od kilku dni bez przerwy pracuje z catiadorą pod czujnym okiem Nicolasa. Wczoraj wyciągnął bryłkę o wadze osiemdziesięciu dwóch gramów: zaledwie pojawiła się w catiadorze, Nicolas wyrwał mu ją z rąk, żeby mi przynieść: taki brak zaufania na pewno go zmartwił. Dziś rano, kiedy wszyscy zbierali się do wyruszenia nad rzekę, poprosił mnie po długich wahaniach na rozmowę na osobności i w końcu wybuchnął płaczem:

– Nie ufasz mi, Don Juan Carlos, czuję to: a przecież jestem gotów wszystko dla ciebie zrobić.

Staruch płaczący mi w kamizelkę bez żadnej godności irytuje mnie bardziej niż rozczula, jego łzy napawają mnie obrzydzeniem.

– Ależ nie, nie martw się, nie ufam nikomu, tak samo tobie, jak i innym: do roboty, dosyć straciliśmy czasu.

Po dziesięciu minutach znowu pracuje z catiadorą odczuwając ból w krzyżu, i sędzę, że już niedługo sam odejdzie. Biedak, oprócz własnych kłopotów musi być jeszcze nieźle zaniepokojony zdrowiem swoich córek...

Trzeba powiedzieć, że straciłem dla rodziny Nizara wszelką sympatię: ludzie ci dobre serce biorą za słabość. Kiedy moi pracownicy chodzili do Guerra, zatrzymywali się na posiłki u żony Nizara, i rachunek, jaki gruba wystawiła na koniec, okazał się nieco przesadzony. Dzięki mnie budują sobie dom, i zamiast być mi wdzięczni, ciągle zawracają mi głowę. Nie mogę już znieść dwóch obrzydliwych, utyły jeszcze w sposób wręcz nieprzyzwoity, to już staje się wulgarne. Ich otyłość przeszkadza mi i niepokoi, to wygląda na chorobę.

Dlatego postanowiłem, przy współudziale White'a i za pomocą środka przeczyszczającego przyniesionego przez Jimmy'ego z Palmar, zająć się nimi troskliwie. Jest to środek dla zwierząt, a dawki, jakie im

serwuję od kilku dni, byłyby odpowiednie dla słonia. Pierwszych kilka razy Jimmy i White dosypali go dyskretnie do ich żarcia, skutki były katastrofalne i sędzę, że przepowiednia Chity wkrótce się spełni. W ciągu paru dni cera obu grubych zmieniła się na zielonkawą.

Zaniepokojony ich niezdrowym wyglądem każdego ranka daję im filiżankę naparu, którego skład pozostawiam waszej domyślności, nadal dyskretnie każę dosypywać lekarstwo do ich jedzenia. Spędzają swój czas w ubikacji: co dziesięć minut jedna albo obie jednocześnie, pchane strumieniami gówna dążącego do wolności, biegną do sracza. Biegną, to pewna przesada, bo przeszkadzają im ich wielkie dupy i potrafią tylko komicznie kołysać się z boku na bok, z zaciśniętymi pośladkami, starając się iść jak najszybciej: w miarę upływu czasu stają się coraz chudsze – robią postępy. Pracownicy narzekają, że kibiel jest stale zajęty przez jeden z tych dwóch worków gówna, który właśnie się wypróżnia, i komentują, śmiejąc się, ich nagłe starty w kierunku latryny oraz prawdziwe koncerty najróżniejszych dźwięków, jakie stamtąd dobiegają: widok grubej śpieszącej do lub z kibla stał się już częścią krajobrazu.

Z zapadniętymi policzkami i woskową cerą przemieszczają się teraz wydzielając stały odór gówna, zapach całkowicie zgodny z ich zewnętrznym wyglądem. Marcella, która dzieli z nimi pokój, słusznie się skarży, to prawdziwa zaraza. Kiedy na powszechne prośby zamierzam je wyrzucić, oznajmiają mi swoje odejście, co będzie zresztą trudne, bo praktycznie nie wychodzą z kibla. Wyruszają w końcu, po ostatniej filiżance naparu, z zaciśniętą dupą i wśród kpin. Max towarzyszy im, niezbyt zachwycony. Wraca późno, ze względu na konieczność licznych przystanków w drodze; ale, zauważa, nie sposób już się zgubić: wystarczy iść za smrodem.

Mój zakaz napastowania kobiet w obozowisku oraz powyższa historia spowodowały wzrost akcji La Puty: dowiaduję się bowiem stopniowo o jedynej historii miłosnej w obozowisku.

Nasze cztery konie nazywają się Pingon (Wielki Kutas), Huevon (Wielkie Jajo), Cabron (Sukinsyn) i La Puta (Kurwa).

Ta ostatnia jest jedyną kłaczą, to właśnie szkapa, którą sprzedał mi Demesio. Ma bardzo długą grzywę, czarne obwódki oczu i faktycznie przypomina starą dziwkę. Odpowiedzialnym za stan zwierząt jest Barbas, dawny gliniarz z Guacanaste, poszukiwany za gwałt na nieletnich: poza tym, że pierdzi, ma obsesję seksualną. Dawno zauważyłem, że pozostali żartowali sobie z niego, nazywając La Putę jego narzeczoną, ale nie zwracałem na to uwagi.

Całą sprawę wyjawia mi w końcu Marcella. Odkąd La Puta znalazła się w obozie, Barbas rżnie ją regularnie; miałem rację powierzając mu opiekę nad końmi, bo naprawdę je kocha.

Cunado, dawniej pokojowy w burdelu, wpisuje się niebawem na listę kochanków, ku wielkiej radości La Puty, jak sądzę, bo natura obdarzyła go członkiem imponujących rozmiarów: pozostali ochrzcili go Trzy Łapy.

Teraz już co najmniej dziesięciu pracowników rywalizuje o względy kłaczy, której najwyraźniej bardzo to odpowiada: biorąc pod uwagę jej podeszły wiek, jest to dla niej całkiem nieoczekiwana okazja. Faceci zorganizowali się i nawet skonstruowali specjalny stołek, żeby stać na odpowiedniej wysokości. White, były alfons, próbował też wejść w spółkę z Barbasem, żeby pobierać opłatę za te chwile odprężenia, ale zrezygnował, kiedy zagrożono mu, że sam zajmie miejsce kłaczy.

Bardzo rozbawiła mnie myśl o małych Ticos stojących na stołku w trakcie wściekłego rżnięcia, więc nie interweniuję: ryzyko konfliktów

z zazdrości jest tu niewielkie, a jak długo nie ruszają mojego konia...

Poza tym La Puta nie protestuje: moim zdaniem to ona ich pode-rwała. Wieczorami widzę, jak faceci kierują się w stronę łąki z szerokim uśmiechem na ustach, trzymając w jednej ręce stołek, w drugiej laso. Rozmawiają o tym otwarcie i o ile Barbas jest dumny z tego, że miał ją pierwszy, to Cunado chwali się, że on jeden doprowadza ją do rzenia.

*

Nadal dokonuję moich porannych zbiorów, kopalnia nie szczędzi mi swoich prezentów: czterdziestego drugiego dnia znajduję bryłkę o wadze trzech i pół kilo, kawałek złota wielkości dłoni. Nie wiem, jakie jeszcze czekają mnie niespodzianki, ale jestem pewien, że mam najbogatszą kopalnię w Kostaryce.

Największa bryłka znaleziona na Osa ważyła pięć kilo, nie pobiłem jeszcze rekordu, ale wiem, że gdzieś tutaj, schowane pod moimi stopami, leżą jeszcze większe, i że znajdę je: to tylko kwestia czasu.

Czekam teraz z niecierpliwością na nadejście maszyn, ożywiony nie tylko pragnieniem zwiększenia wydajności, ale także poznania możliwości kopalni i wielkości, jaką osiągną znajdowane bryłki.

*

Cztery dni temu Jimmy wyruszył z czterema ludźmi do Palmar, aby przejąć skidder, rodzaj ciągnika gąsienicowego z łyżką z przodu, który został tam przewieziony ciężarówką przez mechanika. Z Palmar pojadą nową drogą, budowaną w dżungli przez rząd z Piedras Blancas do Rincon. Na razie jest to tylko błotnista droga długości trzydziestu kilome-

trów, trochę szersza niż inne, ale traktor pomyślany jest do transportu drewna w lesie i powinien przejechać dzięki gąsienicom. Później, z Rincon do Vanegas, droga jest łatwa, bo teren jest płaski i wykarczowany. Prawdziwe trudności zaczną się, kiedy ekipa dotrze do odcinka Vanegas – Rancho Quemado. Szlak stanowi tam jedynie wąska ścieżka wijąca się wzdłuż górskich grzbietów; nie jechał tam nigdy żaden pojazd mechaniczny. Traktor będzie musiał sam torować sobie drogę. Faceci zabrali ze sobą łopaty i łomy, a mechanik ma przywieźć piły mechaniczne.

Jest noc, kiedy Jimmy wraca, twarz ma zmęczoną i jest cały ubłocony.

– Co, Jimmy, gdzie ciągnik?

– Zarył się w błocie przy przeprawie przez rzekę akurat naprzeciwko Demesia, pięć kilometrów stąd. Od rana próbujemy go wyciągnąć, ale woda zalewa silnik, i nie może ruszyć ani do przodu, ani do tyłu.

– Dobra, odpocznij, zajmiemy się tym jutro, wszyscy razem. Zostawię kogoś do pilnowania?

– Tak, wszyscy pozostali na miejscu, ale chcieliby, by ich ktoś zmienił, nie spaliśmy dużo przez ostatnie noce.

– OK, Eduardo, Raphael, Ramon, bierzcie koce i idźcie spać przy traktorze. Przyślijcie tamtych do domu. Weźcie to na wypadek, gdyby wam było zimno – mówię, podając im butelkę guarro.

Kiedy się oddalają, Jimmy opowiada mi przebieg wyprawy.

– Było łatwo, w ciągu jednego dnia dotarliśmy do Vanegas. Ale potem zrobiło się strasznie ciężko. Przejazd z Vanegas tutaj zajął nam trzy dni, bez jedzenia, prawie bez snu. Musieliśmy ścinać drzewa, przenosić pnie, zasypywać doły, wariacka robota. Poza tym skidder ma zbyt małą

moc, żeby pokonywać ostre wzniesienia, musieliśmy niektóre objeżdżać. Wszystko jakoś się udało, ale tym razem naprawdę się zablokował.

Następnego dnia wszyscy się zbierają, rozdają narzędzia.

– Jimmy, każ osiodłać trzy konie i przywiąż La Putę do swojego, po drodze zamienimy ją u Demesia.

Posłałem mu już list, żeby przypomnieć, że zobowiązał się ją wymienić, ale dotąd się nie pokazał. Po usłyszeniu tej zapowiedzi chłopaki naradzają się, po czym Barbas, Cunado i Max przychodzą do mnie:

– Don Juan Carols, naprawdę chcesz oddać La Putę?

– Tak, jest za stara i nie może nic nosić.

– Ale my ją lubimy, jeśli ją zatrzymasz, to zobowiązujemy się sami nosić więcej rzeczy, jak będziemy wracać z Guerra.

Ach, potęga miłości!

– Zgoda – mówię śmiejąc się – powiem Demesowi, żeby nam dał innego albo żeby zamienił na klacz.

Moje romantyczne usposobienie nie pozwala mi przerwać tego uczucia.

*

W godzinę później docieramy do skiddera. Widok robi wrażenie. Musieli wybrać najgorsze miejsce i ciągnik prawie zakryty jest błotem. Jest to maszyna produkcji rosyjskiej, imponujący potwór przystosowany do przewożenia drewna w śniegu. Zastanawiam się, skąd się mógł tutaj wziąć. Przypomina czołg bez wieżyczki: dwie ogromne gąsienice, na których zamocowana jest platforma z wyciągarką; z jednej strony okratowana kabina, a na samym przodzie szeroka łyżka do oczyszczania

drogi. Platforma załadowana jest towarami: worki cementu do wykończenia domu, dwa kanistry benzyny i mnóstwo najróżniejszych drobiazgów; pośrodku dziwaczna kupa złomu: tłoków, pasów i rur pozespawanych, całość pomalowana na żółto: czyżby Herman przysłał nam nowoczesną rzeźbę do dekoracji rancha?

– A to co ma być? - - nie mogę się powstrzymać i pytam mechanika.

– To właśnie maszyna – odpowiada z dumą.

Przyglądam się temu bliżej: poza dwoma kołami po bokach, niczego nie potrafię rozpoznać. Całość przywodzi na myśl potworny rezultat skrzyżowania kombajna zbożowego z najnowszym modelem otwieracza do konserw.

– I to działa?

Mechanik wygląda na urażonego moim sceptycyzmem.

– To ja ją wynalazłem i skonstruowałem.

A więc to on jest słynnym mechanikiem, najlepszym w całej Kosta-ryce. Miejmy nadzieję, że jest lepszym wynalazcą niż kierowca, ale na razie trzeba wyciągnąć ciągnik z tego bagna, musi wyjechać na tylnym biegu. Kilku ludzi rozładowuje platformę, podczas gdy inni tną gałęzie i pnie drzew, które podkładamy pod gaśienice. Następnie znoszą pale i wbijają je mocno w ziemię, aby przymocować do nich łańcuchy od przyciągarek.

Kiedy wszystko jest gotowe, mechanik siada do kabiny i włącza silnik. Wspomagany łańcuchami i gałęziami skidder cofa się o metr po kilku próbach. Następnie trzeba przerwać i zmienić umocowanie łańcuchów, przenieść bale drzewne i zacząć od nowa. Traktor jest dziesięć razy za ciężki: bale pod gaśienicami zamieniają się w wióry. Po pięciu

godzinach ciągnik jest wolny. Posłałem ludzi na rancho, żeby przynieśli kawę. Robimy przerwę gdy spostrzegam, że całej operacji przygląda się jeden z synów Demesia, naszego nieuczciwego handlarza końmi. Wołam go.

– Powiedz ojcu, żeby tu przyszedł. Mamy parę spraw do załatwienia.

– Ojca nie ma – odpowiada chłopak z uśmiechem. – Pojechał do Jimenez dwa dni temu i wraca za tydzień.

– To nieprawda – mówi Cunado. – widziałem go rano jak niosłem kawę, schował się za domem i patrzył, jak przechodzimy.

– Dobra, skoro nie chce z nami współpracować, to obsłużymy się sami.

Wołam Jimmy’ego.

– Chcesz zrobić sobie przyjemność? Weź White’a i Chiche i jedźcie konno do Demesia. Wybierzcie tam najładniejszego konia i przyprowadźcie go, czas wyrównać rachunki. Tylko bez rozróby, jesteś odpowiedzialny.

Zachwyceni gratką wszyscy trzej odjeżdżają galopem. Każę rzucić dziesięć pni drzewnych w dół rzeki, gdzie błoto nie jest takie głębokie, i tym razem skidder przejeżdża rzekę bez przeszkód. Jesteśmy gotowi do odjazdu, kiedy wracają nasi jeźdźcy, uśmiechnięci, a każdy trzyma za uzdę nowego konia.

– Dobrze poszło?

– Najpierw podjechaliśmy dyskretnie, żeby z dala obserwować, gdzie są konie. Ale nic nie było widać, więc w końcu mieliśmy dość i galopem pojechaliśmy na podwórze. Były trzy konie; nie wiedzieliśmy, którego wybrać, więc wzięliśmy wszystkie. Zostawiliśmy tylko

jakaś starą szkapę, pewnie matkę La Puty.

– Doskonale. Żadnej reakcji?

– Jak przyjechaliśmy na podwórze, byli tylko synowie i sąsiad, próbowali ukryć konie. Jak je zabraliśmy, Demesio wyszedł z domu z rewolwerem za pasem. Krzyczał, że nie ukradniemy mu ich, i groził, że będzie strzelał, ale nic się nie stało. Natomiast powiedział, że zabrania ci przychodzić do niego i że jeśli się tam pokażesz, to źle się to skończy.

– Dobrze, złożymy mu grzecznościową wizytę – mówię do ludzi, którzy przysłuchują się opowieści. – Przeprowadzimy nawet drogę przez jego teren, będzie krócej do Quebrada del Frances. Naprzód!

*

Skidder rusza. Wszyscy włączają na niego, poza Innocente i Danielem, którzy nigdy nie widzieli takiej maszyny i są przerażeni. Na płaskim terenie ciągnik zachowuje się wspaniale, wyrывa wszystko na swojej drodze: korzenie, kopce ziemi, i szybko jesteśmy w pobliżu domu Demesio. Pierwszy płot rozlatuje się i skidder zatrzymuje się pośrodku podwórza. Widok jest imponujący: siedzę w kabinie; z tyłu na platformie siedzi dwudziestu roześmianych pracowników; koło nas galopuje eskorta sześciu jeźdźców. Gotów do reakcji, gdyby Demesio miał złe zamiary, wrzeszczę:

– Demesio, wychodź, chcę z tobą mówić.

Ponieważ nikt nie odpowiada, sądzę, że ukrył się w jakiejś dziurze.

– Jazda, dalej – mówię do mechanika.

– Którędy?

– Prosto, tędy przebiega nowa droga.

Rozwalamy stodołę, kurnik pada pod gąsienicami wśród gdakania drobiu. Potem przychodzi kolej na kilka budynków pomocniczych, niepotrzebnych i nieestetycznych.

Korci mnie dom, ale zostaje uratowany przez dwóch chłopców, których przerażone twarze dostrzegam w oknie.

Kiedy odwracam się po rozniesieniu w proch drugiego płotu, stwierdzam z zadowoleniem, że dzięki moim zabiegom cywilizacja zmieniła oblicze tego kraju; postęp dotarł nareszcie do zagrody Demesia.

*

W tym nastroju cywilizacyjnej euforii dojeżdżamy do obozu, niszcząc wszystko na swojej drodze. Dostrzegam kurnik Barbaroi. Do czego może służyć kurnik bez kur? Parę minut później nie szpeci już krajobrazu.

– Dom! Dom! – krzyczą podnieceni pracownicy.

Nie waham się długo. Odkąd Chiche, bardzo zadowolony ze swego dowcipu, poszedł nasrać do butów Barbaroi i naszczał mu do łóżka, używam tego domu jako osobistej ubikacji, i zaczyna tam być brudno. Ale polityka spychacza nudzi mnie już trochę, trzeba to trochę urozmaicić: wspomagany przez Chiche, który uwielbia dynamit, przywiązuję dwanaście lasek do głównego słupa i zakładam siedmiominutowy lont; pracownicy schronili się na rancho i patrzą przez okna. W hałasie przypominającym koniec świata dom Barbaroi wylatuje w powietrze: dach wzlatuje pod niebo, podczas gdy ściany rozsypują się po okolicy; dom otworzył się jak kielich kwiatu nad ranem i kiedy dym rozwiewa się, leży tam już tylko mała kupka słomy i desek. Podkładałam w odpowiednie miejsce zapalnik i ogień uwalnia nas raz na zawsze od sąsiedztwa Barbaroi.

Nareszcie mamy dobry widok i czuję się lepiej; nigdy nie lubiłem natłoku podmiejskich domków. Tylko szopa Barbaroi znajduje uznanie w moich oczach, bo zawiera stos desek, które odtąd należą do mnie. Upewniam się, że już nic nie zostało do oczyszczenia, i prawie żałuję, że nie ma już obu grubych. Myśl o szopie kusi mnie troszeczkę, ale wyniesienie wszystkich desek zaprzęściłoby spontaniczność naszej zabawy; trudno, trochę powagi, znajdę sobie inne rozrywki.

*

Po południu wypróbujemy skidder: moc tej nowej zabawki ciąga mnie, ciągnik przenosi wiele ton skał w dziesięć minut, ale w jedenastej spada zeń gąsienica. Mechanik jest zaskoczony.

– To się nigdy nie zdarza – mówi zawstydzony. – Na logikę to nie ma prawa się zdarzyć.

– Tutaj, stary, logika jest inna. To nie jest zwykły plac budowy, to Osa.

Po godzinie awaria jest naprawiona, ale w pięć minut później druga gąsienica idzie w ślady pierwszej. W jakiś czas potem łamie się tłok mechanicznej łyżki, co już zupełnie pogrąża naszego mechanika. Nie wiem, gdzie wystrasznęli tego rupiecia, ale naprawdę nie można polegać na tych bałwanach. Zaczynam się zastanawiać, czy podłożyć pod maszynę dynamit, zrzucić ją do jaru czy może kazać ją zjeść kawałek po kawałku temu mechanikowi, kiedy nadchodzi jakiś facet twierdzący, że mieszka w Vanegas, i wręcza mi list. To wiadomość od Hermana Weinberga, jest w Vanegas z Urebą. Do tej miejscowości jechali landrowem po śladach skiddera, ale boją się jechać dalej, bo już jedną noc spędzili zaryci w błocie. Są unieruchomieni i grzecznie proszą, żeby im przysłać konie.

Chętnie bym ich zostawił tam, gdzie są, ale tak czy inaczej dzień roboczy diabli wzięli, więc równie dobrze można pojechać po nich: Herman będzie miał okazję poznać przydatność swego sprzętu.

– Jimmy, osiodłaj cztery konie. Jedziemy po Hermana i Urebę do Vanegas. Miguel, weź płaszcz przeciwdeszczowy, jedziesz z nami.

Pozostawiam obóz pod opieką Chiche i piętnaście minut później jesteśmy w drodze do Vanegas. Dzięki przejazdowi skiddera można już na całej trasie nie zsiadać z koni. Galopujemy cały czas, ale jest już ciemna noc kiedy docieramy do pulperii w Vanegas, gdzie przy kuflu piwa siedzą obaj grubi.

Herman, jak zwykle, ma rewolwer u boku, Ureba zaś nadał sobie groźny wygląd i zatknął za pas nóż, który ledwo widać zza wielkiego brzucha.

– Cieszę się, że cię widzę – mówi Herman – mam w samochodzie koce, możemy tu spać bez problemów.

– Kto ci mówi o spaniu? Przyprowaździłem konie dla wszystkich: wsiadajcie, Miguel pójdzie za nami pieszo.

Apure patrzy na mnie wytrzeszczając oczy.

– Ależ to szaleństwo – mówi – przecież nic nie widać. To niebezpieczne, tu są węże, można zabłądzić i ...

– Słuchaj, grubasie, nie mam zamiaru pozostawiać kopalni bez nadzoru; jeśli chcesz jechać, to teraz. Jak nie, to możesz czekać w Vanegas na powrót Hermana.

– Nie, nie, jadę! Ale jak ja to zrobię, nigdy nie jechałem konno! Nie bój się, po prostu siadasz na konia i on cię już prowadzi. Chcesz, żeby cię przywiązać?

Po paru piwach wyjeżdżamy. Konie są zmęczone po całodziennym

galopie i idą powoli. Ureba, którego ciężar wykańcza konia, szybko zostaje z tyłu, daleko, pomimo jego protestów. Słysząc, jak krzyczy:

– Zaczekajcie! Poczekajcie na mnie, bądźcie kolegami, zgubię się. Poczekajcie no!

Jego skargi brzmią komicznie w ciemnościach, pomału odległość zwiększa się i zatrzymujemy się, żeby na niego poczekać. Kiedy do nas dojeżdża, jest zielony ze strachu, szczeka zębami i nie mówi już słowa.

Docieramy w pobliże domu Demesia, i zauważam, że panuje tam życie. Około dziesięciu ludzi krząta się wokół ogniska, na środku podwórza. Demesio produkuje alkohol na przemysł i od czasu do czasu ludzie z wioski Rancho Quemado przychodzą do niego się napić. Są już zdrowo pijani i niektórzy leżą na ziemi.

Widok ognia, który wydaje się wydobywać z dżungli, oraz wrzeszczących i zataczających się ludzi robi dosyć duże wrażenie; Herman i Ureba, którym opowiedziałem o moich zatargach z Demesiem, czują się nieswojo. Kiedy Ticos są trzeźwi, mają łagodny charakter; ale pijani są zdolni do wszystkiego. Demesio mógł ich podburzyć po moim ostatnim przejeździe. Ureba wzdraga się przed przejechaniem koło nich, grozę mu, że go tu zostawię, więc w końcu jedzie z nami; zresztą nie mamy wyboru, to jedyna droga.

Wjeżdżam w krąg światła z rewolwerem w rękę; Herman, którego ręka lekko drży, również wyciągnął broń. Z naszym pojawieniem się zapada cisza, ale nikt nie reaguje, przejeżdżamy przez farmę bez przeszkód. Znikamy już w ciemności, gdy słyszymy pierwszy krzyk facetów, którzy zdążyli ochłonać z osłupienia; dopóki będą tylko krzyczeć...

Jemy wszyscy śniadanie koło dziewiątej. Herman i Ureba, wycieńczeni nocnym wysiłkiem, poprosili, żeby mogli pospać trochę dłużej, a nie chcą, żeby moi ludzie pracowali podczas gdy inni odpoczywają. Korzystam z tego, by przyrządzić na swój sposób zabite rano dwa białe króliki Barbaroi.

Mamy właśnie wyruszyć nad rzekę, gdy na drodze pojawia się grupa około dwudziestu ludzi, idących w naszą stronę.

– Widzę faceta w ciemnych okularach – mówi Jimmy. – To Barbaroja.

– Dobrze, idź po broń do schowka i rozdaj ją właścicielom. Powiedz im, żeby nic nie robili bez mojego rozkazu.

Pracownicy przyszli do mnie praktycznie wszyscy uzbrojeni. Ze względów bezpieczeństwa, zakazałem posiadania broni na terenie obozu, wszystko zostało złożone do schowka w lesie. Od czasu pierwszych odwiedzin policji kazałem też wybudować specjalną skrytkę, wodoszczelną i zamaskowaną – tylko trzech spośród nas wie, gdzie się znajduje – na trawkę i kokainę.

W pewnej odległości nowo przybyli zatrzymali się i wygląda, że się naradzają. Kiedy ruszają ponownie, dostrzegam dwa mundury, pozostali są w cywilu. Nikt nie mówi słowa, kiedy zbliżają się. Rozpoznaję Villanuewę, porucznika – komendanta posterunku w Jimenez, któremu regularnie płacę, a za nim jego zastępcę, który brał udział w moim arestowaniu w Cerro de Oro. Obok Barbaroi idzie facet z miasta, dobrze ubrany. Z tyłu postępuje piętnastka facetów, to ludzie z półwyspu, o zakazanych mordach. Gabino wskazuje mi czterech członków rodziny Vargas, o której już słyszałem. To czterej bracia, kumple Barbaroi i podobnego pokroju ludzie; działają wspólnie, kiedy trzeba rozwiązać jakiś problem przy użyciu siły. Nazwałem ich Braćmi Dalton. Wszyscy

są uzbrojeni, mają groźne miny i gotowi są do akcji.

Villanueva podchodzi do mnie i przedstawia się po wojskowemu, udając, że mnie nie zna:

– Dzień dobry panom, jestem porucznik Villanueva, moim zadaniem jest pilnowanie porządku na półwyspie. Który to Don Juan Carlos?

Podaję jego grę.

– To ja.

– Dobrze, jestem tutaj na prośbę senora Gerardo. Czy moglibyśmy porozmawiać na osobności?

Podczas gdy faceci schodzą z koni, prowadzę Villanuewę do kuchni. Kiedy tylko znikamy tamtym z oczu, traci swój sztywny sposób bycia i ponownie staje się przyjazny i uniżony. Szybko wyjaśnia mi sprawę.

– Przykro mi, Barbaroja złożył dziesiątki oficjalnych skarg, trzeba powiedzieć, że miałeś ciężką rękę. Przyszedłem osobiście, żeby mieć kontrolę nad wydarzeniami i pomóc ci. Barbaroja jest przerażony i nie chce już tu mieszkać, wynajął adwokata, to ten mały, który mu towarzyszy; przyszli tu pertraktować i poprosili swoich kumpli, żeby ich osłaniali. Ja sam mam bronić tego skurwiela Barbaroi, a przede wszystkim utrzymać spokój. Mimo wszystko uważaj na tych facetów, ale się nie bój, będziemy mieli tych skurwysynów.

Wygląda na to, że naprawdę zależy mu na comiesięcznej kopercie.

Kiedy wracamy, atmosfera jest napięta. Przybysze zgromadzeni są przy wejściu, pilnowani przez moich ludzi, którzy nie spuszczaają z nich oka. Wyjaśniani Hermanowi sytuację w paru słowach, po czym mówię do Barbaroi i jego adwokata, żeby przyszli pogadać do mojego pokoju. W chwili, kiedy wchodzimy do pokoju, rozgrywa się komiczna scenka.

Herman prosi mnie, żebym nie zostawiał go samego z Barbaroją, a ten odmawia wejścia, jeśli porucznik nie będzie nam towarzyszył; dobrała się grupka odważnych mężczyzn! Gwałtowność moich pierwszych reakcji przeraziła go i przysłuchuje się naszej dyskusji w milczeniu. Na początku nic nie mówię, pozostawiając Hermanowi i jego adwokatowi, jako ludziom od papierów, wynegocjowanie porozumienia. Doradca Barbaroi nabrał pewności siebie, to facet z San José, ma posiadłość na Osa, młody dureń świeżo po szkole, który wierzy jeszcze w prawo. Jest zapewne jedynym uczciwym człowiekiem w kraju, przynajmniej na razie. Mówi stanowczym tonem:

– Tego, co pan zrobił, nie da się nazwać. Jest pan w demokratycznym kraju i fakt, że jest pan cudzoziemcem nie zwalnia pana od obowiązku przestrzegania prawa.

Jest zdecydowanym szowinistą i rozpoczyna gwałtowną diatribę przeciwko gringos i przemocy, jaką praktykują, opowiada o szkodliwym wpływie Europejczyków.

Widok tego, co zostało z domu Barbaroi, oraz stanu jego hodowli, ograniczającej się teraz do jednej krowy i jednego kurczaka, który jest zbyt nieufny, wprowadził go w osłupienie i rozwścieczył.

– Dlaczego ośmielił się pan spalić dom?

– Bo mi przeszkadzał i spodziewałem się, że senor Barbaroja mi go sprzeda. Ponieważ jestem jedynym możliwym kupcem, uznałem się za przyszłego właściciela tego terenu i oczyściłem go.

– A rzeczy osobiste mojego klienta, jego meble?

– Co do tego, to zapewniam pana, że nikt ich nie ruszał, wszystko jest tam gdzie było – mówię, wskazując na kupę popiołu leżącą w miejscu, gdzie stał dom Barbaroi.

Moja ironia zbija go z tropu i złości, choć nie ośmiela się zbytnio wściekać.

Villanueva wtrąca się, żeby go uspokoić.

– Trzeba zrozumieć Don Juana Carlosa, nie jest tutejszy i nie zna wszystkich przepisów prawnych naszego kraju, trzeba wziąć pod uwagę to, że pochodzi z innego kontynentu, gdzie zwyczaje są inne.

Adwokat w końcu rozumie, że pozostaje mu tylko próbować załatwić jakoś sprawę i ratować to, co się jeszcze da.

Żąda dwóch milionów colonów za teren Barbaroi. Herman, szczęśliwy, że dyskusja schodzi na mniej niebezpieczne tory, jest prawie gotów się zgodzić. Proponuję dwieście tysięcy colonów i pozostają nieugięty: kopalnia prawnie do mnie należy i nie może stanowić przedmiotu żadnej transakcji.

– Jeśli dobrze zrozumiałem – mówi adwokat – ziemia ta jest bardzo bogata, więc cena nie wydaje się wygórowana.

– Och, pan się myli! Kto mówi o kupnie kopalni, skoro jestem jedynym właścicielem? Barbaroja nigdy nie eksploatował podziemnych złóż, nigdy przedtem nie było tu kopalni, transakcja ta nie ma nic wspólnego z nią: chodzi jedynie o kupno ziemi, na której wybudowałem swój dom. Teren ten wynająłem od Barbaroi na mocy wzajemnego porozumienia; jeśli chce go sprzedać, proponuję mu dwieście tysięcy colonów i ani grosza więcej, to dziesięć razy tyle, ile jest wart.

Dyskusja trwa, ale pozostają nieugięty. Od czasu do czasu rzucam okiem na Barbaroję, który natychmiast pochyla głowę, najwyraźniej pragnąc znaleźć się gdzie indziej.

Kiedy wstaje, żeby rozprostować nogi, Barbaroja podskakuje i nagle zdaje sobie sprawę, do jakiego stopnia jest przerażony. Nie wygląda

dobrze, od ostatniego razu bardzo schudł, kłopoty nie służą mu.

W sąsiednim pokoju atmosfera jest bardzo napięta: dwie grupy obserwują się w milczeniu, oczekując na wynik naszych rokowań. Ureba siedzi na łóżku i ogryza paznokcie aż do krwi, z lękiem zadając sobie pytanie, po co wpakował się w tę historię i jak to się skończy. Za każdym moim pojawieniem się zarzuca mnie pytaniami i zwraca mi głowę swoimi tchórzliwymi radami; przeżywa zapewne najtrudniejsze chwile swego życia i zapominał nawet o jedzeniu. Jest już bowiem najwyższy czas, żeby coś zjeść, i kazałem przynieść oba króliki do pokoju, w którym trwa dyskusja; zaprosiłem Urebę, żeby do nas dołączył.

– Nie jestem głodny – mówi mi – jestem zbyt zdenerwowany. Nie poddawaj się, wszystko będzie dobrze. Mnie się raczej wydaje, że w każdej chwili może wybuchnąć strzelanina. To mi odbiera apetyt.

– Szkoda, przejdą ci koło nosa najlepsze króliki, jakie kiedykolwiek porządzono na Osa.

– Chyba nie podasz Barbaroi jego własnych królików?

– Oczywiście, że tak! Zdaje się, że bardzo je lubi, niech skorzysta ostatni raz.

Przez ten czas w świetlicy obie grupy zasiadły do stołu naprzeciwko siebie: każdy szybko połyka, pilnując spod oka faceta po drugiej stronie, po czym wszyscy wracają na swoje miejsca.

Około jedenastej wieczór osiągamy porozumienie, inaczej mówiąc adwokat w końcu ustępuje: kupujemy teren za dwieście tysięcy colonów, płatnych w kilku ratach miesięcznych.

Ponieważ nie ma jeszcze dokumentów spółki, teren kupiony jest na nazwisko Hermana Weinberga, nie podoba mi się to, ale nie ma innego wyjścia.

Barbaroja jest zadowolony i odczuwa ulgę, była to jego ostatnia próba i nie spodziewał się aż takiego wyniku: zdawał sobie sprawę, że kantował i przegrał.

Noc już zapadła, więc proponuję adwokatowi, który zrezygnował już ze swej wyniosłej postawy i zachowuje się przyzwoicie, by spędził tutaj noc. Odmawia jednak, najpierw pod pretekstem nawału pracy, ale w końcu wyznaje mi prawdziwą przyczynę:

– Rozumiesz – mówi z zażenowaniem – przy twojej reputacji musiałem się zabezpieczyć. Uprowadziłem moją rodzinę i przyjaciół, że jeśli nie wrócę do wieczora, mają zawiadomić policję i przyjść tu po mnie. Nie gniewaj się, nie miej mi tego za złe, ale nie wiedziałem, jak jest naprawdę, a Barbaroja wyglądał na tak przerażonego! Wszyscy boją się przyjść do Quebrada del Frances.

Odchodzi w otoczeniu swojej eskorty i kumpli Barbaroi, ku rozczarowaniu moich pracowników, którzy już byli gotowi stoczyć regularną bitwę. Barbaroja idzie spać do swojej szopy, pod jedyny dach, jaki mu pozostał. Dwaj gliniarze zbierają się, by mu towarzyszyć, więc proponuję im, by zostali na noc na rancho.

– Dziękujemy, Don Juan Carlos, ale musimy towarzyszyć seniorowi Gerardo.

Przechodzi parę metrów, po czym zawraca i przyznaje:

– Nie, żebym nie wołał twojej gościny, ale muszę ochraniać Barbaroję, zapłacił nam za to.

No, ten to naprawdę je z każdej ręki!

*

Rano Barbaroja próbuje zebrać resztę swego dobytku. Wiele mu nie

zostało: wszystkie jego prosiaki zostały zabite, łącznie siedemnaście, jego króliki i praktycznie wszystkie kury też poszły do garnka. Jedyne zwierzęta, które ocalały, to te, które uratował ich szósty zmysł i które wybrały życie na wolności w bananowym gaju. Pozostała tylko mleczna krowa; uwiązuje ją do swego konia, po czym wyrusza na poszukiwanie ocalałych zwierząt. Obaj gliniarze czekają na niego przy rzeczach, podchodzę, by z nimi pogadać. W czasie rozmowy przyglądam się krowie; ma sympatyczną mordę, i myślę o męce, jaka ją czeka, o długim trudnym zejściu do Vanegas. Lituję się więc nad nią i bez uprzedzenia pakuję jej kulę między rogi: przebiega ją dreszcz i pada. Obaj gliniarze patrzą osłupiali, po czym wybuchają śmiechem. Kiwam na moich pracowników.

– Poćwiartujcie mi to szybko.

Pięciu roześmianych facetów rzuca się na nią z maczetami i obdziera ze skóry w kilka minut. W tym momencie z bananowego gaju wyłania się Barbaroja, trzymając w ręku koguta. Widok stanowi dla niego mały szok: nic już nie ma na końcu sznurka, który zwisa z jego konia, a pięciu facetów pastwi się nad jego krową, jego piękną mleczną krową, mocnymi cięciami maczet, z rękami zakrwawionymi po łokcie, jeden ciągnie za ogon, drugi za nogę, a wszystko wśród wesołych pokrzykiwań. To naprawdę ciężki cios, widzieć krowę, która dawała mu mleko każdego ranka od lat, krajaną na kawałki przez tych krwiożerczych wariatów. Zwraca się do gliniarzy, którzy znów mają poważne miny, i prosi o pomoc. Villanueva podchodzi, na jego twarzy widzę wysiłek, jaki robi, żeby zachować powagę, kładzie mu rękę na ramieniu i zaczyna uroczystym głosem:

– Don Gerardo...

Po czym wybuchają śmiechem, nie potrafiąc się już dłużej powstrzy-

mać. Skręcając się ze śmiechu usiłuje wybełkotać jakieś przeprosiny, ale na próżno. Śmiech wzmacnia się, a Chiche dyskretnie podchodzi i przywiązuje głowę krowy do ogona konia Barbaroi. Ten ostatni, zupełnie już pokonany, osłania swojego ostatniego kurczaka ściskając go w objęciach, wsiada na konia i oddala się, nie odpowiadając na zaproszenie na obiad. Obaj gliniarze, ciągle się zaśmiewając, idą za nim; patrzę jak odjeżdża i myślę sobie, że już najwyższy czas, by opuścić to miejsce: byłbym w końcu zjadł mu konia na kolację.

*

Następnego dnia wszyscy idziemy nad rzekę, by wypróbować maszynę, jestem ciekaw zobaczyć, jak działa to żelastwo. Choć jestem nadal nastawiony sceptycznie, jej możliwości opisane przez mechanika wydają mi się cudowne, a ponieważ nie mam zdolności manualnych, jestem raczej skłonny wierzyć technikom: jeśli się okaże, że to działa, będzie można robić na trzy zmiany dziennie.

Kiedy dochodzimy do rzeki, Herman wygłasza przemówienie:

– Przyjaciele, od dzisiaj koniec z pracą ręczną. Przywiozłem wam postęp. Dzięki tej maszynie, opracowanej przez Jose i jedynej w swoim rodzaju, wasza praca będzie ułatwiona i dużo lepsza.

Jest cały podniecony i rysuje mi wielkie perspektywy, jakie widzi po wprowadzeniu tego wynalazku do produkcji. Pracownicy z entuzjazmem znoszą maszynę na dół, wśród śmiechów i krzyków. Nie obywa się bez trudności, bo urządzenie nie jest dostosowane do takiego terenu.

Kiedy Jose uruchamia maszynę, wszyscy patrzą z zainteresowaniem. Z jednej strony gruba rura ma zasysać wodę i materiał nośny, by wrzucić go do canoa, z drugiej dwie cieńsze rury zakończone są dwoma pi-

stoletami, przez które woda ma pod ciśnieniem kawałkować grunt i ułatwiać pracę łomów. Na pierwszy rzut oka jest to sprytnie pomyślane. Ale po dwugodzinnych wysiłkach maszyna prawie opróżniła dziurę z wody, wrzucając trzy kamyki do canoa; natomiast co do dwóch żalonych strumyczków, ciekących z rurek, to nie widzę, do czego mogłyby być przydatne, chyba że do umycia uszu.

Herman i Jose krzątają się cali spoceni wśród kpin pracowników, którzy stracili już wszelkie złudzenia. Jedyna w swoim rodzaju to ta maszyna jest na pewno! Co za kretyni ci poszukiwacze złota – amatorzy!

Herman usiłuje zachować twarz.

– Działa – stwierdza z nieszczerym uśmiechem, starając się przekrzyć hałas silnika. – Myślisz, że dasz sobie radę?

– Tak, oczywiście, zwłaszcza ucieszy się Marcella mając wodę pod ciśnieniem do zmywania naczyń.

Nagle pompa zacina się sama z siebie z głośnym zgrzytem maltretowanego metalu, moim zdaniem zdaje sobie sprawę z własnej bezużyteczności. Pracownicy ryczą ze śmiechu, otwarcie poszturchują Hermana i proponują mu, żeby odbył staż w dziurze, zanim zacznie się bawić w inżyniera. Uspokajam ich:

– Panowie, mogliście podziwiać cuda cywilizacji, a teraz wyrzucie mi to świństwo stąd.

– Masz jakiś pomysł, co z tym zrobić? – pyta Herman.

– Tak! Chłopaki, wyrzucie mi to gówno do jakiejś głębokiej dziury, bo szpeci krajobraz.

Ciągnąc, tocząc i niosąc maszynę doprowadzają ją na brzeg urwiska nad starym korytem rzeki, na dnie którego rozwała się po nieudanym

próbnyim locie.

Dwie minuty później ludzie są już w dziurze i ostro pracują, żeby nadrobić stracony czas; Eduardo podaje Hermanowi łopatę, ale ten udaje, że tego nie widzi; mechanik oplakuje swoje stracone złudzenia stojąc w wodzie po pas, z łomem w rękę, pilnowany przez White'a, który uczy go zasad działania maszyny prostej, jaką jest dźwignia łokcia.

W południe Herman, któremu pokazałem, w jakim stanie jest skidder, czuje się załamany i chce wracać tego samego dnia do San José. Przechodzę do spraw poważnych:

– No dobra, co z dokumentami?

– Sprawa jest na dobrej drodze. Jeśli chcesz, przywiozę ci je za tydzień albo dwa, i będziesz mógł je podpisać.

– Nie, nie, za kilka tygodni będzie Boże Narodzenie i chcę wrócić San José, zajmę się tym na miejscu. Wolę żebyście tutaj nie przyjeżdżali, to rozwala porządek dnia, tracimy czas i pieniądze. À propos, ile kosztowało całe to żelastwo?

– Piętnaście tysięcy dolarów za skidder, dziesięć za pompę. – To niemożliwe! Dwadzieścia pięć tysięcy dolarów wyrzuciliście na śmietnik, dosyć już tych idiotyzmów! Wypruwam tutaj z siebie flaki żeby wydostać forszę, że kopalnia jest bogata to nie znaczy, że wszystko trzeba mamować kumulując błędy. Nie zajmujcie się więcej sprawami wydobycia, dosyć już napsuliście do tej pory. Całe szczęście, że kopalnia dalej produkuje! Masz, popatrz tutaj. Podaję mu trzy- i półkilogramową bryłkę. Bierze ją, chwilę patrzy nie rozumiejąc, odwraca, obraca ją parokrotnie w dłoniach. Kiedy wreszcie dociera do niego, co trzyma w rękę, wydobywa z siebie ryk radości i tańczy dookoła pokoju całując bryłkę i ściskając ją w ramionach. Zaczynam się obawiać, czy nie przeżył zbyt mocnego szoku.

– Ją też mi dajesz? – pyta, kiedy wreszcie się trochę uspokoił.

– Oczywiście, nic z nią tu nie mogę zrobić, trzeba ją zabezpieczyć w San José.

Znowu zaczyna tańczyć, biega po całym pokoju; już mam mu przyłożyć na uspokojenie, ale dochodzi do siebie. Waży ją, po czym wyciąga dwie duże księgi i mówi mi, znów pełen entuzjazmu:

– Wiesz, myślę że to wielka rzecz, zbyt wielka. Trzeba podjąć środki ostrożności, żeby nie rozpełtały się emocje; wystąpienie o koncesję już zwróciło na nas uwagę, i boję się innych odgałęzień rodziny Caracas, które też są bardzo potężne. Proponuję, żebyśmy prowadzili dwie księgowości: jedną dla nas dwóch, z prawdziwymi danymi, która będzie tajna; drugą, w której będzie się zawyżało wydatki i zmniejszało produkcję, przeznaczoną dla różnych ciekawskich, bo dookoła pełno jest szpiegów. Co o tym myślisz?

– Jak chcesz. Ty lepiej znasz te szczury. Rzeczywiście, ładna rodzinka, odkąd poznałem synów, zastanawiam się, jaki musiał być ojciec; rób jak uważasz, ale przede wszystkim posłuchaj mnie: podpiszę ci wszystkie strony twojego zeszytu z góry, a ty więcej się tu nie pokazuj: zajmij się papierkami i bardzo cię proszę, nie przyjeżdżaj już tu bawić się w kowboja.

Odjeżdża urażony, nie spodobał mu się sposób, w jaki potraktowano jego mechanika i jego maszyny, a także jego osobiście. Zaufanemu człowiekowi potężnej rodziny Caracas trudno przychodzi przełknąć to, że jeden z jego dawnych pracowników otwarcie kpi sobie z niego. Ureba odjeżdża z ulgą: węże, dżungla i wczorajsze wydarzenia to dla niego za wiele, wygląda, że nawet schudł.

Zbliża się Boże Narodzenie i wszystko idzie dobrze. W ciągu trzech miesięcy wiele zmian zaszło zarówno wśród ludzi, jak i w samym obozowisku.

Wszędzie panuje wielka czystość, całkowicie wybetonowany i dobrze przewietrzony dom jest doskonale utrzymany. Pracownicy urządzili się jak u siebie, wielu z nich nigdy nie zaznało takich luksusów, są nawet tacy, którzy nigdy nie mieli dachu nad głową; w porównaniu z innymi zabudowaniami na Osa, jest to prawdziwy pałac. Chłopaki z własnej inicjatywy zdejmują buty przed wejściem do wewnątrz, sypialnia jest zawsze czysta, wymyta i wypastowana. To ich miejsce, wchodzi tam tylko wówczas, kiedy mnie zapraszają, kiedy nie są zbyt zmęczeni organizują tam swoje małe święta. Grają w karty o swoje zarobki, niektórzy przegrali już ponad dwie trzecie pensji w trakcie partii pokera, które ciągnę czasem z nimi przez całą noc. Zezwalam na alkohol, ale wszyscy wiedzą, że kac nie usprawiedliwia gorszej pracy... Chłopcy sami wykazują inicjatywę w utrzymaniu domu: pomału wyteplone zostały owady, a kiedy kolumna termitów zabiera się za jakąś ścianę, nie muszę nawet interweniować, sami dają sobie z nią radę. Bezpośrednie otoczenie domu zostało gruntownie oczyszczone, dżungla odparta i niebezpieczeństwo węży wydatnie się zmniejszyło: Ściany nasze bowiem zdobią wysuszone skóry stu dwudziestu dwóch gadów, a oprócz nich także innych zabitych zwierząt: cała kolekcja obejmuje wszystko, od małp do boa, i świetlica zaczyna wyglądać jak pawilon myśliwski.

Praca przebiega teraz w bardziej odprężonej atmosferze, choć ilość godzin nie uległa zmianie i warunki są nadal równie ciężkie. Każdy złapał swój rytm i przestałem się do tego wtrącać; jeśli przerywają na dwie minuty, żeby odetchnąć albo się wysuszać, szybko sami z siebie wracają na stanowisko.

Nastała pora sucha, jest bardzo gorąco i wejście do dziury przestało być nieprzyjemne. Ludzie wiedzą ponadto, że po Bożym Narodzeniu warunki polepszą się i że ci, którzy wytrzymali te trzy wariackie miesiące i wrócą, otrzymają uprzywilejowane stanowiska. Nadal strzelam nad głowami, z przyzwyczajenia, ale nie dostrzegam już charakterystycznego wyrazu twarzy faceta, który zamierza coś ukraść; pracują nie myśląc już o złocie, to znaczy bez pazerności, automatycznie. Mogę sobie pozwolić na chwilę nieobecności.

Któregoś dnia, kiedy tak się oddalam, słyszę nagle okrzyki radości unoszące się znad rzeki. Kiedy wracam, wszyscy pracują z szerokim uśmiechem i obserwują mnie spod oka.

– Gdzie jest złoto – pytam, domyślając się przyczyny ich radości.

– Tutaj – odpowiadają, wskazując palcami na urwisko.

Ze ściany oderwało się kilka kamieni, odsłaniając brzeg ogromnej bryły złota. Wszyscy ją zobaczyli, nikt jej nie ruszył, poczekali, aż przyjdę i sam ją wezmę.

Korzystam z takich chwil wytchnienia, by objeżdżać moja posiadłość na koniu: w planie mam urządzenie lądowiska dla samolotów.

Mam też przyjemność gościć u siebie inspektora gospodarki leśnej. Za pierwszym razem wyjaśnia mi, że nie miałem prawa ścinać ani jednego drzewa, ani karczować bez pisemnego zezwolenia, ale zgadza się przymknąć oczy na to, co już się stało. Za drugim razem zastaje dzunglę o pięćdziesiąt metrów dalej, niż poprzednio, i doznaje szoku na widok rozmiarów nieszczęścia; trzeba tu dodać, że mam dwóch pracowników prowadzących na stałe mały tartak. Obiecuję mu, że to się nie powtórzy, bo boję się, że serce mu nie wytrzyma. Za trzecim razem woli rozmawiać o czym innym, udając, że nie widzi setek naciętych desek.

Kiedy ścięte zostaje z hałasem ogromne drzewo, zapewne stuletnie, patrzy w inną stronę, i dalej rozmawiamy o ekologii. Oczywiście nie łudzę się, że przekonałem go do moich niszczycielskich skłonności, ale rancho jest w promieniu paru kilometrów jedynym miejscem, gdzie można wygodnie spać, i te drobne ustępstwa pozwalają mu uniknąć spędzenia nocy w dżungli.

Zawsze lubiłem zmieniać wszystko wokół siebie. W ciągu tych tygodni spędzonych w bujanym fotelu krajobraz wydatnie się poprawił: wszystko w tej zielonej dolinie rośło w sposób chaotyczny i archaiczny, moje żarliwe pragnienie zmian przekształciło ją w uporządkowaną pustynię z kamieni i błota. Jest teraz czyściej, przypomina to pejzaż na Księżycu; zamierzam jednak zasiać tu trawę.

Moi chłopcy nie skarżą się. Mają poczucie całkowitej bezkarności. Naruszali już prawo, ale nigdy tak otwarcie; tutaj mogą swobodnie palić i mieć wszystkich w dupie. Podbój dżungli, nasze zatargi z sąsiadami, stałe napięcie, wszystko to wytworzyło doskonałą zespołową solidarność.

Teraz są to mocni faceci, przenoszący bez wysiłku kamienie, których dawniej nie ruszyliby z miejsca. Przyzwyczaili się do wystrzałów, deszczu, błota, ciągłej pracy, wszystkiego, oprócz dynamitu. Za każdym razem kiedy zapalam lont, następuje bezładna ucieczka.

Któregoś dnia Chiche zrobił dla mnie imitację laski dynamitu, kawałek drewna zapakowany w brązowy papier z prawdziwym lontem. Bez uprzedzenia wrzuciłem go zapalonego do sypialni rano po zabawie, kiedy jakoś ciężko im było wstać. W dwie sekundy pokój był pusty, niektórzy wyskoczyli przez okna, inni, wspinając się po piętrowych łózkach, przeskoczyli między dachem a ścianami, bardzo niewiele pomyślało o drzwiach.

Mamy szczęście, że nie ma ciężko rannych: agregat prądowórczy ma już na swoim koncie trzy łuki brwiowe i komplet przednich zębów, ale nic więcej, i dzięki Bogu, bo nie mamy apteczki. Miguel, który przebił sobie stopę łomem, leczył się alkoholem z przemytu; częste z początku ataki malarii leczyliśmy aspiryną i w końcu ustąpiły.

Tylko brat Barbasa, Ramon, zasłużył na trochę opieki: wbijając gwóźdź spowodował odgięcie się ściany i spadł mu prosto na głowę trzymetrowy głośnik. Ramon przewrócił się z otwartą czaszką, wstał z wywróconymi białkami oczu i definitywnie stracił przytomność. Kazałem przenieść go do łóżka. Uznałem go za skazanego z powodu wylewu krwi do mózgu, a mieliśmy tylko aspirynę, by go leczyć. Komentarze, najpierw pełne współczucia, szybko przekształciły się w żarty: w miarę jak Ramon bladł coraz bardziej, każdy przypominał sobie, że był jego najlepszym przyjacielem i domagał się jego pensji; Barbas krzyczał najgłośniejszym głosem i jako jego brat wygrał sprawę, pozostali natychmiast przerzucili się na zakłady dotyczące szans przeżycia, a potem goziny śmierci.

Była to długa noc czuwania. Nigdy przedtem Ramon nie był przedmiotem takiego zainteresowania: co chwila ktoś szedł sprawdzić jego stan; niektórzy twierdzili, że umarł i trzeba było poszukiwać bardzo słabych oznak życia; w miarę upływu czasu spadały na niego obelgi przegrywających; pilnowałem, aby nikt nie oszukiwał. Ramon przebudził się następnego dnia w południe i miał już wówczas sporo rogów. Przyznałem mu prawo do jednego popołudnia wypoczynku.

*

Mieliśmy przyjemność odwiedzin grupy antyterrorystycznej podczas wizyty Ronalda Reagana w Kostaryce. Szliśmy właśnie nad rzekę, kie-

dy koło dwudziestu gliniarzy w panterkach wyskoczyło z zarośli i otoczyło rancho. Historia się powtarza, ale zauważyłem, że od czasu Cerro de Oro zrobiłem postępy, bo tym razem było ich dwukrotnie więcej.

Napięcie dosyć szybko opadło, kiedy zdali sobie sprawę, że mają do czynienia jedynie z niegroźnym obozowiskiem poszukiwaczy złota, ich dowódca wyjaśnił mi powód swego przybycia: używanie dynamitu i przesadne opowieści ludzi z Osa, którzy opisali nas jako obóz partyzantów dysponujących bronią ciężką; słuchy o tym doszły aż do uszu ministra bezpieczeństwa, którego wizyta Reagana wpędziła w paranoję.

Oficer wyjaśnia mi, że stoją gotowe do startu helikoptery pełne wojska na wypadek, gdyby pierwszy rzut został wybity.

Później miałem się dowiedzieć od Ureby, że radio zapowiedziało wielką operację mającą na celu likwidację obozu terrorystów; zmobilizowano do tego celu połowę sił zbrojnych na południu. Trzeba jednak powiedzieć, biorąc pod uwagę, jak zmęczeni dotarli na miejsce, wyczerpani niesieniem ciężkiego ekwipunku bojowego, że w starciu z prawdziwymi partyzantami nie wytrzymałoby długo.

Przy tej okazji dowiedziałem się, że złożono na nas niewiarygodną ilość skarg.

– Myślę, że jest w tym dużo przesady – mówi mi oficer – ale są skargi na kradzieże, przemoc, usiłowanie zabójstwa i gwałt.

– Gwałt? Oprócz La Puty naprawdę nie widzę, kto by tu jeszcze mógł być przetrzynięty!

– La Puty?

– Tak, dyżurna kobyła. Ale wątpię, żeby złożyła skargę, poza tym jest pełnoletnia.

Po sprawdzeniu okazuje się, że facet oskarżający nas o zgwałcenie je-

go żony nie był żonaty... Oficer zdaje sobie sprawę z bezpodstawności oskarżeń i rozumie, że jesteśmy spokojnym towarzystwem: zapraszam cały oddział na kolację i pijam ich guarro z przemytu. Na noc Chiche zaprasza ich do dawnego składziku Barbaroi. Odkąd przestał być używany, budynek ten został przejęty w posiadanie przez tysiące pcheł i nad ranem cała dwudziestka gliniarzy siedzi w rzece i pierze ubrania, a ich ciała są czerwone od ukąszeń, ku wielkiej radości moich ludzi. Odeszli tak jak przyszli, nie zrobili nawet rewizji na rancho.

*

Dzisiaj ostatni dzień pracy. Kończymy najtrudniejszą część, jestem naprawdę zadowolony z wyników osiągniętych w ciągu tych trzech miesięcy: świetny zespół, wygodne obozowisko, a przede wszystkim bardzo obiecująca kopalnia. Wydobyliśmy siedemnaście kilogramów złota pracując łopatami i łomami, przy czym oczyściliśmy tylko czterdzieści metrów sześciennych złotonośnego gruntu: to sukces przechodzący wszelkie oczekiwania.

Wraz z mającym wkrótce nastąpić wprowadzeniem maszyn przewidyuję wyniki nieproporcjonalnie większe. Czuję się jak potencjalny miliarder. Wiem jednak, że nic nie jest przesądzone, moi współnicy z ławotwością mogą mnie oszukać, a niestety, potrzebuję ich. Miejmy nadzieję, że nie będą na tyle głupi, żeby zabijać kurę znoszącą złote jaja. Ale i tak później, kiedy już wszystko będzie dobrze zorganizowane, będę musiał się pilnować.

Smutno mi, że musimy przerwać robotę, ale w okresie Bożego Narodzenia w tym kraju nikt nie pracuje. Nadchodzi pora wypłaty: większość pracowników wie, że zarobek ich zmniejszył się o połowę w wyniku długów, jakie zaciągnęli wobec spółki, są to albo długi z hazardu,

albo za zakupy, jakie Jimmy robił będąc w mieście. Ku ogólnemu zaskoczeniu wypłacam każdemu wszystko, plus premię; to normalne, wytrzymali i lubię ich. W ciągu tych trzech miesięcy zmienili się nie do poznania: White, były alfons, leń i złodziej, pracował po raz pierwszy w życiu; Eduardo, zawodowy garownik, nigdy przedtem nie spędził tak długiego okresu na wolności; Chiche, były doliniarz, nawet nie chce już patrzeć na złoto; Ramon, wiejski playboy, stracił wszystkie zęby przednie i połowę włosów z jednego boku; Jimmy, były sługus, jest szanowany przez pracowników. Barbas twardziel, Cunado Trzy Łapy, Miguel Indianin, wszyscy żegnają się ze mną zapowiadając powrót po Bożym Narodzeniu. Trzy miesiące wcześniej nikt nie potrafiłby tego przewidzieć. Pochowali swoje rzeczy osobiste do schowków, które porobili sobie w sypialni.

Radzę im spędzić święta Bożego Narodzenia na południu. Ich nowa sytuacja życiowa nie powinna im pozwolić zapomnieć, że większość jest poszukiwana. Sam zostaję jeszcze parę dni, oczekując na przybycie dwóch gliniarzy, obiecanych mi przez porucznika Villanuewę do pilnowania kopalni podczas mojej nieobecności. Nie obawiam się by ktoś przyszedł podkraść mi złoto, bo postarałem się o spowodowanie obsunięcia części urwiska w miejscu, gdzie znajduje się dziura, co wystarczy do odstraszenia amatorów. Bardziej się boję, by moi przyjaciele i sąsiedzi nie skorzystali z okazji i nie obrabowali i zniszczyli obozowiska. Porucznik przysłał nam swego własnego syna, w towarzystwie innego gliniarza. Po sporządzeniu inwentarza i wytłumaczeniu im wszystkiego, schodzę do Guerra z Jimmy'm i Marcellą. Nicolas jedzie do San José. Zatelefonował do René prosząc o przygotowanie dla nas super zabawy, na którą dobrze zasłużyliśmy po trzech miesiącach w dżungli: mam sześć kilogramów złota i jestem zdecydowany przepuścić z tego sporą część.

Kiedy przyjeżdżam do Palmar, René czeka na mnie w domu swego przyjaciela. Przywiózł wszystko, o co go prosiłem: pięciu członków orkiestry Mariachi przyjechało ciężarówką i są gotowi do rozpoczęcia zabawy; on sam przyleciał samolotem wraz z trzema protegowanymi mamy. Przywiózł też kokainę, jedzenie i skrzynkę francuskiego szampana. Tego właśnie mi potrzeba: w mieście spotkałem paru moich chłopców spitych podłym alkoholem i w objęciach miejscowych prostytutek, ale mnie potrzeba czegoś bardziej wyrafinowanego. Jeden z kuzynów Omara zostawił mi do dyspozycji swój dom, zamknę się w nim na dwa dni, aby smakować te wszystkie rozkosze, których dotąd mi było brak.

Urządziłem się w największym pokoju wraz z moimi trzema przyjaciółkami. Jest wśród nich moja towarzyszka jednej nocy, wydają się cieszyć z ponownego spotkania, i ja też. Mają na sobie swoje najładniejsze nocne koszulki i pachną francuskimi perfumami, co w tym kraju jest wielką rzadkością.

Pięciu muzyków znajduje się w sąsiednim pokoju, oddzielonym od mojego zasłoną: mają za zadanie grać bez przerwy, dopóki trwać będzie zabawa. Mają do swojej dyspozycji kokainę, żarcie, alkohol, a nawet miejscową prostytutkę, żeby lepiej wytrzymać na posterunku. Moje trzy świeżutkie dziewczynki nie noszą jeszcze żadnych znamion grzechu, zabawiają się z całą niewinnością, luksus dookoła oszałamia je, a pomysł z muzykami bardzo im się podoba. Co do grajków, to na początku nastawieni byli entuzjastycznie, ale teraz grają na zmianę. René, który ma pieczę nad całą zabawą, nie zapomniał o niczym, przewidział nawet dużą wannę pełną ciepłej wody.

Początkowo wydaje mi się, że będę bez przerwy pławił się w rozkoszy, ale podobnie jak repertuar muzyków nie jest niewyczerpany, ludz-

ka wytrzymałość ma swoje granice. Kiedy po raz setny rozpoczynają ochrypłym głosem „La cucaracha ya no puede caminar”, rytm ich marakasów jest już niestety dużo wolniejszy, podobnie zresztą jak moich. Podczas gdy René zajmuje się sprzątaniem i naprawą szkód, jadę tak-sówka do San José w towarzystwie moich trzech turkaweczek, i droga wydaje mi się krótsza niż zwykle.

*

Zaraz po przyjeździe idę do Hermana, żeby mieć to za sobą. Konieczność oglądania jego parszywej mordy, kiedy przez dwa dni napa-wałem wzrok pięknoscią, nie jest zbyt przyjemna, i wchodząc do jego gabinetu jestem raczej w złym humorze. Jak zwykle Herman jest uprzedzająco grzeczny i uśmiechnięty: właściwie wolę go oglądać tutaj. W koszuli i krawacie bardziej pasuje do tego otoczenia.

– Juan Carlos, witamy w cywilizacji! Wszystko w porządku?

– Tak, oczywiście.

Opowiadam mu o przebiegu ostatnich tygodni i historię najścia gli-niarzy.

– Słyszałem o tym w radiu, ale było za późno, żeby interweniować. I pomyśleć, że chcieliśmy zachować dyskrecję, teraz kłapa, trudno już zachować to w tajemnicy.

– Tak czy inaczej, chyba już czas, żeby przestać działać anonimowo i zareklamować spółkę, nie sądzisz?

– Tak. À propos, trzeba zająć się księgowością: słyszałem, że zapła-ciłeś pracownikom więcej, niż to było ustalone, to jest sprzeczne z wszelkimi zasadami ekonomii.

– W dupie mam ekonomię. A jak wy wyglądacie z tymi waszymi

kretyńskimi zakupami? Zarobiliście i tak dość, żeby nie musieć odma-
wiać małego prezentu dla facetów, którzy nie szczędzili dla was sił. Jak
będzie trzeba, to pokryję te koszty z mojego udziału w złocie.

– À propos złota, jak wydobyć?

– Dobrze, jak zawsze.

– To świetnie.

– Dużo tego jest?

– Około sześciu kilo.

– To fantastyczne, są też bryłki?

Nie śmie spytać wprost, widzę jak się waha; ale nie ułatwiam mu
zadania, i w końcu się decyduje.

– Ale gdzie jest to złoto?

– Mam je.

– Nie przyniosłeś go?

– Nie, to mój udział, zatrzymuję je.

Ależ Juan Carlos, nie możesz tak postąpić. W spółce nie można de-
cydować indywidualnie, wszystko musi przejść przez księgowość, radę
nadzorczą itd.

– O, daj już spokój, co ty gadasz? Co ty mi tu opowiadasz o spół-
ce? Dałem wam prezent, dostaliście więcej niż wam się należało.
Wziąłem sobie sześć kilo, to mniej niż mój udział. W kasie zostaje
cztery kilo na ewentualne koszty. Więc daj spokój z tymi historiami,
byłem właścicielem dziesiątków spółek i wiem, jak to się robi. A pro-
pos, gdzie są dokumenty, o których już tyle razy mówiliśmy?

– Pracujemy nad nimi, to kwestia dni.

– Kpicie sobie chyba ze mnie! Od trzech miesięcy karmicie mnie pu-

stymi obietnicami. Wydobywam dla was złoto, a wy żyjecie z niego, nie dając nic w zamian: fajna spółka, mogłem zamiast z wami założyć ją z pierwszym lepszym zamiataczem ulic. Wydaliście forszę na jakieś idiotyzmy, ale nie zrobiliście nic z tego, o co was prosiłem: dziękuję za taką ochronę! Jesteście do niczego.

Mam dość i wstaję, zanim nie będę mógł się powstrzymać i dołożę mu. Kiedy przechodzę przez warsztaty, dogania mnie.

– Ależ nie, nie bierz tego w ten sposób. Twoje dokumenty są praktycznie gotowe. Nie gniewaj się, nasza praca nie zawsze jest łatwa.

– A co, może moja jest łatwa?

– Słuchaj, nie ma sensu się denerwować – mówi do mnie z szerokim uśmiechem. – Zapomnij o tym wszystkim i odpręż się. Zapraszam cię do domu w pierwszy dzień świąt, moja żona chciałaby cię poznać. Już jej tyle o tobie naopowiadałem...

Mam to naprawdę w dupie, ale tak nalega, że w końcu z grzeczności przyjmuję zaproszenie. Można żyć w dżungli i zachować dobre manie-ry.

Kiedy wychodzę na ulicę, zastanawiam się, dokąd iść. Miejskie atrakcje nie pociągają mnie; kasyno mnie nudzi i znam już wszystkie kurwy w San José. Zastanawiam się przez dłuższy czas, po czym postanawiam uraczyć się tym, co najlepsze, i idę zamieszkać u René.

Nie będę wchodzić w szczegóły przyjemności tych paru dni, które, pomimo mocno przyprawionej kuchni rozbawionej mamy, osłabiły mnie zarówno fizycznie, jak i finansowo. Ale dobrze było mi w tej rodzinnej atmosferze, gdzie mogłem poznać pozostałe protegowane. Nie ruszałem się stamtąd przez dziesięć dni, wyszedłem tylko raz na kolację u Hermana.

Przedstawił mi swoją żonę, trzydziestopięcioletnią wygłodniałą cipę, która nie spuściła wzroku z moich jaj przez cały wieczór. Pod wpływem afrodyzjaku, jakim jest kokaina, zaczęła nawet dotykać mnie nogą pod stołem, ale zrobiło mi się niedobrze na wyobrażenie tego, o czym zapewne myślała, i szybko wyszedłem do moich niewiniątek. Biedaczka – właściwie trudno mieć do niej pretensje, mając takiego impotentą za męża musi już mieć niezłe zmarszczki na tyłku.

*

Po tych paru bajkowych dniach postanawiam zabrać się do interesów. Nie zapomniałem o kopalni i rychłym powrocie na Osa. Liczę na to, że niedługo otrzymam zezwolenie na wprowadzenie maszyn. Będzie można rozpocząć prace na serio: zamierzam za pomocą dobrej ładowarki i olbrzymiej canoa przesiewać po parę ton dziennie. Ale nie będę już działał tymi wariackimi metodami, z pilnowaniem przez całą dobę: najtrudniejsze za nami i mam zamiar kontynuować wydobywanie w sposób bardziej zrelaksowany, nie zmniejszając jednak wydajności. Do tego potrzebuję więcej zaufanych ludzi, z których każdy mógłby prowadzić zespół. Myślę o Larsie, starym Duńczyku spotkanym Punta Burrica, i postanawiam sprowadzić go tutaj. Zostawiam złoto kasie w pancernernej banku w San José i jadę do Golfito. Tutaj wynajmuję jakiegoś Tico, żeby mnie przewiózł łodzią do Penas Blancas.

Łódź jest stara i zbutwiała, ale silnik działa sprawnie. Cały dzień zajęła nam przeprawa, w końcu docieramy w pobliże domu Larsa. Jest 1 stycznia 1983. Mam trudności z przekonaniem mojego Tico, by dobił do brzegu, bo z powodu bardzo silnego przyboju całe to wybrzeże jest nadzwyczaj niebezpieczne. Wiele łodzi rozbiło się tutaj, jak ta z Pulperrii, a wody aż kipią od rekinów. Zapewniam go, że wiele razy przybija-

łem tutaj bez problemów, co trochę mija się z prawdą, i w końcu godzi się i dobija do brzegu po mistrzowsku.

Lars zauważył nasze przybycie i cieszy się ze spotkania. Wybudował sobie nowy dom na wzgórzu nad plażą i zaprasza mnie na kawę, aby spokojnie porozmawiać. Idziemy do niego i kiedy tłumaczę mu, o co chodzi, pomysł podoba mu się od razu. To pustelnicze życie sprzyrzyło mu się już i ma dość wegetacji bez pieniędzy. Wyznaje mi, że jego marzeniem jest opuścić ten kontynent i pojechać do Australii. Chciałby zapewnić synowi wykształcenie, lepsze niż to, jakie można zdobyć w Kostaryce, i potrzebuje pieniędzy. Rozmawiamy tak od godziny, kiedy od strony plaży słysząc krzyki i wołanie o pomoc. Z wysokości wzgórza widać, że nastąpił przypływ i fale dosięgły łodzi, porwały ją i rzuciły na skały. Wiosła, silnik i bak z paliwem zostały rozbite na kawałki. Biedny rybak uczepony burty stara się utrzymać swoją łódź, ale jest już półprzytomny od potężnych uderzeń fal. Z trudnością powstrzymuję napad śmiechu, i sądzę, że gdyby nie było ze mną Larsa, usiadłbym sobie, żeby obejrzeć przedstawienie, nawet gdyby miało to mnie kosztować cztery dni drogi powrotnej pieszo. Taką już mam naturę, katastrofy zawsze mnie rozśmieszały. Kiedy wreszcie udaje się nam wyciągnąć łódź poza zasięg fal, nie przypomina już tego, czym była. Jest pełna wody i ma mnóstwo dziur. Z przodu zrobił się wielki otwór, a na bokach widać długie pęknięcia, szerokie na parę centymetrów. Lars uważa, że nie da się już tego naprawić, ale nie mam ochoty wracać piechotą. Przybijamy deski na dziury i uszczelniamy szmatami. Burty są tak zbutwiałe, że w niektórych miejscach wystarczy nacisnąć gwóźdź palcem, żeby wszedł. Spędzamy noc u Larsa, bo nie ma mowy, żeby łodzią w tym stanie przedrzeć się przez przybój po ciemku. Lars, przekonany, że łajba rozleci się pod uderzeniem pierwszej fali, próbuje mnie przekonać, żebym zrezygnował.

Następnego dnia zawijam wszystkie moje rzeczy w torbę plastikową, na wszelki wypadek, i spychamy łódź na wodę pod sceptycznym spojrzeniem Larsa. Z trudnością zapalamy silnik i pokonujemy pierwsze fale wśród głośnego trzeszczenia burt, ale jakoś przechodzimy. Sądząc, że niebezpieczeństwo już minęło, wstaję, żeby pomachać Larsowi zwycięsko, kiedy rybak krzyczy głośnie, wskazując rosnącą za moimi plecami ogromną falę. Masy wody spadają na nas i wypełniają łódź. Wybieram wodę ile sił w rękach i powoli wychodzimy z niebezpiecznej strefy.

Nasza łupinka jest w opłakanym stanie, ale wytrzymała. Każę wziąć kurs na Jimenez, bo chcę wpaść do Quebrada del Frances, by rzucić okiem na obóz: chcę się upewnić, że wszystko w porządku. Silnik źle zniósł kąpiel w słonej wodzie i często gaśnie; jest to nieprzyjemne, bo za każdym razem, kiedy dziób nie wznosi się już nad falami podczas pracy silnika, przez otwór wlewa się woda. Trzeba wybierać wodę, a jednocześnie czyścić świece albo gaźnik. Za każdym razem Tico truje mi nad uchem, narzekając.

Dwieście metrów od brzegu w Jimenez silnik gaśnie jeszcze raz, zabieram się do wybierania wody, kiedy tamten znowu zaczyna narzekać. Denerwuje mnie to, bo za cenę, jakiej sobie zażyczył, można by niemalże kupić nową łódź. Wstaję i biorę torbę plastikową z moimi rzeczami.

– Umiesz pływać, kretynie?

– Tak, trochę – odpowiada, patrząc na mnie zaintrygowany. – Dlaczego?

– Bo zaraz ci się to przyda.

I nie dając mu czasu do namysłu skaczę do wody. Płynąc stylem grzbietowym w kierunku brzegu widzę, jak wygraża mi, wykrzykując przekleństwa i usiłuje gorączkowo wybierać wodę, dłubiąc coś jednocześnie przy silniku. Kiedy dopływam do brzegu, łódź nie rusza się z miejsca i powoli zanurza się coraz głębiej.

Po godzinie marszu jestem w Jimenez i zabieram się do poszukiwania jedynej w miasteczku taksówki. Jest pora sucha i sądzę, że landrover zawiezie mnie dosyć daleko, zanim zaryje się na dobre; wystarczy jechać po śladach skiddera.

Kierowca taksówki nie zna drogi, co jest zrozumiałe.

– To dalej niż do Vanegas? – pyta.

– Trochę dalej, ale niewiele. Ależ tam nie ma drogi!

– Jest, jest, zupełnie nowa, w doskonałym stanie. Jeśli chcesz, sam oprowadzę. Znam każdy kąt.

Moja pewność siebie w końcu przekonuje go. On też żąda zupełnie wariackiej ceny, płacę mu, ale wiem, że tak dobrze się to dla niego nie skończy: ma gładkie opony i jeździ bez akumulatora, w sam raz na dżunglę! I rzeczywiście, pięć kilometrów za Vanegas, jadąc koleinami traktora, zbyt wolno przeprawia się przez błotniste zagłębienie i grzęźnie aż po drzwiczki; wóz jest zablokowany, i to na dobre. Pomimo moich rad kierowca upiera się przy próbach wydostania i grzęźnie coraz bardziej: patrzę jak powoli znika w błocie. Kiedy przegrzany silnik zatrzymuje się, w samochodzie jest około dwudziestu centymetrów błotnistej wody. Zapada noc i ruszam na piechotę przez las. Natychmiast dogania mnie kierowca.

– Ej, chyba nie zostawisz mnie tutaj?

– Owszem, a co?

– Boję się tutaj zostać sam w nocy, tu są tygrysy, węże!

– W takim razie chodź ze mną – odpowiadam, oddalając się. – To tylko cztery godziny drogi.

Rzuca ostatnie spojrzenie na swoją taksówkę i dogania mnie biegiem.

Nie jest zupełnie przygotowany na taką ekspedycję, ma na sobie tylko szorty i parę sandałów, które wkrótce znikają w błocie. Jestem przyzwyczajony do dżungli i idę szybkim krokiem, on biegnie obok na bosa, nie rozumiejąc, w jaki sposób zwykły kurs, jakich wiele robił codziennie, mógł zaprowadzić go do tej dżungli, w dodatku w środku nocy, podczas gdy jego wóz tonie w błocie.

Kiedy docieramy do Demesia, zostało jeszcze pięć kilometrów i czuję się zmęczony, więc postanawiam wynająć od niego konia. W końcu sąsiedzi muszą sobie pomagać. Moje wołanie budzi go i jest zaskoczony moim widokiem. Wiem, że mnie nienawidzi, ale znam naturę ludzką i cena, jaką proponuję mu za wynajęcie konia, każe mu zapomnieć o wszelkim pragnieniu zemsty. Korzysta z okazji i stara się zminimalizować nasze nieporozumienia, najwyraźniej zależy mu na ugodzie.

– Rozumiesz – mówi przymilnie – nie jestem bogaty i pomyślałem sobie, że nie stanie ci się wielka krzywda, jeśli sprzedam ci tę klacz.

– Przecież cię ostrzegałem.

– Tak, ale nie sądziłem, że zasłużyłem na taką karę. Myślę, że jesteśmy teraz kwita, zburzyłeś moją zgodę i zabrałeś konie, może moglibyśmy się teraz ugodzić tak, żebyś mi jednego albo dwa oddał. W tych wrogich górach nie jest dobrze mieć złe stosunki z sąsiadami, trzeba sobie pomagać, a poza tym cię lubię.

Hipokryta z niego, ale trafiła kosa na kamień: zapewniam go, że

o wszystkim już zapomniałem, że będzie dobrze i że pogadamy po moim powrocie. Tak czy inaczej, jestem pamiętliwy, a on napawa mnie obrzydzeniem, na razie go potrzebuję, a potem się zobaczy.

Biorę taksówkarza na oklep i wkrótce docieramy do obozu, gdzie budzimy strażników. Ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu kopalni pilnuje sam porucznik Villanueva z synem. Są bez mundurów i mają ze sobą tylko karabiny kaliber 22, które nie mają nic wspólnego z ich normalną bronią. Villanueva opowiada mi jakąś pogmatwaną historię, w której mowa o kradzieży, o pobiciu, i rozumiem z tego tyle, że wyrzucono go ze stanowiska i z policji za korupcję. Cóż za niesprawiedliwość! Najwyraźniej zbyt mocno pociągał za sznurki, a ktoś inny sporo intrygował, żeby dostać jego miejsce, najintratniejsze w kraju.

Nic złego się nie stało, wystarczy, że zmienię nazwisko na comiesięcznej kopercie. Najśmieszniejsze jest to, że Villanueva zapewnia mnie o swej dobrej wierze i uczciwości.

Po szybkim rozejrzeniu się nad rzeką stwierdzam, pomimo ciemności, że wszystko jest w porządku. Moje przeczucie nie było uzasadnione. Mimo wszystko lepiej, że tutaj zajrzałem.

Zostawiam taksówkarza w obozie, proponuję mu, by wynajął synów Demesia do wyciągnięcia samochodu, płacę za kurs i dodaję premię na wydobywie wozu. Biorę swojego konia Pingona i wracam do Vanegas, zostawiając po drodze wynajętego wierzchowca u Demesia. Dojeżdżam do celu o świcie. Nie wiem, czy to wpływ zmęczenia spowodowanego ciągłą jazdą, czy też coś pokręciło się z pogodą, ale jest strasznie zimno i resztę nocy spędzam przytulony do szyi konia, żeby skorzystać z jego ciepła. Zostawiam go właścicielowi pulperii w Vanegas, który odwozi mnie do Jimenez samochodem. Stąd statek do Golfito, potem samolot, i docieram do San José 3 stycznia 1983.

Jadę bezpośrednio do Malessy, bo chcę jak najszybciej załatwić wszystkie sprawy związane z następnym wyjazdem. Chcę być gotów do wyruszenia za parę dni, około 10 stycznia. Zawiadomiony telefonicznie Herman czeka na mnie z Jimmym. Przedstawia mi swój nowy pomysł:

– Juan Carlos, mówiłeś, że na terenie koncesji znalazłeś prekolumbijskie cmentarze?

– Zgadza się.

– Pomyślałem sobie, że moglibyśmy działać na dwa fronty. Ojciec Jimmy’ego, którego już poznałeś, jest doświadczonym specjalistą od grobów. Myślę, że można by poprosić go, żeby pracował z nami, jak uważasz?

– Faktycznie, to może być dobry pomysł.

– Jest tylko jeden szkopuł, stary jest na wpół wariatem i jest strasznie uparty. Dobrze byłoby, żebyś pojechał do Limon z Jimmym i spróbował go przekonać: powiedział, że cię lubi i że ty jeden możesz nakłonić go do współpracy.

Mam przed sobą dwa dni wolne, a wybrzeże Atlantyku jest ładne, poza tym to prawda, że ojciec Jimmy’ego to niezły numer. Jimmy i ja wyjeżdżamy odwiedzić go następnego dnia.

Długo każe się prosić, udając że odmawia, ale w końcu przyjmuje naszą propozycję. Dołączy do nas później. Stary już całkowicie sfiksował, chwile jasności umysłu przeplatają się u niego z napadami szaleństwa, które sprawia, że uważa się za reinkarnację indiańskiego wodza,

dyskutującego z bogiem Złota, i oczywiście ten ostatni pomaga mu znajdować posążki w grobach. Ma siedemdziesiąt lat, ożeniony jest z Indianką, która ma piętnaście i jest jego trzecią żoną; od urodzenia nastęrcza kłopotów, naprawdę wredny typ.

Wszystkie te wady sprawiają, że czuję do niego sympatię, to nieznośny staruch, kapryśny jak smarkacz, który postanowił zaleźć przed śmiercią za skórę komu się da, a w dodatku absolutnie nie chce się starzeć; w atmosferze naszego obozowiska jest akurat dla niego miejsce. Jimmy, który trochę się go boi, zapewnia mnie, że pomimo wszystkich wad jest to jeden z najlepszych specjalistów od plądrowania grobów. Wierzę mu bez oporów, bo facet ma niesamowity feeling jeśli chodzi o złoto, przyciąga je tak, jak niektórzy przyciągają kłopoty. Spędzamy noc na farmie słuchając historyjek starego, który pogrążony w ezoterycznym transie opowiada nam o boskiej opiece. Przed wyruszeniem w drogę powrotną Jimmy prosi mnie o pieniądze na kupno trawki.

– Mój ojciec ma dużą plantację, która produkuje trawkę bardzo dobrej jakości. Herman prosił, żebym mu przywiózł kilogram.

– Lepiej będzie ją kupić w mieście, nie będziemy musieli przewozić towaru przez punkty kontrolne.

– Można wszystko schować w samochodzie, a poza tym Herman wie, że to pomoże mojemu ojcu, który ma kłopoty finansowe.

– Dobra, to w końcu twoja sprawa.

*

Przyjeżdżamy do San José po południu i jedziemy prosto do Malesy. Jimmy daje trawkę Hermanowi, próbujemy ją, jest bardzo dobra

i wszyscy szybko odczuwamy jej działanie. Atmosfera jest rozluźniona i zaśmiewamy się opowiadając o dziwactwach starego wariata. Herman jest zadowolony, że ten ostatni zgodził się nam pomóc, i ustalamy szczegóły wznowienia działalności kopalni.

– Nie wiem, jak ty to robisz, ale twoi ludzie ciągle tu wydzwanają, żeby się upewnić, kiedy wyruszacie. Wszyscy chcą wracać do kopalni i boją się, że przegapia dzień wyjazdu. Już sam nie wiem, co mam im mówić, żeby ich uspokoić.

– Umów ich tutaj na dziesiątego stycznia.

Jest mi miło, że nikt nie zamierza rezygnować. Chcą wracać zapewne nie tylko dla pieniędzy. Bez fałszywej skromności twierdzę, że w żadnej poprzedniej pracy nie znaleźli takiej atmosfery i że mnie lubią. W trakcie rozmowy Herman oddaje Jimmy’emu paczkę trawki, dobrze już napoczętą.

– Masz, przechowaj to dla mnie. Sejf jest już zamknięty, a ja jadę bezpośrednio na przyjęcie do Juana Caracasa, oddasz mi jutro.

Kiedy mamy wyjść, Pablo, bezzębny księgowy, mówi do mnie, wyjmując dokumenty:

– Don Juan Carlos, musimy zająć się trochę księgowością, korzystając z tego, że tu jesteś.

– Nie dzisiaj. Nie lubię papierów, chcę wziąć prysznic i się przebrać: jestem umówiony na wieczór.

– A potem znowu znikniesz ze swoimi kobietami na tydzień i nikt będzie wiedział, gdzie jesteś. Nikt nie ma z tobą kontaktu, kiedy jesteś w mieście, a ja chciałbym załatwić to w tym tygodniu. W którym hotelu mieszkasz?

– Dziś w nocy będę w Astorii, potem nie wiem.

Wyobrażam sobie, co zrobiłby ten grubas, gdyby dowiedział się o istnieniu protegowanych mamy, a poza tym wolę kontaktować się ze współnikami wtedy, kiedy mi jest wygodnie.

*

Wracam do swojego pokoju w Astorii, gdzie ma po mnie przyjść René, bo samochód zostawiam Jimmy'emu, który mieszka za miastem. Mamy właśnie wyjść, kiedy rozlega się pukanie do drzwi. Wsuwam paczkę trawki pod poduszkę i idę otworzyć sądząc, że to René. Wpada jakiś facet z pistoletem w rękę i kieruje się w głąb pokoju, podczas gdy drugi, również uzbrojony, staje przy drzwiach.

– Narkotyki! – mówi pierwszy.

Przetrząsa pokój, wyraźnie czegoś szukając, i po dwóch sekundach znajduje paczkę z trawką: natychmiast zakłada nam kajdanki, a drugi zabiera mi szybkim ruchem rewolwer. Wszystko przebiega bardzo szybko: nie po raz pierwszy zatrzymują mnie na gorącym uczynku i nauczyłem się łagodzić sprawę stosując trochę dyplomacji i dużo pieniędzy, ale tym razem nie ma mowy o jakiegokolwiek konwersacji. Obaj odmawiają wszelkiego kontaktu i wyprowadzają nas na zewnątrz, gdzie czeka samochód. Wkrótce znajdujemy się w pomieszczeniach Brygady Narkotyków. Zostawiają nas w wielkiej sali, w której zbierają się wszyscy ich agenci, mający być tajni, ale na razie po kolei defilują między nami: to gafa typowa dla Kostaryki. Niektórych znam, bo pijałem z nimi kawę, innych dopiero poznaję: jest tam między innymi, mały dobroduszenie wyglądający staruszek i kobieta, która bardziej byłaby na miejscu przy domowym ognisku niż wśród gliniarzy.

Bawią się moim Magnum głośno komentując, prawdopodobnie nigdy nie widzieli tak pięknej broni. Wypełniają potem karty identyfika-

cyjne i wprowadzają nas do pokoju z kilkoma łózkami, zbyt obszerne-
go jak na zwykłą celę. Jimmy jest przerażony, próbuję go uspokoić.
Nie czuję strachu, przyzwyczajony jestem do takich przykrych sytuacji,
ale intryguje mnie ta sprawa, jest w niej coś podejrzanego. Nalot poli-
cyjny to normalka, ale dlaczego z Narkotyków? Zwłaszcza o takiej po-
rze. Wiem z doświadczenia, że zwykle przychodzą nad ranem. Poza
tym miałem wyraźne wrażenie, że gliniarz wiedział, czego szuka, za-
skoczyła mnie ich szybkość i odmowa wszelkiej dyskusji. Tutejsi gli-
niarze tak nie postępują, nigdy nie przepuszczają okazji szybkiego zarob-
ku; czyżbym natknął się na jedynego służbistę kraju, zdecydowanego
na szybki awans? Dzielę się swoimi przemyśleniami z Jimmym.

– Jimmy, zupełnie szczerze i niezależnie od twoich osobistych sym-
patii, myślisz, że to sprawka Hermana?

– Nie, to niemożliwe, nigdy by tego nie zrobił. Wyrośliśmy razem,
to kolega z dzieciństwa, on i Tino Caracas byli świadkami na moim
ślubie, pracuję z nimi od dziesięciu lat. Nie, pomyśl o kimś innym,
zapewniam cię, że to nie w stylu Hermana.

– Może masz rację. W takim razie...

W takim razie co? Niesłychany zbieg okoliczności? Przeżyłem już
dziwaczne sytuacje, wydarzenia losowe najbardziej nieprawdopodobne,
takie, które mogły wydawać się całkowicie wykluczone, a które jednak
miały miejsce: nieszczęście chodzi czasem dziwnymi drogami.

Poza tym nie rozumiem, co mogliby zyskać na pozbyciu się mnie,
tak bardzo przecież jeszcze mnie potrzebują. Całą noc nad tym myślę,
ale nad ranem nadal nie znajduję odpowiedzi.

Kiedy wstaję, zauważam, że Jimmy również nie spał, jestem zaskoczony, widząc jego twarz. W ciągu tej jednej nocy przybyło mu z dziesięć lat, twarz ma pomarszczoną, worki pod oczami i wygląda na bardzo przygnębionego.

– Nie rób takiej miny – mówię mu – nie jest tak źle, wyjdziemy z tego.

– Nie chodzi tylko o to, Juan Carlos. Nie wiem, czy słyszałeś, ale krótko przed poznaniem ciebie miałem sprawę sądową, bo w czasie bójki urwałem facetowi palec. Dali mi trzy lata z zawieszeniem. Przy byle wpadce, najmniejszym przestępstwie, automatycznie idę na trzy lata oprócz normalnego wyroku. Nie boję się więzienia, ale mam na utrzymaniu żonę i dwoje dzieci. Co się z nimi stanie, jak mnie zamkną?

Biedny Jimmy. Teraz rozumiem, dlaczego tak się martwi. Polubiłem chłopaka i jego kłopoty rodzinne nie są mi obojętne. To prawy człowiek i zasługuje, żeby mu pomóc. Zastanawiam się chwilę, po czym mówię:

– Nie martw się, biorę wszystko na siebie: za godzinę będziesz na wolności.

Oczywiście, jestem w tej sprawie całkowicie niewinny, to nie ja zrobiłem głupstwo, ale nie mogę teraz zostawić Jimmy'ego: z jego przeszłością nie ma żadnych szans. Mnie przypada obowiązek rozwikłania sytuacji, w której nikt inny nie może pomóc, i nie chodzi tu o kretyńską ofiarność, która zaprowadziłaby mnie do jatki jak barana, bo wierzę w siebie. Wiem, że mogę się z tego wydostać, mam przed sobą tylko zwykłych ludzi, z którymi taki facet jak ja powinien sobie poradzić. Poza tym w Kostaryce prawo surowo tępi handel trawką, ale jest dosyć nieokreślone jeśli chodzi o samo jej posiadanie. Jestem właścicielem

kopalni złota i prezesem spółki, czyż można podejrzewać, że trudnię się sprzedażą paru gramów? Nie jestem ani przestępcą, ani turystą. Jestem stałym mieszkańcem tego kraju i w razie czego nazwiska moich współników mogą stanowić poręczenie za mnie.

Podczas przesłuchania, które wkrótce ma miejsce, przyjmuję swoją zwykłą linię obrony: tak, palę dużo i zakwestionowana paczka przeznaczona była do własnego użytku, od dzieciństwa przyzwyczajony jestem do używek, żyję w dżungli i potrzebuję trawki żeby móc spać i żeby zwalczać ból w moim schorowanym ciele. Na poparcie tych zeznań mogę przytoczyć swoje oświadczenie złożone w szpitalu, mówiące o tym, że używam narkotyków do walki z bólem. W ten sposób obalam oskarżenie o handel i biorę wszystko na siebie stwierdzając, że kupiłem trawkę w Golfito.

Intryguje ich broń, której numer został spiłowany.

– Do kogo należy? – pyta mój rozmówca.

– Do mnie, od wielu lat.

– Dlaczego numer jest spiłowany?

– Uważam, że tak jest porządniej.

Powoli atmosfera się rozluźnia, gliniarze odprężają się i zaczynają żartować. Proszę o pozwolenie zatelefonowania, ale odmawiają. Przychodzi porozmawiać ze mną pułkownik Altamira, szef Narkotyków. To znany skurwysyn, wszyscy się go boją. Wiem, że należy do Partido del Pueblo Unido, ale ignoruje wszystkie aluzje do moich stosunków w tej partii.

Kiedy wracam do Jimmy’ego po przesłuchaniu, chłopak jest spokojniejszy. Gliny powiedziały mu, że uniewinniłem go całkowicie i że zostanie zwolniony.

– Możesz teraz być spokojny. Jak tylko wyjdiesz, zawiadom Hermana, jeśli nie wypuszczą mnie w ciągu dnia, niech interweniuje, ale na razie wolę próbować sam.

Żartujemy sobie, kiedy pojawia się Luis, młody inspektor, który przesłuchiwał mnie w Golfito i któremu pożyczyłem pieniądze na skrobankę jego narzeczonej. Jest zaskoczony spotkaniem.

– Juan Carlos, co za niespodzianka, co ty tu robisz?

Opowiadam mu całą historię.

– Słuchaj – mówię mu – chciałbym, żebyś mi oddał przysługę. Mam wrażenie, że cała ta historia śmierdzi, czy możesz sprawdzić, skąd przyszedł nakaz rewizji? Mówiono mi, że wydano go na podstawie donosu służby hotelowej, która uznała że wyglądam podejrzanie. Podobno mówiono nawet o „zakazanej mordzie”, ale nie wierzę w to. Mógłbyś spróbować się czegoś dowiedzieć?

– Oczywiście, przecież mam wobec ciebie dług. Skontaktuj się ze mną w domu jak tylko cię wypuszczą. Ile miałeś trawki?

– Około pół kilo, wziąłem wszystko na siebie.

Po godzinie Jimmy jest wolny, ulżyło mu, ale czuje się okropnie zażenowany.

– Nie wiem, jak ci dziękować, Juan Carlos, zachowałeś się fantastycznie.

– To drobiazg, stary, nie martw się o mnie, niedługo się zobaczymy.

Nieco później przychodzi do mnie oficer, który prowadził przesłuchanie.

– Rozumiemy, że nie jesteś handlarzem, ale musisz stanąć przed sądem śledczym. Żeby zmniejszyć zarzuty przeciwko tobie Altamira chciał usunąć z raportu sprawę rewolweru, w ten sposób odpada ci zarzut

posiadania broni.

O ile bowiem samo noszenie broni nie jest przestępstwem, musi ona legalnie kupiona i zaopatrzona w odpowiednie zaświadczenie, którego oczywiście nie posiadam.

*

Znów zakładają mi kajdanki i prowadzą mnie do Pałacu Sprawiedliwości. Czekam tu parę godzin, pilnowany przez umundurowanego gli-niarza, który towarzyszy mi wszędzie. W końcu wprowadzają mnie do sędziego. Jest to młoda i sympatyczna kobieta, którą szybko przekonuję do siebie.

– Jeśli o mnie chodzi – mówi ona – zarzut handlu narkotykami jest bezpodstawny, nie sądzę, by został on podtrzymany, wystąpię o umorzenie sprawy. Niestety, nie do mnie należy ostateczna decyzja, tylko fi-scał może nakazać zwolnienie.

– Kiedy będę mógł z nim rozmawiać?

– Dziś go nie ma, ale proszę się nie obawiać, przewiduję, że będzie pan wolny za dzień lub dwa.

Cholera, wszystko się komplikuje.

*

Prowadzą mnie do aresztu w więzieniu głównym. W kancelarii urzędnik o twarzy złodzieja spisuje należące do mnie przedmioty. Mam przy sobie torbę, a w niej wszystkie swoje rzeczy oprócz złota, pozostawionego w sejfie bankowym. Muszę wszystko zostawić, nawet biżuterię: w małej sakiewce mam kilka szmaragdów kupionych na prezenty dla moich sześciu małych kochanek. W porę orientuję się, że ten skur-

wysyn urzędas z niewinną miną wpisał je do rejestru jako zwykłe „kamienie koloru zielonego”, a jako „żółte” – bryłki złota, które noszę na szyi i na rękę. Ścierwojad! Naprawdę bierze mnie za idiotę. Nie mam najmniejszego zamiaru pozwolić się ograbić.

Udaje mi się wywalczyć pozwolenie na zatelefonowanie do Jimmy’ego, który przyjeżdża i zabiera moje rzeczy. Obaj śmiejemy się z mojego wyglądu; musiałem zdjąć całe ubranie i założyć niebieski kombinezon, który jest na mnie za mały. Ponieważ nie mają kapci na moją nogę, mogę zatrzymać swoje wysokie buty i skórzaną kurtkę, bo nie jest wcale ciepło.

*

Kiedy przyjechałem, było już za późno, żeby założyć mi akta, więc noc spędzam w nie umeblowanym pomieszczeniu z wybetonowaną podłogą; nie ma papierosów, nic do jedzenia, nie ma łóżka, trzeba spać na ziemi, początek nie jest zachęcający.

Rano pierwsza awantura. Strażnik, który przez kraty serwuje nam coś w rodzaju kawy, umyślnie niezręcznym ruchem wylewa mi swoją lurę na rękaw: próbuję go złapać, ale szybko cofa się poza zasięg moich rąk i mogę tylko mu nawymyślać. Następnie kolej na formalności, robią mi różne pomiary i fotografują en face i z profilu, otrzymuję przy tym swój numer; robią nawet zdjęcie przedramienia, żeby uwiecznić tatuaż made in Hongkong, który noszę na nadgarstku: przedstawia on kwiat z dwoma liśćmi marihuany. Po raz pierwszy dostaję się do kartoteki i nie podoba mi się to: zapewne jestem poza prawem – staram się przestrzegać własnego, które wydaje mi się bardziej sprawiedliwe – ale na pewno nie przestępcą.

Kiedy przenoszą nas do wielkiej sali, dostrzegam pilnującego nas strażnika, z którym miałem rano awanturę. Jestem niewyspany, zdenerwowany i jego pełna wyższości mina nie podoba mi się: wymyślam mu, on mi odpowiada, i ruszam ku niemu grożąc, że go uduszę. Przerażony wzywa pomocy i wkrótce nadbiega ich co najmniej dziesięciu. W porę odzyskuję zimną krew i za pomocą odrobiny dyplomacji udaje mi się zatuszować sprawę, ale ten incydent niepokoi mnie: zawsze bardzo gwałtownie reaguję na brak szacunku i w więzieniu jest ryzyko, że któryś ze strażników wykorzysta to, by mnie sprowokować, a następnie bezkarnie zabić.

W końcu wchodzimy do wspólnej sali na jakieś sześćdziesiąt łóżek, w której aresztowani oczekują na proces albo na decyzję sędziego śledczego.

Poznaję Carla, Włocha, który jest jedynym Europejczykiem w pawilonie: zatrzymano go przy kontroli celnej, miał przy sobie kokainę i fałszywe dolary, od sześciu miesięcy oczekuje na proces.

Na trzeci dzień odwiedza mnie Herman. Kiedy przychodzę do rozmownicy, siedzi już za szybą i po raz pierwszy nie uśmiecha się. Jestem zdenerwowany i rozmowa przebiega szybko: oskarżam go o niedbałość i żądam, żeby jak najszybciej wyciągnął mnie stąd:

– To wszystko twoja wina, ja nie miałem z tym nic wspólnego. Postąpiłeś nieostrożnie każąc kupić trawkę w Limon i powierzając ją Jimmy’emu, kiedy mieszkał w hotelu. Jestem tutaj wyłącznie dlatego, że chciałem ratować Jimmy’ego, który ma wyrok w zawieszeniu, ale to

twoja trawka: wzięłem wszystko na siebie, więc teraz mnie stąd wyciągnij. Opowiadałeś o ochronie, o zapewnieniu mi bezpieczeństwa, a ja tu siedzę za jakąś głupią historię z trawką, co to ma znaczyć? Na co czekasz, żeby interweniować u swoich kumpli?

– To nie takie proste. Tino pochodzi z purytańskiej gałęzi rodziny Caracas i jest absolutnym przeciwnikiem wszelkich narkotyków, będę z nim rozmawiał tylko w ostateczności. Problem polega na tym, że fiscal odmówił zwolnienia ciebie, bo podejrzewa, że chodzi tu o handel.

– Przecież to bez sensu! Mówiłeś mi, że dysponujesz najlepszymi adwokatami w kraju, więc niech się zajmą tą sprawą! Nie ma żadnego dowodu na poparcie zarzutu o handlu i nie powinno być przeszkód w zwolnieniu mnie.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy, Juan Carlos.

– Byłoby dobrze, bo cała ta historia wydaje mi się podejrzana. A teraz posłuchaj mnie uważnie: nie mam zamiaru gnić tu dłużej przez ciebie; więc jeśli jeszcze będę tu do końca tygodnia, obiecuję ci, że twoje kłopoty będą gorsze od moich. To, że tu siedzę, nie oznacza, że jestem całkowicie odcięty od świata, znasz mnie i wiesz, że dotrzymuję słowa.

– Ależ zapewniam cię, że to tylko seria zbiegów okoliczności, przysięgam ci.

– Nie o to chodzi! Jesteś za to odpowiedzialny: wszystko stało się przez twoją trawkę i twoje niedołęstwo, więc działaj!

Uznając rozmowę za skończoną wstaje i przechodzę do sali „tymczasowych”. Moje groźby nie są pozbawione podstaw, z łatwością mogę skontaktować się z Wayne’em albo z René, którzy z przyjemnością wyświadczą mi przysługę, i mam zamiar tak postąpić, jeśli nie wy-

puszczą mnie do końca tygodnia. Od tej pory podejmuję specjalne środki ostrożności: nadal nie wiem, skąd może nadejść uderzenie, i wolę mieć się na baczności, zbyt łatwo można zlikwidować kogoś w więzieniu za parę dolarów. Dzięki pomocy pracownicy opieki społecznej Marii Urlate, która zakochała się we mnie, sprowadziłem sobie środki nasenne i śpię przez większą część dnia. W nocy czuwam, bo to najlepsza pora na porachunki, noszę przy sobie nożyczki, zabrane z gabinetu lekarskiego. Przekonałem Marię, że nie służy mi więzienne jedzenie, i obiecała mi załatwić zaświadczenie lekarskie, dzięki któremu będę mógł kupować żywność na zewnątrz.

Funkcję łóżek pełnią tu betonowe prycze wmurowane w ścianę, ale udało mi się dostać materac i koc. Stałem się z czasem lubiany w pawilonie: za pośrednictwem strażnika kupiłem piłki i rakietki do ping-ponga w świetlicy, mydło i pastę do zębów dla wszystkich oraz proszek do czyszczenia pryszniców i kibli, w których panował nieopisany syf. Strażnicy znają mnie już i pozwalają mi przechodzić, w towarzystwie Carlo albo kogoś innego, z sali ogólnej do świetlicy, która normalnie otwarta jest przez dwie godziny dziennie: gramy tam w ping-ponga i oglądamy telewizję.

Są tu ludzie zatrzymani za najróżniejsze przestępstwa. Spotkałem poszukiwacza złota z Osa, którego wsadzili za śmieszny dług wysokości stu pięćdziesięciu colonów (trzy dolary). Dałem mu te pieniądze i wypuścili go. Wielu prosi mnie o pracę, przewidując, że zostaną zwolniony. Często chodzę i krzyczę „Wolność dla Francuza”, po jakimś czasie staje się to powszechnym zawołaniem; czasami któryś z zatrzymanych sam to wykrzykuje, po czym wszyscy skandują chórem.

Któregoś dnia przyprowadzono dwóch transwestytów. Ich przejście przez podwórze wywołało wiele hałasu, bo podciągali spódnice i pokazywali tyłki facetom za kratami. Zamknęli ich w naszej sali i przez całą noc trwał w ciemności wielki ruch. Do rana wszyscy przejechali się na nich i każdy miał na twarzy szeroki uśmiech. Uśmiech obu transwestytów był nieco sztuczny, trzeba było zabrać ich do lekarza.

Od czasu do czasu myślę o moich małych przyjaciółkach. Pomyśleć, że jeszcze niedawno byłem wśród nich, jak w raju: po wyjściu do nich skieruję swoje pierwsze kroki, mam nadzieję, że nie brakowało mnie im zbyt.

*

Ósmego dnia zaczynam mieć już tego wszystkiego naprawdę dość, Herman zapowiedział zwolnienie mnie we czwartek, ale o siódmej wieczór nadal jestem tutaj, kiedy pojawia się Maria. Ma taką minę, że rozumiem od razu i zaczynam poważnie myśleć o próbie morderstwa. Ale do jasnej cholery, jaki mogliby mieć w tym interes? Ponuro opracowuję plany zemsty, kiedy jakiś facet w cywilu żąda widzenia ze mną.

– Dzień dobry panu, przyszedłem panu oznajmić, że jest pan wolny.

Jestem zaskoczony i mam się na baczności.

– Mówi pan poważnie? Kim pan jest?

– Senor Garcia, z biura adwokackiego Rosenberga. Herman powierzył mi pańską sprawę i uzyskałem umorzenie, proszę przygotować swoje rzeczy, za godzinę pana wypuszczą.

Mam ochotę rzucić mu się na szyję. Wracam do sali krzycząc co sił w płucach: „Wolność dla Francuza!”. Po pięciu minutach cała salą ryczy i przy akompaniamencie tego hałasu nadchodzi strażnik, aby zała-

twić formalności związane z wyjściem na wolność; najwyższy czas.

Przy ogrodzeniu czeka na mnie Herman. Znów się uśmiecha i wita mnie potokiem słów.

– Popatrz – mówi, prowadząc mnie do samochodu – mam tu coś dla uczczenia twojego zwolnienia.

Z tylnego siedzenia patrzą na nas chichocząc dwie panienki lekkiego prowadzenia.

– Mam też kokainę – szepcze mi do ucha Herman. – Będziemy się we czworo dobrze bawić. Zarezerwowałem dla ciebie apartament w Balmoralu.

Sama myśl o wspólnej zabawie z tą grubą świnia napawa mnie obrzydzeniem. Poza tym nadal mam wątpliwości co do całej tej historii. Przyjmuję kokainę, ale odmawiam udziału w zabawie.

– To błąd – mówi – są świetne. To dwie lesbijki, które odstawiają fantastyczny numer, już je wypróbowałem.

Tym bardziej mam powód, żeby odmówić: kłaść się tam, gdzie leżała już ta kupa tłuszczu, nigdy w życiu!

Herman roztacza cały swój czar, ale zachowuję rezerwę i rozmawiamy głównie o kopalni, z której ma najświeższe wiadomości.

– Jimmy jest od trzech dni na Osa razem z pracownikami. Wszyscy byli zgodnie z umową dziesiątego, bez grosza. Ten Duńczyk Lars przyjechał, żeby się z tobą zobaczyć, nie wiedziałem, co wymyślić, żeby trochę poczekał, powiedziałem mu, że jesteś w Nikaragui i że nie możesz wrócić, bo masz kłopoty z wizą. Przyjedzie do Quebrada del Frances około dziewiętnastego, dwudziestego stycznia.

Kiedy zostaję sam, próbuję skontaktować się w domu z Luisem, moim kumplem z Narkotyków. Jego żona odbiera telefon i mówi, że

wyjechał służbowo na wybrzeże Atlantyku i że nie zostawił dla mnie wiadomości.

Zabrałem swoje rzeczy i idę świętować swoje wyjście na wolność do René, a moim małym kochaneczkom rozdaję prezenty, które szczęśliwie udało mi się uratować.

René, któremu opowiedziałem całą historię, przestrzega mnie i każe mi obiecać, że zwrócę się do niego o pomoc w razie gdyby pojawiły się nowe problemy. Wiem, że mogę na niego liczyć.

*

Wracam na Osa jeepem, prowadzonym przez Fabia, mechanika z Malessy, który jedzie pracować do kopalni. Mam przy sobie nowego towarzysza, Kinga, młodego dobermana, którego chcę w górach wytresować. Całe dotychczasowe życie spędził w zamknięciu, ma teraz rok i jest wspaniale agresywny.

W Palmar zabieramy nowego pracownika, księgowego zatrudnionego na prośbę Hermana, aby zajął się dokumentami. Zostawiam Fabia i sam jadę do Golfito zobaczyć się z Wayne'em. Wycofałem z banku złoto, jakie mi zostało, zaledwie trzy i pół kilo, bo zabawa sporo mnie kosztowała. Nie chcę trzymać tego wszystkiego na górze, ale wolę, żeby było w zasięgu ręki, a do Wayne'a mam pełne zaufanie; z przyjemnością załatwiłby Hermana, gdybym go o to poprosił. Ponieważ policja zatrzymała mój rewolwer, Herman pożyczył mi starą trzydziestkę ósemkę w złym stanie, w której bębenek nie obraca się automatycznie. Jestem przyzwyczajony do mojego Magnum 357, i mam wrażenie, że trzymam zabawkę. Wayne sprzedaje mi okazyjnie Magum 44: fantastyczną broń w doskonałym stanie, która robi jeszcze więcej hałasu i szkód niż 357, i przy której trzydziestka ósemka wygląda jak pistolet

na kapiszony.

Zabieram ponownie księgowego i mechanika w Palmar i docieramy na Osa. Jest pora sucha, więc bez trudności można jechać szlakiem łączącym szosę panamerykańską z Puerto Jimenez. Nasz jeep to wóz z armii rosyjskiej, ogromny, solidny, ale mało zwrotny ze względu na swój ciężar; z taką maszyną zwykły piknik staje się przygodą. Herman musi nam przysłać wyposażenie, które pozwoli na jazdę w błocie; w obecnym stanie wóz nie jest lepszy od taksówki, którą utopiłem w bagnie, udaje mi się przejechać zaledwie paręset metrów więcej, po czym definitywnie staje. Po raz drugi muszę przejść całą trasę pieszo, co ostudza nieco zapal moich dwóch towarzyszy.

Kiedy dochodzimy do gospodarstwa Demesia, dostrzegam jego konia: właściciela nie ma, ale w zasadzie zawarliśmy pokój – wnioskuje więc, że nie będzie miał nic przeciwko temu, jeśli pożyczę sobie jego zwierzę, i ostatni odcinek drogi pokonuję w wygodniejszych warunkach.

*

Następnego dnia rano budzę się w złym humorze: zdążyłem już stwierdzić w obozowisku pewne rozprężenie, czas wziąć ludzi w garść po tych dwóch tygodniach wakacji.

W tym stanie ducha słyszę nagle, jak King skamle z bólu. Wchodzę i widzę, że ma na pysku krwawą ranę.

– Podrapał go kot Barbaroi – mówi mi Chiche – pies sam się o to prosił.

Chłopaki boją się Kinga i podejrzewam, że trzymają raczej stronę kota, którego dostrzegam na dachu. Odkąd Barbaroja odszedł, kot po-

woli dziczeje. Właśnie potrzebuję wypróbować mój nowy rewolwer, i jeden strzał strąca kota z dachu na trawę, w której znika utykając na jedną nogę; zraniłem go tylko. Trudno, nie zjemy go. Jimmy pyta mnie, co zrobić z koniem Demesia, więc każę go przyprowadzić. Pożegnane klepięcie po głowie i huk czterdziestki czwórki towarzyszy mu w ostatnim galopie: zawarłem pokój z Demesiem, więc jako dobry sąsiad nie chciałby chyba, żeby mi zabrakło mięsa.

Pracownicy osłupieli, widzieli już, jak zabija się krowy, świny czy kury, ale nigdy konia. W tym kraju jada się bardzo mało koniny, zwłaszcza na wsi, gdzie koń uważany jest za narzędzie pracy. Mam okazję wypróbować umiejętności Glandulona (Wielkie Jajo), syna Villanuevy, który postanowił zostać i pracować z nami. Jako były rzeźnik niczemu się nie dziwi i po niecałych dwóch godzinach koń zostaje całkowicie poćwiartowany i oczyszczony. Stół wygląda jak łada rzeźnicza, i jest to przyjemny widok; chętnie zatrzymałbym skórę, ale tego byłoby już za wiele: Demesio na pewno będzie podejrzewał, kto ukradł mu ostatniego konia, ale nigdy nie domyśli się, że zwierzę zostało zjedzone. Taki właśnie jestem, niepamiętliwy, co to, to nie, ale lubię łączyć swoje porachunki do końca; zadowala mnie myśl o tym, że odąd Demesio będzie musiał chodzić piechotą.

Dwa zabójstwa jedno po drugim wywarły wrażenie i przywróciły dawną atmosferę. Kiedy zaskoczenie mija, chłopaki śmieją się z kawału jaki zrobiliśmy Demesiovi, i są zadowoleni z powrotu dawnego ducha. Jeszcze tego samego dnia przystępujemy do pracy.

*

Obiecałem pracownikom, że wydobyć zostanie wkrótce zmechanizowane, ale nie mam już zupełnie zaufania do moich współników

i obawiam się, że będzie trzeba czekać miesiącami, zanim pojawi się pierwsza maszyna zasysająca. Stary Nizaro mówił mi, że ma taką. Teraz, za moje pieniądze, wybudował sobie najpiękniejszy dom Guerra i nie musi już pracować, więc ją od niego kupuję. Jest to model stary, ale dość praktyczny, a w zamian Fabio przystosowuje silnik z niesławnej pamięci prototypu Hermana, by wytwarzał dla Nizara elektryczność. Przy użyciu nowej maszyny praca staje się w odczuwalny sposób lżejsza: nadal trzeba kawałkować ziemię łomami, ale miejsce łopaty zajmuje pompa ssąca. Jest pora sucha i w rzece bardzo mało wody, co nie ułatwia sprawy. Z drugiej strony pewne wątpliwości co do uczciwości moich wspólników nie zachęcają mnie do zbyt intensywnej pracy: wydobywanie złota wszelkimi możliwymi sposobami przestało stanowić cel sam w sobie, nie ma wątpliwości co do bogactwa kopalni, przejście do przemysłowych metod wydobywania stało się koniecznością. W tej chwili moją główną troską są przygotowania do zimy, zmęczony jestem tym błotem i całą resztą; jeśli mam tu mieszkać przez rok czy dwa, będzie to wymagało takiego komfortu, jakiego jeszcze nikt na Osa nie widział.

Poświęcam się więc bez reszty budowaniu. Podczas gdy Lars, który przyjechał z synem, nadzoruje prace ograniczonej ekipy nad rzeką, wszyscy pozostali ludzie zabierają się do karczowania i budowy nowych obiektów. Obozowisko zamienia się w wielki plac budowy, zwróciłem wszystkich mieszkańców Osa, którzy posiadają piły mechaniczne: ścinają drzewa i tną je na deski. Systematycznie zatrudniam każdego mieszkańca okolicznych wsi, który się pojawi, i są dni, kiedy czterdziestu ludzi biega na moje rozkazy od rana do wieczora. Nowicjusze nigdy nie wytrzymują dłużej niż dzień lub dwa, nie są przyzwyczajeni do naszego tempa, tym bardziej że starzy pracownicy złośliwie podsuwają im najtrudniejsze roboty. Pierwsze miesiące zahartowały

ich, czują się lepsi i nie znają litości. Kiedy któryś z nowych skarży się, opowiadają mu z dumą historię o wnoszeniu na górę silnika, a także inne; wobec mojej zwartej ekipy pozostali czują się intruzami, zgłoszenia do pracy stają się coraz rzadsze i w końcu zostają tylko tamci.

Tymczasem ponad ziemię wyrosły liczne budynki. Naprawiony skidder bezustannie rozwozi na różne strony materiały budowlane: każdego dnia ścina się tysiące liści do budowy dachów; kiedy tylko deski jakiegoś budynku są zamocowane, natychmiast wylewana jest betonowa podłoga; domy rosną jak grzyby po deszczu. Całe obozowisko jest teraz otoczone drewnianym płotem i drutem kolczastym, ogromne białoczerwone tablice ostrzegają ewentualnych przechodniów: POSIADŁOŚĆ PRYWATNA, WSTĘP WZBRONIONY, UWAGA, ZŁE PSY. Mam tylko jednego, ale ma w sobie złości za dwa. Widok tych tablic rozmieszczonych co pięć metrów robi wrażenie, w środku dzungli mało kto spodziewa się czegoś takiego.

Teraz jest już tylko jedno wejście na teren obozu, ze szlabanem i budką strażniczą. Budka ta, zbudowana na podstawie ośmiokąta, ma pięć metrów średnicy i jest bardzo ładna: to jedyny okrągły dom na Osa. Mieszka w niej Mario, nowy pracownik, którego mianowałem strażnikiem, bo jest świetnym strzelcem, Za pomocą karabinu 22 dokonuje cudów, nigdy nie chybia, niezależnie od rozmiarów celu. Ma przykazane, by uniemożliwić komukolwiek wejście na teren obozu, a to metodą bardzo prostą: strzał ostrzegawczy nad głowę, a następnie kula między oczy.

Marcella nie wróciła do nas, więc Mario pełni również obowiązki kucharza; ponieważ nie ma już nikogo, kto zajmowałby się moimi rzeczami, poprosiłem go, żeby sprowadził żonę. Mario bardzo się wahał, bo byłaby ona tu jedyną kobietą, ale małe przemówienie do wszystkich

pracowników i publiczne upoważnienie do zastrzelenia każdego, kto zachowa się niewłaściwie wobec jego żony, uspokoiły go: we dwoje łączą funkcje strażnika, myśliwego, ogrodnika, służącego, kucharza i sprzątaczkę. Są bardzo dobrze wynagradzani, ale zobowiązują się nie brać urlopu przez rok.

Pracownicy mają teraz własną sypialnię w domu o wymiarach dziesięć metrów na pięć, gdzie każdy ma własne łóżko z pościelą i materacem. Jimmy, Lars i księgowy dzielą między sobą skrzydło poprzedniego budynku, a ja zajmuję całe drugie skrzydło, w którym kazałem zlikwidować przepierzenia. Wejście do mojego mieszkania jest zabronione komukolwiek, oprócz Maria i jego żony. Sprowadziłem elektryka, który założył nam telefon na baterie, łączący miejsce wydobywania nad rzeką, domek strażnika i moje mieszkanie. Na początku chodziło o to, by Mario mógł mnie powiadomić, gdziekolwiek bym się znajdował, o nadejściu ewentualnego gościa, ale teraz telefon działa głównie w przeciwnym kierunku: kładę się spać późno i jeśli mam ochotę na kawę w środku nocy, wystarczy pokręcić korbką, by w parę minut później Mario lub jego żona, zaspani i ziewający, przynieśli mi ją do łóżka. Takie małe wygody sprawiają, że życie w dżungli staje się całkiem znośne.

*

Wśród wielu dokonań wymienić trzeba budynek pryszniców, kuchnię, warsztaty itd. Kazałem rozpocząć prace przy jadalni, ogromnym okrągłym budynku o nachylonym dachu, rzeczy na Osa zupełnie unikalnej. Budynki wznoszone były w miarę poszerzania się wykarczowanej powierzchni, i doszło do zabawnej sytuacji: bunkier, w którym przechowujemy dynamit, został początkowo wybudowany na uboczu;

w miarę rozwoju obozu znalazł się w samym jego środku...

Wszystko to nie spowodowało wstrzymania wydobywania. Chodzę nad rzekę tylko raz dziennie, ale pracuje tam stale ekipa nadzorowana przez Jimmy'ego lub Larsa, który okazał się bardzo skutecznym współpracownikiem. Był zaskoczony ogromem wykonanej już pracy, powiedział mi, że w ciągu dwudziestu pięciu lat spędzonych w Kostaryce nigdy nie widział, by Ticos tyle harowali i wyglądali przy tym na zadowolonych.

Nie przesadzam z rytmem pracy, liczę na maszyny i nie chcę wykończyć pracowników. Z drugiej strony nie zamierzam nikomu robić prezentów, dopóki żywię jakiejkolwiek wątpliwości. Pracujemy tylko tyle, ile trzeba, żeby pokryć koszty materiałów i wynagrodzeń.

Każdy nowo zatrudniony musi odbyć praktykę w dziurze. Fabio był bardzo zaskoczony: przyjechał z wyniosłą miną, dumny ze swego statusu mechanika, ale szybko dowiedział się, że w Quebrada del Frances na wszystko trzeba zasłużyć. Następnego dnia po przyjeździe patrzył z góry na pozostałych, uwijających się w błocie.

– A ty co tu robisz – pytam go – nie masz roboty?

– Zatrudniono mnie jako mechanika! W Malessie powiedziano mi, że będę głównym mechanikiem.

– Nie jesteśmy w Malessie, jazda do wody i módl się, żeby coś znaleźć, jeśli chcesz z niej wyjść.

Księgowy również przeszedł tę równościową kąpiel. Jest to czystej krwi Indianin, ale długo studiował, jest bardzo szczupły, na granicy chudości, ma ręce jak druty i elastyczny chód, który zyskał mu przydomek Różowa Pantera. Ma dość długie włosy, zawsze starannie uczesane, regularne rysy twarzy i nosi okulary intelektualisty. Jest nieśmiały

i niewiele mówi; dobrze wychowany, nigdy nie używa ordynarnych słów; to łagodny marzyciel, który zabłąkał się w ten chamski świat.

Na początku musiałem go chronić i przydzielić mu osobny pokój, bo jego kobiecie rysy zainteresowały Barbasa i Cunado. Został zaangażowany jako księgowy, ale będzie tu robił wszystko oprócz prowadzenia ksiąg, które obchodzą mnie tyle co zeszłoroczny śnieg. Ponieważ nie był w stanie podnieść łopaty, ustawiłem go przy canoa, tłumacząc mu grzecznie, że oczywiście może zajmować się księgowością, ale poza godzinami pracy. O ile początkowo był spokojny i cichy, szybko stał się równie brutalny i wulgarny jak inni. W miarę, jak rozwijały się jego mięśnie, stawał się bardziej pewny siebie. Wyzwolił się w nim złośliwy i niebezpieczny instynkt, i teraz nie jest bezpiecznie odwrócić się do niego tyłem, jeśli mu się naraziło. Początkowo prowadził swoje księgi, ale po paru tygodniach nadużywanie alkoholu i trawki spowodowało, że zamieniły się one w prawdziwy chlew, a w końcu po prostu je wyrzucił.

Jego i Fabia nie ominęły zwykłe w takich przypadkach żarty pracowników. Fabio, jako zawodowy mechanik, został poproszony o uruchomienie generatora prądu, pod uważnym spojrzeniem zgromadzonych kolegów, którzy tarzali się z radości, kiedy korba rozcięła mu policzek. Również Różowa Pantera, któremu Chiche zaproponował wypróbowanie swych sił, nie miał więcej szczęścia. Przez tydzień chodził z wargami jak dwie czerwono fioletowe parówki, ku wielkiej radości White, który miał wrażenie, że spotkał pobratymca. White wyznał mi, że tym, co go przeraża, kiedy bierze pod uwagę możliwość śmiertelnego wypadku, jest myśl, że zamiast go opłakiwać, naśmiewano by się z niego, i że uważany byłby za idiotę. Śmierć jest do zniesienia tylko wtedy, kiedy człowiek traktowany jest serio.

Dla Puntarenas praktyka była inna. Ten zawsze uśmiechnięty żartujący facet jest rybakiem z Drake. Przyszedł do nas z piłą mechaniczną, żeby ciąć deski. Kiedy mieliśmy ich już dość, poprosił mnie o pozwolenie pójścia do dziury; pozwolenie natychmiast otrzymał. Niestety, ma on tylko metr trzydzieści wzrostu, i w dziurze nie miał gruntu. Pomimo dobrej woli nie mógł się tam na nic przydać, bo woda sięgała mu do ust, a ponieważ nie potrafi przestać się śmiać, łyknął parę sporych haustów: musiałem przenieść go do canoa, bo byłby się utopił. Jego wiecznie dobry humor zyskał mu sympatię wszystkich, a poza tym potrafi wymóc szacunek.

Piątym nowym pracownikiem jest Glandulon, syn eks-porucznika Villanuevy. Jest równie głupi, co silny, a krzepę ma niesamowitą. Jest tępy i łatwowierny, i pozostali wykorzystują jego prostoduszność, choć nie za bardzo, bo potrafi tego dołożyć. Jest prawdopodobnie jedynym w tym towarzystwie, który ma uczciwą przeszłość, ale jego ojciec równoważy to z nawiązką. Dawniej był rzeźnikiem, co bardzo się nam przydaje, bo dzięki strzelbie Maria zwierzyny nam nie brakuje. Glandulon żre bez opamiętania i jest jednym z nielicznych, którzy z własnej woli jedli koninę. Żeby mięso z zabitego konia się nie zmarnowało, musiałem kazać je ususzyć i domieszać do dziczyzny. Glandulona nic nie dziwi i wszystko jest dobre dla jego żołądka, nawet kot Barbaroi, który do nas wrócił.

Pojawił się któregoś dnia, kiedy byliśmy wszyscy przy stole, moja kula urwała mu tylne łapy i ciągnął za sobą kikuty miaucząc przeraźliwie: w jednym rana zabił się i widać było białą suchą kość, drugi natomiast wdała się gangrena i smród rozchodził się okropny. Mówi się, że koty mają niesamowitą odporność, wierzę w to, odkąd zobaczyłem ten widok. Czołgał się tak już od tygodnia i szybko wyzwoliłem go od cierpień – chyba po to przyszedł. Jeden Glandulon skusił się na

spróbować smaku jego mięsa, innych mdliło na sam widok. Dopóki ten facet jest w pobliżu, a któryś z pracowników miałby wypadek śmiertelny, trzeba byłoby sprawdzić, czy ciało jest nienaruszone, zanim się je pochowa.

*

Dzięki skidderowi, który stara się zapracować na benzynę, jaką zużywa, ulepszyłem drogę, która do nas prowadzi, i mogłem sprowadzić samochód. Ma on teraz opony od traktora i przypomina gigantycznego owada. Ma też piętnastocentymetrowe kolce i dzięki nim jest jedynym samochodem, zdolnym do pokonywania naszych gór. Od tej pory po posiadłości poruszam się wyłącznie samochodem; White, którego zdolności dyplomatyczne i wysiłki zmierzające do otrzymania wypoczynkowej roboty zasługują na nagrodę, jest moim kierowcą podczas objazdu poszczególnych miejsc pracy. Na każdym postoju White staje na fotelu kierowcy, odczytuje chłopakom fragment z Biblii, po czym wyrwa kartkę i robi ogromnego skręta, który zapalam i puszczam w obieg. Za każdym razem White pociąga sobie parę razy i pod koniec dnia, całkowicie otumaniony, z ledwością omija drzewa. Nie jesteśmy już tak odizolowani od świata jak dawniej i dopóki trwa pora sucha, łatwo jest przejechać samochodem do Puerto Jimenez, odległego o czterdzieści pięć kilometrów. Dobry kierowca może obrócić w ciągu jednego dnia i często Jimmy, White, Barbas lub Fabio jadą tam jepeem, żeby sprzedać w banku złoto albo zrobić zakupy. Jadą zawsze przynajmniej we dwóch; w razie wypadku lub awarii jeden idzie po pomoc, a drugi pilnuje sprzętu. Jimmy przekazuje moją kopertę nowemu szefowi policji, u którego kupuje zresztą całą naszą kokainę. Pozwala mi ona cierpliwie czekać, choć chciałbym, żeby robota posuwała się trochę szybciej.

*

Od czasu do czasu, aby chłopcy nie zmiękli i żeby zwiększyć trochę zasoby złota, zarządzam pracę na okrągło. Przez tydzień zapędzam wszystkich nad rzekę, pracują na trzy zmiany po osiem godzin. Co do mnie, to wspomagany kokainą prawie nie śpię, tylko godzinkę od czasu do czasu; wpływa to odpowiednio na mój zły humor i moje wrzaski przerażają wszystkich. Kiedy postanawiam wreszcie przerwać to tempo, wszyscy odczuwają ulgę aż do następnego razu.

*

Któregoś wieczoru czuję chęć zmiany wyglądu i golę sobie głowę. Rano wszyscy patrzą na mnie z ukosa, nie wiedząc, czy się śmiać, czy nie. W południe biorę parę nożyczek i wołam Puntarenasa, jedyne, który otwarcie się śmieje. Z uśmiechem na ustach siada przede mną. Kilka cięć nożyczkami, potem wykończenie brzytwą i Puntarenas zmienia twarz. Teraz kolej na Cunado, wreszcie przechodzą przez to wszyscy. Niektórzy na początku ociągają się, ale w końcu dobry humor zwycięża i zaczynają się przepychać pod nożyczki. W krótkim czasie wszyscy ostrzyżeni są na zero. Obcinają sobie włosy nawzajem, i pojawienie się każdej nowej ogolonej głowy witane jest okrzykami.

Niektórzy wyglądają korzystnie, inni mniej; Miguel – jakby miał na szyi wielką dynię, natomiast czaszka Cunado wygląda jak kutas z uszami. Robi się świąteczna atmosfera, jest bardzo przyjemnie, dotykają sobie nawzajem głowy albo ocierają się czaszkami, rozbawieni tym nowym dla nich uczuciem, pokazują się wzajemnie palcami, zaśmiewając się przy tym. Prawie wszyscy mieli długie włosy, które leżą teraz rozrzucone po całej sali, są tego kilogramy: Puntarenas proponuje, żeby

zrobić z nich koc i zawiesić na ścianie wraz z innymi trofeami, Barbas wypełnia włosami koszulkę, żeby mieć wygodną poduszkę.

Widok tych dwudziestu pięciu gładkich, okrągłych głów jest niesamowity. Jeden White ostrzyżony jest na Irokeza, co nadaje mu zresztą bardziej inteligentny wygląd. Jimmy, pod pretekstem odstających uszu, uniknął golarki, jako jedyny; oszczędziłem go, bo często jeździ do miasta. Strzygę natomiast trzech facetów z Vanegas, którzy przyszedli do nas na kilka dni; pod wpływem ogólnego entuzjazmu z chęcią poddali się temu zabiegowi. Później dowiem się, że po ich powrocie ich żony płakały, a wioska traktowała ich jak zadżumionych. Teraz już narzuciłem nową modę, ten zespół ogolonych czaszek dodaje nam splendoru: stało się to już – bardziej niż mundur – znakiem wyróżniającym i przedmiotem dumy.

*

W tym czasie życie w obozie stało się łżejsze i w każdą sobotę katujemy się w sposób zorganizowany.

Kazałem wykarczować kawałek terenu i zbudować dwie bramki. Jimmy przywiózł z Golfito piłkę futbolową i pracownicy, podzieleni na dwa zespoły, rozgrywają przyjacielskie spotkania. Nie jest to określenie ścisłe, bo mecze mają przebieg wyjątkowo brutalny. Jako prawdziwi Latynosi wszyscy pasjonują się piłką nożną, ale poza mną, którego futbolową karierę przerwało nieszczęśliwe wyrzucenie z zespołu, nikt tak naprawdę nie miał piłki w ręku. Całość przypomina mieszaninę rugby i boksu, bo reguły są bardzo elastyczne. Wykorzystując szacunek, jakim darzą mnie wszyscy, strzelam gola za golem, kopiąc wszystko na mojej drodze; najgorzej ma pierwszy, który odważy mi się oddać – będzie pracował na trzy zmiany przez tydzień.

Między sobą chłopaki nie mają zahamowań i mecze najczęściej kończą się ogólną bijatyką. Nikt już nie odważa się sędziować, bo pierwsi śmiałkowie napotkali dość brutalny opór wobec swoich decyzji. Tak czy inaczej, zawsze wygrywa moja drużyna, bo zabroniłem przeciwnikom strzelać zbyt wiele bramek pod karą pozbawienia weekendowego wypoczynku: nie znoszę przegrywać i oni o tym wiedzą.

Początkowo na mecze zarezerwowane były sobotnie wolne popołudnia, później jednak rozgrywane są kilka razy w tygodniu, kiedy się nudzę albo kiedy pracownicy są zbyt zmęczeni. W czasie jednego z takich meczów, kiedy to King stara się przekonać Barbasa, żeby nie strzelał gola, widzę nagle jak na drodze prowadzącej z Guerra pojawia się mała blond pupcia, a nad nią równie blond główka: Sophie!

*

Moja ulubiona nimfomanka, we własnej osobie. Wyjaśnia mi, że ma tydzień wakacji i że przyjechała prosto z Frankfurtu, żeby się ze mną zobaczyć. Dziesięć tysięcy kilometrów plus przejście pieszo przez dżunglę, wszystko po to, żeby być traktowaną jak pies; świadczy to albo o wyjątkowym zamiłowaniu do przygód, albo o sporej dozie masochizmu.

Bawi mnie ta feministka, przyjeżdżająca po to, żeby dać się traktować z góry i maltretować z dala od ludzkich oczu. Bo nie widzę innego powodu: nie chcę się głupio chwalić, ale dzięki moim licznym doświadczeniom jestem w stanie zadowolić każdą kobietę, która na to zasługuje, lecz mój egoizm i mizoginizm skłaniają mnie przede wszystkim do poszukiwania własnej przyjemności: wystarczająco dużo przeżyłem, żeby wiedzieć, że nie muszę już niczego udowadniać. Więc fakt, że Sophie wraca tu po tym, jak ją potraktowałem, stanowi dla

mnie co najmniej zaskoczenie; trzeba też powiedzieć, że mnie podnieca. Nie daję jej czasu na odpoczynek, zabieram pod prysznic i myję pod mocnym strumieniem. Kiedy jest już czysta, wyjaśniam jej subtelności futbolu strzelając parę bramek wbrew naturze; całe szczęście, że już się wylizła po ostatnim razie. Przyznajcie, że jestem gościnnie: mycie i załatwienie od tyłu w piętnaście minut po przyjeździe, kto może zaoferować więcej?

Cieszę się, że mam nową zabawkę na otwarcie mojego nowego domu, i noc spędzam na oznaczaniu mojego terytorium. W ciągu dnia, częściowo schowany za drzewem, nadzoruję prace nad rzeką, dosiadając jednocześnie mojej pani, uczepionej pnia drzewa. Następnej nocy ponawiam swoje zabiegi. Rano Sophie opuszcza mnie, czy raczej ucieka korzystając z wyjazdu Jimmy'ego do Puerto Jimenez. Tym razem nie trwało to długo, i byłbym zdziwiony, gdyby jeszcze raz tu wróciła.

*

Praca nad rzeką przebiega w zwolnionym tempie i nie wiem już, co mam jeszcze kazać zbudować. Nudzę się i teraz co tydzień wybieram się do miasta. W każdą sobotę rano jadę do Jimenez z piętnastoma pracownikami, którzy wymieniają się za każdym razem. White, urodzony kombinator, zawsze jakoś załatwia sobie miejsce drogą różnych zamian. Bez niepokoju zostawiam obozowisko pod opieką Maria: nasza reputacja, liczne tablice ostrzegawcze oraz sposób, w jaki przyjmuje się nielicznych przybyszów, zapewniają nam spokój.

Wyjeżdżamy samochodem, Jimmy prowadzi, ja siedzę obok, a pozostała piętnastka tłoczy się z tyłu. Jest to ładunek maksymalny, siedzą wszędzie, na siedzeniach, na zderzakach, niektórzy jak winogrona uczepieni są drążków podtrzymujących plandekę dachu; jest to epicka po-

droż.

Od czasu do czasu wstrząsy powodują, że któryś spada i musi wówczas biec za samochodem aż do następnego wzniesienia. Kiedy droga wiedzie pod górę, żeby ulżyć silnikowi wszyscy wysiadają i biegną aż na szczyt, gdzie znów wciskają się do środka. Samochód ma problemy z akumulatorem i nie zatrzymuje się nigdy: niejeden raz któryś z pracowników nie zdążył i został sam w środku lasu. Początkowo docierali cali ubłoceni, ale szybko opanowali technikę: teraz wyjeżdżają wszyscy w szortach albo slipach, trzymając czyste rzeczy w torbie plastikowej; przy przejeździe przez ostatnią rzekę samochód zatrzymuje się; tu myją się, odpicowują i ubierają, żeby w mieście być na sto dwa.

Te dwudniowe zabawy odbywają się całkowicie na mój koszt, i jestem hojny. Pierwsza rzecz, jaką robię, to zaprowadzenie wszystkich do burdelu Indija w Jimenez. Jest to obskurna rudera, w której pracują cztery grube, obrzydliwe kurwy. Moi ludzie, doskonale sobie radzący w bijatykach, stają się zupełnie nieśmiali wobec kobiet: zabawne jest widzieć, jak stoją w kolejce z ręcznikiem w rękę; śmieją się, przechwalają, ale kiedy nadchodzi moment przekroczenia progu czerwienią się jak dzieci i zwracają się do kurew per pani.

Wielokrotnie, zwłaszcza na początku, rozżłoszczone kurwy muszą łapać ich za rękaw i zmuszać do spełnienia obowiązku. Później z ich opowieści wynika, że dogodzili panienkom jak nikt inny. Cunado chwali się, że załatwia sprawę językiem; kiedy okazują swoje obrzydzenie, odpowiada mi z wielkopańską miną:

– Dla mnie kurwa to przede wszystkim dama.

Ładna mi dama! Po przejściu pięćdziesięciu facetów to już nie dama, to obfity posiłek. W końcu wyznaje mi swój prawdziwy powód:

– Rozumiesz, jak widzą mojego, to wszystkie odmawiają. Teraz ro-

zumiem jego miłość do klaczy.

*

Kilka tygodni później Cunado, który obchodzi właśnie swoje urodziny, zostaje uroczyście zaproszony do burdelu. Siedzę w barku z pracownikami, którzy już zrobili swoje, kiedy do pokoju wpada rozebrana kurwa obrzucając wyzwiskami Cunada, który idzie za nią z miną nieszczęśliwego chłopca, z ręcznikiem owiązanym dookoła bioder, a jego anomalia obija mu się o łydki.

– Don Juan Carlos – mówi mi smutno – ona nie chce.

– Pomóżcie mu trochę – mówię do swoich ludzi, którzy pokładają się ze śmiechu. – Taki brak poczucia obowiązku zasługuje na karę.

Chcąc zrobić przyjemność swemu kolesiówi, White, Chiche, Fabio i Miguel chwytają panienkę i przytrzymują ją na ziemi z rozłożonymi rękami i nogami. Ofiarując mu w ten sposób prezent śpiewają mu jednocześnie „Sto lat, sto lat”. Cunado, wzruszony do łez taką życzliwością, i podniecony kokainą, rzuca się na prezent i pracuje, ile sił w łędźwiach. Wrzaski kurwy i pieśń ryczana na cały głos ściągają ciekawskich, którzy obserwują to rzadkie zjawisko śmiejąc się; nawet barman, z początku zaszokowany, przyłącza się do chóru.

Po tym wydarzeniu Cunado i spora część moich ludzi mają zakaz wstępu do burdelu i nie jeden raz trzeba będzie wywierać drzwi.

*

W każdy sobotni wieczór odbywa się w Jimenez bal, w Rancho de Oro albo innym barze. Przybycie wojskowym samochodem piętnastu mężczyzn z ogolonymi głowami zawsze wzbudza sensację. Wszyscy

podziwiają jeepa a moi ludzie, bardzo dumni, udają, że nic ich nie obchodzi. Szybko stajemy się znani i bardzo często, kiedy wchodzimy na salę, piosenkarz ogłasza przybycie „ludzi z Quebrada del Frances” co wbija w dumę moich pracowników. Trzeba powiedzieć, że nie są oni dyskretni i zachowują się niezupełnie poprawnie: abstynencja seksualna, alkohol i potrzeba prowokacji sprawiają, że dotyczą każdej dupy, która pojawia się w zasięgu ręki; często wybuchają bójkі, szybko ukrócone dzięki naszej reputacji i liczebności. Nie żeby mieszkańcy Jimenez nie mieli ochoty komuś dołożyć, ale boją się nas i to zapewnia nam bezkarność.

Siedzimy przy stoliku, raz przynajmniej jest spokój, kiedy nagle przed nami wybucha sprzeczka między jakimś mężczyzną a kobietą. Ta ostatnia policzkuje go z całej siły, a mężczyzna, prawdopodobnie powstrzymywany wpojonymi od dzieciństwa zasadami, usiłuje ją uspokoić, nie ośmielając się podnieść na nią ręki. W końcu jednak, doprowadzony do ostateczności, wymierza jej fantastyczny policzek, który sprawia, że babka rozciąga się jak długa. Jacyś faceci doskakują do niego i wyciągają go na zewnątrz. Inni rzucają się, żeby mu pomóc, i w kilka minut cały bal zamienia się w rozległe pole bitwy: osiemdziesiąt osób, zachwyconych nadarzacą się okazją, usiłuje wypruć sobie nawzajem flaki. Krzesła, stoły i butelki latają na wszystkie strony, pole walki rozszerza się i bitwa przenosi się na dwór: siedzimy nieco na uboczu w samochodzie, mamy najlepsze miejsca do podziwiania przedstawienia. Akurat naprzeciwko nas kobieta, poszukiwaczka złota o ogromnych łapach, chwytą facetów jednego po drugim i rozkłada ich jednym ciosem pięści. Wszędzie dookoła jeden wali drugiego bez zdania racji, wyłącznie dla przyjemności wyżycia się.

Pomału bijatyka przemieszcza się i wkrótce znajdujemy się w jej centrum; uszkadzają nam lakier i próbujemy ich odsunąć, najpierw

grzecznie, potem potężnymi kopniakami w głowę. Księgowy, z tą swoją całkiem łagodną buzią, przyblokował jednego pod samochodem i trzymając go za włosy rozwała mu głowę z fлека.

Rozlega się pierwszy okrzyk „Śmierć obcym!”, potem drugi „Śmierć Francuzowi!” i w ciągu kilku minut wszyscy godzą się znajdując wspólnego wroga. Ponieważ wyglądają groźnie i mówią o wywróceniu samochodu, wyciągam broń i trzymam ich na muszce, a za moim przykładem idą Jimmy i wszyscy ci, którzy zabrali spluwy, podczas gdy pozostali pchają wóz, żeby silnik mógł zapalić. Kiedy wsiadamy, ponownie rozlegają się wyzwiska, po czym leci parę butelek. Za kierownicą siedzi Jimmy, który ma już zdrowo w czubie, przejeżdża dziesięć metrów, po czym krew go zalewa: zawraca i na pełnym gazie pędzi prosto w zgromadzony tłum. Kiedy ludzie odsuwają się obrzucając nas wyzwiskami, bez uprzedzenia wyciąga broń i strzela na oślep. W dwie sekundy wszyscy leżą na ziemi i zapada cisza; odjeżdżamy wśród okrzyków przerażenia.

Kiedy wjeżdżamy na podwórze hotelu, w którym każdego weekendu mamy zarezerwowanych sześć pokoi, chowam całą nie zarejestrowaną broń; szef gliniarzy jest przekupiony, ale jeśli został ktoś zabity przy świadkach, nie będzie mógł wiele zrobić. Jimmy wytrzeźwiał i gryzie paznokcie ze zdenerwowania, pozostali faceci rozkładają się byle gdzie, żeby trochę pospać, a Miguel zostaje na straży. Rano idę zasięgnąć języka i dowiaduję się, że gliniarze nawet się nie pofatygowali na miejsce. Od tej pory nikt nas już w Jimenez nie zaczepia, ale pracownicy zawsze trzymają się razem.

*

Każdego weekendu zabawa trwa tak długo, aż wszyscy padną pijani

w trupa. Wracamy w poniedziałek rano około piątej. Budzę najmniej zalanych kopniakami i pomagają mi załadować pozostałych do samochodu.

Kiedy przyjeżdżamy do kopalni, posyłam wszystkich do pracy: nie mogą ustać na nogach i z samochodu do dziury przenoszę ładunek nieprzytomnych ciał, które bez ceregieli wrzucane są do, wody przez pracowników pozostałych w kopalni.

Ci ostatni znają zasady gry, bo sami ich doświadczyli na własnej skórze, toteż zaledwie zobaczą samochód, już pędzą do dziury czekając na wyładunek. Pilno im dać upust swej zazdrości wobec powracających, zgarniają ich i z całej siły ciskają do wody, trzy metry dalej. Zimna woda ma właściwości trzeźwiące, ale niektórzy są rzuceni niecelnie i nie zawsze lądują w wodzie; Chiche rozbija sobie raz głowę o skałę. Raphael w upojeniu alkoholowym pływa na powierzchni, chłopaki wyciągają go na wpół utopionego i kładą na kamieniu, żeby wysechł; budzi się dopiero pod koniec dnia.

Pomimo tego wszystkiego weekendowa zabawa jest dla nich koniecznością. Wiedzą, że na zewnątrz wszystko jest dozwolone, i za każdym razem starają się zrobić więcej. Za którymś powrotem, w niedzielę rano, kiedy wyjątkowo nie byli pijani, zgarnęliśmy po drodze wszystkie zwierzęta domowe. Faceci uganiaли się za kurami i prosiakami, możecie mi wierzyć, że wieczorem mieliśmy królewską ucztę. Ścigani przez wściekłą maciorę złapali mlecznego prosiaka, którego postanowiłem podtuczyć. Stało się już rytuałem, że zarówno jadąc tam, jak i z powrotem, rozwalam ogrodzenie Demesia; nie zrażając się tym, że za każdym razem je naprawia.

Znów przyjechał do nas Herman, przywiózł nam aparat nadawczo-odbiorczy. Przedmiot według mnie całkiem niepotrzebny, a według niego bardzo drogi. Z Hermanem przyjechał jego syn, chłopak dwunastoletni, któremu przytrafia się niesamowita zupełnie rzecz, bo znajduje w canoa bryłkę o wadze stu pięćdziesięciu gramów.

Nasze stosunki zmieniły się i rozmowa jest trudna. Jak długo będę miał wątpliwości, nie będę w stanie rozmawiać z nim normalnie. Kiedy patrzę na niego, zaraz myślę, czy przypadkiem wszystkiego sam nie ukartowałem, i mam ochotę go zabić. Słyszał o naszych wypadach do Jimenez, o burdelu, jaki tam wprowadzamy, i przejawia pewien niepokój.

– Wydobyłeś trochę złota?

– Tak, trochę.

– Masz coś dla mnie?

– Nie, wydobywam tylko tyle, ile potrzeba na opłacenie kosztów utrzymania obozu i przyjemności.

– W takim razie bardzo mało pracujesz, dlaczego?

– Chodź, to ci wyjaśnię.

Prowadzę go nad rzekę i pokazuję pionową ścianę, która wznosi się na sześć metrów nad dziurą.

– Popatrz – mówię mu – w każdej chwili może się to zawalić. Jeśli runie, z całą pewnością stracę pięciu albo sześciu ludzi. Nie mam ochoty poświęcać moich pracowników dlatego, że nie jesteście w stanie dotrzymać swoich zobowiązań. Ręcznie pracować tu już nie można, potrzebujemy maszyn: dopóki nie dostaniecie zezwolenia, produkcji nie będzie.

Nie żebym nagle zaczął pilnie przestrzegać prawa, ale nie chcę spę-

dzić resztę życia w górach. Najlepszym sposobem wykorzystania tej kopalni dla mnie byłoby teraz sprzedać ją jakiemuś wielkiemu przedsiębiorstwu za wiele milionów dolarów. Do tego potrzebuję legalnych dokumentów, nie mogę walczyć z Ministerstwem Geologii i Górnictwa.

Herman nie zabawia długo i odjeżdża z obozu. Po dwóch tygodniach wraca, żeby naprawić radio, które dyskretnie popsulem. Łączy się z nami codziennie i ta stała kontrola denerwuje mnie.

Pijemy właśnie kawę, kiedy na drodze pojawia się ciężarówka pełna ludzi. Nie licząc naszej, jest to pierwsza, która tu przyjeżdża. Ignorując tablice ostrzegawcze, kierowca wysiada i podnosi szlaban. Mario jest w kuchni, więc wysyłam White'a, żeby ich zatrzymał, ale nie słuchają go i zbliżają się. Nie wiem, kto to jest, ale nauczą się, że nie można bezkarnie rzucać mi wyzwania. Celuję i strzelam do kierowcy, żeby zatrzymać ich w sposób radykalny. Ciężarówka natychmiast staje, a kierowca daje nura pod kierownicę. Jego sąsiad wyskakuje z szoferki i wrzeszczy:

– Nie strzelajcie! Herman! Ej! Herman!

– Nie strzelaj – mówi mi ten ostatni matowym głosem – to Adriano.

Adriano Caracas, syn Juana, enfant terrible całej rodziny. Był najemnikiem w Nikaragui i ma niedobrą reputację; powszechnie znane są jego oszustwa, które uchodzą mu na sucho ze względu na rodzinne powiązania. Jimmy zna go i opisał mi go jako niebezpiecznego faceta. Czego tutaj szuka ta żmija?

Mężczyźni wysiadają z ciężarówki. Pierwszy idzie Adriano. Jestem zaskoczony, bo to karzeł ze starannie przystryżoną bródką, zdradzającą kompleksy. Za nim postępuje olbrzym dwumetrowego wzrostu, gruby

i tłusty, jego ciało trzęsie się jak galareta. Na pierwszy rzut oka wygląda jak pierwszy lepszy gringo, ale jego żywy i przenikliwy wzrok zdradza nieprzeciętną inteligencję. To Carano, Amerykanin poszukiwany przez Interpol który sprzedaje swoje usługi przestępczej gałęzi rodziny Caracas. Dalej idzie dwóch gringos jako ochrona osobista, cali w tatużach, paskudne mordy, prawdopodobnie najemnicy albo recydywiści. Za nimi około dziesięciu Ticos o zdecydowanych minach; wykonawcy. Banda Adriano w komplecie.

Są dosyć znani i niedawno zrobili nad Rio Tigre skok na parę milionów dolarów. Ta gałąź rodziny słynie z tego, że posługuje się poszukiwanymi przez policję Amerykanami, z których najbardziej znany był Robert Vesco. Udzielają im azylu politycznego i wnioski o ekstradycję są zawsze odrzucane. W zamian za ochronę wykorzystują ich inteligencję do opracowywania bezkarnych oszustw. Kto chciałby się temu przeciwstawić, ryzykuje, że skończy w więzieniu albo na dnie jakiegoś rowu.

Nie wiem jakie są zamiary Adriano, ale mimo że jest synem prezydenta nie będzie się tu rządził, i on to czuje. Myślał, że chroni go nazwisko i że będzie mógł nas tu zastraszyć, więc na pewno nie oczekiwał takiego przyjęcia. Moja pierwsza reakcja na ich przyjazd, prawie całkowity brak zainteresowania, kiedy się przedstawił, i moich dwudziestu pięciu ludzi o ogolonych głowach, którzy przyglądają się przybyszom w milczeniu, wszystko to wskazuje, że przegrał tę partię.

Podczas gdy rozmawia z Hermanem, zachowuję milczenie. W kaburze mam czterdziestkę czwórkę, a trzydziestkę ósemkę za pasem; widok ten, moje milczenie i ta ogolona czaszka, która bynajmniej nie łagodzi mojego wyrazu twarzy, sprawiają, że czuje się nieswojo i często rzuca na mnie krótkie spojrzenia. Carano, który założył ciemne okulary, rów-

nież obserwuje mnie spod oka. Kiedy się oddalam, Adriano pyta:

– Ten francuski najemnik, to ten?

W jego głosie dźwięczy nienawiść. Nie zamieniliśmy jednego słowa, żadnej sprzeczki, ale utracił twarz wobec wszystkich. Jest błyśliwy od powstrzymywanej wściekłości: czuje się mały i zdaje sobie sprawę, że tutaj jego nazwisko nie uchroni go od kopa w tyłek.

Przyjechał tu jako zdobywca, a teraz prosi mnie za pośrednictwem Hermana o pozwolenie zwiedzenia kopalni.

– Zgoda – mówię – ale idę z nimi.

Adriano, Carano, obaj gringos i Valverde, skorumpowany adwokat z ministerstwa, wchodzi do dżungli. Cały czas nie otwieram ust. Podczas gdy Herman pokazuje im dziurę, cała piątka siedzi na pniu drzewa, a ja stoję za nimi, stale milcząc. Wreszcie, po dziesięciu minutach, nieswojo czując się Adriano daje znak do odejścia i szybko opuszcza dżunglę. Kiedy stoją wszyscy razem, liczę ich i wydaje się mi że jednego brakuje: biorę karabin Jimmy’ego i daję go Larsowi.

– Idź zobaczyć, czy któryś z tych skurwysynów nie został nad rzeką. Jeśli go zobaczysz, wsadź mu kulę w łeb bez ostrzeżenia.

– Z przyjemnością – odpowiada – nie mogę znieść widoku tych skurwieli.

Scena ta nie uszła niczyjej uwagi i atmosfera staje się ciężka. Wkrótce po powrocie Larsa, zasmuconego, że nikogo nie znalazł, wszyscy wsiadają na ciężarówkę i odjeżdżają.

*

Jadę za nimi aż do Vanegas jeepem, żeby raz jeszcze przyjrzeć się mojej twarzy, po czym zawracam. Tym razem mam wrażenie, że nie-

wiele brakowało. To nie były wymoczki, jak większość gości, którzy nas zwykle odwiedzają: ci faceci nie wyglądali na takich, którzy cofają się przed niebezpieczeństwem. Carano to człowiek o dużej inteligencji, zabrakło im tylko przywódcy, takiego prawdziwego. Adriano chowa się za swoim nazwiskiem: jego ojciec był prawdopodobnie kimś mocnym, ale on sam jest tylko uzurpatorem, gnidą, która jedzie na swojej reputacji z braku czegoś lepszego.

Moim zdaniem przyjechali zbadać teren: nazwisko Caracas, złowrogi wygląd ochroniarzy i pozostałych facetów, obecność Carana, prawne zabezpieczenie w postaci adwokata, wszystko to miało wystarczyć, jak sądzili, żeby zrobić na mnie wrażenie. Ale zamiast spotkać oczekiwanych paru wystraszonych i posłusznych chłopów, znaleźli się w obozie o paramilitarnej organizacji, pełnym wrogo nastawionych facetów, gotowych iść za mną w ogień. W tej sytuacji nie pozostało nic innego, jak tylko udawać, że ich wojenna wyprawa miała na celu grzecznościową wizytę... Adriano prędko tego nie zapomni.

Jimmy jest bardzo zadowolony. On, którego cała rodzina Caracas od lat uważała za lokaja, tym razem stał po właściwej stronie barykady.

– Adriano zapytał mnie, czy strzeliłbyś do niego wiedząc, kim jest. Odpowiedziałem, że tak, i zaschło mu w ustach.

Herman kipi z radości i opowiada o swojej rozmowie:

– Więc mówię mu: rozumiesz, Adriano, zdobyliśmy tę kopalnię przy użyciu broni i nikt nam jej nie odbierze, dlatego reagujemy gwałtownie.

Kto to jest „my”, grubasie? Naprawdę, jeden Tico wart jest drugiego. Wszyscy jednakowo szmatławi.

Zbliża się Wielkanoc i całkowicie zatrzymuję pracę nad rzeką. Czuję, że zbocze może zawalić się w każdej chwili, a moi ludzie stali się już dla mnie czymś więcej niż tylko pracownikami.

Każdego roku o tej porze Herman organizuje święto dla swoich pracowników. Malessa ma drużynę piłkarską, która zdobyła wiele laurów, więc proponuje mi przez radio spotkanie między nią a reprezentantami Quebrada del Frances, żeby rozegrać przyjacielski mecz na boisku w Rincon. Przyjmuję tę propozycję z radością, bo moi chłopcy mają już dość bicia się między sobą.

W dniu spotkania jedziemy do Rincon. Połowa chłopaków jedzie w samochodzie, pozostali biegają z tyłu. Pracownicy z Malessy rozbili namiot i czekają na nas od wczoraj. Na moją prośbę Herman przywiózł buty i koszulki z nadrukiem, którego rysunek jest bardzo prosty: bryłka złota, a dookoła napis „Quebrada del Frances Sport Club”.

Przed meczem obie drużyny pozują do zdjęcia; kontrast jest uderzający. Z jednej strony zespół z Malessy: czternastu młodych ludzi z długimi włosami, swobodnych w sportowych strojach, uśmiecha się do fotografa. Z drugiej zespół z Quebrada: dwudziestu typów spod ciemnej gwiazdy, z ogolonymi czaszkami, z parodniowym zarostem, robi obśceniczne gesty do aparatu, przepychając się, żeby znaleźć się w pierwszym rzędzie.

Przed początkowym gwizdkiem sędzia, mieszkaniec Rincon, przeszukuje moich ludzi i konfiskuje rewolwery, noże i kastety, które przypadkiem zaplątały się w naszych kieszeniach. Następnie rozpoczyna się

mecz.

Moje chłopaki mają po raz pierwszy na nogach buty futbolowe i nie są przyzwyczajeni do kolców. Wielu z nich, wśród nich Miguel, który ma bardzo szerokie stopy, szybko zdejmuje obuwie i gra dalej na bosa-ka albo w gumiakach. Drużyna z Malessy ma świetną technikę i zna zasady gry; moi ludzie zaledwie wiedzą, gdzie należy umieścić piłkę, ale za to mają aż nadto woli walki: o ile do przerwy Malessa prowadzi 2 do 0, my prowadzimy trzema rannymi do jednego.

Druga część spotkania przebiega w żywszym tempie, moja drużyna posługuje się najsubtelniejszymi podstępami, żeby wygrać: Miguel, stojący na bramce, nie przetrwał jeszcze faktu, że wlepiono mu gola; w czasie wznowienia dyskretnie łapie szczęśliwego strzelca i pozbawia go przytomności ciosem pięści w kark; w wirze walki Chiche myli piłki i z woleja wali w jądra przeciwnika; za każdym razem, kiedy ktoś z Malessy zbliża się do naszej bramki, trzech obrońcy mocnymi, podstępnymi ciosami przekonują go o bezcelowości dalszych wysiłków. Choć przekupiony, sędzia musi usunąć kilku z boiska, ale wracają, kiedy patrzy w inną stronę: w pewnym momencie Quebrada ma dwudziestu graczy na boisku.

Przeciwnik jest jednak bardzo silny i im więcej ich unieszkodliwiamy, tym więcej bramek strzelają. Rozpaczliwa próba Eduarda, który biegnie z piłką w rękach, nie udaje się, choć White i Barbas starają się oczyścić mu drogę. Na szczęście utrata spodenek nie peszy Puntarena-sa, który, korzystając ze swego niskiego wzrostu, omija obronę przeciwnika i kopie w kostkę bramkarza Malessy w momencie, kiedy drużyna tego ostatniego zajęta jest strzelaniem nam bramki. Wreszcie ci spośród przeciwników, którzy trzymają się jeszcze na nogach, odmawiają dalszej gry. Herman, widząc jak jego ludzie padają jeden po dru-

gim, prosi o zakończenie spotkania. Kiedy arbiter, który schronił się poza boiskiem i opatruje swoje podbite oko, odgwisduje koniec meczu, gonię właśnie mechanika José, który potracił mnie łokciem, podczas gdy Mario, Cunado i Raphael, za pomocą serii kopniaków, tłumaczą coś księgowemu Pablo, który miał odwagę – czy czelność – wziąć udział w grze.

Mecz kończy się wynikiem 12 do 3 dla Malessy, podobno stosunek rannych wynosi 13 do 2 na naszą korzyść, ale tego się nie rejestruje.

Po tych pamiętnych chwilach daję pracownikom tydzień urlopu. Większość spędza go na południu, wydając swój zarobek na zabawy i pijaństwa. Mario załamał się, odmówił zostania tylko ze swoją rodziną w kopalni, więc go wyrzuciłem; jego miejsce zajął Puntarenas, bardzo zadowolony z tego nowego stanowiska, które pozwala mu zajmować się mną; sprowadził swoją żonę, starą czarownicę, starszą od niego o dwadzieścia lat. Pozostawiam mu pieczę nad obozem i jadę jeepem do San José w towarzystwie Jimmy’ego i kilku pracowników, którzy chcą spędzić swój wolny tydzień w mieście.

Zaraz po przyjeździe pozbywam się wszystkich, również Jimmy’ego, i dzwonię do Luisa, agenta Narkotyków, który miał zebrać informacje na temat moich poprzednich kłopotów.

Przez telefon jest trochę sztywny.

– Mam to, o co mnie prosiłeś – mówi mi – ale wolałbym nie rozmawiać przez telefon. Czy mógłbyś dyskretnie wpaść do mnie wieczorem?

– Oczywiście, o której?

– Najlepiej koło północy.

Nie ma potrzeby nic więcej mi tłumaczyć, domyślam się, co ma mi

do powiedzenia. Wieczorem szybko przystępujemy do tematu.

– To, co ci powiem, jest poufne, obiecaj, że nigdy nie zdradzisz, skąd masz te informacje.

– Masz moje słowo.

– Dobrze. Dyskretnie przepytalem gliniarzy, którzy cie zatrzymali. To nie miało nic wspólnego z żadnym raportem. Rozkaz przyszedł od Altamiry, szefa Narkotyków. Kazał im pojechać do hotelu Astoria natychmiast, mieli tam zatrzymać jednego Francuza – podał im twój ry-sopis – który miał mieć paczkę trawki i rewolwer. Kazał im działać ostrożnie, bo facet niebezpieczny. Jak widzisz, nigdy nie było żadnego donosu z hotelu. Rozkaz przyszedł z góry. Czy to chciałeś wiedzieć?

– Dokładnie, bardzo ci dziękuję, Luis.

– Miło mi, że mogłem ci się odwdziżyć; ale pamiętaj, zachowaj to w tajemnicy. Do widzenia.

A więc nie pomyliłem się: te skurwysyny rzeczywiście mnie zdradzi-ły. Tylko Herman i księgowy wiedzieli o moim hotelu, nikt inny nie mógł przekazać tych informacji Altamirze. Ale który z nich? Pablo, z chęci osobistej zemsty? Herman, w ramach ogólnych intryg? Moim zdaniem obaj. To ciężki cios, uzyskane informacje stanowią dla mnie szok. Ciężka cholera! Dlaczego wszyscy muszą oszukiwać? W każdym razie nie ujdzie im to płazem, potrzebuję tylko trochę czasu, żeby zabezpieczyć sobie tyły.

Ale podstawowe pytanie nie ulega zmianie: dlaczego to zrobili? Jaki mają w tym interes? Gdyby chcieli po prostu odebrać mi kopalnię, najprościej byłoby pozostawić mnie w więzieniu. A przecież to adwok-at Hermana mnie uwolnił. I na co mogłoby się to im przydać, skoro postępowanie umorzono, a zatem nie ciąży już na mnie żadne oskarże-

nie? Nie bardzo sobie wyobrażam, żeby zdecydował się mnie wypuścić pod wpływem moich gróźb, doprawdy nie rozumiem ich postępowania.

Przez te kilka dni, które spędzam w San José, zastanawiam się nad najlepszym sposobem postępowania. Otrzymałem mocny cios, ale nie zmusi mnie on do ucieczki z kraju z podkulonym ogonem; nigdy nie odmawiam walki, wprost przeciwnie; a kiedy się mnie prowokuje, oddaję z nawiązką. Ale jaką powinienem przyjąć postawę? Moja kopalnia jest zbyt bogata, żeby wszystko popsuć w porywie złości; obcięcie jaj Hermanowi zapewne sprawiłoby mi przyjemność, ale jeszcze na to za wcześnie. Najlepiej nic po sobie nie dać poznać, czekać na dalszy rozwój wypadków, starając się przewidzieć, skąd nadejdzie następne uderzenie: zabawa zapowiada się niezła.

Mam jedną przewagę. Nie wiedzą, że przejrzałem ich grę. Jeśli dadzą mi czas na przygotowanie się, ja będę nadawał tempo. Żeby tylko dali mi czas!

*

Kiedy wyjeżdżałem w góry po upływie tygodnia, nie widziałem się ponownie z Hermanem. Po prostu przekazałem mu wiadomość o moim wyjeździe z prośbą o odsyłanie do kopalni moich pracowników, którzy z nim się skontaktują. Pomimo moich postanowień wiem, że nie byłbym w stanie rozmawiać z nim normalnie ani udawać; nie potrafiłbym się powstrzymać przed rozwaleniem o ścianę tego cholemnego skurwysyna. Cała ta fałszywa gadka o przyjaźni, te uśmiechy, to rodzinne zaproszenie! Pomyśleć, że nie zawahał się przed wykorzystaniem Jimmy'ego, żeby mnie zrobić, ryzykując, że chłopak dostanie pięć lat, pomimo ich starej przyjaźni. Któręś dnia zapłaci za to!

Dwa dni przed moim wyjazdem kraj dotknęło dosyć poważne trzęsienie ziemi. Kawałki gór runęły na szosę panamerykańską, co bardzo utrudniło przejazdy z północy na południe. Epicentrum znajdowało się w Gelfito, na pełnym morzu, i im bardziej zbliżam się do celu, tym bardziej niepokoję się o kopalnię. O ile w San José szkody nie są poważne, wiem, że dalej na południe niektóre regiony bardzo ucierpiały. Most w Palmar, którego metalowe przęsła zostały uszkodzone, otwarty jest dla ruchu tylko przez kilka godzin dziennie, a na drodze prowadzącej do Rincon w ziemi otworzyły się głębokie rozpadliny, z których wydobywały się siarczane opary. Im bardziej zbliżam się do kopalni, tym więcej widać szkód, osuwisk i powyrywanych drzew.

Kiedy dojeżdżam do obozowiska, stwierdzam z ulgą, że nie ucierpiało ono zupełnie. Ale bardzo podniecony Puntarenas prowadzi mnie na miejsce wydobywania. Katastrofa. Zbocze nie wytrzymało i całe obsunęło się do naszej dziury. Dziesiątki metrów sześciennej ziemi zasypało miejsce, gdzie kopaliśmy. To niewiarygodne szczęście, że trzęsienie ziemi miało miejsce akurat w tym czasie, kiedy kopalnia była zamknięta. Kilka dni wcześniej obsunięcie terenu z pewnością pogrzebałoby co najmniej dziesięciu moich ludzi. Mimo wszystko to ciężki cios, teraz już nie ma mowy o ręcznym wydobywaniu. Biorąc pod uwagę, jak mało jest tu wody, trzeba by tygodni pracy pompy ssącej, żeby oczyścić dziurę, a nadal istnieje niebezpieczeństwo, że pozostała część zbocza niespodziewanie się obsunie.

Jedyne, co mogę teraz zrobić, to czekać na maszyny. Przez radio, które działa o tyle, o ile, zawiadamiam Hermana o całkowitym wstrzy-

maniu wydobyć do czasu nadejścia sprzętu. Odpowiada, że ma nadzieję niedługo otrzymać tymczasowe miesięczne zezwolenie na mechaniczną eksploatację, ale praktycznie nadal nie widać żadnego postępu.

Żeby zabić nudę, każę kopać w różnych miejscach, żeby sprawdzić bogactwo mojej posiadłości w głębszych warstwach. Wyniki są wszędzie pomyślne, czasem znajdujemy nawet złoto na powierzchni. Ta kopalnia na to naprawdę coś fantastycznego, żeby tylko ci idioci w Mallesie zostawili mnie w spokoju, przynajmniej do czasu, aż nawiążę kontakt z ewentualnymi kontrahentami w Europie, zainteresowanymi pracą na wielką skalę na Osa; żeby tylko mi wszystkiego nie popsuli. Tak czy inaczej, czuję się w Quebrada del Frances u siebie i mam zamiar urządzić się tu wygodnie, nie zważając na ich machlojki.

Nadal trwa budowa jadalni, co napawa mnie wielką dumą, bo jest to największy budynek na półwyspie, rodzaj pomnika odpowiadający mojej manii wielkości: jego spiczasty dach wznosi się na wysokość siedmiu metrów. Lars, który zapewne obawiał się o wychowanie swego syna, stojącego się pod wpływem moich ludzi prawdziwym bandytą, opuścił nas i mam cały dom do osobistego użytku. Kazałem sobie zbudować łóżko o szerokości trzech i pół metra, ale czuję się w nim nieco samotny. Celibat był dobry w okresie walki, przez pierwsze miesiące, ale teraz, kiedy zamierzam urządzić się w tych górach, nie mam już zamiaru żyć jak asceta. Poza tym, wobec tej ciągłej niepewności, prawdziwego miecza Damoklesa, nie wiem, jak długo potrwa ta przygoda, i chciałbym korzystać z niej do maksimum nie odmawiając sobie żadnej przyjemności: mam zamiar pomału założyć w tych górach harem.

Puntarenas i jego żona pochodzą z Osa i znają tu wielu ludzi. Rozsyłałam ich jako posłańców, głoszących wszędzie, że Don Juan Carlos chce się ożenić i gotów jest rozpatrzyć wszelkie propozycje pod warunkiem, że propozycje te są ładnymi dziewczynami i że nie mają więcej niż piętnaście lat.

Parę razy widziałem, jak koło obozowiska przechodziła dobrze zbudowana dziewczyna o urodzie zupełnie nadzwyczajnej jak na półwysep. Jest to bardzo miłutka Metyska. Puntarenas, który ją znał, poszedł do jej dziadka, z którym dziewczyna mieszka, żeby ogłosić mu dobrą nowinę:

– Don Juan Carlos interesuje się waszą wnuczką.

W kilka dni później stary przyprowadza mi wnuczkę do obozu. Zanim ją pozostawi, chce usprawiedliwić się moralnie omawiając warunki transakcji. Starego interesuje możliwość takiego związku: cieszę się w okolicy szacunkiem i ludzie wiedzą, że moja kopalnia jest bardzo bogata; zostać teściem osoby tak ważnej, jak ja, to dla niego społeczny awans.

– Nie mogę niczego obiecać – mówię mu. – Muszę najpierw ją wypróbować, żeby sprawdzić, czy jest godna zostać jedną z moich żon. Jeśli mi się spodoba, zostanie ze mną.

– O, na pewno będzie pan zadowolony. Jest bardzo dobrze wychowana i nigdy nie miała mężczyzny.

Mam nadzieję. Jest to zresztą warunek sine qua non, bo na Osa kazirodtwo jest rzeczą normalną, a ja nie chciałbym zostać następcą tego gadatliwego starucha.

Każę mi obiecać, że gdyby przypadkiem mi się nie spodobała, nie wyrzucę jej na ulicę jak jakąś kurwę, tylko mu ją przyprowadzę z po-

wrotem. Pomijając uniżoność starego, te targi nie mają w sobie nic zdrożnego: dziewczyna nie jest traktowana jak krowa przyprawiona do rzeźni, zdaje sobie sprawę z transakcji i przysłała z własnej woli. Nie mam w sobie nic z donzuana, ale jej normalna przyszłość to stać się z biegiem lat grubą Ticią pracującą cały dzień, mającą za męża tępego chłopca robiącego jej dziecko każdego roku: moja propozycja stanowi dla niej jedyną okazję, żeby uniknąć takiego losu. Tego samego wieczora stary odchodzi do domu, po całym dniu nieustannego gadania.

Nie chcę działać zbyt szybko z Xionarą. Nie potrzebuję kurwy, dziewczyny, która będzie na mnie czekać w łóżku z nogami rozłożonymi pod przymusem. Moja ogolona głowa nie budzi spontanicznej miłości, i chcę, żeby dziewczyna najpierw przyzwyczaiła się do mnie. Dobrze wie, w co się wdała, ale jednocześnie trochę się boi, bo dotąd była czysta. Pierwszą noc spędza w domu Puntarenasa i jego senory, mianowanej na tę okazję przyzwoitką, a następnego dnia wszyscy razem jedziemy do Golfito na zakupy: daję Xionarze trochę biżuterii i parę drobiazgów, które interesują dziewczynę w jej wieku. Nawet w hotelu śpi w osobnym pokoju i dopiero parę dni po powrocie obozu dzielimy wspólne łóżko, na jej prośbę. Sprowadziłem z Puerto Jimenez pielęgniarkę, która wyjaśnia jej zasady zapobiegania ciąży i stosowania pigułki: nie chcę obarczać się dziewczyną w ciąży i nie mam zamiaru zaludniać półwyspu.

Xionara daje mi chwilę wytchnienia: w ciągu dnia powierzam ją opiece senory, która uczy ją dbać o moje rzeczy, służyć mi i odgadywać moje życzenia; wieczorem przychodzi do mnie. Na granicy panamskiej kazałem kupić francuskie perfumy i cienką bieliznę, nocne koszule i inne rzeczy, sprowadzone ze strefy wolnościowej Kanału Panamskiego. Dbam o nią tak, jak zasługuje na to perełka w takich górach. Powoli przystosowuje się do sytuacji i staje się kobietą. Troszczy się o wnę-

trze domu i mam teraz różowe prześcieradła uszyte specjalnie na miarę mojego łóżka. Nie jest to romans, ale jest to przyjemne, bo dziewczyna dba o mnie równie troskliwie, jak ja o nią. Jest to przyjemne zjawisko w twardej rzeczywistości dżungli.

Życie obozu toczy się dalej i wreszcie, któregoś dnia, Herman zapowiada mi rychłe przybycie sprzętu; lepiej późno niż wcale. Nareszcie coś będzie się działo, znów ogarnia mnie gorączka działania. Również pracownicy są bardzo zadowoleni, bo bezczynność zaczynała im ciążyć, przyzwyczaili się do szybszego tempa życia.

Kiedy data zostaje ustalona, pozostawiam obozowisko pod strażą Puntarenasa, Xionarę pod opieką senory i z piętnastoma ludźmi jadę odebrać sprzęt. Zatrzymujemy się w Los Modos, barze-pulperii w połowie drogi między Rincon a szosą panamerykańską, i czekamy. Czekamy cztery dni, cztery długie dni, podczas których moi ludzie z braku zajęcia rozglądają się za nowymi głupstwami do zrobienia, biegają za dziewczynami w okolicy i wywołują bójki.

Zajęliśmy bar, ku wielkiemu przestraszowi właściciela, który zastanawia się, jak to się skończy. Jego trzynastoletnia córka przesyła mi tajne sygnały. Któregoś dnia przejeżdżający jeep zatrzymuje się i wysiada z niego czwórka gringos. Dwóch facetów i dwie dziewczyny. Są w szortach i tenisówkach, typowi turyści poszukujący mocnych wrażeń, trochę przestraszeni własną śmiałością. Kiedy wchodzi, widok, jaki roztacza się przed ich oczami zapiera im dech w piersiach. Siedzę pośrodku sali, z ogoloną głową i czarną opaską na czole. Mam pod pachą czterdziestkę czwórkę i rewolwer 38 u pasa. Stojący za mną Morgon robi mi skręta, a Chiche czyści buty. Dookoła sali, na krzesłach lub na workach z ryżem, siedzą moi ludzie, również z ogolonymi głowami, większość ma za pasem pistolet lub w ręku karabin. Turyści

wahają się chwilę, po czym przemierzają salę w kierunku baru, z wymuszonym uśmiechem na ustach. Dziewczyny czują na swoich gołych nogach spojrzenia moich chłopaków. Szybko wypijają coca-colę i natychmiast wychodzą. Parę komentarzy po hiszpańsku na temat dup Amerykanek towarzyszy ich wyjściu. Dosłownie uciekają swoim jepeem. Nic nie zostało powiedziane, ale jestem pewien, że przeżyli najtrudniejsze chwile w swoim życiu.

Kiedy nadjeżdżają wreszcie maszyny, pulpero wita nasz odjazd z ulgą. Przejazd przez dżunglę i pokonanie zbocza są bardzo uciążliwe, bo zaczęły się już deszcze. Potrzeba nam na to dwóch dni. Mamy koparkę z łyżką z przodu i ramieniem z tyłu, traktor z podwójnym napędem, ogromne canoa na kołach, pompę z pełnym zestawem rur i pełno drobniejszych rzeczy, w tym także zapasy żywności.

Nie znam się zupełnie na maszynach, mimo to jestem zaskoczony przestarzałym wyglądem głównego urządzenia: koparki. To wielka całkiem przardzewiała machina, która zapewne służyła przy budowie szosy panamerykańskiej w 1943 roku.

– Fabio, jesteś mechanikiem, co ty o tym myślisz?

– No więc zupełnie szczerze, nigdy bym nie przypuszczał, że coś takiego może jeszcze działać.

– Czyli jest to stare gówno!

– Czy gówno, to nie wiem. Może pracuje dobrze, ale stare jest na pewno. To połączenie części z różnych modeli, ale powinno działać.

Oby miał rację! Mam nadzieję, że Herman wie, co robi, i że ci idioci nie przysłali mi ponownie jakiegoś świństwa. Na stoku koparka wciągana jest na górę przez traktor, ludzie pchają canoa, przejeżdżamy przez teren Demesia, gdzie, jak zwykle, zrywamy ogrodzenie, naprawione od

czasu naszego ostatniego przejazdu: wytrwałość tego faceta zadziwia mnie.

Zaraz po przyjeździe wszystko zostaje przygotowane do pracy. Koparka ładuje ziemię do canoa; to ostatnie, ustawione na brzegu, zasilane jest w wodę przez nową pompę, podłączoną do traktora: system ten, z którego jestem bardzo dumny, pozwala na wyrównanie braku wody. W ciągu jednego popołudnia koparka oczyszcza całą ziemię, która osuwała się ze stoku.

Następnego dnia, kiedy koparka rozpoczyna zdejmowanie nowej warstwy ziemi, jej ramię wygina się i pęka po godzinie pracy. Tym razem naprawdę wpadam w szal. Ten sukinsyn Herman umyślnie sabotuje mi robotę i przysyła jakieś gówno: od początku do końca ten skurwysyn postępuje jak krety.

Moje rozczarowanie jest ogromne. Kiedy zdaję sobie sprawę z mocy tego sprzętu, wyobrażam sobie, co można by osiągnąć mając taką maszynę wcześniej i w dobrym stanie. W jeden dzień może ona wykonać pracę, która w systemie ręcznym trwa sześć miesięcy. A co dopiero gdyby była nowa! Herman kupił najgorsze świństwo, jakie mógł znaleźć, żeby zaoszczędzić parę groszy, podejrzewam, że robi to naumyślnie.

Jestem podwójnie rozczarowany, bo po dłuższym okresie bezczynności przygotowany byłem na intensywne wzięcie się do roboty. Tego samego wieczoru odbywam z Hermanem rozmowę, a raczej próbę rozmowy, bo łączność jest bardzo zła. Dyskusja jest burzliwa, ale o ile ja go słyszę doskonale, on mnie w ogóle nie rozumie. Dociera do niego tylko to, że maszyna jest popsuta, i ta gnida, ten tchórz, ze swojego biura ma czelność oskarżać mnie o niedbalstwo i złe obchodzenie się ze sprzętem. Obrzucam go stekiem wyzwisk, ale łączność zostaje przerwa-

Trzy dni później jadę do Puerto Jimenez i dzwonię do niego. Herman przeprosza mnie:

– Byłem trochę zdenerwowany, przykro mi, że to wszystko powiedziałem. Mam dla ciebie dwie wiadomości, jedną dobrą i jedną złą. Najpierw dobra: już bardzo niedługo będziemy mieli dokumenty koncesji, wszystko jest wreszcie załatwione. Zła wiadomość to, że wydano nakaz aresztowania ciebie za przemyt narkotyków. Ale nie obawiaj się, to nic poważnego, najważniejsze to nasza koncesja.

I mówi mi to tak po prostu! Inaczej mówiąc, węszy za mną policja w całym kraju i mogę zostać aresztowany w każdej chwili. Przerywam naszą rozmowę, pilno mi wrócić do kopalni. Po drodze, kiedy po raz kolejny zrywam ogrodzenie Demesia, rozlegają się raz za razem dwa wystrzały i pocisk kalibru 22 trafia w drzwi samochodu; o mały włos byłbym dostał.

Tego tylko jeszcze brakowało. Wyskakuję z samochodu i szukam skurwiela, z rewolwerem 44 w rękę, ale tchórz dobrze się schował, i wracam z niczym. Szkoda! Jego wypchana głowa dobrze by wyglądała w jadalni, obok zdjęcia Barbaroi.

Wieczorem zastanawiam się. Nie mam zamiaru pozwolić się aresztować jak byle jaki przestępca. Jeśli Herman chce wojny, będzie ją miał.

Następnego ranka wysyłam Jimmy'ego do San José.

– Weź samochód i jedź do tego dumia Hermana. Powiedz mu, żeby natychmiast przestał się wygłupiać, bo jeśli tego wszystkiego nie odkręci, to wysadzam kopalnię w powietrze i przyjeżdżam go załatwić,

inaczej mówiąc obcinam mu jaja. Przy okazji odwiedzisz chłopaków.

Zostają ze mną White, Chiche, Eduardo, Puntarenas i Miguel, piątka najwierniejszych, pozostałych odsyłam. Chcę mieć przy sobie tylko pewnych i mocnych facetów, bo przygotowuję stan oblężenia. Herman z pewnością ma nadzieję, że będę przerażony i ucieknę do Panamy zostawiając wszystko: długo obmyślany plan, żeby wyeliminować mnie bez ryzyka. Przejedzie się na tym.

Zaminowuję cały obóz: trzysta lasek dynamitu rozmieszczamy we wszystkich budynkach, w maszynach i w zboczu nad kopalnią. Cała broń zostaje naładowana i jest gotowa do użytku. Droga dojazdowa jest pod stałą obserwacją. W razie nocnego ataku uprzedzą mnie psy, które śpią na dworze i biegają po terenie przez całą noc. Mam ich teraz pięć: dwa dobermany, Kinga i Queeny, i trzy kundły kupione do polowania od chłopów z okolicy. King i Queeny to doskonałe psy obronne, wywęszą czyjąś obecność na długo przed pozostałymi.

Jestem zdecydowany na wszystko i gotów na przyjęcie gości. Jeśli gliny pokażą się, mam zamiar zabić ich jak najwięcej, niespodziewany ostrzał jest zawsze skuteczny. Przed rozpoczęciem walki zapalę lonty: niezależnie od wyniku bitwy, nikt nie będzie korzystał z owoców mojej pracy. Mam nadzieję, że uda mi się wówczas wymknąć, korzystając z paniki wywołanej eksplozjami, i będę mógł pojechać załatwić Hermana. Wiem, że walka jest nierówna i beznadziejna i że mogę się tylko sparzyć, ale nikt nigdy nie próbował mnie nabrać bezkarnie, i Herman nie będzie tu wyjątkiem.

*

Po dwóch dniach ta świnia zgłasza się przez radio i przysięga mi, że jest niewinny. Nie można rozmawiać, bo radio działa tylko w jedną

stronę: obiecuje załatwić sprawę, jak tylko będzie mógł, zrobić wszystko, żeby zapobiec akcji policji, i posyła do mnie Jimmy'ego, który ma mi wszystko wyjaśnić.

W ciągu następnych kilku dni żyjemy w maksymalnym napięciu. Moi ludzie nie mają nic do roboty i wyczuwają elektryczność w powietrzu; nie wiedzą, do jakiego stopnia jesteśmy zagrożeni, ale zgadują, że coś się szykuje i że coś może się stać w każdej chwili.

Większą część tego czasu spędzam z Xionarą. Jeśli ma to być ostateczna walka, chcę maksymalnie korzystać z życia. Czekając na nieodwracalne, boję się tylko, że napadną nas w nocy, bo tyle jeszcze mam z nią do zrobienia.

*

Nadjeżdża Jimmy; według niego Herman jest szczery, kiedy obiecuje wszystko załatwić.

– Strasznie się boi, że wysadzisz obóz w powietrze. Zna ciebie i wie, że jesteś do tego zdolny: moim zdaniem już zaczął się wycofywać, żeby ratować kopalnię. Poza tym w Sierpe dowiedziałem się, że dwóch gliniarzy przyszło, żeby cię aresztować, ale nie ośmielili się wejść kiedy zobaczyli tablice.

Ta wiadomość sprawia mi przyjemność. Fakt, że dwóch gliniarzy płynie trzy godziny łodzią i cztery godziny wchodzi pod górę, mając w kieszeni podpisany nakaz aresztowania mnie, po czym odchodzi nie kiwnąwszy palcem, napawa mnie dumą. Wyobrażam sobie ich obu, jak zastanawiają się przed tablicami ostrzegawczymi, co dalej robić, a potem zwracają z podkulonym ogonem, obmyślając już kłamstwa, jakie opowiedzą swojemu przełożonemu.

Nie wiem już co myśleć.

Zdaję sobie sprawę, że wdaję się w nierówną walkę, która łatwo może zakończyć się moją porażką. Tak naprawdę nie mogę liczyć na nikogo, bo moi chłopcy, choć wierni, nie mają mojej motywacji. Nie biją się o swoją kopalnię, i podejrzewam, że przy pierwszych poważnych trudnościach pozostawią mnie swojemu losowi. Nie boję się śmierci, ale myśl, że Herman miałby mnie przeżyć, nie daje mi spokoju.

Z drugiej strony, nawet gdyby udało mi się wszystko, sytuacja jest bez wyjścia. Sto lat wcześniej mógłbym podjąć walkę i dysponując odpowiednią ekipą dopełnić zemsty, nawet za cenę utopienia kraju w morzu krwi. Ale w 1983 roku nie mam najmniejszych szans; kiedy wyślą za mną międzynarodowe listy gończe i zaczną mnie ścigać Interpol, nigdzie już nie będę bezpieczny. To właśnie ciemna strona cywilizacji; za czyny popełnione na półkuli północnej poszukują człowieka na półkuli południowej, a zlikwidowanie rodziny eks-prezydenta nie uchodzi już bezkarnie.

Wobec tego zemszczę się na tych skurwysynach, ale w taki sposób, żeby nikt nie mógł nic zrobić: załatwię to tak, żeby nikt nie mógł się mnie czepiać, nawet pośmiertnie.

Decyzja jest trudna, ale najlepsza z możliwych.

Odsyłam Xionarę do rodziny, dając jej na pożegnanie wszystkie prezenty, jakie mogę kupić. Serce mi się ściska, że muszę przerwać ten związek, który tak dobrze się zapowiadał; nic nie wyszło z mojego haremu.

Zamykam kopalnię, którą powierzam opiece Puntarenasa; jest maj 1983. W ciągu sześciu miesięcy wydobyłem ręcznie ponad dwadzieścia trzy kilogramy złota na przestrzeni dwudziestu metrów. Odjeżdżam ze smutkiem, bo mam uczucie, że widzę moją kopalnię po raz ostatni.

Epilog

– Nie ruszać się! Policja!

Dwaj faceci, którzy popijali coca-colę przy sąsiednim stoliku w patio hotelu Poas, nagle stoją przede mną.

– Don Juan Carlos?

– Tak.

– Poproszę o paszport.

Machinalnie schylam się, żeby wyciągnąć paszport, który jak zwykle u mnie znajduje się w cholewie buta. Natychmiast wybucha panika: obaj faceci rzucają się na boki i wyciągają spluwy. Zewsząd dookoła wybiegają następni i mierzą do mnie z automatów. Patio hotelu Poas, na którym czekałem na znajomego, zaludnia się nagle. Połowa „gości” stoi i celuje we mnie. Inni gliniarze, w cywilu, wbiegają przez drzwi wejściowe, podczas gdy przed hotelem rozlega się pisk opon zajeżdżającej suki. Trzeba przyznać, że pułapka była nieźle zastawiona ale chyba trochę mnie przecenili.

Jest ich ponad tuzin, trzęsących się ze strachu i mierzących we mnie, a ja jestem sam i bez broni. Nie wiedzą o tym i atmosfera jest strasznie napięta; stoję bez ruchu, zdając sobie sprawę, że zwykłe mrugnięcie powieką może stać się dla nich pretekstem do nafaszerowania mnie ołowiem: nerwowi są ci mali gliniarze; trzeba powiedzieć, że te trzy lata spędzone w dżungli, gdzie dałem upust swoim szaleństwom i zamiłowaniu do przemocy, nie pozostały bez śladu, a moja nadal ogolona głowa nie wzbudza specjalnego zaufania. Boją się bardziej niż ja, toteż pozwalam się zaprowadzić do samochodu z łufami wymierzonymi w plecy, nie stawiając najmniejszego oporu. Tego jasnego poranka 18

lutego 1984 ma miejsce moje osiemnaste aresztowanie w Kostaryce, jest to akt III, scena XVIII „Quebrada del Frances”, i znam swoją rolę na pamięć.

Wszystko odbywa się bardzo szybko, pod zdumionymi spojrzeniami paru prawdziwych konsumentów. Tylko Juan, kelner, który zna moje problemy, rozumiał, co zaszło. Wychodząc posyłam mu szybkie mrugnięcie okiem, i odpowiada mi znaczącym spojrzeniem. To przyjaciel i zna moich adwokatów. Całe szczęście, bo wiem, że te sukinsyny nie pozwolą mi skorzystać z telefonu.

W samochodzie napięcie nie słabnie. Grubas, który wydaje się być dowódcą, usiadł przy kierowcy, pozostali trzej siedzą z tyłu ze mną. Wszyscy trzymają broń w pogotowiu. Jeden z nich, najmłodszy, opiera się o tylne drzwi i celuje we mnie z automatu, a palec trzyma na spuście. Strach sprawia, że jest zdenerwowany, mam nadzieję, że ten baran panuje nad sobą i że przy pierwszym ruchu nie pośle mi serii w brzuch.

Patrzę przez okno i natychmiast dowódca, ta gruba świnią, ryczy:

– Nie wyglądaj, spuść głowę!

Jestem zaskoczony i nie reaguję od razu, więc jeden z facetów siedzących z tyłu doskakuje do mnie i przyciska mi kark łufą automatu, zmuszając mnie do pochylenia głowy.

– Rób, co ci mówią – wrzeszczy – bo to się źle skończy!

Naprawdę nie pora na wygłupy, tym bardziej że ten kretyn, u którego wyraźnie wyczuwam strach, coraz mocniej naciska mi kark. Wszystko to nie pachnie niczym dobrym, i w powietrzu wisi egzekucja bez wyroku; moje osiemnaste aresztowanie może okazać się ostatnim. Choć z pozoru jest to kraj demokratyczny, często zdarzają się nie

wyjaśnieni zabójstwa i nie byłbym pierwszą ofiarą tego typu.

W napięciu nasłuchuję odgłosów ruchu ulicznego, jeśli wyjedziemy z miasta, jestem ugotowany! Nie mam zamiaru dać się zaciągnąć na rzeź bez oporu; w jednej z kieszeni mojej panterki mam krótką pałkę z ołowiem, która uszła ich uwagi przy pierwszej rewizji, nie sądzę, że pozwoli mi to wyjść cało, ale przynajmniej nie dam się łatwo: jeśli to ma być dla mnie koniec drogi, nie odejdę sam, jak przegrywać, to z klasą.

Kiedy samochód staje, wciąż nie wiem gdzie jesteśmy. Tylne drzwi z hałasem otwierają się, szybko rozglądam się dookoła, o trzydzieści metrów od nas strażnik w mundurze zamyka bramę, przez którą przejechaliśmy, widzę okalający mur, budynki, kilka samochodów, jacyś gli-niarze w cywilu chodzą tam i z powrotem po podwórzu. Oddycham spokojniej. Pora na mnie jeszcze nie nadeszła, zbyt wielu tu świadków. W najgorszym razie dołożą mi.

Komedia z przeszukiwaniem zaczyna się, jak tylko ląduję na ziemi.

– No, Francuz, zdejmuj buty – mówi dowódca.

Stoi na wprost mnie, żeby napawać się widokiem. To obrzydliwa góra tłuszczu, poci się i śmierdzi, prawdziwa zaszraśnięta świnia, ale w gorszym wydaniu.

Gliniarz, który podnosi moje buty, potrząsa nimi, zagląda do środka i przeszukuje je ręką. Jedyne, co znajduje się w środku, mój paszport, wypada na ziemię; kupa tłuszczu podnosi go i wkłada do kieszeni, nawet nie zaglądając do środka.

– Wkładaj buty – mówi.

Ogląda moją pałkę, którą znalazł drugi gliniarz, i poklepuje nią sobie wewnątrz dłoni.

Nie podoba mi się jego morda ani jego uśmiech, więc nie mogę się powstrzymać, żeby mu powiedzieć:

– Możesz ją sobie wsadzić w dupę, jeśli chcesz!

To dziwne, ale nie odpowiada. Może tak naprawdę, gdzieś głęboko, pomysł ten podoba mu się. Jego podwładni chyba zbyt go nie lubią bo wszyscy wybuchają śmiechem. Kupa tłuszczu jest niezadowolony.

– Lepiej się nie stawiaj – radzi mi.

Gliniarze prowadzą mnie do budynku. Idziemy długim korytarzem, tamten kretyń prowadzi; bez oporu wchodzę do celi.

Pozostawiają mnie przez osiem godzin w tym gnijącym pudle. Moim jedynym towarzyszem jest nieprzytomny Murzyn w agonii, o ciele i twarzy pokrytych siniakami, z kajdankami na rękach. Co za skurwysyny!

*

Odkąd zostawiłem moją kopalnię, już osiem miesięcy temu, oskarżono mnie o wszystkie możliwe przestępstwa, trzeba przyznać, że mają jednak trochę wyobraźni: przemyt złota, fałszywe dolary, zastraszanie (to już naprawdę szczyt wszystkiego), grożenie śmiercią itp. Krótko mówiąc, wróg publiczny numer jeden. Miałem w ten sposób okazję odwiedzić wszystkie komórki policyjne w tym kraju: Narkotyki, Imigracja, O. I. J. (lokalne gestapo). Za każdym razem ta sama historia, i kiedy mija pierwsze zdenerwowanie, pozostaje tylko wrażenie zmęczenia i nudy. Ja, który nie znoszę dwa razy robić tego samego, mam tego za wszystkie czasy!

*

Mam więc już tego dość. Dość wszystkiego, dość tych szmatławych przeciwników, którzy szargają mi moją przygodę. Ta walka już mi się nie podoba. Nie jestem stworzony do prawnych kruczków. Tu próbuję po raz pierwszy i ostatni. Od ośmiu miesięcy walczę z cieniami. Rodzina Caracas i Partido del Pueblo Unido są w tym kraju wszechwładni. Zajmują w Kostaryce wszystkie kluczowe stanowiska i w walce ze mną są na wygranej pozycji.

Moja kopalnia złota to zatruty prezent. Z pewnością wkrótce zaczną się o nią zreć między sobą. Poza tym kopalnia złota, to tak jak wszystko inne, jedną się straci, inną zyska. W tym stanie ducha zastaje mnie gruby, tępy gliniarz, który z wymuszonym uśmiechem oznajmia mi, że moi adwokaci zostali zawiadomieni i są na miejscu. Jestem wolny, oddaje mi mój paszport. Rzucam po raz ostatni parę przekleństw i już po wszystkim.

*

Jest 21 lutego 1984. Już od kilku godzin idę po tej długiej plaży w Punta Burrica.

Rano René przywiózł mnie do Rio Claro, gdzie kończy się szosa. Od tej pory zrobiłem dwadzieścia kilometrów pod gorącym słońcem.

Mam na sobie kąpielówki, rewolwer 44 w kaburze, a buty zawiązałem na sznurowadłach na szyi. W środku schowałem trzy kilo złota, odebrane od Wayne'a, dżinsy i koszulkę, cztery laski dynamitu i paszport. To wszystko, co mi zostało. Pojutrze po przejściu przez góry przekroczę granicę panamską w Puerto Armuelles. Nie mogę pokazać się na przejściu granicznym, więc muszę opuścić Kostarykę nielegalnie.

Walka była zbyt nierówna, i przegrałem ją. Kiedy tylko opuściłem kopalnię, zgromadziłem wszystkich współników. Dyskusja była burzliwa. Wszyscy wyłożyli karty na stół, przynajmniej raz bez hipokryzji. Tylko Herman, który jest niczym, trzymał mordę na kłódkę. Musieliśmy załatwić jakoś nasz spór, powiedziałem im, że jestem gotów sprzedać moje udziały temu, kto da najwięcej, i postanowiliśmy zamknąć kopalnię czekając na kupca. Nie miałem innego wyjścia, skoro Herman był właścicielem terenu, i musiałem załatwić najpilniejsze sprawy. Udało mi się załatwić, żeby wycofali nakaz aresztowania w zamian za kaucję: w oczekiwaniu na proces nie mam prawa opuszczać kraju.

Moi eks-wspólnicy zrobili jeszcze parę prób wciągnięcia mnie w jakieś dochodowe i nielegalne szwindle, sprawy bardzo opłacalne, ale wyraźnie widziałem, jaką rolę dla mnie przeznaczyli: była to kolejna pułapka i gdyby się udała, nie byłoby trudności w spowodowaniu zamknięcia mnie na resztę życia. Ale udałem, że się zgadzam, w ten sposób odkryłem prawdę kryjącą się za uczciwymi pozorami. Tino zaprowadził mnie do pułkownika Julio, handlarza bronią o wiele mówiących referencjach. Parę lat wcześniej oszukał rewolucję salwadorską w sprawie opłaconej dostawy broni, która nigdy nie otarła do portu przeznaczenia. Musiał potem przez rok ukrywać się w Stanach Zjednoczonych, a teraz mieszka w willi zamienionej w fortecę. Jest najlepszym kolegą Tina, tego, o którym mówią, że jest Purytaninem.

U Julia Tino, który gra rolę biznesmena o czystych rękach, odkrył karty. Był po szyję zamieszany w handel bronią i lokalną sprzedaż kokainy. Wyjął z teczki dwa kilo i zaproponował mi jej sprzedaż. Kiedy pomyśle, że ten kutas Herman twierdził, że nie może prosić go o inter-

wencję w mojej sprawie, kiedy byłem aresztowany, bo Tino ma sztywne zasady jeśli chodzi o narkotyki! Cały towar, jakim handlował, pochodził z zapasów zatrzymanych w czasie kontroli celnych przez Narkotyki, pod dowództwem pułkownika Altamiry. Wówczas zdaję sobie sprawę, że cały kraj jest pod kontrolą mafii z Partido del Pueblo Unido, a w szczególności przez rodzinę Caracas. W całej Kostaryce nie ma jednego ważnego stanowiska, które nie byłoby zajęte przez ich człowieka, zamieszanego w podejrzone interesy.

W miarę, jak dochodziłem do tej prawdy, rozumiałem, że nie mam żadnych szans: jeden przeciw wszystkim, w takiej grze jest zbyt wiele znaczonych kart.

*

Odchodząc zrobiłem im mały numer. Herman miał trzy i pół-kilogramową bryłkę, którą zgadzał się sprzedać tylko za bardzo wysoką cenę; bryłka ta była w pewnym sensie symbolem kopalni i nie chciałem, żeby z niej korzystali. Podczas mojej ostatniej wizyty w Malessie naopowiadałem różnych historii Pablo, księgowemu, któremu powierzono opiekę nad złotem; podstępem udało mi się odzyskać bryłkę, nieźle musieli mu potem zmyć głowę.

Następnie, po raz pierwszy w życiu, postanowiłem podjąć walkę w sądzie. Wynająłem sześciu adwokatów do pracy nad dokumentami Quebrada del Frances. Opowiedziałem im całą historię, zaniżając tylko zawartość złota w miejscowym gruncie, żeby nie budzić niepotrzebnej pożądlivosti: w tym kraju nie można już mieć zaufania do nikogo. Szybko odkryli, że w dokumentach nic nie odpowiadało rzeczywistości, wszystko od samego początku było sfałszowane. Tamci podrabiali mój podpis, który pojawił się na dokumentach, których nigdy nie wi-

działem. Będąc w rzeczywistości głównym akcjonariuszem, w dokumentach nagle stałem się właścicielem zaledwie trzydziestu procent, wszystko sfałszowali. Moi adwokaci chcieli wytoczyć sprawę o fałszowanie ksiąg, podrobienie podpisu, nadużycie zaufania itd., ale powiedziałem im, żeby dali spokój. Mając w ręku wszystkie sznurki moi przeciwnicy z łatwością wygraliby sprawę, nie chciałem dawać im tej satysfakcji. Moi naiwni adwokaci wierzyli w sprawiedliwość; ja wiedziałem, że przegrałem sprawę.

W zasadzie jedynym, do czego okazali się przydatni, było wyciągnięcie mnie bez szwanku z aresztu w związku z moimi niezliczonymi zatrzymaniami: kiedy ich machloje wyszły na światło dzienne, moi przeciwnicy próbowali wszystkiego, żeby mnie wyeliminować.

Z podpuszczenia Hermana jeden z gliniarzy pojechał na Osa i wrócił z osiemdziesięcioma skargami przeciwko mnie, prawdziwymi i fałszywymi. Sporządzono akta: zestawienie moich aktów przemocy, normalnych w realiach półwyspu, ale tu wyjętych z kontekstu, ukazywało mnie jako niebezpiecznego potwora.

O ile tylko to było możliwe, unikałem pokazywania się w stolicy, starając się pozostawać na południu i dając wolną rękę moim adwokatom. Mieszkalem na rancho u stóp Talamanca, na które można się było dostać jedynie konno, nie widywałem się z żadnym z moich pracowników, należeli już do historii, dowiedziałem się tylko, że to Barbas mnie zdradzał i dostarczał informacji Hermanowi.

*

Na południu czułem się mniej więcej bezpieczny, bo zachowałem tu paru przyjaciół wśród gliniarzy: większość miejscowych szefów policji napełniła sobie dzięki mnie kieszenie i była mi za to wdzięczna. Złoży-

łem nowe podanie o koncesję, bo prowadząc poszukiwania na prawo i lewo oraz słuchając opowiadań miejscowych ludzi odkryłem nową kopalnię, o wiele mniej zasobną, ale bardzo łatwo dostępną. Udało mi się nią zainteresować akcjonariuszy, przedstawiciele przedsiębiorstwa z siedzibą w Nikaragui, które wyraziło zamiar nabycia Quebrada del Frances, ale wycofało się na wieść o machlojkach Hermana i innych. Tym razem nie interesowało mnie wydobycie, miałem już tego dosyć, ale miałem zamiar sprzedać koncesję zaraz po otrzymaniu dokumentów. Postanowiłem samemu zająć się wszystkimi papierami, bo prostota tych czynności ostatecznie przekonała mnie o niekompetencji Hermana.

Niestety, bardzo przeszkadzała mi presja i obserwacja policji, której doświadczałem przy każdym zetknięciu się z władzami, i dużo czasu traciłem za każdym razem starając się od niej uwolnić. Ponadto zakaz opuszczania kraju uniemożliwił mi wyjazd do Nikaragui, gdzie mógłbym bezpośrednio pertraktować z moimi przyszłymi współnikami. Tymczasem mój czas był cenny, bo zaczęło się już odliczanie. Data rozprawy wyznaczona została na 23 lutego, akt oskarżenia zarzucał mi rzekomy handel trawką. Teoretycznie była to formalność i powinienem był zostać całkowicie oczyszczony z zarzutów, ale podejrzewałem moich eks-współników o przygotowywania ostatecznej eliminacji mojej osoby.

Moi adwokaci, zbyt ufni, a może przekupieni przez przeciwnika, zapewniali mnie, że nie ma żadnego ryzyka. Nawet w przypadku, ich zdaniem bardzo mało prawdopodobnym, gdybym został skazany, prawo kostarykańskie pozostawiało mi piętnaście dni wolności na wniesienie rewizji. Jednakże sędzia miał prawo odebrać mi ten przywilej w przypadku, również wyjątkowym według moich adwokatów, gdyby oskarżony uznany został za niebezpiecznego dla porządku publicznego.

I tu zrozumiałem plan, obmyślony przez moich eks-wspólników: zgłaszając w ostatniej chwili fałszywych świadków, łatwo można wykazać, że nakłaniałem moich pracowników do używania narkotyków, i w ten sposób udowodnić mi handel; następnie, posługując się osiemnastu skargami złożonymi przeciwko mnie, jeszcze łatwiej można przedstawić mnie jako człowieka niebezpiecznego. To miało wystarczyć.

Nie chodziło więc już o stawienie się na zwykły proces. Zostałbym bezpośrednio przewieziony do pudła, skąd wyszedłbym piętnaście lub dwadzieścia lat później, zakładając, że w ogóle bym wyszedł, bo łatwo byłoby wywołać bójkę i zabić mnie zupełnie bezkarnie; a zresztą nawet i bez tego, dla człowieka tak jak ja kochającego wolność więzienie oznaczałoby koniec.

Moi adwokaci odrzucali możliwość takiej machinacji, ale wiedziałem, że proces byłby sfałszowany, a konsekwencje ponosiłbym właśnie ja.

Na trzy dni przed procesem postanowiłem nielegalnie opuścić kraj i schronić się w Panamie.

*

Idę już dwa dni. Panama nie może być daleko. Wczoraj opuściłem plażę i od tej pory idę przez góry. Kiedy robię sobie ostatniego skręta z kostarykańskiej trawki, pojawia się jakiś chłop.

– Przyjacielu, gdzie jesteście, w Kostaryce czy w Panamie?

– W Panamie – odpowiada.

No i już, koniec z Kostaryką! To takie proste, wątpię, żeby chłop zrozumiał powód mojego uśmiechu. Czekam aż się oddali, po czym

niszczę dynamit i zakopuję moje Magnum 44. Przemoc towarzyszyła przygodzie, która teraz należy już do przeszłości. Żegnajcie mali Ticos, polubiłem was, wasze kobiety i dziewczynki też zresztą. Ostatni raz myślę o Jimmy'm, moim przyjaciołu, moim bracie, którego zostawiam za sobą. Biedny chłopak! Tyle się nauczył, tyle marzył, i wszystko na nic. Przypominam sobie też jednego po drugim członków mojego wesołego zespołu, facetów na początku bez wielkiej klasy, ale z których potrafiłem wyciągnąć to, co najlepsze. Stali się moimi kumplami.

A teraz pora na przyjemności, jakie przyniesie mi moje trzy i pół kilo złota, jedyna i ulotna pamiątka z Kostaryki.

*

Herman, ty wredna świnió, dotrzymam obietnicy.

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

[Część pierwsza](#)

[Część druga](#)

[Część trzecia](#)

[Epilog](#)